



*Nancy Kelly*



*W MATNI*

Tytuł oryginału *Tangled*

## *Prolog*

*Dawno temu...*

Ciało leżało bez ruchu. W dziwnym, niemal komicznym bezruchu. Z otwartymi oczami, utkwionymi w zimne, rozgwieżdżone niebo. Z rękami rozrzuconymi na boki. Z głową lekko przekreconą na prawą stronę, jakby jedno ucho było nadstawione, wsłuchane w sporadyczne pomruki nocnego, ponurego, zimowego wiatru.

Kobieta, cała drżąc, spojrzała w dół na nagą postać. Zasłużył na śmierć. Była zadowolona, że nie żył. Nie czuła litości dla tego potwora.

Poczuła coś zimnego na twarzy i zdumiała się spostrzegłszy, że są to na wpół zamarzniete łzy.

Gdzieś zahukała sowa i ten samotny odgłos przejął jej serce lodowatym strachem. W głowie słyszała głośnie tykanie upływającego czasu.

Schwyciła trupa za nogi i zaczęła go ciągnąć po ziemi. Jedną z rąk wplątała się w cienkie, gołe gałęzie, musiała więc szarpnąć mocno, by ją wyswobodzić. Pośliznęła się na oblodzonej ścieżce i skrzyła nogę w kostce; zagryzła usta, aby nie krzyknąć z bólu. Nie zatrzymała się jednak. Nie mogła.

Pot zrosił jej czoło i spływał z rąk, gdy tak nieustępliwie ciągnęła go za sobą. Ślad jej oddechu tworzył obłok białej mgły. Z zaciśniętymi szczękami wlokła ciało przez ściernisko i zmarzniete na kamień grudy ziemi, potykając się z lekka, był bowiem ze dwa razy większy od niej.

Nie było jak go pogrzebać. Nie miała ani siły, ani zamiaru, aby chociaż spróbować. Wiedziała jednak, że na krańcu tego położonego na odludziu pola jest rów odwadniający i że będzie mogła stoczyć tam jego ciało i

wepchnąć do kanału. To będzie proste. Aż do wiosennych roztopów nikt go tam nie znajdzie, a może nawet jeszcze dłużej, Istniała szansa, że na zawsze zostanie tam pogrzebany.

Teraz będzie mogła odejść. Wszyscy będą mogli odejść.

Udręka się skończyła.

RS

*Wczoraj...*

Dwaj chłopcy, kołysząc się na końskich grzbietach, przemierzali teren Forest Service w Środkowym Oregonie. Tropili jelenie. Był sezon polowań. A ponieważ żaden z nich nie miał ani pozwolenia na broń, ani strzelby, zamierzali znaleźć rogacza i powiedzieć swoim kolegom, że to właśnie oni, mały Mikey Watters i głupek Matt Logan, widzieli największego byka w okolicy. Jasne, nie będą mogli go upolować, ale zobaczą go, a to się liczyło. To się bardzo liczyło.

Końskie kopyta wzbijały chmury ziarnistego pyłu. Matt przetarł oczy, pozostawiając na swojej okrągłej piegowatej twarzy smugi brudu.

- Przeklęty kurz - poskarżył się. Spodobało mu się to, co powiedział, powtórzył więc jeszcze głośniej: - Ten pieprzony, przeklęty kurz.

Mikey obrócił się, by nań spojrzeć szeroko otwartymi oczami. Obaj, z bijącymi sercami, zaczęli bacznie nasłuchiwać. Słowo na „p” było naprawdę bardzo brzydkie. I chociaż byli tak daleko od domu, niemal jak na odległej planecie, istniała możliwość, że ojciec któregoś z nich albo starsza siostra - skarżypyta, usłyszą. A wtedy będzie problem. Oj, tak.

Matt skulił ramiona.

- Nikogo tu nie ma. - Jego głos niewiele różnił się od szeptu.

Mikey kiwnął głową. Był pod wrażeniem śmiałości Matta. Żałował, że nie on tak powiedział.

Otoczające ich sosny i kosodrzewina obrzeżały niewielkie pole, leżące na północnym skraju gruntów. Przewrócony druciany płot, zardzewiały i nikomu niepotrzebny, wyznaczał granice posiadłości Danielsów. Teraz

mieszkali tam inni ludzie, ale rodzice Mikeya i Matta nadal nazywali ten teren posiadłością Danielsów, głównie dlatego, że pewnego dnia Daniels zniknął, nie mówiąc nic swojej rodzinie ani nikomu w miasteczku. Kiedyś Matt słyszał, jak jego tata opisywał starego Daniela, jako... „najgorszego skurwiela, jakiego spotkałem. Składa się w połowie z wódki, w połowie z nienawiści, po brzegi przepelniony szatańskim złem... ”

Oczywiście, Daniels już od dawna tu nie mieszkał. Pewnie już nie żył. Nikt się tym za bardzo nie przejmował. Kiedyś Matt opowiedział historię o Danielsie wujkowi Jackowi, ale wujek Jack nie sprawiał wrażenia specjalnie zainteresowanego. To było zrozumiałe. Wujek Jack pracował dla policji w Los Angeles i nie mógł marnować czasu na takie głupstwa. Łapał prawdziwych bandytów. Tych, których bali się ludzie, handlarzy narkotyków. Trzeba być kimś więcej niż tylko łotrem, żeby zasłużyć na zainteresowanie wujka Jacka.

Przynajmniej kiedyś wujek Jack pracował w policji, ale teraz Matt nie chciał o tym myśleć. Wolał się skoncentrować na Danielsie.

- Skurwiel - powiedział Matt, przez chwilę czując przyływ śmiałości.
- Kogo tak nazwałeś? - zapytał Mikey.
- Starego Daniela.
- Aha.

Konie zatrzymały się i opuściły głowy ku trawie rosnącej na polu. W niemym porozumieniu Mikey i Matt ześliznęli się na ziemię.

- Chodźmy wzdłuż zagonów - zaproponował Mikey. - Na pewno znajdziemy tam gdzieś prawdziwego jelenia.

- Dobra. - Matt wyciągnął z kieszeni kawałki suszonego mięsa i obaj chłopcy zaczęli żuć w milczeniu, omiatając wzrokiem sąsiednie zagony.

Jeden z koni ruszył w kierunku rowu odwadniającego i przepustu, tak zarośniętego zielskiem, że jedynie cieniutka strużka wody mogła się przezeń przesączyć. To nie stanowiło żadnego zagrożenia. Obszar Środkowego Oregonu był suchy, tysiące razy bardziej suchy niż dolina. Tu nie zdarzały się powodzie.

- Czy to są ślady? - z podnieceniem zapytał Mikey.

Matt skwapliwie podążył za spojrzeniem przyjaciela ku wyschniętemu kanałowi. Nie było tam śladów, jedynie miejscami trawa na polu była pognieciona.

- To nasze konie zdeptały trawę, głupcze!

- Już dobrze, przepraszam. - Mikey ruszył w kierunku rowu.

- Jezu, aleś ty głupi.

- Nie głupszy od ciebie, ty gówniany mózdzku - Mike odważył się zacytować przezwisko wymyślone przez szóstoklasistów, najbardziej znienawidzonych wrogów Matta.

- Ty mały, tępy bękarcie!

I zaczęli. Mikey rzucił się na Matta i obaj chłopcy stoczyli się do płytkiego zagłębienia, które niegdyś pełniło rolę kanału. Jednak tłukli się i okładali pięściami bez większego zapału, byli bowiem w końcu najlepszymi przyjaciółmi. Po pięciu minutach, wyczerpani i dyszący, potoczyli się na boki.

Wtedy właśnie to zobaczyli.

Ludzką czaszkę.

Na żadnym chłopcu nie wywarło to zbyt wielkiego wrażenia. Stale można zobaczyć jakąś czaszkę w telewizji. Niemniej było to niezłe znalezisko, toteż Matt obwieścił o odkryciu swoim specjalnym indiańskim okrzykiem

whoop-whoop-whoop. Dwie godziny później, kiedy pokazali czaszkę mamie Matta, jej wartość wzrosła tysiące razy. Mama była naprawdę wstrząśnięta. Natychmiast zawiadomiła wujka Jacka, który polecił jej zatelefonować do szeryfa Dempseya.

Bach.

To już nie był mały Mikey Watters i głupek Matt Logan. W sobotnio-niedzielnym wydaniu „The Buckeroo Gazette” znaleźli się na pierwszej stronie. Rów został przeszukany przez różnych ważnych policjantów, odnaleziono więcej kości, cały szkielet. Ktoś sprawdzał, czyje to kości. W miasteczku brzęczało jak w ulu, każdy jednak był niemal pewien, że należały do starego Danielsa, najgorszego skurwiela, jakiego kiedykolwiek spotkał ojciec Matta. W połowie składał się z wódki, w połowie z nienawiści, po brzegi przepełniony był szatańskim złem.

*Teraz...*

- Ruszaj się, ty śmieciu - zamruczała zniechęcona Dinah Scott. Wewnątrz faksu coś tak zazgrzytało, jakby maszyna miała się za chwilę rozpaść. W całym pokoju aż huczało, jednak nie działo się nic. Dwie minuty wcześniej maszyna wypluła pomięte arkusze papieru, które jak szrapnele przeleciały przez pokój. Już to było alarmujące, bowiem Dinah usiłowała coś wysłać, a nie otrzymać.

Spojrzała na zegarek. Wpół do piątej. Z pewnością Flick zaciąga się teraz powoli ostatnim dziś cygarem, krzesło pod jego ogromnym ciężarem trzeszczy złowróźnie, płynie też strumień obelg pod adresem Dinah Scott i „jej nieodpowiedzialnej żądzy udzielania pomocy każdemu nieudacznikowi, który przetnie jej drogę”, i że wiedział, iż tak się stanie, i że może zacząć „rozsyłanie swoich ofert, gdyż z wszelką pewnością nie pracuje już w „Santa Fe Review”!

- Cholera, cholera, cholera!

Chwyciwszy torebkę i wskoczywszy w parę brzydkich, ale ukochanych sandałów, Dinah popędziła przez hall utrzymanego w hiszpańskim stylu domu swojej siostry. Ślizgając się nieco na kafelkach przy wejściu rozsunęła drzwi i ruszyła prosto do samochodu.

Był to biały fiat z 1974 roku, stary, poobijany i kapryśny, jednak Dinah nie chciała nawet myśleć o kupieniu nowego wozu. Była zbyt niecierpliwa, aby załatwiać takie sprawy. Pragnęła jedynie, żeby wszystko jakoś funkcjonowało. Co najmniej dwa razy dziennie wykrzykiwała: - Chcę, żeby wszystko działało! Czy wymagam zbyt wiele?



Najwyraźniej tak właśnie było.

Pomrukując z irytacją, ulokowała się za kierownicą i przekreśliła kluczyk w stacyjce. Silnik fiata zakrztusił się wściekle, po czym zaskoczył. Śląc milczącą modlitwę dziękczynną pod adresem bogów, opiekujących się silnikami, którzy najwyraźniej uśmiechnęli się do niej - przynajmniej w tym momencie - wrzuciła bieg i maleńkie auto z szarpnięciem skoczyło do przodu na brukowanym podejździe. Co do niej, i tak będzie się kurczowo trzymać tej pułapki na szczury, dopóki rachunki za naprawy fiata nie przekroczą jej dochodów, nawet gdyby przeklęte pudło miało się dziś po południu rozkraczyć na autostradzie do Santa Monica. Oczywiście lepiej, żeby nie.

Prowadziła jak opętana. Nie mieszkała na stałe w Los Angeles, ale wiedziała, gdzie jedzie. Od końca lipca opiekowała się domem siostry, Denise, i nauczyła się dawać sobie radę na autostradach z biegłością równą innym szalonym kierowcom.

Denise. Jej siostra - bliźniaczka. Denise pofrunęła w nieznanym kierunku, aby pozbierać się do kupy (robiła to regularnie), zaś w czasie jej nieobecności Dinah miała pilnować, żeby były mąż Denise nie próbował zająć domu. Czegóż takiego można było oczekiwać po Jego Wysokości, Johnie Callahanie, a Denise nie chciała jeszcze bardziej pogarszać swej sytuacji. Oczywiście, większość kłopotów sama na siebie ściągała - właściwie przyciągała je jak magnes - ale Denise nie była taka zła. Po prostu miała problemy. A Dinah chciała choć trochę pomóc siostrze.

Czerwone światelko rozbłysło na desce rozdzielczej, łudząco przypominając lampkę kontrolną faksu.

- Nie rób tego - wściekle warknęła Denise. - I tak blisko ci już do śmierci. To nie jest najlepszy moment, żeby igrać z losem.

Fiat, ignorując jej pogroźki, zakrzuszył się i zgasł. Dinah, pośród odgłosów setek otaczających ją pojazdów, dosłyszała dźwięk jego kół, toczących się po nawierzchni. Silnik fiata niewyraźnie zastukał, wydając swe ostatnie tchnienie.

Dinah zepchnęła samochód na pobocze drogi i zerknęła na zegarek. Czwarta pięćdziesiąt siedem. Flick nie będzie czekał po piątej. Do diabła. Do diabła!

Zacisnąwszy szczęki wysiadła z samochodu i, z furią mu się przyglądając, rozmyślała nad swym losem. Jeśli nie dostarczy Flickowi tej kolumny, może się pożegnać z karierą.

Uniosła szeroko rozpostarte ramiona do góry, spojrzała w niebo i cicho zapytała: - Dlaczego właśnie ja?

Jakiś samochód oderwał się od szeregu pojazdów i zatrzymał koło fiata. Spojrzała z na nowo rozbudzoną nadzieją. Niebieskie BMW.

- Czy trzeba pomóc? - zapytał kierowca, wystawiając głowę przez okienko. Był dość przystojny, trochę po trzydziestce. Prawdopodobnie morderca albo gwałcieciel, jeśli wierzyć danym statystycznym o dobrych samarytaninach w Los Angeles.

- Zdaje się, że nawalił silnik. - Dinah nie poruszyła się. W jej wewnętrznym systemie alarmowym zapaliło się czerwone światło. Nie miała zaufania do obcych. Nie ufała mężczyznom. Wolałaby raczej przejść na piechotę całe Stany wzdłuż i wszerz, podjąc głodówkę, a do tego zostać zawodowym skoczkiem na linie, niż wsiąść do samochodu faceta, którego właśnie spotkała.

- Czy mógłby pan wezwać pomoc drogową?
- Mogę panią podwieźć do najbliższej stacji obsługi.
- Nie chciałabym zostawiać mojego samochodu.

Szyba w oknie od strony pasażera opuściła się. Postać, którą Dinah wzięła za drugiego mężczyznę, okazała się naprawdę młodą kobietą o gładko zaczesanych włosach.

- Na pewno nie chce pani, żeby panią podwieźć? - powoli pytanie.

Kobieta dodała: - Będzie pani musiała usiąść koło Jimmy'ego, ale on śpi i nie będzie przeszkadzał. - I odwróciła się, aby spojrzeć na tylne siedzenie.

Dinah podeszła do samochodu i zajrzała przez okno. Jimmy, wyglądający mniej więcej na dwulatka i śpiący głęboko w swoim foteliku samochodowym, robił wrażenie aniołka.

- Sądzę, że przez pewien czas pani samochód będzie bezpieczny - uzupełnił mężczyzna, podejrzliwie wpatrując się w strumień przejeżdżających samochodów, jakby sam nie bardzo wierzył swoim słowom.

- Chyba go jednak zostawię - z ulgą zgodziła się Dinah i otworzyła drzwi samochodu. Cud nad cudami, została uratowana przez normalnych ludzi.

Piętnaście minut później wysiadła przy niewielkim sklepie, gdzie umieszczona w oknie reklama głosiła:

**WSPANIAŁA WODA SODOWA! NAWET TY NIE MOŻESZ WYPIĆ WSZYSTKIEGO!**

Odsunęła drzwi do budki telefonicznej, wezwała pomoc drogową, potem zaś zadzwoniła do Flicka.

Był niegrzeczny i walił prosto z mostu. Jesteś kłamliwą suką, Dinah. I spóźniłaś się.

- Nie przegapiam ostatecznego terminu zamknięcia drugiego wydania - odpowiedziała podobnym tonem. Zawsze koszmarnie ją irytowało, gdy jej wymyślał.

- Na wypadek, gdybyś nie pamiętała, pragnę ci przypomnieć, skarbie, że twój artykuł miał się ukazać równocześnie w kilku gazetach. Nie psuj mi roboty, bo cię wywalę.

Dinah przewróciła oczami i spojrzała przez zakurzoną szybę nagrzaną, lepiałą się od brudu budki telefonicznej. Po drugiej stronie ulicy mieścił się urząd pocztowy, gdzie za siedem dolarów będzie mogła skorzystać z faksu i przesłać Flickowi swój ostatni artykuł.

- Prześlę ci materiał za pięć minut. Zaczekaj tam tylko chwilę.

- Nie mogę czekać przez całą noc.

- Pięć minut. - Odwiesiła słuchawkę. - Drań - mruknęła, zatrząskując za sobą drzwi kabiny. Flick, znany ze swojej niezwykłej umiejętności trafiania na wpół wypalonym cygarem do popielniczki z każdej niemal odległości, wykazywał tyle samo zrozumienia, co jej ojczym, kiedy spóźniona o dwie godziny wróciła do domu z pierwszej randki. Za to wykroczenie zarobiła między innymi głośny policzek. Fakt, że samochód jej ówczesnego chłopaka został stuknięty przez pijanego kierowcę i musiała czekać na spisanie protokołu, nie miał najmniejszego znaczenia. Thomas Daniels tylko ją obciążył winą. Podobnie rzecz się miała z Flickiem. Najwyraźniej powody nie były istotne. Nawaliła i musiała za to zapłacić.

Pomimo panującego upału zatrząsała się lekko, roztarła sobie ramiona. Na szczęście Flickowi można było przypisać ludzkie cechy, czego nigdy by

nie przyznała swemu ojczymowi. Kiedy jednak Flick miał słuszość, stawał się tak potwornie zasadniczy, że dostawała szału.

Dinah pędem przebiegła przez jezdnię, podała urzędnikowi numer faksu i artykuł, zapłaciła siedem dolarów, a potem czekała niecierpliwie, aż maszyna skończy przesyłać Flickowi jej ostatnie rozważania o tym, jak radzić sobie z miłością i seksem w latach dziewięćdziesiątych.

Flickowi na pewno się nie spodoba, pomyślała z wątlým uśmiechem, przemierzając ulicę w kierunku budki telefonicznej. Nienawidził tego, co głupie i banalne, czyli wszystkiego, co nie miało jakiegokolwiek związku ze światem zbrodni i pieniędzy.

Oczywiście negatywny stosunek Flicka wcale się nie zmienił na lepsze, kiedy mu powiedziała o planowanej wyprawie do Los Angeles.

- Niech twoja siostra sama pilnuje swoich spraw - zde gustowany kręcił nosem. - Masz swoją robotę do wykonania.

- Sześć tygodni - odparła Dinah. - Sześć tygodni i jestem z powrotem w Santa Fe. Los Angeles jest zwariowane. Nie chcę tam być ani chwili dłużej niż to konieczne. A robotę zrobię na czas. Przysięgam na wszystko. Uspokój się, Flick, wszystko będzie dobrze...

Wybierając teraz numer Flicka i czekając, aż odbierze telefon zrobiła parę min. Słynne ostatnie słowa.

- Tekst w drodze - powiedziała bez żadnych wstępów, gdy tylko usłyszała, że jest połączenie.

- Przywieź więc teraz swój śliczny tyłeczek z powrotem tutaj, a wszystko będzie darowane - mruknał Flick.

Dinah zacisnęła dłoń na słuchawce. Przez chwilę myślała o komentarzu na temat jego „tłustego tyłka”, doszła jednak do wniosku, że opłaca się zachować ostrożność.

- Jak tylko będę mogła, ty wieprzu - odpowiedziała łagodnie. - Jak tylko będę mogła.

Parsknął śmiechem i rozłączył się.

Złapała taksówkę, żeby wrócić do domu siostry. Wyczerpana psychicznie, czując ból we wszystkich kościach, powoli pokonała kamienne schody wejściowe. Zamiast przyjemnego uczucia, jakiego zwykle doświadczała po pospiesznym zakończeniu artykułu, czasami świetnego, czasami żalosego, opadły ją niemiłe myśli. Pogrzyżyła się w otchłani doznań, będących, jak stwierdziła, echem tych okropieństw sprzed wielu lat. Najlepiej nie pamiętać. Najlepiej zapomnieć na zawsze. Wzięła głęboki, ożywczy oddech i otworzyła drzwi wejściowe.

Bezpieczna, otoczona białymi ścianami domu Denise wewnątrz utrzymanego w hiszpańskim stylu, Dinah opadła do tyłu, oparła się o drzwi i przymknęła oczy. Nie umiała otrząsnąć się ze wspomnień. Osaczyły ją. Były niemal namacalne. Nie, nie, nie!

Zacisnęła pięści, lecz nie pomogło. Była zanadto spięta. Zawsze taka była. Ale jej obsesyjne pragnienie, żeby świat funkcjonował właściwie - żeby wszystko było dobrze - obroniło ją przed popadnięciem w obłęd w czasie tych długich, straszliwych dni, kiedy wraz z Denise i młodszą siostrą, Hayley, mieszkały razem z Thomasem Danielsem, ojczymem z piekła rodem. Dwa i pół roku męki. Poczucie zagubienia, kiedy dom nie był bezpiecznym miejscem. Rozumiała nastolatki uciekające z domu i żyjące na ulicy. Sama wielokrotnie rozważała taką możliwość. Ale to by oznaczało

skazanie Denise, Hayley i ich niezrównoważonej emocjonalnie matki na samotne stawianie czoła temu horrorowi. Została więc.

Śmierć matki przyjęły z mieszanymi uczuciami. Trzy córki żałowały, że odeszła, przepelniała je jednak wewnętrzna radość, że teraz wreszcie uwolnią się spod żelaznej dyscypliny i prześladowań Thomasa.

Tyle że nie wszystko tak się ułożyło.

Dinah jeszcze raz głęboko zaczerpnęła powietrze i wstrzymała oddech, aż poczuła w płucach płonący ogień. Krztusząc się wypuściła powietrze, powoli otworzyła oczy i spojrzała na stojącą przy wejściu ozdobną lampę, oplecioną uśmiechniętymi wężami z kutego żelaza, na morze rudych kafelków, ciągnące się do drugiego hallu. Przypomniała sobie, że Thomas już nie żyje, a jego dusza jest w piekle. Nie będzie już mógł niszczyć im życia.

Pragnęła tylko, żeby Denise to zrozumiała.

\*\*\*

Promienie słońca migotały nad basenem, jasne, roztańczone i oślepiające. Jej gorące ręce piekły i paliły. Zanurzyła je w basenie i ospale chlapnęła wodą na plastikowy materac, żeby ochłodzić spieczone nogi. Materac zaskrzypiał pod jej ciężarem. W głowie czuła pustkę.

Niejasna myśl przemknęła jej przez głowę. Nie zastanawiaj się, nie myśl, ostrzegła się ze złością. Jesteś spokojna. Wyciszona. Nic poza tą chwilą nie ma znaczenia.

Słońce pieściło jej czoło, wdzierало się w ciało. Otulało ją jak najdelikatniejszy koc. Sączyło się do kości. Właśnie zainteresowała się autohipnozą i zdumiona była odkryciem, że to trochę działa. Wyglądało na to, że pomaga trzymać w zamknięciu złe duchy, harujące w jej głowie.

Nie myśl, nie myśl, nie myśl. Wyobraź sobie, że wszelkie trucizny z twojego ciała docierają do jego środka. Do sedna twojej istoty. Teraz zaciśnij ręce w pięści. Poczuj, jak trucizny przepływają wzdłuż twoich rąk do pięści. Jesteś oczyszczona. Trucizny są w twych zaciśniętych dłoniach. Poczuj jak się tłuką, gorące i okropne. Teraz rozewrzyj pięści. Precz, precz, precz! Wydalone w kosmos. Wyrzucone w mroczną otchłań przestrzeni. Daleko, daleko. Usunięte i zapomniane.

W drugim końcu basenu coś głośno plusnęło. Zaalarmowana Denise gwałtownie otworzyła oczy. Fale rozbiegały się po wodzie, zaś pod jej powierzchnią przesunął się jakiś ciemny kształt. Denise zaczęła szaleńczo wiosłować rękoma, aby dotrzeć do krawędzi basenu.

To był mężczyzna. Peter. Z ciężko bijącym sercem patrzyła, jak pokonuje długość basenu pod wodą, wynurza się, strząsa wodę z ciemnych włosów, a potem zbliżała się do brzegu. Woda spływała mu po włosach na twarz i ramiona. Zauważywszy jej spojrzenie, zaczął się jej przyglądać ponad pomarszczoną powierzchnią błękitnej wody, od niechcienia gładząc ręką swój opalony, umięśniony tors, zaś jego zamyślony wzrok ślizgał się po odzianym w bikini ciele Denise.

Obserwował ją przez cały tydzień. Był „przyjacielem” Carolyn. W swoim bogatym życiu Denise miała własną kolekcję przyjaciół i wiedziała, jak skomplikowane i fatalne mogą być takie przyjaźnie. Cóż z tego, że Carolyn była żoną Kevina, przecież Denise, będąc żoną Johna, też zawierała takie przyjaźnie. A Peter miał ten drapieżny wygląd łowcy przygód. Był wspaniale zbudowany, poruszał się z celową miękkością, a swoje zainteresowanie tak wyraźnie skupił na niej, że czuła się jak pod mikroskopem.



- To ty jesteś tą aktorką - powiedział jej w ubiegłym tygodniu, kiedy po raz pierwszy pojawił się przy basenie Carolyn.

Denise zignorowała go. Przyjęła zaproszenie Carolyn, aby przyjechać do Houston i uciec od żałośnie zrujnowanego życia w Kalifornii, pragnęła bowiem zapomnieć, kim jest. Cały ostatni rok był wielką katastrofą. Kłótnie z Johnem przerodziły się z gorących i porywczych w zimne i pełne dystansu. Nie kochał jej już i, do diabła, ona też go nie kochała. Nie była jednak jeszcze gotowa, by z niego zrezygnować. On tymczasem ruszył do przodu i dał rolę w „Fortunacie” tej młodej dziwce, tłumacząc bez zbytniego zainteresowania, że nawet nie zamierza robić Denise próbnych zdjęć!

Drań. Dwulicowy, głupawo uśmiechnięty drań. Niech Dinah daje sobie z nim radę. Dinah nie zwracała uwagi na mężczyzn, a John sam był zbyt zaślepiiony, żeby naprawdę mogła mu dokuczyć.

Denise zachichotała pod nosem. Dinah z niechęcią zgodziła się utrzymywać, że jest Denise, gdyby ktoś ją zapytał. To była jedyna metoda, żeby zatrzymać dom na plaży w Malibu, John bowiem zdecydowanie i z determinacją dążył do rozwodu z żoną i do przejęcia wszystkiego, co kiedyś było ich wspólną własnością. Nędzny, podstępny, zimny drań!

- Chcesz trochę olejku do opalania? - zawołał Peter z drugiego brzegu basenu.

- Nie, dziękuję. - Jej głos był lodowato zimny.

Cóż za nieprawdopodobny świntuch, pomyślała, krzywiąc z niesmakiem twarz. Olejek do opalania. Mój Boże! Peter był na tyle podły, aby przypomnieć jej o swoim obrzydliwym zachowaniu sprzed trzech dni. Wylegiwał się wówczas na leżaku stojącym naprzeciwko, ubrany w skąpe, wściekle niebieskie kąpielówki i smarował nogi olejkami Hawaiian Tropics.

Dostrzegłszy, że na niego patrzy, wyciągnął swój penis, wycisnął na przeklęty członek tyle olejku, że nawet ślepy by zauważył, co robi, po czym natłuszczył go od czubka po nasadę, ona zaś przyglądała się temu z pełnym fascynacji obrzydzeniem.

Pomylenie. Przeklęty, odrażający samiec.

- Carolyn wspominała, że potrzebny ci był wakacyjny odpoczynek.

Przyszło jej do głowy, żeby nie odpowiadać, doszła jednak do wniosku, że to nic nie da. Gotowała się ze złości, która wypierała wszelkie terapeutyczne myśli.

- To prawda.

- Sprawy nie układają się najlepiej w Kalifornii?

- Potrzebowałam przerwy.

- Zawsze podobały mi się twoje filmy. Zwłaszcza *Willful*.

- Pogratulować.

Roześmiał się, a w jego śmiechu Denise podświadomie rozpoznała coś nieprzyjemnego. Ten ton „już my się rozumiemy”, którego mężczyźni używają, gdy są pewni swojej zdobyczy.

Ogarnęło ją uczucie nieuchronności, duszne, gorące, intensywne. Głowę wypełnił obraz zamykającej się wokół niej szklanej klatki. Nie ma jak krzyczeć. Nie ma jak walczyć. Sama jesteś sobie winna, że się w niej znalazłaś, sama ich kuisz. Nie ma ucieczki.

Materac, na którym pływała, dryfował na środek basenu. Łagodnymi ruchami rąk w wodzie skierowała materac ku przeciwległemu brzegowi. Gdzie jest Carolyn?

CHLUP!

Denise poderwała się, niemal tracąc równowagę. Niemy krzyk uwiązał jej w gardle. Walczyła, by dotrzeć do krawędzi basenu, ale ciemna głowa Petera wynurzyła się tuż obok niej. Chwytał materac i otrząsał wodę z czarnych włosów, uśmiechając się przy tym jak bestia.

- Odejdź ode mnie! - krzyknęła Denise.

- Chodź tutaj.

- Idź sobie!

Jednym płynnym ruchem podciągnął się, znalazł na niej i oboje poszli pod wodę. Czując, że się topi, krzyknęła, a woda wdarła się do płuc. Kaszląc, gwałtownie łapała powietrze.

- Nie ruszaj się - polecił.

- Puszczaj mnie!

Ale on był silniejszy. Oplótł nogami jej biodra, przytrzymując naprzeciw siebie. Mogła wyczuć jego erekcję. Mogła to sobie wyobrazić: duże, grube, pokryte olejkiem. Poczowała uderzenie gorąca. Drapała mu plecy, ryjąc paznokciami skórę. Znów się zaśmiał. Jego ręce wślizgnęły się pomiędzy jej nogi. Wiła się i krzyczała, gdy jego palce mocno uciskały krocze, a jej nogi rozchyliły się dobrowolnie. Wtargnął językiem w jej usta, rozerwał majteczki bikini, ściągnął z nóg.

Młóciła rękami, krztusiła się, gryzła. Uderzył ją mocno. Poczowała smak krwi. Wtedy wszedł w nią głęboko. Zaprzestała walki, wiedząc co się stanie, jeśli będzie kontynuować. Tymczasem musiała wytrzymać jego gardłowy, porozumiewawczy śmiech. I wtedy... i wtedy... nie, nie, nie! Jej zdradzieckie ciało zaczęło odpowiadać!

- Carolyn mi powiedziała - zamruczał, pchając się w nią wciąż głębiej i głębiej. - Lubisz w ten sposób. Zawsze lubiłaś w ten sposób.

Denise nie miała siły, żeby się spierać.

Obudziła się gwałtownie, z mocno bijącym sercem i łzami, spływającymi po policzkach. Nad nią było wyblakłe, szare teksaskie niebo, pod nią leżak z poprzeczkami mokrymi od jej potu. Jej ciało płonęło.

- Dobrze się pani czuje?

Denise poderwała się spłoszona, widząc, że na sąsiednim leżaku spoczywa zupełnie nieznany jej mężczyzna. Gorąco uderzyło jej do głowy, na szyi i policzkach pojawiły się czerwone plamy. Czyżby tamto było senną marą? Och, nie. Nie. Peter nie mógł być jedynie tworem jej wyobraźni.

A może mógł?

To był tylko sen, z wahaniem, żałośnie zdała sobie sprawę. Sen przepleciony z rzeczywistością. Nie zgwałcił jej. Ale wcześniej demonstrował, co ma do zaoferowania.

Ona sama rozwinęła ten wątek w swojej głowie. A teraz jej ciało ożywiło się ze wstydu i pragnienia.

To jej wina. Zawsze była jej wina.

- Wszystko w porządku? - mężczyzna ponowił pytanie.

- No... tak. Przepraszam... - Co mógł słyszeć? Co widział? Może wiała się na leżaku? O Boże! Mógł pomyśleć, że jest zboczona!

- Straciłam... straciłam poczucie czasu. Czy minęło już południe? - trzęsącym się głosem spytała Denise.

- Jest szósta - odpowiedział, baczenie się jej przypatrując.

- Wtorek?

- Nie, piątek, trzynastego.

- Ach, tak - wykrztusiła, chwytając ręcznik. - Uf, co za sen.

Potruchtała w kierunku drzwi domu, przebiegła przez marmurową łazienkę i hall, aż do schodów na tyłach wspaniałej siedziby Carolyn. Nikt nie wiedział, że tutaj jest, nawet Dinah. Piątek, trzynastego? Petera widziała na basenie - to znaczy naprawdę widziała - trzeciego, we wtorek. Co się działo w ciągu tych brakujących dziesięciu dni? I kim był ten mężczyzna?

Pobiegła po schodach do swojego pokoju, zamknęła za sobą drzwi na klucz. Przy każdej sypialni znajdowała się łazienka, mogła więc w samotności zmyć z siebie pot i wspomnienie tego sennego koszmaru. Boże, jej wyobraźnia nadal pracowała. Niemal ciągle czuła na sobie jego rękę. Złapała ręcznik, skręciła w linę i, żeby powstrzymać się przed krzykiem, wbiła się weń zębami tak mocno, jak tylko się dało.

Tym razem było gorzej, dużo gorzej. Skutek dziesięcioletniej, stałej regresji; tej rzetelnej informacji udzielił ostatni terapeuta. Denise tępo wpatrywała się w swoje odbicie. Rzeczywistość. Tak nazywał się jej problem. Trudności w odróżnianiu snu od jawy.

Niech pan nie żartuje, doktorku. Proszę mi powiedzieć coś, o czym nie wiem.

- W dzieciństwie przeżyła pani głęboki uraz - z powagą wyrecytował jeden z terapeutów.

Też mi nowina.

- Pani sny mają zabarwienie seksualne, są bowiem pani reakcją na jakieś podstawowe, pierwotne, wewnętrzne cierpienie.

Nawet niegłupio.

- Musi pani jednak uporać się z tym problemem.

Po to tu przyszłam, ty debilu.

- Może to zająć trochę czasu.

Co należało rozumieć: wyciągaj swoją książeczkę czekową

I karty kredytowe, to będzie sporo kosztowało.

Denise puściła ręcznik i wreszcie odważyła się naprawdę sobie przyjrzeć w łazienkowym lustrze. Nadal była naga, prosto spod prysznic, gładka jak jedwab, zgrabna, młodzieńcza i uwodzicielska. Miała jasne włosy. Oczy posiadały tak niespotykany odcień błękitu, że posądzano ją o noszenie barwionych soczewek kontaktowych. Była - naprawdę - oszałamiająco, uderzająco, niezapomniane, druzgoczaco wspaniała. Bardziej nawet niż jej siostra bliźniaczka Dinah, bowiem odmawiała noszenia makijażu, odmawiała zrobienia czegoś ze swoimi włosami, poza związaniem ich gumką z tyłu głowy, w nadziei ukrycia swej zachwycającej figury odmawiała założenia na siebie czegoś innego niż źle dopasowane bluzy, odmawiała bycia kimkolwiek innym niż jej beznadziejną, bezradną, pomyloną, śmieszoną bliźniaczką.

Denise próbowała żyć na sposób Dinah, nie znosiła jednak, gdy jej nie zauważano. Tu tkwił problem. W najgorszy sposób pragnęła męskiego zainteresowania. Pożądała go. Żyła dla niego. Zwłaszcza zainteresowania niewłaściwego typu. Chciała go, nawet jeśli oznaczało to sypianie z mężem najlepszej przyjaciółki. Chciała go, nawet jeśli oznaczało to przyprawienie rogów własnemu mężowi, którego kiedyś kochała całym ciałem i duszą.

Ale przecież ten drań sypiał też z różnymi na prawo i na lewo, prawda? Nadal miała chęć skrócić kark tej chichoczącej rudej, która pisała do niego te wszystkie listy miłosne. A co powiedzieć o tej nowej gwiazdce, spędzającej z nim cały czas na planie zdjęciowym do *Fortunaty*?

Dinah. Dinah się wszystkim zajmie. Dinah była dobra i bystra. Dinah zmusi Johna, aby zapłacił za cały ból, jaki zadał zwariowanej Denise.

- Denise? - Rozległo się pukanie do drzwi.

Przyszła Carolyn, gospodyni. Denise owinęła się ręcznikiem i otworzyła drzwi.

Carolyn Lenton lubiła pomagać innym. Zwłaszcza możliwym tego świata. Znudzonym, pomyłonym osobistościom, przeznaczającym morze pieniędzy na swoje leczenie. Początkowo Denise chciała ją traktować jak przyjaciółkę, szybko jednak zorientowała się, że jest zanadto zepsuta, by można jej było ufać. Niemal tak zepsuta jak ona sama. Carolyn zaprosiła Denise, żeby przyszła do siebie w jej domu w Houston, po czym w charakterze lekarstwa zaoferowała jej wszystko, od kokainy po Dom Perignon i zawsze gotowy penis Petera.

- Larry powiedział, że uciekałeś z basenu, jakby cię goniły upiory.

- Larry?

- Larry Cummings. Przedstawiłam ci go wczoraj.

- A co się stało z Peterem?

Podkreślone ołówkiem brwi Carolyn pojechały w górę, w kącikach ust pojawił się uśmiech.

- Wstydz się - rzuciła śpiewnie. - Wiedziałam, że ci się spodoba. Gdzieś tu się jeszcze kręci. Jeśli chcesz, mogę go dziś sprowadzić na ósmą. Wiesz, on jest twoim prawdziwym fanem.

- Nie ma teksańskiego akcentu.

- Oczywiście, że nie ma. Jest z Los Angeles. Czy tylko to potrafisz o nim powiedzieć? - uśmiechnęła się złośliwie.

Denise poczuła, że coś ją w środku ścisnęło.

- Czy dzwonił Stone?

- No, no. A powinien?

- Przegapiłam wizytę. W ostatnią środę.

- Nie przegapiłaś. Pojechałaś na nią. - Carolyn sprawiała wrażenie zdziwionej.

Denise ogarnęło straszliwe uczucie. Atak strachu. Nie mogła oddychać. A potem pamięć powróciła, w powodzi żalu i udręki, dotarło bowiem do niej, że ostatnie dziesięć dni spędzonych tutaj oznaczało słońce za mgłą, wodę Perrier i stracone godziny, być może z paroma dawkami środków odurzających, wziętymi dla zabawy.

- Stone był przejęty - przypomniała sobie.

- Mówiłaś, że zaprosiłaś go na randkę - roześmiała się Carolyn.

- Jestem bardziej chora, niż myślałam.

Poklepawszy ją po ramieniu, Carolyn ruszyła ku drzwiom, potem przystanęła i zlustrowała Denise oczami, które widziały o wiele za dużo.

- Może powinnaś do niego zatelefonować.

Dr Hayden Stone. Jej aktualny psychoterapeuta. Facet będzie wysłuchiwał jej całymi tygodniami, tak długo, jak długo będzie buliła.

Za to był przystojny.

- Może zadzwonię - wykrztusiła Denise.

- Kochanie, czy coś jest nie w porządku?

- Nie bardziej niż zwykle. Dziękuję.

Znów sama, Denise słyszała oddalające się korytarzem kroki Carolyn. Wstrzymując oddech, opadła na łóżko. Gdzieś w jej wnętrzu zatrzepotały tysiące skrzydeł. Więcej niepokoju. A jeszcze głębiej poczuła coś mrocznego i diabolicznego, sięgającego coraz wyżej, złośliwe macki chwytające mocniej, bliżej. Pewnego dnia złapią jej duszę i wycisną ją jak cytrynę.



Autohipnoza, pomyślała w panice. Niech trucizny skupią się w środku, a potem wyrzucić je z siebie. Precz.

Zamknęła oczy i skoncentrowała się, myśląc o Johnie. Czasem zdumiewały ją jej własne możliwości koncentracji, wszystko wydawało się takie realne. Był tam. John Callahan. Kochanek i mąż. John, którego męskość ją zagarnęła, John, przy którym roztopiła się jak wosk.

- Kochaj się ze mną, John. - W błagalnym geście wyciągnęła ku niemu rękę, on jednak przyglądał się jej beznamiętnie. Rozwijając ręcznik, umieściła jego wyimaginowaną rękę na swojej piersi.

- Denise, próbowałem. Nie chcę dłużej próbować.

- John, John, John. - Rękę przesuwała w górę jego torsu, ocierała się o niego jak kociak. Miękkie, gładkie dotknięcia. Cała słodycz miłości.

- Czego chcesz tym razem, Denise?

- Jedynie głównej roli w *Lady Paradise*. Nic więcej...

Chwycił w garść jej włosy, odciągnął do tyłu głowę, utkwiał w niej wzrok. Wpatrywał się tak długo i intensywnie, że puls skoczył jej gwałtownie w górę. Tym razem się podda. Nie mógł się oprzeć. Jego ręka przesunęła się na plecy, musnęła pośladki. Była wilgotna i czekała na niego. Zaprowadziła go do łóżka, aż leżał rozciągnięty na niej, a jego ogniste usta całowały ją wszędzie. Wiła się z rozkoszy.

Wizja uległa zmianie. To nie był John. To był ktoś inny. Ktoś, kto chciał ją zranić i ukarać.

- Proszę - jęczała. Ponure, dawno pogrzebane wspomnienie odżyło, zaczęło dusić. Wrzasnęła i usiadła prosto na łóżku, kompletnie rozbudzona, znowu zrana potem.

Zupełnie sama.

Wariatka. Chora. Zboczona seksualnie.

I dlaczego zepsuła wszystko, prosząc go o rolę w jego następnym filmie, skoro wiedziała, że nigdy nie weźmie tego pod uwagę?

- Bo wszystko, czego się dotknę, zamienia się w gówno - mruknęła z wściekłością. Jak Sadim. Midas, czytany od tyłu. Wyszło jej to w kartach.

Drżącymi palcami sięgnęła po telefon i wybrała numer Stone'a.

Hayley przyglądała się przymrużonymi oczami szatynowi, stojącemu za kamerami w gęstym kalifornijskim upale. Rękawy niebieskiej koszuli miał podwinięte aż do łokci. Wzrok skierował ku gibkiej aktorce, upozowanej na stole na kształt oryginalnego dania, przeznaczonego na specjalny wieczór. W rzeczywistości nie była to zła scena. Dialog był dość standardowy. Ale Hayley nie interesował akt drugi, scena trzecia *Fortunaty*. Interesował ją mężczyzna w koszuli i dżinsach. Był jednym z najważniejszych producentów w Hollywood, szowinistycznym, aroganckim, zarozumiałym gburem.

Był jej szwagrem, Johnem Callahanem.

I był jej biletem do sławy.

- Rozepnij kilka guzików w dżinsach - powiedział Callahan do aktorki, która posłuchała natychmiast. Aktor pochylający się nad stołem spojrział na niego, czekając na wskazówki.

Callahan mógł sobie być tylko producentem w tym towarzystwie, ale to on miał osiągnięcia reżyserskie. To Callahan pracował, podczas gdy właściwy reżyser filmu, Frank Carello, stał na boku, dyskutując z jakimiś malkontentami ze studia.

- Akcja - powiedział Callahan.

Scena rozpoczęła się na nowo. Scena miłosna. Hayley podejrzewała, że namiętna, lecz nie mogła śledzić akcji, bowiem wokół stało wiele osób, a wśród nich Callahan, na którym skupiła uwagę. A grający aktor zachowywał się tak sztywno. Mój Boże, nie potrafił pewnie nawet pierdnąć bez przekonsultowania tego z Callahanem. Czy nie ma wcale wyczucia chwili, daru improwizacji? Największy komplement, na jaki mogłaby się zdobyć, to stwierdzenie, że niezwykle przypomina Marlona Brando. To znaczy troszkę odmłodzonego Brando. Ten sam błysk w oczach, gromki głos, napięcie. Ten styl wspaniałych lat pięćdziesiątych, który znów powrócił w latach dziewięćdziesiątych. Broń Boże, żeby człowiek mógł się teraz uśmiechnąć do kamery, albo za nią.

Powoli obeszła kamerę z drugiej strony, aby spojrzeć pod innym kątem.

Czy ten facet nie rozumie? Trzeba czegoś chcieć - naprawdę chcieć - żeby to osiągnąć. Jeśli nic nie zmieni, i to szybko, jego droga do sławy skończy się na *Fortunacie*.

Cóż, ona, Hayley Scott, wiedziała co robić. Bez względu na wyrzeczenia. Bez względu na cenę, jaką przyjdzie zapłacić. Potrafi to osiągnąć. I, co ważniejsze, osiągnie to. Bez cienia protestu.

Odkąd tylko pamiętała, zawsze pragnęła zostać aktorką. Wielką aktorką. Odgrywała każdą scenę. Cały świat był jej teatrem...

Lecz przewrotny, złośliwy los złożył tę szansę u stóp Denise, jak nie chciane, nie kochane dziecko, które potem Denise skrzywdziła i porzuciła. Hayley śledziła krótką, katastrofalną w skutkach karierę siostry z zazdrością i przerażeniem. Wściekła na Denise, wściekła na los. To powinna być jej szansa, jej czas. Na litość boską, przecież jej siostra wszystko zmarnowała.

Odrzuciła i podeptała. Wyssała życie do ostatniej kropli, teraz więc Hayley musiała startować z poziomu niższego od zera, mając klęskę Denise przyczepioną do swojego nazwiska jak nieprzyjemny zapach.

Ale Denise wyszła za mąż za Johna Callahana. I związek Hayley z Denise tym razem mógł okazać się przydatny.

Albo i nie.

- Proszę się cofnąć - polecił jej jakiś najmniej ważny z mało ważnych asystentów.

Hayley obdarzyła go szerokim uśmiechem i dała krok do tyłu. Była zdeterminowana, ale nie głupia. Dzisiaj - nikt, jutro mógł się okazać najpotężniejszym producentem w Hollywood. Nie była tak piękna jak jej starsze siostry ani też, chociaż przyznawała to niechętnie, obdarzona takim naturalnym talentem jak Denise. Posiadała jednak coś, czego brakowało obu siostrom: była szczerą jak złoto najwyższej próby. Pielęgnowała swe przyjaźnie, jakby ktoś miał ją z nich rozliczać. Planowała życie do najdrobniejszej chwili. Organizowała wszystko, pracowała i dążyła do swojego celu jak maszyna.

Chciała.

Reżyser *Fortunaty*, Frank Carello, był niedźwiedziowatym mężczyzną o okropnej manierze obejmowania ludzi i traktowania ich tak, jakby należeli do rodziny. Natomiast John Callahan, producent filmu, miał w sobie wdzięk flegmatycznego kowboja. Gdyby Hayley traktowała mężczyznę nie tylko jak kolejne schody do sukcesu, sama mogłaby się w nim lekko zadurzyć. Zamiast tego jednak kalkulowała, jak mogłaby wykorzystać swój związek z nim. Może zechciałby zrobić przerwę i poświęcić jej chwilę po prostu dlatego, że jest jego szwagierką, sęk jednak w tym, że nic nie wiedział o ich

powinowactwie! Denise, niech będzie przeklęta jej pokręcona dusza, przez długi czas podtrzymywała mit, jakoby była jedynym dzieckiem pechowych farmerów z Indiany, którzy zginęli w pożarze, gdy miała dziewiętnaście lat.

Ani Hayley, ani Dinah nie zostały zaproszone na ślub. Wątpiła, by Callahan w ogóle wiedział o ich istnieniu.

- Panie Callahan?

Głos należał do Tonji Terkell, zadyszanej pierwszej asystentki, noszącej tak obcisłe szorty, że Hayley wyobraziła sobie, iż może odczytać firmową nazwę na bieliźnie. Callahan obdarzył Tonję roztargnionym uśmiechem i pokręcił głową słuchając jej bełkotu. Reżyser wyglądał na zirytowanego. Skarcona Tonja ostrożnie, na czubkach palców wycofała się.

Hayley jęknęła w duchu. Przebywała tutaj na zaproszenie Tonji i jeśli Callahan lub reżyser postanowią je cofnąć, gdy Tonja okaże się zbyt bolesną zadrą w tyłku, jej cała ciężka praca pójdzie na marne.

Złapawszy Tonję za rękę, Hayley odciągnęła ją w ustronne miejsce.

- Co ty wyprawiasz? - syknęła.

Tonja wyglądała na zdziwioną i obrażoną.

- Pracuję, serdeczne dzięki za zainteresowanie. Co się stało? Nikt jeszcze nie zwrócił na ciebie uwagi?

- Nie mogę dopaść Callahana.

- Dlaczego nie weźmiesz się za Franka? On kocha każdego.

Hayley zerknęła na Franka Carello i poczuła się znużona. Nie chciała kogoś, kto kochał wszystkich. A poza tym, grube ramiona Carella przypominały jej wyrobione bicepsy ojczyma, a te z kolei skojarzyły jej się z krzepkimi dłońmi Thomasa. Brzydkimi rękami.

- Nie mam ochoty zostać członkiem jego rodziny.

- Dobrze, w porządku. - Tonja zmięła. - Mam dla ciebie dobrą nowinę.

- Co?

- Najnowszy projekt Callahana.

Hayley wzięła na cel Tonję. - Wiesz, co to ma być?

- No jasne. Słyszałam, jak wczoraj po południu opowiadał o nim Frankowi. Zwykle nie zwracają na mnie uwagi, więc słucham.

- I co to ma być? - z rosnącym podnieceniem spytała Hayley.

- *Lady Paradise*:

- *Lady Paradise*?

- Aha. Wydaje mi się, że to o prostytutce. - Wzruszyła ramionami.

- Coś poważnego?

- Nie, raczej w stylu *Pretty Woman*. Rozumiesz, „dziwka o złotym sercu i z paroma grzeszkami znajduje mężczyznę, w którym się zakochuje i zmienia swoje życie”. Zwyczajny chłam.

- *Pretty Woman* odniosła ogromny sukces i zarobiła mnóstwo pieniędzy - powiedziała zamyślona Hayley.

- Że nie wspomnę o tym, co zrobiła z Julii Roberts.

Magiczne słowa. Czarowne, czarowne słowa. Tonja nie miała pojęcia, jak tą niewinną uwagą zachwiała równowagę Hayley.

- Ale wydaje mi się, że jest też ciemna strona tego planu - kontynuowała Tonja. - John mówił o przesłuchaniach prawdziwych prostitutek.

- Jesteś pewna, że nie podsłuchałaś ich prywatnych planów na wieczór? - z sarkazmem spytała Hayley.

- Żona Franka jest tutaj, on zaś nigdy by nie zniszczył tej więzi. A John Callahan ma za dużą klasę. - Popatrzyła na niego tęsknie, z lekką domieszką uwielbienia.

- Czy możesz mi zdobyć kopię scenariusza? - zapytała Hayley.

- Nie ma mowy! Mogłabym stracić pracę!

- To aż taki sekret?

- Nie wiem. Ale dopóki pan Callahan sam nie zacznie rozsyłać kopii, nie mieszam się do tego. Szukasz jelenia, żeby dla ciebie nadstawił karku, to znajdź sobie kogoś innego.

Nic nie znaczące słowa, gdyż Tonja zawdzięczała tę pracę przede wszystkim Hayley. To Hayley zachęcała ją, by nie rezygnowała z marzeń, to Hayley wepchnęła ją do Callahan Productions.

Tak, myślała przy tym o swoim interesie. I co z tego? To było Hollywood.

- Uspokój się - powiedziała łagodząco Hayley. - Nie chcę, żebyś straciła pracę. Chcę tylko mieć szansę, to wszystko, wiem, że świetnie będę pasowała do takiej roli.

- No tak, podobnie jak połowa Hollywood.

Hayley potrząsnęła głową ze wzrokiem utkwionym w Johna Callahana, którego ojciec przed śmiercią kierował jednym z najbardziej liczących się studiów w Hollywood i pomógł synowi uzyskać sławę i sukces w branży. Patrzyła na Johna Callahana, którego reputacja kobieciarza doprowadziła do dwóch procesów o ojcostwo, w obu przypadkach niepotwierdzone, o którym wtajemniczeni utrzymywali, że ożenił się z Denise Scott, aby zmienić swój wizerunek playboya, a który sam

zapracował na swoje sukcesy, chociaż nikt nie potrafił zapomnieć o jego korzeniach.

Czy rzeczywiście zmienił się tak bardzo, jak pragnął, żeby myślano? Hayley zadawała sobie to pytanie, patrząc jak kuca i, opierając notatnik na kolanie, skrobie coś w nim zawzięcie. Promieniował seksualnością. Wiedziała na pewno, że pomiędzy nim i Denise wszystko się skończyło; gazety trąbiły o ich zerwaniu tygodniami.

Jak więc sobie radził w tym okresie z kobietami?

Hayley przez chwilę bawiła się rozważaniem, czy nie powinna sama sprawdzić, szybko jednak przerwała, bo oblał ją zimny pot na samą myśl o takiej możliwości. Mężczyźni nie byli jej specjalnością. Zresztą kobiety także nie. Wiele lat temu doszła do wniosku, że jest aseksualna i chociaż momentami miała wrażenie, że traci coś istotnego w życiu, przez większą część czasu była wdzięczna losowi. Za dużo udreki, za wiele zmartwień, za dużo zgrzytania zębami.

Miłość i seks za bardzo splatały się z tym wszystkim, co było naprawdę ważne. Dowodem mogła być Denise, która nadała nowe znaczenie pojęciu wolności seksualnej. Nawet Dinah zaliczyła ten swój jedyne, zabójczy zawód miłosny, chociaż udało jej się wykorzystać z pożytkiem dla siebie to nieszczęście, gdy zaczęła pisywać o słabych punktach romansu.

Zupełnie bez powodu Hayley pomyślała o matce. Czy naprawdę kochała Thomasa Danielsa, człowieka, dla którego znęcanie się było czymś naturalnym?

I nagle coś się stało. Potworny ból targnął jej ciałem. Okrutne wspomnienie żywo stanęło przed oczami: Daniels bijący mamę, śmiejący się



jak wariat, gdy kuliła się upokorzona; okrutne oczy Danielsa, obracające się w jej stronę, jej stopy bębniące po wytartym linoleum; jego śmiech, pędzący za nią jak szalony wiatr.

Hayley wzięła głęboki oddech i podążyła za Johnem Callahanem, który wstał z krzeselka i ruszył w kierunku jednego z gabinetów w studiu.

Jeśli Thomas Daniels jeszcze żył, pragnęła z całego serca, żeby ktoś go zabił.

\*\*\*

W domu Loganów uspokoiło się nieco po wstrząsającym odkryciu, ale Matt nadal czuł się niezmiernie ważny. Upiększył teraz troszkę całą historię. Opowiedział tej skarżypycie, Sherry Mesner, że czaszka na nich kłapnęła. Tylko odrobinę. Mógł to być wiatr, ale bardziej prawdopodobne było, że to Daniels chciał ich przepłoszyć.

Oczywiście Sherry udawała, że się nie przestraszyła, a potem pobiegła na skargę do nauczyciela. Ale i tak się opłaciło zobaczyć, jak oczy jej wyszły na wierzch, gdy wrzeszczała, że sam to wymyślił.

Wszystko to było jednak nieważne wobec faktu, że w kuchni stał wujek Jack. Przyleciał do Portland dziś rano i przyjechał samochodem do Wagon Wheel. Rozmawiał z szeryfem Dempseyem - swoim starym przyjacielem jeszcze z czasów szkoły średniej, tak powiedziała mama - o czasie Danielsa. Zanosilo się na nowe zdjęcia w gazecie w najbliższym czasie.

- Powiedz, jak bardzo chcesz się zaangażować? - mama spytała wujka Jacka. Był jej młodszym bratem i w rozmowie z nim zawsze używała tego tonu starszej siostry. Czy wszystkie starsze siostry były takie same?

- To zależy.

Wujek Jack nigdy nie mówił zbyt wiele. Chodził w dżinsach i wyglądał jak przeciętny człowiek, ale po prostu wiedziało się, że naprawdę ostro kombinuje, jak kogoś unieszkodliwić.

- Matt, idź na górę. Chcę porozmawiać z Connorem bez świadków.

- Och, mammo!

- Idź już.

Connor to był wujek Jack. Connor Jackley, ale Matt uznał, że Connor to głupie imię i nazywał go wujkiem Jackiem od chwili, gdy tylko odkrył, że ma swojego specjalnego, ukochanego wujka, na dodatek oficera śledczego w policji. A przynajmniej byłego policjanta. Z jakichś nieznanych powodów nie pracował już w policji i w sercu Matta zagościł niepokój, że może już nigdy do tej pracy nie wrócić. Nie, to musiało być chwilowe. Matt po prostu nie umiał myśleć o wujku Jacku inaczej niż tylko jak o uczciwym stróžu prawa.

- Zrób, jak powiedziała mama - odezwał się z końca stołu tata. Siedział pochylony nad gazetą, ale to o niczym nie świadczyło. Zawsze wiedział, co robisz i, podobnie jak wujek Jack, niewiele mówił, ale kiedy już coś powiedział, bach! Lepiej było uciekać w poszukiwaniu jakiegoś schronienia, bo to miało swoje znaczenie, o tak.

Jednak...

- Przecież to ja znalazłem czaszkę - przypomniał wszystkim Matt.

Wujek Jack uśmiechnął się w sposób świadczący o tym, że jest po jego stronie. Powiedział jednak: - Mam coś do omówienia z twoją mamą i twoim tatą.

- Czy nie mogę... ?

- Nie - krótko ucięła mama.

Matt wymaszerował tupiąc głośno nogami, po czym cicho cofnął się i przykucnął po drugiej stronie drzwi kuchennych, jednym okiem łypiąc, czy nie dostrzeże gdzieś Heather, swojej paskudnej, szpiclującej starszej siostry.

- Czy to było morderstwo? - cicho zapytała mama.

- Tak - przyznał wujek Jack.

- I wiecie, kto to zrobił?

- Dempsey ma pewne podejrzenia. Jeden ślad prowadzi prosto do Los Angeles.

Szeryf Gus Dempsey i wujek Jack chodzili razem do szkoły w Bend, czy coś takiego. Matt był przejęty faktem, że obaj pracują nad tą sprawą. Jego sprawą. Sprawą Zgniłej Czaszki.

- Cóż, to musiał być ktoś stąd - wtrącił tata. - Daniels dał się we znaki zbyt wielu ludziom. Za bardzo.

Wujek Jack powoli wciągnął powietrze, jakby naprawdę intensywnie myślał.

- Jak mówił Gus, Daniels miał trzy pasierbice. Jedną z nich jest Denise Scott, aktorka.

Mamę zatkało.

- Żartujesz chyba.

- Ona jest Denise Scott z Wagon Wheel? - zapytał tata.

- Tak. Wyszła za mąż za Johna Callahana, dość znanego producenta filmowego, ale wydaje mi się, że się rozwiedli.

- Ona jest stąd? - mama najwyraźniej nie mogła przejść do porządku dziennego nad tą wiadomością. - Sądziłam, że to tylko plotki.

Wujek Jack dziwnie chrząknął, jakby on też miał kłopoty z uwierzeniem w to wszystko. Matt żałował, że nie zna tej aktorki. Nie zwracał specjalnej uwagi na dziewczyny.

- Dempsey wspominał, że ludzie z miasteczka pamiętają panny Scott, ale dość mgliście. Potrzebna mu pomoc, a skoro jestem z Los Angeles... - wujek Jack zawiesił głos.

- Gus Dempsey wezwał cię tu celowo, żebyś pomógł, prawda?

- Wiedział, kogo poprosić - dodała łagodnie mama.

- To nie przekona mnie do powrotu - nagle odezwał się wujek Jack, tak jakby myślał, że mama na niego naciska. I pewnie naciskała, pomyślał ponuro Matt. Miała doprowadzający do szału sposób drażnienia problemów. Ale mama, podobnie jak Matt, także desperacko pragnęła, żeby wujek Jack powrócił do służby.

- Znam sprawę, więc chciałby, żebym sprawdził parę rzeczy - mówił dalej wujek Jack. - To wszystko.

Zapanowała długa cisza, Matt słyszał tylko tykanie dziadkowego zegara. Wstrzymał oddech i zamarzył, by stać się niewidzialnym.

- Jak sądzisz, jak długo tu zostaniesz? - zapytał tata.

- Niedługo.

- Matt, kochanie - powiedziała mama, tracąc cierpliwość - idź na górę.

Cholera. Ociągając się, ruszył w kierunku wytartych schodów.

- Obiecałem, że pomogę, więc postaram się pomóc - dogonił go głos wujka Jacka. - Zdobyłem adres Denise Scott w Malibu. Zacznę od niej. Jednak skoro już jestem tutaj, zamierzam przyjrzeć się śladom ich życia w Wagon Wheel. To znaczy, w końcu... jeśli coś wiedzą o śmierci Daniela, to wszystko i tak zaczęło się tu.

- Masz cholerną rację! - ostry głos taty ugodził Matta w serce. Stał jak wryty, wyłóżając słuch. - I tu się skończyło. I nie przypuszczam, żeby znalazł się w tym miasteczku człowiek, który by powiedział, że żal mu Thomasa Danielsa, zgniłego w rowie.

RS

Dinah przejrzała swój artykuł, zadowolona, że Flick pozostawił go praktycznie bez zmian. Nigdy nie było wiadomo, z czym ten człowiek wyskoczy. Zwyczajny upór mógł go skłonić do wstrzymania publikacji. Jeśli istniała na tym świecie osoba, która umiała podnieść poziom frustracji Dinah na niespotykane wyżyny, to był nią właśnie Flick.

Złożyła „Santa Fe Review” i zostawiła na stole. Przez małe szybki okien mogła dostrzec plażę i niespokojny szary ocean. Wszystko tego dnia było szare: niebo, woda, piasek, dryfujące kawałki drewna.

Zdecydowanie nienawidziła Los Angeles.

Artykuł z tego tygodnia był jej szczególnie bliski. Źródłem pomysłu były jej doświadczenia z byłym kochankiem, Glenem Bosworthem. Mieszkała z Glenem, sypiała z Glenem, utrzymywała z Glenem dom, on zaś, po okresie wspólnego życia, wykopał ją twierdząc, że musi się odnaleźć. I znalazł: inną kobietę z większym kontem bankowym.

Artykuł nosił tytuł „Zakochując się w koncie bankowym”.

Teraz było to zabawne, ale wówczas diabelnie bolało. W rzeczywistości prawie ją to wykończyło emocjonalnie i dziś, cztery lata później, nadal składała do kupy kawałki szacunku do samej siebie. Nigdy, ale to nigdy więcej nie pozwoli nikomu wykorzystać się w ten sposób.

Niezadowolona ze swoich myśli Dinah podeszła do lodówki, nałala sobie szklaneczkę wina i zaczęła krążyć bez wyraźnego celu po wystawnym domu Denise. Utrzymany był w stylu obowiązującym w Santa Fe, na szczęście jednak dekorator wynajęty przez Denise miał na tyle dobrego smaku, że do dyskretnego minimum ograniczył róż i akwamarynę, dając

pierwszeństwo odcieniom wypalanej cegły, kości słoniowej, rdzy i czerni. W kącie salonu znajdował się ceglany kominek i wyłożona granatowymi kafelkami ława. Wygodny fotel o stalowym, polakierowanym na czarno szkielecie i wyszywanych poduszkach, przycupnął przy małym mahoniowym stoliku. Stała na nim fotografia. Czarno-białe zdjęcie Denise. Zdumiewająco refleksyjna poza, jak na jej dziką siostrę bliźniaczkę.

Dinah wspięła się po schodach. Sypialnia Denise mieściła się po prawej stronie, w północnej części domu. Tutaj każdy kąt opanował niebieski i różowy kolor. Subtelność nigdy nie była mocną stroną Denise, pomyślała złośliwie Dinah. W całym pokoju delikatnie pachniało perfumami Chanel 5, szafa pełna była drogich ubrań. Denise używała Chanel 5 od czasów szkoły średniej, zaś chęć posiadania kosztownych sukien i biżuterii niemal dorównywała jej nieprawdopodobnej naiwności i wdziękowi.

Dinah wybrała sobie do spania spokojny pokój, wciśnięty pomiędzy główną łazienkę i sypialnię gospodarzy, teraz jednak minęła jego drzwi i podążyła wzdłuż korytarza w kierunku pomieszczenia zajmującego południową część domu, którego okna wychodziły na ocean.

Pokój Johna Callahana miał tak samo męski charakter, jak kobiecy był pokój Denise. Duże łóżko przykryte było brązową narzutą, na której piętrzyły się kremowe poduszki. Komoda i szafka z szufladkami zostały wykonane z ciemnego drewna. W garderobie nie było ubrań, z wyjątkiem paru garniturów, zapakowanych w plastikowe torby.

Na nocnym stoliku stało inne zdjęcie Denise. Od zamieszkania tutaj Dinah zajrzała do tego pokoju tylko raz, za to teraz, boso, palcami stóp czując grzeszną puszystość dywanu w kolorze kości słoniowej, przyglądała się zdjęciu Denise. Na tej fotografii Denise była bardziej do siebie podobna:

z uniesioną jedną brwią, w czerwonym swetrze, uwodzicielsko odsłaniającym nagie ramię, kiwała palcem na fotografa. Niewątpliwie na Johna.

Dinah rozejrzała się dookoła. W domu nie było zdjęć Johna. Musiał być zdecydowanie człowiekiem nie lubiącym się afiszować. Albo też Denise pozbyła się wszelkich śladów po Johnie wraz ze wspomnieniami.

Schodząc na dół po własnych śladach, Dinah skierowała się do biblioteki, gdzie na polakierowanym na czarno blacie do pracy stał psujący się faks i skomplikowany zestaw komputerowy. John był producentem filmów, reżyserem, a czasami także pisarzem. Przez ostatnie tygodnie Dinah używała jego sprzętu do pisania swoich artykułów. Poza narowistym faksem, wszystko było najwyższej jakości i działało wspaniale.

Również fiat znowu był na chodzie. Kosztowało to Dinah czterysta dolarów, połowę jej życiowych oszczędności, ale jeśli nie liczyć męczącej czkawki na jałowym biegu, autko wybroniło się przed Kostuchą - przynajmniej do następnego razu.

Dinah zmarszczyła nos. Leżący na biurku, przycisk do papieru, miał owalny kształt. Jasnoszary chalcedon, mający w środku przezroczyste, podobne do kryształków drobiny, wyglądał jak skamieniałe niebieskawe jajko. Dinah uniosła go, zważyła w dłoniach. Należał do Johna? Prawdopodobnie. Może nawet był to prezent od Denise.

Drżąc lekko, odłożyła przycisk na mały stosik zapomnianych notatek Johna. Kamień ześliznął się, a zapiski przesunęły. Śmiały, męski podpis Johna Callahana widniał na jednej z kartek. Na ten niespodziewany widok Dinah dostała gęsiej skórki.

- Ty potworny draniu - szepnęła cicho.



Kiedyś Denise porównała Johna Callahana do Thomasa Danielsa. Jeśli był choć w połowie tak zły jak Daniels, to życie Denise było prawdziwym piekłem.

\*\*\*

Szansa zbliżenia się do Johna Callahana graniczyła z niemożliwością. Usiłowała tego dokonać przez prawie dwa tygodnie i nic. Kłapa. Wydzwaniała, kręciła się w pobliżu, próbowała każdego znanego sobie sposobu kontaktu. Callahan był zbyt pochłonięty pracą nad *Fortunatą*. Zamierzała więc czekać, aż skończą kręcić ten przekłety film, a czekanie nie należało do jej najmocniejszych stron.

Zadzwieczał telefon przy łóżku. Hayley schwyciła słuchawkę i zerknęła na zegarek. To musiał dzwonić ktoś z baru. Spóźniała się już trzeci raz w tym tygodniu. Na pewno czekało ją wymówienie.

- Cześć, dziewczyno. Ty jesteś panną Scott? Powiedziane to zostało protekcyjnie i bez zainteresowania.

- Tak, słucham - odpowiedziała energicznie.

- Chciałaś się ze mną spotkać, tak?

Hayley zamrugnęła oczami. Skupiła swoją uwagę.

- Czy mówię z panią Carver?

- We własnej osobie.

Serce zaczęło jej mocno walić.

- Czy możemy się jakoś spotkać? Chciałabym coś pani zaproponować.

- Tracisz czas. Nie jestem niczyją niańką. A to nie jest sposób na ćwiczenia aktorskie.

- Tonja powiedziała pani, o co mi chodzi?

- Słuchaj, laluniu. Chcesz poznać życie, ale mnie to nie interesuje. W szczególności nie interesuje mnie smarkata aktorka, która głównie wie.

- O piątej. W barze garmazeryjnym Stanbury'ego. Stawiam obiad.

- Co mianowicie? Befsztyk z ryżem? - parsknęła. - Żartujesz sobie.

- Pracuję tam. Może pani zjeść dowolną rzecz z menu, a na dodatek dostanie pani 50 dolarów. - Hayley szybko przekalkulowała sobie wszystko w myślach. Jason będzie wrzeszczał. A jej praca wisiała na włosku, ale co tam... To była jej szansa.

Przerwa.

- Czuję, że będę tego żałować. Cholera. - Przerwała rozmowę.

Hayley delikatnie odłożyła słuchawkę. „Pani Carver” była ulicznicą z Hollywood Boulevard - taka prawdziwa Pretty Woman. Bez wybielania charakteru, pani Carver była naprawdę kimś upadłym i plugawym. I pokaże Hayley swoją pracę.

Hayley powoli wciągnęła powietrze głęboko do płuc. Zostaw w domu swoją wrażliwość i bądź gotowa do dzikiej podróży. Najbliższy przystanek: krótki numer z nieznanym klientem.

- O Boże - mruknęła Hayley, przykładając lodowato zimne ręce do twarzy.

Telefon znów zadzwonił. Jak w transie, Hayley podniosła słuchawkę.

- Jeśli zależy ci na pracy, przyjeżdżaj tu. Natychmiast! - ryczał Jason.

- Uważaj, bo będziesz miał krwotok - odpowiedziała, zebrawszy całą odwagę. - Zaraz tam będę, skarbie...

Gabinet doktora Stone'a przypominał dekoracje filmowe. Znajdowały się w nim przepisowe biurko, miękkie fotele i co dziwniejsze, mały tapczanik, a raczej kozetka, stojąca w przeciwległym kącie pomieszczenia.

Kozetka i fotele były obite białą skórą; sosnowe, a może dębowe biurko pomalowano na bardzo ciemny, prawie czarny brąz.

Będąc w przewrotnym nastroju Denise rozsiadła się na kozetce z nogami skrzyżowanymi w kostkach, ubrana w prostą błękitną sukienkę mini, tak podciągniętą do góry, że odsłaniała spory kawałek opalonych ud.

Nie miała w planie próby uwiedzenia doktora. Och, nie, dobry Boże. Ale ten człowiek wydawał się tak skupiony na seksie, że Denise miała już dosyć całej jego rutyny. Zachowywał się tak, jakby była nie kontrolowaną nimfomanką i jakby wierzył, że ciągła rozmowa o seksie - oczywiście prowadzona poważnym, łagodnym tonem - pozwoli jej odkryć jakąś nieprawdopodobną prawdę o życiu i ZMIENI JEJ ZACHOWANIA, ALLELUJA, O PANIE!

Bóg wiedział, że miała problemy, ale nawet taka świrnięta na punkcie seksu wariatka jak Denise, świetnie zdawała sobie sprawę z tego, że seks nie był jej jedynym kłopotem. Może to nie był nawet prawdziwy problem. Podejrzewała, chociaż jej umysł uciekał przed każdą poważniejszą próbą przeanalizowania sprawy, że jej popęd seksualny był dość przeciętny, seks zaś maskował inne, głębsze i mroczniejsze sprawy.

No cóż. Niech ją diabli wezmą, jeśli zdradzi choć odrobinę swoich domysłów tutejszemu Freudowi. Bóg raczy wiedzieć, co mógłby zaproponować w charakterze kuracji. Lepiej już, żeby sądził, że chce go uwieść.

- Miałaś następne przywidzenia - powiedział Stone, jakby omawiali ten temat już wcześniej. Może i omawiali.

- To prawda. - Denise była rozdarta między pragnieniem pełnego zaufania komuś i chęcią zachowania resztek szacunku do siebie samej.

- Chcesz mi o nich opowiedzieć?

Nawet w niebieskiej dżinsowej koszuli i brązowych spodniach o sportowym fasonie sprawiał niezwykle profesjonalne wrażenie. Słuchał z wystudiowaną obojętnością, której Denise nauczyła się nie ufać. Miała do czynienia z tabunami psychiatrów, psychologów i najróżniejszych ekspertów z dziedziny zdrowia psychicznego. Stone był lepszy niż większość z nich, ale cóż, nikt nie mógł mieć tak naturalnie czarnych włosów. Już ona się na tym znała. I chociaż w jego oczach błyszczało współczucie, Denise podejrzewała, że były to tylko pozory; ojcowskie zachowanie Stone'a, zapewniające naruszenie muru nieufności, pozwalające płynąć łzom, ułatwiające zwierzenia grzesznikom, otwierające portfele...

- U Carolyn mieszka pewien facet. Nazwijmy go panem Hawaiian Tropics. Nie należy do najskromniejszych - powiedziała sucho. - Krótko mówiąc, jest zwyczajnym ekshibicjonistą.

- Co zrobił?

- Jest bardzo dumny ze swoich genitaliów. Lubi je pokazywać przy każdej nadarzającej się okazji. Mnie samej dane było parę razy popatrzeć.

- I?

- Pewnego dnia byłam na basenie, pływałam na materacu dmuchanym, a on zanurkował i wskoczył na mnie. Był nagi i powiedziałam mu, żeby dał mi spokój, ale on nie dał. I potem... my... trochę powalczyliśmy, a potem...

Stone spokojnie czekał.

Po diabła opowiadać o tych przeżyciach seksualnych, jeśli to tak bardzo krępujące? Miała wrażenie, że poczciwy doktorek podnieca się tymi osobistymi wyznaniem, że w ten perwersyjny sposób pośrednio czerpie przyjemności. I taki człowiek uważa, że to ona jest rąbnięta.

- A potem wsadził to we mnie - prosto stwierdziła Denise.

- Czy zgodziłaś się na to?

- W pewnym sensie.

Czekał. Widocznie doktor Stone wierzył, że jeśli zaczeka odpowiednio długo, Denise załamie się całkowicie, rzuci się na podłogę i wykrzyczy swoją spowiedź.

Cóż, może tak będzie.

- W moim śnie na początku tak nie czułam, rozumiesz? I nie wydaje mi się, żebym się godziła później. Uderzyłam go, on mi oddał, ale robił to dalej i po prostu poddałam się.

Przyjrzał się jej badawczo szarymi oczami. - Wiele ofiar gwałtu poddaje się, gdy nie ma ucieczki.

- Tak, ale to było inaczej. - Denise rozejrzała się po pokoju.

- A jak było?

- Naprawdę nie wiem - odparowała. - Nie było tak strasznie, jasne? Nie nienawidziłam tego. Na początku byłam wstrząśnięta, ale później jakoś się z tym pogodziłam.

- Czasami poczucie winy powoduje, że ofiara ma wrażenie, iż sama zawiniła, że sama się o to prosiła.

- Znam to wszystko - odparła Denise, narzucając sobie spokój. - Ale sytuacja nie była nawet realna. To był tylko sen. - Była o krok od określenia „mokry sen”, doszła jednak do wniosku, że Stone nie zobaczy w tym nic śmiesznego. Boże, ci wszyscy profesjonaliści byli pozbawieni poczucia humoru!

- I co o tym myślisz?

- Może chcę zostać zgwałcona. - Denise spojrzała na niego ukradkiem, oceniając reakcję. Nic. - Widziałam, jak facet demonstruje swoje narządy i wymyśliłam cały ten scenariusz. To było wspaniałe. Nawet się przejęłam. Naprawdę polecam ten sposób każdemu seksualnemu frustratowi. Sprawia cuda.

- Uważasz, że twój sen sugeruje, że chciałabyś zostać wzięta siłą?

Jezu, ten facet był jeszcze gorszy niż jej nauczyciel matematyki w trzeciej klasie.

- Właśnie to powiedziałam, prawda? Pewnie teraz nie przypadnę do gustu feministkom? - Usiadła prosto, założyła nogę na nogę i bezskutecznie zaczęła obciągać spódnice.

- Czy miałaś kontakty seksualne z tym mężczyzną?

- Jeszcze nie - podkreśliła wyraźnie. Tak, ten facet miał fioła na punkcie seksu. Może wszyscy psychoanalitycy są tacy.

Tylko że ten był piekielnie przystojny. Kiedy zaproponowała mu spotkanie, roześmiał się lekko, jakby usłyszał świetny kawał. Pacjent uwodzący psychiatrę? Też coś! Nawet jej trudno było uwierzyć w taki banał.

A jednak w jakimś stopniu mówiła poważnie.

I doktor Hayden Stone zdawał sobie z tego sprawę.

Teraz zajmowała się obserwacją silnego, męskiego karku. Intensywna opalenizna skóry wskazywała, że wiele czasu przebywał na słońcu. To spostrzeżenie, a także jego figura, skłoniły ją do zadania pytania:

- Czy grywasz w golfa? Założę się, że wszystkie środowe i sobotnie popołudnia spędzasz na polu golfowym.

Uśmiechnął się enigmatycznie. Jeszcze jedna sztuczka psychiatrów. O tak, poznała je wszystkie.

- Co czujesz w stosunku do niego? - zapytał.

- Do pana Hawaiian Tropics? - Denise roześmiała się. - Cóż, powiedziałabym, że jest obrzydliwy, choć w przewrotny sposób pociągający, jeśli rozumiesz, o co mi chodzi. Ale nie sądzę, żebym mogła go określić jako faceta w moim typie.

- Denise, odgrywasz teraz jakąś rolę?

- Słucham?

- Grasz przede mną komedię?

Gwałtownie stracił w jej oczach. Ależ facet miał tupet!

- Nie wiem, o czym, do diabła, mówisz. To ty chciałeś poznać moje uczucia.

- Sprawiasz wrażenie zagniewanej.

- Jestem cholernie wściekła. Zupełnie nie wiem, po co tutaj przyszłam. Myślisz jedynie o swoim kutasie i o tym, gdzie by go wsadzić.

- Teraz wiem, że grasz - powiedział cicho.

- Wynoszę się stąd. Chwyciwszy torebkę, Denise ruszyła do drzwi. Napięcie nagromadziło się w niej jak w nakręconej sprężynie. Terapia. Gówno. Jedna cholerna pułapka.

Na korytarzu ściany bujały się i falowały. Denise na oślep popędziła ku drzwiom, a gdy tylko znalazła się na ulicy, zakrztusiła się gorącą, wilgotną, lepką atmosferą Houston.

Odruchowo odnalazła swój samochód. Samochód Carolyn. Błyszczący czarny mercedes ze złotymi wykończeniami. Jeśli o nią chodziło, przekłete auto mogło być ozdobione nawet futrem. Była to bezwartościowa błyskotka, którą można było kupić dzięki istnieniu ponurych zbroczeń i fałszywego altruizmu.

Wewnątrz skórzane siedzenia były nagrzane słońcem. Skóra Denise kleiła się do nich, pischwała przy każdym ruchu. Musi się stąd wydostać i wrócić do Los Angeles. Z powrotem do Johna. Z powrotem do domu.

- Gówno - mruknęła, gwałtownie wrzucając bieg. Może powinna tam pojechać. Czy Carolyn naśle na nią policję w związku z wielką kradzieżą samochodu? Diabła tam, pewnie nawet nie zauważy braku auta.

Bar Stanbury'ego mógłby być atrakcyjny i elegancki, gdyby właściciel przejawiał choć odrobinę zainteresowania jego działaniem. Ale najwyraźniej pełną kontrolę nad lokalem sprawował Jason, menedżer, Hayley bowiem nigdy nie spotkała tajemniczego właściciela. Kiedy teraz prześliznęła się po niezbyt czystej czarno-białej posadzce za kontuar, Jason, drań i strażnik więzienny w jednej osobie, posłał jej jedno ze swoich najzimniejszych, wstrętnych spojrzeń.

- Och, krzywdzisz mnie - mruknęła Hayley. - Miałam problem z samochodem.

- Nie masz samochodu. Czemu nie powiesz po prostu, że przejechała cię ciężarówka?

Hayley leciutko się uśmiechnęła.

- W porządku, przejechała mnie ciężarówka.

- Naprawdę sprawiasz kłopoty. - Owinął wokół niej ścierkę i uszczypnął w pośladek. - I niedługo będziesz bez pracy, bo zamierzam cię zwolnić.

- Nie, nie zamierzasz.

- Tak, Hayley, zamierzam.

Ugryzła się w język, żeby nie warknąć czegoś w odpowiedzi. Jason sądził, że daje jej lekcję. W porządku, mogła pozwolić, by myślał, że robi to



dla jej dobra. A poza tym, chociaż bywał nieprzyjemny, nigdy jej nie uderzył ani nie zrobił nic równie męskiego, więc czuła się tu bezpiecznie. Jeśliby nie musiała, nie chciała stracić tej pracy.

- Przepraszam - powiedziała z całą szczerością, na jaką było ją stać.

- Akurat - zaśmiał się niewesoło. - Umyj tę wypapraną podłogę, to pozwolę ci zostać.

Hayley wyciągnęła szczotkę i zaczęła wymiatać kurz, brud, niedopałki papierosów i tłuste resztki jedzenia, lepiące się do kafelków. Pół godziny później miejsce wyglądało dość czysto i właśnie napełniała solą i pieprzem pojemniczki na przyprawę, gdy do środka wkroczył jej „gość”.

To znaczy, domyślała się, że jest to pani Carver. Kobieta miała na sobie bluzkę z ciemnoniebieskiego jedwabiu i białą skórzaną spódnicę. Pani Carver była tak wysoka, a spódnica tak krótka, że jej rąbek znajdował się na poziomie oczu niejednego faceta. Stroju dopełniały buty ze spiczastymi noskami, białe, z krokodylej skóry, o co najmniej sześciocalowych obcasach, ozdobione sztucznymi brylantami. Hayley podejrzewała, że włosy przybyłej są autentyczne, jednak na skutek źle zrobionej trwałej przypominały ufarbowaną na złoto watę cukrową. Najmocniejszym atutem kobiety była jej skóra. Z niewielkimi śladami zmarszczek, to prawda, ale i tak jedwabista. Kobieta musiała mieć trzydzieści parę lat, ale ta cera mogła zmylić niejednego.

Naturalnie całe wrażenie psuła gruba warstwa błękitnego cienia do powiek i czarny tusz, przesadnie podkreślając parę nieco wyłupiastych, dość ładnych zielonych oczu.

- Pani Carver? - spytała Hayley.

- Trafiałaś. - Kobieta oceniła wzrokiem Hayley z zawodową wprawą. - Jesteś trochę jak ta aktorka.

- Denise Scott. Tak, wiem.

- Chcesz z tego skorzystać, skarbie? Pozwól, że coś ci powiem. To się nigdy nie udaje. Sama wiem najlepiej. Ludzie mówią, że wyglądam jak Michelle Pfeiffer.

Słowa wypowiedziane zostały poważnie, ale przez sekundę Hayleyomal nie parsknęła śmiechem. Michelle Pfeiffer? Litości! Pani Carver minimalnie przypominała Barbarę Walters w jej najgorszej formie. I nie w tym rzecz, że nie jest ładna; miała na to warunki. Hayley podejrzewała jednak, iż pani Carver nie miała wielkich szans, by zostać kimś więcej niż tym, czym była dzisiaj.

Ta myśl zaniepokoiła ją. Wizja, od której zrobiło jej się trochę słabo. Czy tak miało się stać także z nią? Upadek z poziomu baru Stanbury'ego w otchłań prostytucji, narkotyków i Bóg wie czego jeszcze?

Nagle pojawiły się wspomnienia z przeszłości: ciemny cień, prześladowający ją na każdym kroku. Hayley nie mogła się powstrzymać, by nie spojrzeć za siebie, dopiero wtedy znów była w stanie się opanować.

- Na co miałaby pani ochotę? - Wskazała menu, podczas gdy pani Carver zajmowała miejsce w wąskim krwistoczerwonym boksie.

Leniwie przyglądając się Hayley, zapytała: - Co jest najdroższe?

Parsknęła zirytowana Hayley.

- Proszę przeczytać menu i sprawdzić - czy mogę zamówić dwie kanapki?

Pochylając się ku niej, Hayley odpowiedziała spokojnie: - Oferuję pani posiłek i pięćdziesiąt dolców. To wszystko. Czy chce pani ubić interes, czy nie?

- Jeszcze się nie zdecydowałam. Gdzie są pieniądze, milutka?

Z ostrożną rozwagą Hayley wyciągnęła z kieszeni czarnych sztruksów - uniformu u Stanbury'ego - dwie dwudziestki i dziesiątkę. Pani Carver wetknęła banknoty do środka swojej wąskiej czarnej torebki.

- Chciałabyś wyjść w sobotę wieczorem?

Pytanie zabrzmiało tak zwyczajnie, że Hayley omal nie zrozumiała jego znaczenia. Poczowała szalone uderzenia pulsu, wywołujące lekką słabość. Zawsze była silna i niezłomna, jeśli tylko nie chodziło o mężczyzn i o seks. Teraz chciała uciec z tego położenia, w które się sama wplątała i które będzie nie do zniesienia.

Ale wtedy ujrzała siebie otrzymującą brawa, wyrazy uznania, nagrody. Siebie pogrążoną w scenariuszach i zwracających uwagę scenach, pracującą do upadłego, otoczoną ludźmi gnany mi tą samą co ona nienasyconą ambicją. Każdy pragnął zostać Hayley Scott.

Poczwała to, zasmakowało jej.

- Proszę tylko powiedzieć gdzie, a będę tam na pewno.

Dinah przetarła rękami twarz i odsunęła na bok komputerowy wydruk swojego ostatniego artykułu. Musiała go dostarczyć dopiero w czwartek i teraz nie miała ochoty dalej nad nim pracować.

Znów samotna, nalała sobie jeszcze jedną szklaneczkę wina i usiadła na wychodzącym na plażę ganku. Jeżdżąc nóżką swojego kieliszka po szklanej powierzchni stołu łączyła osiadającą mgiełkę pary w większe kropelki. Piła powoli, dopóki nie poczuła się troszkę pijana i troszkę smutna.

Kości miała jak z waty i była prawie pewna, że gdy tylko opadnie na skrzypiące siedzenie stojącej na dworze kanapy Denise, natychmiast się rozpułynie.

W takich właśnie momentach - w nielicznych chwilach, kiedy zatrzymywała się i rozmyślała - wspominała, grzebała w ruinach swojej młodości. Była kłamczuchą. Kompletną oszustką. Bo co w końcu, do diabła, wiedziała o miłości? Tak, pisała o niej codziennie. Każdego przekłętego dnia, jakby miłość była jej siłą napędową.

Dzięki miłości świat się kręci. Trzem siostronom Scott przyniosła jedynie ból i zniszczenie.

Z drugiej strony, nie miłość była głównym motywem działania Thomasa Danielsa, choć można to było powiedzieć o mamie. Mama zakochała się głęboko, obsesyjnie i kiedy podboje Thomasa stały się tak dobrze znane jak wynik piątkowego meczu szkolnej drużyny piłki nożnej, Nina Scott Daniels zaczęła spędzać dnie i noce, leżąc samotnie w łóżku, przy zgaszonym świetle, żądając, by jej rozpacz i apatia stały się udziałem i częścią procesu wychowania trzech samowolnych dziewcząt.

Och, mamo, każda z nas wiedziała najlepiej.

Denise sprawiała kłopoty, to prawda. A uparte zdecydowanie Hayley czasami bywało nie do wytrzymania. Ona sama, Dinah, zawsze miała wielkie plany i zamierzała wspiąć się na niezdobyte szczyty. I co z tego? Wszystkie były normalne. Zdrowe. Miały swoje kobiece mocne i słabe strony.

Z wyjątkiem...

Dinah za szybko przełknęła wino, aż lzy stanęły jej w oczach. Kasłała i kasłała, a potem, absurdalnie, zapragnęła zapalić papierosa, chociaż przed

pięcioma laty rzuciła palenie. Thomas Daniels. Gdyby czuła się zdolna do prawdziwej nienawiści, ten człowiek byłby jej przedmiotem. Podejrzewała też, że był pedofilem, chociaż nigdy nie dobrał się do niej ani do jej sióstr. Przynajmniej jej na pewno nigdy nie tknął, jeśli zaś chodzi o Denise i Hayley, obie z wahaniem zaprzeczyły oskarżeniu, które musiała postawić owej fatalnej nocy.

Były jednak, o Boże, te błyszczące pożądaniem spojrzenia! Parokrotnie była ich celem; wystarczyły, by ściąć krew w żyłach. To właśnie dostrzegła i zrozumiała mama, dlatego zamknęła się w mrocznym sanktuarium swojej sypialni.

Thomas pracował jako stolarz i dokonał niejednego podboju w zaciszu domowym swoich ofiar. Był przystojny w prymitywny, pospolity sposób. Dinah wydawał się wyjątkowo odrażający. Gdy spotykała mężczyznę tak silnie zbudowanego, o podobnym do Thomasa, niemal czarnym kolorze włosów, z tym czającym się uśmiechem, oceniającym wszystkie kobiety, czuła że coś ją odrzuca.

Glen Bosworth był dokładnym przeciwieństwem Thomasa: szczupły i zgrabny, jasnowłosy, o interesującym, wystudiowanym wyglądzie, podkreślonym okularami w drucianej oprawce, nie nadużywający alkoholu, mądry i czuły.

I skąpy.

Dinah uśmiechnęła się krzywo. Słońce chyliło się ku zachodowi, barwiąc wodę na ciemny fiolet. Widok był wspaniały. Być może w Los Angeles było coś więcej niż tylko rozmaite odcienie szarości, przyznała z niechęcią, nadal jednak tęskniła do urody i suchego żaru Santa Fe.

Pomyślała o swoim najnowszym artykule. Spodoba się Flickowi. Była dobra w pisaniu zgrabnych historyjek o relacjach z przedstawicielami przeciwnej płci, tworzyła wspaniałe opowieści o nieudanych romansach, czasem korzystając z własnych doświadczeń, najczęściej jednak wszystko wymyślała. Płytkie opowiadania. Barwne obrazki, mówiące o tym, dlaczego ona była wściekła na niego, albo dlaczego on oszalał, kiedy ona zrobiła to czy tamto.

Nigdy jednak nie zanurzyła się pod powierzchnię. Za bardzo się bała.

Tymczasem napływały listy. Od samotnych ludzi, którzy chcieli wiedzieć, jak rozwiązuje swoje problemy. Czasami współpracowała z psychologiem, aby móc udzielić rzetelnej i pomocnej odpowiedzi. Jeden Bóg wiedział, że nie była ekspertem. Nie miała zielonego pojęcia, jak nawiązywać prawdziwe, trwałe kontakty z ludźmi.

Chociaż może miłość w ogóle była iluzją. Nieistotną, jak drobina kurzu. Zwodniczą, jak ta głupia szarada, w której brała udział na prośbę Denise.

Rozejrzała się dokoła siebie. Po domu Denise i po należącej do niej plaży. Gdyby ktoś się dopytywał, kim jest i co robi, czy wyznałaby prawdę?

Dinah zastanowiła się. Nie, do diabła. Przez pewien czas może być Denise. Dlaczego nie? Może włączy ten pomysł do któregoś ze swoich następnych opowiadań: „Udawanie kogoś innego dla zaostrenia smaku twojego życia seksualnego”.

Ach, tak? Roześmiała się na głos. Cóż, zawsze potrafiła coś wymyślić; zawsze była w tym ekspertem. Lepsze to niż wyznanie zwyczajnej, nudnej prawdy.

Dwadzieścia minut później wtoczyła się na górę do gościnnego pokoju. Zrzuciła ubranie i padła na łóżko, zasnęła w ciągu pięciu minut. Spała tak mocno, że później, kiedy powiew chłodnego powietrza musnął jej nagie ramiona, uspiony mózg włączył go do snu. Była na plaży, wiał wiatr, a ona płała się w słońcu i beczynności. Wtuliła się głębiej w pościel, podciągnęła satynowe prześcieradło aż po brodę, broniąc się przed powrotem do rzeczywistości.

Podmuch poruszył jej włosy na skroniach - zimne, przejmujące tchnienie. Nie mogła tego w nieskończoność ignorować. Westchnęła i uchyliła jedno zaspane oko. Czyżby zostawiła otwarte okno? Gdy niechętnie uniosła głowę, zauważyła światło palące się w hallu.

Serce jej zadrżało. Pamiętała dokładnie, że je zgasiła.

Odrzuciła nakrycie i zaczęła szukać przycisku nocnej lampki, kiedy ogromna dłoń zakryła jej usta, a krzyk uwiązł w gardle.

- Nie wrzeszcz - polecił ktoś bardzo męskim, niskim, paraliżującym nerwy głosem.

Mimo to krzyknęła i żaloszny, zduszony dźwięk wydobył się spod silnych palców. Poczula ciężki, silny zapach alkoholu. Pociemniało jej w oczach ze strachu.

- Usiłowałem postępować fair, jesteś jednak większą suką, niż kiedykolwiek mogłem przypuszczać. Nie zniszczysz *Lady Paradise*. Nie pozwolę ci na to. Zapomnij więc o tym przesłuchaniu, bo jeśli nie, to jak mi Bóg miły, wyrzucę cię teraz na zbity pysk.

Wolną ręką zapalił lampę. Bez słowa, szeroko otwartymi oczami Dinah wpatrywała się w pochyloną nad nią, szczupłą, męską twarz. Stalowe oczy patrzyły na nią bez humoru. Wargi zaciśnięte były w wąską,

bezkompromisową linię. Na tym obliczu o nieregularnych rysach, niewiarygodnie doskonały, orli nos wydawał się zupełnie nie na miejscu.

Zaświtało jej w głowie. John Callahan we własnej osobie.

Powoli zsunął rękę z jej ust, ale Dinah i tak nic nie mówiła, nie mogąc złapać tchu.

- Nie zachowuj się jak skamieniała. W tej chwili jesteś ostatnią osobą, o której mógłbym pomyśleć - warknął nieprzyjemnie.

- Co tutaj robisz? - zapytała i, słysząc swój drżący głos, odchrząknęła.

- Wybieraj, Denise - odpowiedział, cedząc słowa. – Zrób to.

Dinah wpatrzyła się w niego. - Ale co?

- Próbne zdjęcia. - Zacisnął zęby. - Ten cholerny Sandberg zadzwonił do mnie dzisiaj, więc zapowiedziałem, że ma o tobie nie wspominać. Naprawdę masz tupet. Nie obsadziłbym cię w roli Toni, nawet gdyby miało mi to zapewnić nagrodę akademii!

- Nie wiem, o czym mówisz.

- Gówna prawda.

To dopełniło miary. Po co z nim dyskutowała? Miała przecież udawać Denise, skoro więc nie zauważył, że nią nie jest, cóż... - Wynoś się z mojego domu!

Nagle jego twarz straciła wyraz chłodnej tolerancji, w miejsce której pojawiła się ślepa furia. Dinah odruchowo cofnęła się, zdążył jednak przygnieść jej ramiona do łóżka.

- Nie rób tego - wyszeptała nagle przerażona.

Zaklął niezrozumiale, po czym jednym zręcznym ruchem przerzucił ją sobie przez ramię. Jej żołądek tak mocno zderzył się z twardymi kośćmi i mięskami, że wypuściła z płuc całe powietrze. Krzyknęła zaskoczona i



zaczęła młócić nogami. Ręką twardą jak skała objął jej nogi i zaczął iść w kierunku drzwi. Kiedy usiłowała się wyrwać, wyrznęła nosem w jego niebieską bawełnianą koszulę.

Wszystko potoczyło się tak szybko, że byli już w hallu, gdy zaczęła na serio walczyć. Bezskutecznie. Był za silny.

I zbyt zdeterminowany.

- Żegnaj, kochanie - zaszydził.

- Nie możesz mnie wyrzucić!

W odpowiedzi ruszył korytarzem w stronę schodów.

- Zaczekaj! - krzyknęła. Na Boga, naprawdę zamierzał to zrobić! Miał zamiar dosłownie wyrzucić ją z domu!

- Twoje rzeczy podrzucę później - powiedział z pierwszymi oznakami rozbawienia. - Zostaw mi adres.

W bezsilnej złości zaczęła grzmocić pięściami w umięśnione plecy. Kopała dziko, wzmocnił więc uchwyt na nogach, a jedną jej rękę uwięził na plecach.

- To mój dom! - zawyła. - Postaw mnie, bo będziesz najniezwyklejszym człowiekiem na ziemi!

- Już nim jestem. A tak dla porządku - dodał przez zaciśnięte zęby. gdyż Dinah usiłowała ugryźć go w rękę. - To jest mój dom. Ty jesteś tu gościem.

Dinah starała się kopnąć go w krocze.

- Ty... przeklęty... draniu!

Jedno kolano dosięgło celu i okrzyk bólu Johna zintensyfikował jej walkę. Ale był niezwykle silny. Tak mocno ścisnął jej przeguby i nogi w kostkach, że pewna była siniaków.

Wyniósł ją na zewnątrz, na pomost, gdzie niewiele godzin wcześniej spokojnie popijała swoje wino. Gdzieś poniżej fale uderzały o brzeg. Dinah szarpnęła się gwałtownie. Biało-grzywe bałwany przesuwały się na tle ciemnego, niemal czarnego nieba. Wierzgnęła, ale silne dłonie Johna Callahana były jak żelazne kajdanki.

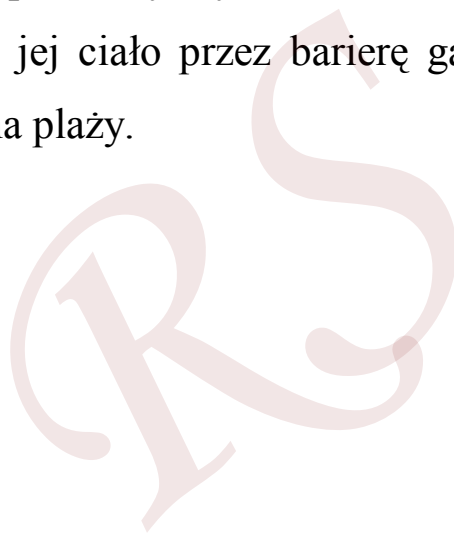
- Puszczaj mnie! - Dinah wrzasnęła z wściekłością.

- Ty cholerna wiedźmo - powiedział zdumiony. - Nie wiesz nawet, kiedy trzeba się poddać. - Podniósł ją do góry.

- Nie! Poczekaj! Mój Boże!

- Żegnaj, kochanie - powtórzył, tym razem z odcieniem ironii.

Po czym przerzucił jej ciało przez barierę ganku i cisnął trzy stopy niżej, na chłodny piasek na plaży.



Krzyknęła z całych sił!

W chwilę później uderzyła o zimną, wilgotną plażę. Piasek wdarł się jej do nosa, zazgrzytał w zębach. Nie mogła w to uwierzyć. Nie-mo-gła-u-wie-rzyć! Zrzucił ją z pomostu, jakby była workiem niepotrzebnych śmieci. Zaciskając pięści, Dinah pochwyciła w garście ziarnistą szarą ziemię. Była tak wściekła, że bała się nawet drgnąć w obawie, że przy najmniejszym poruszeniu wybuchnie jak bomba atomowa.

Jak on śmiał! Jak śmiał!

Miotając przekleństwa stanęła na nogi z zamiarem wspięcia się na pomost i rzucenia się na przeciwnika.

Ale już go nie było. Usłyszała odgłos zasuwanych drzwi i przekręcanego z zimną stanowczością klucza. Bezceremonialnie ją wywalił i wypiął się na nią.

Bydlak!

Szybko jak kot popędziła w kierunku frontowych drzwi, wzdłuż wysadzaney kwitnącymi krzewami ścieżki. Wiedziała, gdzie znajdzie zapasowe klucze; sama je chowała. Z nieprawdopodobną szybkością porwała klucz z małego haczyka, ukrytego za filarem, włożyła go do zamka i na wpół wpadła, na wpół wdarła się do środka.

Znalazła się w przedpokoju, zanim kurzy mózdzek i długie nogi Johna Callahana wpadły na to, że może być wystarczająco chytra, by dostać się do domu. Musiał jednak ją usłyszeć, gdyż natychmiast doszedł do niej odgłos zdecydowanych kroków, zbliżających się od strony kuchni. Zdrętwiała ze

strachu Dinah zawahała się na środku wyłożonego kafelkami hallu, niezdecydowana i wystraszona, ale pod niebiosa napompowana złością.

Za kogo, do cholery, się uważa? Nic dziwnego, że Denise poprosiła ją o pomoc! Dinah była twardsza, bardziej zrównowazona w walce (choć teraz trudno byłoby to stwierdzić, tak bardzo trzęsła się na nogach z wściekłości) i niewiarygodnie ostra i cięta, kiedy była przekonana o swojej racji.

A teraz miała rację. Nie było co do tego wątpliwości. To był dom Denise, zaś jej eks-mąż dosłownie wyrzucił ją z domu, cisnął w dół na plażę z taką zimną pogardą, że Dinah nadal nie mogła w to uwierzyć. Przecież mogło jej się coś stać. Coś poważnego.

Przez króciutką chwilę w jej głowie zagościł pomysł zemsty w sztubackim stylu. Będzie udawać ranną. Wylewać krokodyle łzy. Albo, jeszcze lepiej, ze stoickim spokojem będzie walczyć z bólem, spowodowanym jego bezmyślnym i okrutnym postępowaniem i udowodni w ten sposób, jaka była odważna i jakim sadystą on się okazał.

Odgłosy kroków stawały się coraz bliższe i głośniejsze. Dinah wstrzymała oddech, walcząc z absurdalnym impulsem, nakazującym jej ucieczkę. I wtedy w łukowym przejściu między przedpokojem i hallem pojawił się Callahan.

Ale nie zatrzymał się tam. Zdecydowanym krokiem ruszył do przodu, w niespełna dwie sekundy pokonując dzielącą ich odległość. Był to ruch mający ją zastraszyć i gdyby Dinah była choć odrobinę mniej twarda, skuliłaby się z przerażenia. Jak na ironię, to trudy życia pomogły jej teraz. Lata przestawania z ojczymem psychopata, a potem niełatwe próby, którym poddawał ją Flick w świecie biznesu uformowały siły Dinah. Gdyby

usiłował podejść o krok bliżej, rzuciłaby się na niego z całą swoją rozpaloną mocą. Zmrużyła oczy w oczekiwaniu.

Zatrzymał się pięć stóp przed nią, aby się jej przyjrzeć. W tym momencie uświadomiła sobie, że zachowuje się zupełnie inaczej niż jej siostra.

John Callahan patrzył na kobietę, jakiej nie znał.

Ze strachu coś ścisnęło Dinah za gardło.

- Denise? - Głos był dość ostry, lekko chropawy.

Włosy zjeżyły się jej na karku.

- Mogłabym kazać cię aresztować - rzuciła oskarżenie tak zimnym tonem, że aż zmarszczył brwi.

Po raz wtóry Dinah owionął subtelny aromat mocnego alkoholu, piżmowy, niebezpieczny zapach, który przekornie uznała za atrakcyjny. Przyjemnie było, kiedy Thomas Daniels pił. Był wówczas nie tak dokuczliwy, bardziej skłonny do popadania w stan niemego otepienia niż do drapieżnego śledzenia złośliwymi, małymi oczkami jej i jej sióstr. Wszystko było odwrócone do góry nogami, wiedziała o tym; większość ludzi drżała na myśl o zniszczeniu, jakie niesie życie z alkoholikiem. Tylko że Thomas nie był alkoholikiem. Najbardziej nieprzewidywalny był wtedy, gdy zachowywał czujność i pełną kontrolę nad swymi zmysłami. Zupełnie trzeźwy, stawał się drapieżcą, wywołującym niepokój Dinah, zmuszającym Hayley i Denise do krycia się przed nim po kątach.

Dinah zmuszała się, żeby stawić mu czoła. Bała się, ale nie chcąc tego okazywać, odmawiała schodzenia mu z drogi, gdy czuła, że coś go naszło. Takie postępowanie wychodziło na dobre i jej, i siostrom. Tchórzostwo

Thomasa hamowało go przed zrobieniem tego wszystkiego, na co miał ochotę, a co dawało się wyczytać z jego oczu.

A teraz oceniała Callahana. Tyran. Całkiem jak najdroższy wicepapcio, Thomas Daniels.

Jej oczy zwięzły się do błękitnych szparek. Callahan zacisnął szczęki, wyglądał twardo i nieustępliwie jak skała. Serce Dinah zaczęło bić nierówno, ale na twarzy pozostał wyzywający, pełen zimnego oburzenia wyraz.

- Jak długo już tu jesteś? - przerwał ten cichy pojedynek.

- Jak długo tu jestem? To mój dom. Zawsze tu byłam.

Czy usłyszał delikatne, wymowne drżenie jej głosu? Boże, miała nadzieję, że nie. Takiemu człowiekowi jak Callahan nie można nawet w najmniejszym stopniu dać poznać, że się nie jest tak pewnym siebie, jak się wygląda.

- Doprawdy - stwierdził beznamiętnie.

- Tak, doprawdy.

Nie podobał jej się jego głos. Ani sposób, w jaki na nią patrzył! Czyżby wiedział? Czy mógł wiedzieć? Nie była aktorką jak Denise, ale, na Boga, bez względu na wszystko zamierzała teraz stworzyć kreację na miarę Oscara. A co on tutaj robił?

- A więc u mojej żony, żyjącej bez zasad, pojawił się kręgosłup moralny - mruknął. - Moje gratulacje.

Nie odpowiedziała. Wysilek włożony w obronę honoru Denise i tak poszedłby na marne.

- Nie oznacza to jednak, że dom należy do ciebie - zauważył chłodno.

- Dom jest mój - nie zgodziła się.

Próbując zebrać myśli, przeczesał palcami włosy zdumiewająco uwodzicielskim ruchem. Prawdopodobnie wyćwiczonym przed lustrem, zachnęła się w duchu.

- To cię nie doprowadzi do *Lady Paradise*. Prędzej dam sobie uciąć prawą rękę, niż pozwolę ci znów zagrać w filmie.

Był opętany myślą o tym filmie.

- Żądam jedynie tego domu. To wszystko, czego chcę. Poza tym chcę, żeby ciebie tu nie było - dodała po chwili namysłu.

Na jego twarzy pojawił się wyraz znużenia, zmieszanego z rozdrażnieniem. Dinah miała wrażenie, że stąpa po niepewnym gruncie.

- Tak lekko potrafisz kłamać - odgryźł się. - To twoja niemal najgorsza cecha. - W odpowiedzi na jej pełne niezrozumienia, kamienne spojrzenie, dodał: - Och, przestań. Oboje świetnie wiemy, co jest tą najgorszą.

- Najlepiej będzie, jeśli ją wymienisz - powiedziała twardo.

- Dobrze, spróbujmy. Ostatnia sprawa, która mnie dotknęła, nazywała się D-E-R-E-K. Ale z pewnością nie jestem na bieżąco.

Dinah przeszły przez myśl różne plotki, dotyczące Denise. Callahan chciał, żeby w nie uwierzyła. Sam zachowywał się tak, jakby całkowicie im wierzył, mogła to jednak być chęć przerzucenia winy na Denise.

- Leo zadzwonił do mnie, rozumiesz. - Callahan powiedział to oskarżycielskim tonem. - Błagał mnie. Próbował szantażować. I wiesz, jaki rezultat osiągnął? Znalazłem się w sytuacji bez wyjścia.

Leo? Dinah myślała gorączkowo, a ryzyko związane z maskaradą wywoływało dreszcz strachu. Kim był Leo?

- Musiałem wywlec trochę brudów, żeby się wreszcie odczepił.

- Nie wiem, o czym mówisz - wyznała szczerze Dinah.

- Taaaak? - Nie uwierzył. - Opowiedziałem mu o staruszku Dereku. - Słowo „Derek” wycodził w sposób nie pozostawiający żadnych wątpliwości co do jego uczuć do tego człowieka. - Opowiedziałem mu, jak was znalazłem na planie zdjęciowym ostatniego filmu i co wtedy robiliście. - Napotkawszy twarde spojrzenie Dinah, rzekł: - Czy mam znowu przeliterować? - Zamiast słów użył do opisu palca wskazującego jednej ręki i lekko zaciśniętych palców drugiej. - Leo zrozumiał szybciej niż ty, ale się nie przejął. - Callahan przerwał, zachwiał się na nogach. - Może powinienem użyć ulicznego języka. Może twoją drobną aferę z Derekiem powinienem był opisać bardziej wulgarnie. Ale pomyślałem, że w ten sposób opis straciłby na wymowie. Uraczyłem go określeniami medycznymi. Wiesz, to śmieszne, lecz kiedy w jednym zdaniu używasz takich słów jak penis, pochwa i język, ludzie zaczynają się skręcać ze wstydu. I poczciwy staruszek Sandberg zrozumiał, w czym rzecz. Miejmy nadzieję, że będzie umiał ci to wyjaśnić.

Dinah czuła się znieważona. Naprawdę był z niego kawał drania. Nagle jej pamięć zaskoczyła. Leo Sandberg. Agent Denise.

- Nie chcę przesłuchania - powiedziała Dinah. - Chcę tylko domu. - Słowa zabrzmiały stanowczo, ale wewnątrz, w najgłębszych zakamarkach umysłu, zaczęło kiełkować ziarenko wątpliwości i podejrzania. Denise nie grała czysto. Stawką było coś więcej niż tylko dom w Malibu. O wiele, wiele więcej.

Spojrzał na nią ze współczuciem.

- Pragniesz przesłuchania tak samo silnie jak tego, żebym się załamał. Ale na to jest już za późno, Denise. Wieki za późno.



Callahan egzaminował ją oczami, które widziały wszystko, co dotyczyło jego żony. Poczula się jak obnażona. Jakby występki Denise były też jej udziałem. Czula się również zbrukana. I pognębiona. Były to zdecydowanie niemiłe wrażenia i chociaż pod wpływem jego słów złość w niej nieco opadła - nie było szansy, by dowiedzieć się, po czyjej stronie leży racja, jego czy Denise - od razu poczuła do niego niechęć.

Narastało w niej czyste, egoistyczne pragnienie, żeby - w przenośni - kopnąć go w jaja. W przenośni... i fizycznie.

Wyczytał to z jej myśli i szybko ruszył do przodu, złapał ją za ramiona i potrząsnął tak mocno, że aż zaszczekała zębami. Wspomnienia jak ómy zawirowały pod jej powiekami. Wspomnienie innego mężczyzny, potrząsającego nią, bijącego.

Zrobiło jej się czerwono przed oczami. Okręciła się i zaciśniętymi pięściami uderzyła w twardego torsa. Klnąc, popchnął ją ku ścianie i, mocno ją przytrzymując, całym swoim ciężarem przeciwstawiał się jej gwałtownie walczącemu ciału.

- Niech... to... diabli! - wycedził przez zaciśnięte zęby.

- Ty cholerny draniu - wy sapiała. - Puść mnie! Puszczaj! Brzdęk!  
Stojąca za nimi dziwaczna, kuta w żelazie lampa  
z motywami węży, runęła na czerwonobrazową terakotę.

Czula, że tonie, popada w znajome czarne, lepkie odrętwienie, ogarniające jej serce. Wewnętrzne przerażenie było tak intensywne, że stała się dziką istotą, nieludzką, zdolną do wyrządzenia śmiertelnej krzywdy.

John Callahan nigdy dotychczas nie widział swojej byłej żony w takim stanie i szczerze mówiąc, jej szamotanina i niemal spazmatyczne wicie się nieco go zaszokowały i przerażyły. W końcu musiała przekroczyć granicę.

Głową do przodu. Prosto w dół, w czarną otchłań, ku której zmierzała odkład się poznali.

Puścił ją równie nagle, jak ją złapał, przytomniejąc z zamroczenia alkoholem jakby po zażyciu soli trzeźwiących.

- Spróbuj mnie jeszcze raz dotknąć, to cię zabiję - wykrztusiła z falującą pierśią.

John patrzył w zdumieniu. Z pewnością była to nowa taktyka.

Jej oczy płonęły wściekłością. Z pewnym zaskoczeniem spostrzegł, że nie udawała. Prawda wyglądała tak, że jego eks-żona zamierzała go zaatakować.

Ocalił go dzwonek do drzwi.

Przenikliwy dźwięk dzwonka rozległ się w całym domu i spowodował, że oboje znieruchomieli, jakby poraził ich mróz. Denise z trudnością dochodziła do siebie, a John, bacznie się jej przyglądając, szarpnięciem otworzył frontowe drzwi i napotkał stojącego na schodach umundurowanego policjanta.

- Dobry wieczór panu - powiedział niepewnie policjant. - Sąsiad zgłosił, że dobiegają stąd straszne krzyki i prosił o sprawdzenie. Czy wszystko jest w porządku?

- Drobną sprzeczka rodzinna - wycedził John, rzucając z ukosa spojrzenie na Denise. Spodziewał się, że rzuci jedną ze swoich suchych, ironicznych uwag, tych niewłaściwych, zabarwionych czarnym humorem komentarzy, które robiły z niego głupca już niejednym razem. Najwyraźniej jednak znajdowała się teraz w szponach prawdziwych emocji i chociaż raz w życiu była zdumiewająco cicha.

Policjant zwrócił się do niej. John zastygł. W obliczu przedstawicieli władzy, jednej z najbardziej upragnionych widowni, Denise zwykle się ożywiała. Potrafiła być słabą

I zapłakaną, słodką i przymilną, albo potwornie zimną suką. Boże, jak ona uwielbiała scenę każdego rodzaju!

Oczy policjanta rozwarły się szeroko, kiedy ją poznał. John westchnął w duchu, oczekując powodzi przerysowanych aktorskich kwestii. Denise znalazła się w swoim żywiole.

Ale Denise nie postąpiła zgodnie z jego oczekiwaniem. Zamiast tego, pozbierała się z wysiłkiem i zapytała: - Kto z sąsiadów się skarżył?

- Słucham, proszę pani?

- Ludzie z prawej czy ludzie z lewej strony? Chcę wiedzieć, kto mnie obserwuje.

John pokręcił głową ze zdumienia. Cóż się, do diabła, działo?

Policjant zawahał się, ale Denise naciskała.

- Czyż nie mam prawa wiedzieć? A może jest to poufna wiadomość? A czy pan sam wie? - zakończyła, nie dając mu możliwości udzielenia odpowiedzi, tak intensywnie wpatrując się w policjanta, że młody człowiek poruszył się niepewnie, jakby to on, a nie Denise, był zamieszany w jakieś przestępstwo. Dobry Boże, dzieciak był zielony.

Albo też uległ czarowi Denise w czasie krótszym od pięciu minut. John zachnął się. Zdarzały się takie przypadki.

- Wygląda na to, że wszystko jest tu w porządku - wyjąkał policjant, rozpoczynając pospieszny odwrót.

- Nie dzieje się nic, czemu nie można by było zaradzić - potwierdził John, zamykając za nim drzwi.

Kiedy tylko znaleźli się sami, skierował swoją uwagę z powrotem ku Denise. Ogarnęły go złe przeczucia. Coś tu się nie zgadzało. Widział wiele oblicz byłej żony, ale to było coś nowego. Zawsze interesowała się wyłącznie sobą i niemal zawsze samodestrukcyjnie. Dlaczego przejmowała się sąsiadami? Przecież uwielbiała sceny!

- Czy w ramach podziału majątku po rozwodzie dostałam ten dom, czy też nie? - spytała nagle, a ponieważ powiedziała to niezwykle poważnym głosem, znowu wprawiła go w zakłopotanie.

- Nie dostałaś - stwierdził.

Zamrugnęła oczami. - Dom przyznano tobie?

- O co chodzi? Nagła utrata pamięci? Cholernie dobrze wiesz, jakie było orzeczenie.

Wpatrywała się w przestrzeń, zupełnie zaskoczona. Niewiarygodne przedstawienie, nawet jak na Denise.

- Miałem pełne prawo, żeby cię wyrzucić - dodał - i masz szczęście, że teraz, w związku z twoim najściem, nie wezwałem policji. Ustaliliśmy, że będziemy nawzajem trzymać się od siebie z daleka. Na *Lady Paradise* nie ma miejsca w naszej umowie.

Nie odpowiedziała. Była pogrążona w myślach. Obserwując grę uczuć na jej ruchliwej twarzy, John pomyślał: zmieniła się. Miała inne włosy. Ciemniejsze i troszkę dłuższe. Prostsze niż kiedykolwiek widział. I twarz miała okrągłą, pełniejszą. Skóra też była jaśniejsza - jakby nie spędzała wielu godzin w solarium, a wiedział przecież, że to robiła.

Jednak zmiany były poważniejsze, nie ograniczały się do kosmetycznych. Coś innego. Coś trudnego do zidentyfikowania i

zdumiewająco magnetycznego, co przypomniało Johnowi, dlaczego po raz pierwszy zwrócił uwagę na Denise.

Coś, o czym za żadne skarby świata nie chciał sobie przypominać.

- O co chodziło z tymi pytaniami o sąsiadów? Wiesz, jacy są wścibscy - rzucił oskarżycielsko.

- Po prostu chciałam wiedzieć, kogo mam przeprosić za dzisiejsze zamieszanie - stwierdziła spokojnie.

- Od kiedy przepraszasz? - roześmiał się. - Nienawidzisz ich wszystkich. Każdy z nich pragnie napisać książkę o twoim występnym życiu seksualnym - i moim też, jeśli jest o czym.

- Jest o czym, i to niemało - przypomniała mu.

- To paranoja z twojej strony - odparł, obojętnie wzruszając ramionami. Wkroczyli na grunt wyświechtanych argumentów. - To w tobie kotłują się hormony.

Dinah zjeżyła się, ale powstrzymała przed ostrą odpowiedzią. W końcu ta uwaga nie dotyczyła jej osoby. Widząc, że milczy Callahan uniósł brwi.

- Jesteś... jakaś inna - stwierdził zamyślony.

Zauważalnie podskoczyła, jakby dotknął jakiegoś czułego miejsca. A potem, cóż za dziw, rumieniec zakłopotania objął jej szyję i wypłynął na policzki.

Denise Scott w pasach, jak pensjonarka?

Zdziwienie Johna przeradzało się w coraz większe zdumienie. Widział Denise płaczącą, udającą nieśmiałość, odgrywającą rolę skrzywdzonej i cierpiącą naprawdę. Widział, jak mdleje i znosił ataki jej dziecinnej wściekłości więcej razy, niżby chciał pamiętać. Próbował ją ratować, gdy po raz trzeci pogrążyła się w bagnie utraty szacunku do samej siebie

I niszczącego zachowania. Był świadkiem jej szczytowych osiągnięć aktorskich, podziwiał głębię jej percepcji, był zde gustowany jej samolubstwem, miękł pod wpływem jej niespodziewanych przyływów czułości.

Ale nigdy, przenigdy nie widział, żeby się spłoniła. Nie widział takiego szczerego zawstydzenia swoim postępowaniem. Takiej świadomości własnego człowieczeństwa, własnych, prostych błędów.

- Naprawdę spodziewałaś się, że uwierzę, iż zapomniałaś, kim są sąsiedzi, a dom należy do mnie? - zapytał.

- Nie. - Jej głos był napięty, roztargniony. - Może po prostu... miałam nadzieję i pragnęłam... żeby sprawy wyglądały inaczej.

- Są dokładnie takie same jak zawsze. Była to niezbita prawda.

Skinęła głową i głęboko wciągnęła powietrze przez zęby, po czym potrząsnęła głową.

- Wszystko, co mam, jest tutaj.

- Wszystko, co należy do ciebie, jest spakowane w przechowalni, albo gdzieś u Dereka, albo w jakimś innym miejscu. Ale nie tutaj.

Skrzywiła się.

- Teraz już tutaj.

Naprawdę nie wiedział, co jej odpowiedzieć. Nie chciał jej tutaj. Spowodowała już wystarczająco wiele zniszczenia i bólu, jego cierpliwość się wyczerpała. Ale skrzywdził ją w czasie rozvodu i jakaś przewrotna, rycerska część jego duszy ciągle cierpiała w poczuciu winy za całkowite okrojenie jej majątku - jak masła nożem.

- Możesz zostać na noc - rzucił szorstko i odsunął się od niej, by podnieść lampę i stworzyć pewien dystans. Miał twardy wyraz twarzy, kiedy

patrzył w dół, na kawałki potłuczonego szkła. - Ale masz zniknąć jutro. - Gdy się obrócił, napotkał jej cudowne ogromne błękitne oczy. - To moje ostatnie słowo.

\*\*\*

Ach, taaak? pomyślała Dinah, gdy Jego Wysokość schylił się, aby pozbierać większe kawałki szkła. Dżinsowa koszula podjechała mu wysoko na kark, niemal wysuwając się z zakurzonych niebieskich biodrówek. Kowboj z miasta. Śmieć. Obleśny hollywoodzki duppek. Wszyscy producenci byli dupkami, a John Callahan nie należał do wyjątków.

Czekała w głębokiej ciszy, aż odwrócił się na pięcie i podążył w stronę kuchni. Wtedy dopiero krótko, gniewnie westchnęła. Jakaś część jej mózgu zdawała się być skupiona jedynie na tych niebezpiecznie nisko osadzonych niebieskich dżinsach, na „kowbojskim”, kołysaniu jego bioder, na długich nogach. Facet ubierał się tak, jakby wyszedł właśnie z westernu i wyraźnie kultywował taki wygląd.

Był piekielnie opanowany, tymczasem ona była wstrząśnięta do szpiku kości. Czy mówił prawdę? Czy dom należy do niego? Jego przekonanie zbiło ją z tropu i nadal czuła się niepewnie.

A może było to wymyślne kłamstwo? Bo zobaczył, jak bardzo jest wyprowadzona z równowagi?

Nie. To nic nie dawało. Jaka była prawda?

- Arogancki potwór - mruknęła do siebie, wściekła, że okazała się takim tchórzem. Gdzie się podziała cała złość? Gdzie te unoszące ją fale oburzenia? Jak mu się udało zbić ją z tropu?

Dotarł do niej odgłos grzebania w kredensie, a potem brzęk szkła. W porządku. Nalej sobie jeszcze jednego drinka. Wypij cały alkohol świata do

ostatniej kropli i zdychaj na marskość wątroby, ty paskudny, prostacki potworze.

Dinah wstrzymała oddech. Musi porozmawiać z Denise. Natychmiast. Potrzebne jej były odpowiedzi na różne pytania. Potrzebna jej była pomoc. Działała na ślepo, co w przypadku ludzi takich jak John Callahan stawiało ją w wyjątkowo niekorzystnej sytuacji.

Miała jednak okropne przeczucie, że Denise wyobraziła sobie dokładnie taki przebieg wydarzeń. To dlatego Denise kłamała. Żeby uzyskać zgodę siostry, gdyż Dinah nigdy by na to wszystko nie przystała, gdyby choć przez chwilę pomyślała, że w domu pojawi się John Callahan i będzie bronił swojej własności.

A Denise pragnęła, żeby Dinah wszystko za nią załatwiła. Znowu. Tak jak zawsze.

Najwyższym wysiłkiem woli Dinah opanowała swe emocje, obeszła na palcach resztki potłuczonego szkła i ruszyła, by schronić się w swojej sypialni.

\*\*\*

Scottsdale, Arizona. Gorąco, brzydko - chyba że lubiło się kaktusy saguaro, ale to zdecydowanie nie był jej przypadek - i wszędzie pełno ośrodków wypoczynkowych i osiedli. Krajobraz był tak jałowy, że równie dobrze mógłby znajdować się na Księżycu. Cholera, nawet kaktusy miały nieziemski wygląd. Niektórych cieszyłby zakup glinianej repliki takiego kaktusa, założenie na jego czubek małego kowbojskiego kapelusza i przewiązanie chustą środkowej odnogi, jednak dla Denise były nieco obsceniczne. Dla kogoś pasjonującego się symbolami fallicznymi sposób, w



jaki sterczały do góry, ku niebu, stanowiłyby trudną do przeoczenia zachętę, bez względu na kolce.

Mercedes zatrzymał się na okrągłym, wyłożonym brązową cegłą podjeździe, przed pogrążonym w cieniu wejściem do hotelu. Dwóch portierów ruszyło jej z pomocą. Denise wysliznęła się na zewnątrz, dotknęła oczekującej ręki jednego z portierów i poczuła przeskok iskry elektrycznej, tak silnej, że zjeżyły jej się włosy.

- Elektryzujące - mruknęła ironicznie, a portier, rozpoznając ją, szeroko otworzył oczy.

- Denise Scott! - wykrzyknął.

Jego przejęcie spotkaniem było dokładnie tym lekarstwem, jakiego właśnie teraz potrzebowała Denise. Żadnych sztuczek. Żadnych podstępów. Po prostu szczerze podniecenie spotkaniem z gwiazdą filmową.

Wczorajszą gwiazdą...

Z wysiłkiem zignorowała swoje obrzydliwe sumienie. Wskazując ręką krajobraz, zapytała: - Czy to miejsce jest naprawdę tak brzydkie, jak się wydaje?

- Nie lubi pani pustyni? - Wyglądał na wstrząśniętego.

- Niczego nie lubię - przyznała, starając się, by jej słowa nie zabrzmiały zjadliwie.

Drugi portier na próżno szukał na tylnym siedzeniu choćby śladu jakiegoś bagażu.

- Podróżuję bez niczego - dodała Denise, oddając kluczyki. Była zmęczona i spragniona, marzyła o prysznicu, albo jeszcze lepiej o kąpieli przy świecach w wannie pełnej piany.

Kiedy wchodziła do hotelu, uderzył ją podmuch klimatyzacji, tak zimny, że odniosła wrażenie, jakby miała zamarznąć w pół kroku. Wywołała małą sensację w recepcji, gdzie została rozpoznana przez niewątpliwie nową recepcjonistkę. Bardziej doświadczeni pracownicy zachowywali graniczącą z absurdem dyskrecję, traktując ją jak wieloletniego klienta i usiłując za nic nie okazywać zbytniego zainteresowania.

Denise była do tego przyzwyczajona, lecz jej wewnętrzny, zawsze pracujący na najwyższych obrotach radar, wyczulony na fałsz, wykrywał wszelkie subtelności, każde spojrzenie, rzucone z ukosa, przesadnie obojętną postawę. Tylko ci, którzy naprawdę jej nie rozpoznawali, zachowywali się normalnie. Jednak przekornie, napotykając takich ludzi, Denise miała ochotę krzyknąć: Nie wiesz, kim jestem? Nie poznajesz mnie? Jestem Denise Scott, ty niedoinformowany głąbie!

- Apartament Kalifornijski jest jednym z najładniejszych w naszym hotelu. - Dziewczyna z recepcji uśmiechnęła się, wręczając jej klucz. Była młoda, miała czarne kręcone włosy, wyćwiczony uśmiech i jeszcze bardziej wyćwiczone opanowanie.

Denise zmierzyła ją wzrokiem.

- Ale nie najładniejszy.

- Proszę? - Dziewczyna zamrugała oczami.

- Który apartament jest najładniejszy? Najlepszy?

- Prezydencki, proszę pani. Ale jest dla dwunastu osób. Składa się z głównego apartamentu z czterema sypialniami, każda z...

- Biorę go.

- Przepraszam?

Czując się jak wiedźma, Denise westchnęła i powiedziała: - Nie ma za co przepraszać. Wystarczy dać mi Apartament Prezydencki i wszystko będzie dobrze.

Teraz już wszyscy pracownicy słuchali. Ręce zamaryły nad klawiaturą. Urwały się rozmowy. Denise wyobraziła sobie coraz to bardziej ogromniejące uszy, gdy usiłowali coś podsłuchać. Ułatwiła im to.

- Czy jest z tym jakiś problem?

- Obawiam się, że został zarezerwowany - ostrym głosem odrzekła dziewczyna. - Ponad miesiąc temu.

- A czy w tej chwili jest zajęty?

- Goście przyjeżdżają dzisiaj wieczorem.

- Więc będą musieli przenieść się gdzie indziej.

Cisza. Zupełna cisza, jeśli nie liczyć delikatnego pluskania wody w okrągłej fontannie na środku hallu. Dlaczego to robisz? - zadała sobie pytanie, czując ogarniającą panikę. Dlaczego?

- Czy mogę w czymś pomóc, panno Scott? - przyjazny męski głos dobiegł ją gdzieś zza lewego ramienia.

Gdy się powoli obróciła, dostrzegła poważnie spoglądającego mężczyznę w zielonym golfie ze znaczkiem firmowym hotelu „Pustynny Raj”: kwitnącym na białym kaktusem saguaro.

- Jestem Brent McCaffey, zarządzający „Pustynnym Rajem” - przedstawił się podając rękę, którą ostrożnie przyjęła.

- Goście z Apartamentu Prezydenckiego zapłacili z góry. Obchodzą pięćdziesiątą rocznicę ślubu i zarezerwowali także kilka innych apartamentów i z tuzin pokoi. Chcieli również zamówić Apartament

Kalifornijski, ale Maggie... - wskazał na dziewczynę, której Denise dała poznać swój ostry język

- ... pomyślała, że powinniśmy zatrzymać przynajmniej jeden wolny apartament, na wypadek, gdyby w ostatniej chwili pojawił się ktoś ważny. - Przerwał, pozwalając, aby dotarł do niej sens jego słów. - Czy zechciałaby pani Apartament Kalifornijski.

Nagle Denise poczuła się znużona. Zmęczona do szpiku kości. Całym sercem. Od Houston jechała bez przerwy na sen. Nie wiedziała nawet, jaki jest dziś dzień. - Dlaczego nazywa się Apartamentem Kalifornijskim? - spytała.

- Nie wiem - przyznał i, czując zwycięstwo, wyciągnął w stronę Maggie rękę po klucz. - Proszę pozwolić mi go sobie pokazać.

Nie miała ubrania na zmianę, butów i przyborów toaletowych. Wydarzenia ostatnich kilku dni rozmazywały się w szarej mgłę. Otwierając drzwi apartamentu Brent McCaffey coś mówił, ale Denise nie rozumiała słów. Odpowiedziała mu, ale nie bardzo wiedziała, co.

Po kwadransie od chwili pozostawienia jej samej w apartamencie McCaffey znów zastukał do drzwi. Denise z ledwością znalazła siły, żeby otworzyć drzwi z łańcucha, ale poczuła się ujęta i wzruszona widząc, że przyniósł kilka świec wotywnych ze sklepu z upominkami. Najwyraźniej rozgłosiła swoje życzenia i McCaffey mianował się jej osobistym gościem.

Kąpiel była wspaniała. Gorąca i kusząca, pośród migoczącego światła, dającego refleksy na jej gładkiej, mokrej skórze. Mózg Denise ogarnęło odrętwienie. Stale tak bardzo przepelniona udręką, teraz mogła czuć się jak leciutka mgielka. Nagle przypomniała sobie, że znajduje się w drodze do

domu, zupełnie jakby to był dawny, zapomniany plan, a nie decyzja z ostatniej chwili. Do domu, do Johna.

Tylko że John nie czekał na nią.

Dopadł ją ostry, nieustępliwy paroksyzm bólu. Przechyliła głowę na ramię, mocno zamknęła oczy, walcząc z kłębiącymi się, szukającymi ujścia na zewnątrz emocjami.

W końcu silny wstrząs przebiegł przez jej ciało i ból częściowo zelżał. Z niechęcią opuściła wannę z wodą, wytarła się ręcznikiem i naga poszła do łóżka.

Kiedy dużo później obudziła się i gwałtownie usiadła na łóżku w pokoju czarnym jak smoła, z gardła wyrwał jej się okrzyk przerażenia. Serce tłuło się w piersi. Skóra pokryta była potem. Płuca miała skrepowane stalowymi taśmami.

Zastygła ze strachu liczyła sekundy z roztrzęsionymi nerwami, usiłując przeniknąć ciemność, próbując wyczuć niebezpieczeństwo. Przez trwającą całe wieki minutę była kompletnie zagubiona; nie miała pojęcia, gdzie się znajduje i czy naprawdę jest sama.

Stopniowo dotarło do niej, że poświata w kącie pokoju pochodziła z niewielkiej szpary pomiędzy zaciągniętymi na całej długości ściany zasłonami. Kiedy wstała z łóżka i odkryła, że nie ma na sobie piżamy, była nieco zbita z tropu. Z natury zimna, zawsze zakładała coś do łóżka. Niejeden jej kochanek komentował to pruderyjne zachowanie - przecież ona, Denise Scott Callahan, znana była jako gorąca sztuka.

Jak niewiele mężczyźni wiedzieli...

Ruszyła w kierunku pasemka światła, zagłębiając stopy w zbyt kownym, mięsistym dywanie. Przynajmniej była w jakimś ładnym miejscu. Lepiej niż gdzieś w obskurnym motelu.

Wyrznięwszy nogą w stół Denise zdusiła w sobie potok przekleństw, po czym rozsunała zasłony.

Była noc. Głęboka noc. Światło pochodziło z reflektorów, skierowanych na fontannę, znajdującą się na środku sześciokątnego pustynnego ogrodu, z każdej strony ograniczonego oddzielnymi budynkami.

„Pustynny Raj” - poczuła ulgę, kiedy z nie lada wysiłkiem udało jej się przypomnieć. Była w hotelu „Pustynny Raj” w Scottsdale.

Otworzyła szklane drzwi i wyszła w chłód nocy na balkon. Delikatny powiew wiatru przyjemnie pieścił nagą skórę, więc zamknęła oczy i chłonęła to słodkie, suche powietrze, rozkoszując się rzadką chwilą całkowitej harmonii i samotności.

W takich chwilach Denise czuła, że przez całe wieki żyła w oderwaniu od świata. A rzeczywistość była taka właśnie, cóż za cudowna odmiana! W jednej chwili błąkała się zagubiona w nierzeczywistej mgłę. w następnej - bum! - coś ją budziło. Najmniejszy drobiazg mógł ją przywrócić do rzeczywistości. Jakiś zapach. Muzyczny motyw. Nagłe, niewytłumaczalne wrażenie, że gdzieś już to widziała, które przenosiło ją w szczęśliwsze czasy.

Ale nie zdarzało się to zbyt często. Coraz rzadziej budziła się, mając to nieprawdopodobne uczucie, że naprawdę żyje i jest wolna. Toteż stała na balkonie całkowicie naga, za grosz nie przejmując się tym, że goście całego kompleksu hotelowego mogą ją zobaczyć.

Mercedes Carolyn.

Z jękiem Denise uświadomiła sobie, że w zasadzie ukradła samochód tej kobiecie. Miała szczęście, że jeszcze nikt jej nie zamknął za Wielką Kradzież Samochodu. Ależ była by to sensacja!

HOLLYWOODZKA AKTORKA KRADNIE SWOJEJ PRZYJACIÓLCE POZŁACANEGO MERCEDESA.

Tak, prawdziwy przebój sezonu.

Zamierzała zadzwonić do Carolyn i wytłumaczyć, choć trudno było zgadnąć, jakie wyjaśnienie mogłaby podać.

Ponadto musiała zadzwonić do Dinah.

Denise skrzywiła się. Biedna Dinah. Naprawdę załatwiła ją. Zostawiła ją w domu Johna - chociaż właściwie dom powinien być jej! - bez słowa ostrzeżenia. Nie dlatego, że John mógłby ją nękać. Jak donosił Leo, ten wstrętny drań pogrążony był po uszy w produkcji *Fortunaty*, a Denise wiedziała, że nawet tsunami mogące zatopić Kalifornię, nie oderwałoby teraz Johna od jego filmu.

Czuła jednak potrzebę wyjaśnienia. Teraz, kiedy w pełni panowała nad sobą, bez coraz częstszych, przerażających urojeń, które mogłyby wszystko spieprzyć.

Sama tworzysz swoje urojenia.

Skuliwszy ramiona Denise wsunęła się z powrotem do pokoju, po omacku szukając drogi do łóżka. Cóż, może je tworzyła, a może nie. W tej chwili było jej wszystko jedno. Chciała tylko, żeby się skończyły.

Och, Dinah, pomóż mi.

Denise obiecała, że zatelefonuje. Przysięgła, że poda Dinah, gdzie się zatrzymała. Dała słowo, że siostra będzie musiała opiekować się domem jedynie przez sześć tygodni.

Co miałaś nadzieję udowodnić?

Denise rozejrzała się wokoło i odczytała godzinę na cyfrowym zegarku, stojącym na szafce nocnej z drugiej strony łóżka. 2. 30 w nocy. I. 30 w Los Angeles.

Przesunęła ręką wzdłuż ściany w poszukiwaniu kontaktu. Nie napotkawszy go, trzęsącymi się rękami zaczęła szukać lampki nocnej. Dlaczego tak nagle poczuła panikę?

Przypomniała sobie urywek nocnego koszmaru, który ją obudził. Ręka zaciskająca jej usta. Cuchnący oddech na twarzy. Uczucie tonięcia.

- O Boże... - Gwałtownie zadrżała, napotykając palcami przycisk na podstawie lampy.

Pokój napełnił się oślepiającym światłem, rażącym jeszcze silniej ze względu na lustrzaną ścianę u wezłowia łóżka. Tłumiąc daremny krzyk Denise dostrzegła swoje odbicie - i ten przyprawiający o dreszcze widok natychmiast wyparł z głowy myśli o telefonie do Dinah i Carolyn.

Nie była Denise. Była starszą, bezbarwną kobietą o znużonych oczach i trzęsących się nogach. Przegraną istotą. Pozbawionym krwi duchem. Umarlakiem. Maltretowaną psychicznie i fizycznie przez potwora.

Była swoją matką.

Przestań tak leżeć jak kawał mięsa. Wstawaj z łóżka!

Żywo stanął jej przed oczami ojczym, nachylony nad leżącą matką, szeroki, mocny w ramionach, mający ochotę ją uderzyć. A potem zaczął bić, pamiętała, przez cały czas ją obrażając. Robił wszystko, co mógł, żeby ją zabić. I w końcu mu się udało. Pewnej nocy odeszła na zawsze.

Denise przywołała w pamięci obraz jej twarzy. Nieziemsko nieruchoma i porcelanowo blada. Uwolniona od bolesnych razów. Spokojna,



tak jak przepowiadali wszelcy kaznodzieje, duchowni, księża i rabini. Wreszcie matka znalazła spokój.

Drżąc, Denise cofnęła się ze skraju tej przepaści. Nie umiała myśleć o mamie i nie upaść. Bo tak właśnie było. Wpadała w otchłań, superprzestrzeń lub wieczną noc. Takie miała wrażenie. Toteż nauczyła się, że musi unikać myślenia o przeszłości, jeśli chce zachować resztki zdrowego rozsądku.

Kiedy wykręcała z pamięci numer Carolyn, zorientowała się, że w Houston była 3. 30. Kiepski pomysł, żeby dzwonić o takiej porze. Była o krok od odłożenia słuchawki, pomyślała jednak, że przerwanie połączenia w środku nocy może jeszcze bardziej wystraszyć Carolyn. Rozbawiło ją odezwanie się automatycznej sekretarki.

- Carolyn, mówi Denise. Pożyczyłam twój samochód. Wracam do Houston jutro... - Albo pojutrze, pomyślała drżąc. Nie była pewna, ile czasu jej to zajmie i gdzie znajdzie energię na przebycie drogi powrotnej. Co było z nią nie w porządku? Jak mogła myśleć, że tak zwyczajnie pojedzie do domu do Los Angeles, do czekającego z wyciągniętymi ramionami Johna? - Przepraszam - dodała sztywno. - Do zobaczenia.

Przyłapała się na tym, że wybiera numer siostry w Santa Fe i przypomniała sobie, że Dinah jest w domu w Malibu. Pokręciła głową z niezadowoleniem i zaczęła się zastanawiać, dlaczego mogła być taka dobra w niektórych sprawach - jak na przykład pamiętanie numerów telefonów, pod które dzwoniła zaledwie raz czy dwa - a taka kiepska w innych, znacznie łatwiejszych.

Wszystko przez jej pokręcony mózg. Była świetna w zapamiętywaniu rzeczy błahych. Miała niemal fotograficzną pamięć. Kiedy trzeba było opanować rolę, nikt nie mógł jej dorównać. Znała tekst już po pierwszym

przeczytaniu. To było proste. Piekielnie łatwe. A odgrywanie tych fantazji jeszcze łatwiejsze.

Była stworzona dla Hollywood. Piękna blondynka z nadmiarem talentu i nieuforną osobowością, z łatwością mogąca się stoczyć na dno rynsztoku, pełnego seksu, narkotyków i ostatecznego zniszczenia. Któryś z jej psychoanalityków użył kiedyś takiego sformułowania.

Jednak pieprzenie się z niezliczoną armią głupków, mających jakieś znaczenie w przemyśle filmowym, poczynając od jej pierwszego agenta, a na reżyserze ostatniego filmu kończąc, nie było takie łatwe. Wbrew powszechnej opinii Denise była przekonana, że ma słaby popęd seksualny.

Spróbuj dla odmiany tego, doktorze Stone. Pana zwariowana na punkcie seksu pacjentka znudziła się już! Ha, dobra fantazja erotyczna każdego dnia z powodzeniem może zastąpić całe to głupie sapanie i pulsowanie.

Derek Sather. Reżyser *Cosmosu*. Jej ostatniego, być może kończącego jej karierę, filmu. Szczupły i przystojny, pewny swojego uroku Derek pojawił się w życiu Denise w czasie rozmów dotyczących kontraktu i szybko dał jej do zrozumienia, że jest mu winna względy bardziej osobistej natury. Miał zwyczaj, kiedy nikogo nie było w pobliżu, gardłowym głosem szeptać Denise wprost do ucha nedorzeczne propozycje seksualne, które bardziej ją bawiły, niż podniecały.

- Wielki kutas, skarbie - stękał z ustami tuż przy jej małżowinie usznej.

- Wielki, wielki kutas.

Jesteś dupą.

- Jesteś już mokra, dziewczyno? Tak na mnie reagujesz. Jesteś upierdliwą dupą.

- Mam słodką gumę do żucia, dziewczyno. I słodki sok, żeby cię wypełnić.

Jesteś pomysłową, upierdliwą dupą.

Była sławna. Mogła mu odmówić. Wówczas jednak czas realizacji filmu zamieniłby się w piekło. Na dodatek w tym czasie John zrezygnował z niej. Jeśli w ogóle ze sobą rozmawiali, to tylko kłócąc się o szczegóły rozwodowe, a i to w większości odbywało się za pośrednictwem prawników.

Tak więc...

Tak więc zaczęła sypiać z Derekiem i przekonała się, że wygadywanie seksualnych prowokacji stanowiło jego najmocniejszą stronę. Z Derekiem było raczej szast, prast i po wszystkim. Niezupełnie przypominało to obiecywaną wcześniej bajeczną przygodę.

I nigdy nie widziała go z paczką gumy do żucia.

Niemniej w okresie kręcenia *Cosmosu* postarała się uwierzyć, że tylko Derek może zapewnić jej „sekret szczęścia” - mityczny, ciągle przez nią poszukiwany stan.

Nastrój Denise gwałtownie się pogorszył. Poczwała, że kończy się ten cenny okres, kiedy przebywała w rzeczywistym świecie. Jej mózg stawał się otepiały i zamglony.

Pospiesznie, aby wykonać swoje zadanie, wykręciła numer telefonu w domu w Malibu, modląc się jednocześnie, żeby zastać Dinah.

- Halo? - głos Johna zabrzmiał przytomnie i nieprzyjemnie.

Denise powstrzymała się od okrzyku. John? John w domu? Rzuciła słuchawkę i zerwała się na nogi. John tam był? Z Dinah?

Denise zgasiła światło i z powrotem opadła na łóżko. Zwinęła się w kłębek i naciągnęła koc na zmarznięte nogi. Dinah i John. John i Dinah. Co się działo? Co to oznaczało?

Jesteś prawdziwą paranoiczką, wytknęła sobie. Prawdziwą paranoiczką. Mocno zagryzła dolną wargę i, czując w brzuchu palący strach, powoli zapadła w niespokojny sen i błogosławione zapomnienie.

W klubie było ciemno, głośno, czuć też było jakiś zapach, którego Hayley nie potrafiła i wcale nie miała ochoty zidentyfikować. Stojąc przy barze bardzo starała się nie patrzeć w kierunku zajmującego środek pomieszczenia, wygiętego w kształcie litery U podium, otoczonego stolikami, przy których siedzieli mężczyźni. Paskudni mężczyźni, robiący jeszcze paskudniejsze gesty. Paskudne myśli. Paskudne żądze.

Czegóż innego mogła się jednak spodziewać po miejscu opanowanym przez prostytutki, sutenerów i najprzeróżniejsze męty społeczne?

Na podium umieszczono pięć słupów z przezroczystego plastiku, wypełnionych czerwoną cieczą. Słupy sięgały od podłogi do sufitu, a w ich środku pływały, kręciły się i pobłyskiwały w ostrym świetle srebrzyste drobiny brokatu. Przy każdym słupie znajdowało się kilka najlepiej na świecie zbudowanych młodych kobiet - dzięki staremu, kochanemu powiększeniu biustu przy pomocy chirurgii plastycznej - dyszących, owijających się i ślizgających po słupach w sposób, który na umieszczonych na zewnątrz lokalu reklamach określony został eufemistycznie jako „taniec”.

Co jakiś czas któryś z paskudnych mężczyzn chwycił jakąś dziewczynę, w efekcie czego był podrywany na nogi i wyrzucany za drzwi

przez ogromnego, zupełnie łysego Murzyna. Ani pochlebstwo, ani prośba nie były w stanie zmienić zdania wykidajły. Jeden błąd i jesteś na zewnątrz.

Bramkarz był jedynym elementem tego miejsca, dzięki któremu Hayley czuła się bezpiecznie.

- No i co myślisz? - zapytała pani Carver już po raz siedemnasty.

- Widziałam gorsze rzeczy. - Hayley uśmiechnęła się z ironią. - I widziałam lepsze.

- Nie mów tego Danny'emu. Mogłabyś zranić jego uczucia.

- Ależ broń Boże. Kto to jest Danny?

Pani Carver, mająca, jak się okazało, na imię Gloria, wskazała elegancko ubranego mężczyznę około trzydziestki, stojącego za barem. Danny prezentował wszystkim mały czarny wąsik i twarz jakby wykutą w kamieniu. Na jego widok, z powodów, które były dla niej nie do końca jasne i których nie miała chęci zbyt dokładnie analizować, Hayley poczuła ciarki.

- I co dalej? - zapytała.

Gloria Carver cmoknęła parę razy, co oznaczało, jak Hayley zdążyła się zorientować po kilku godzinach spędzonych w towarzystwie starszej kobiety, że głęboko analizuje sytuację.

Chodziły, defilowały, stały na Hollywood Boulevard, rozmawiając, flirtując i generalnie próbując zdobyć klientów. To doświadczenie wywołało gwałtowne wydzielanie adrenaliny w organizmie Hayley. Szalały w niej emocje, czuła, jak zastrzyk hormonów wprawia w dygot jej nogi, wyciska łzy z oczu, przyspiesza kilkakrotnie bicie serca. Udało jej się zamaskować objawy strachu, co świadczyło o jej zdolnościach aktorskich, była jednak wypompowana, wyczerpana z wysiłku. A wieczór dopiero się zaczynał.

- Chodźmy - zakomenderowała Gloria, potrząsając głową w stronę zaplecza klubu.

Na miękkich, niepewnych nogach Hayley ruszyła za nią. Znajdowała się w niebezpieczeństwie i zdawała sobie z tego sprawę.

Ale Tonja zdobyła dla niej kopię *Lady Paradise*. Hayley przeczytała ją trzynaście razy; rolę Toni znała już na pamięć. Była jakby napisana specjalnie dla Hayley Scott. Była doskonała. Boże, i to jak doskonała!

Lecz była napisana jak dla wielkiej gwiazdy. Życiowa rola dla każdej aktorki, która ją otrzyma i nikt tak rozsądny jak John Callahan nie zmarnuje jej dla nowicjuszek, nawet jeśli ta nieznana aktorka ma sławną siostrę, która przypadkiem jest jego byłą żoną. Zwłaszcza jeśli ta sławna siostra jest jego byłą żoną.

A jednak... żadna aktorka w tym mieście nie będzie miała takich kwalifikacji, takiego przygotowania i tylu doświadczeń życiowych, co Hayley.

Gdyby tylko mogła zdobyć je tej nocy...

Posuwała się za Glorią Carver, chwiejąc się leciutko w swoich czarnych butach na platformach. Obcisłą czerwoną spódnicę i bluzeczkę na ramiączkach z czarnej elastycznej koronki zdobyła w sklepie z kostiumami teatralnymi - taki prywatny żart, który tylko ona sama mogła docenić. Zastanawiała się też nad peruką z czarnymi prostymi włosami, ale rozmyśliła się w ostatniej chwili. Zamiast tego rozjaśniła pasemka swoich jasnobrązowych włosów i targała je bezlitośnie tak długo, aż osiągnęła wygląd, jakby brała udział w kręceniu teledysku MTV.

No i udało jej się idealnie wtopić w otoczenie. Jeszcze jedna dziwka na czatach. Hej, skarbie, szukasz czegoś smakowitego?

Kwestia prosto z *Lady Paradise*. Czy będzie śmiała jej użyć?

Korytarz na tyłach klubu śmierdział papierosami i paloną trawką. W mglistych czasach studenckich zaciągnęła się kiedyś skrętem koleżanki i zakasłała się aż do wymiotów. Nie lepiej poszło jej z alkoholem; kwaśny zapach piwa był odrażający, a wino powodowało trzydniowy ból głowy. O mocniejszych trunkach nie ma co wspominać. Poza wspaniałymi butelkami, wszystkie smakowały tak samo: okropnie.

Była dziewiczą dziewicą - i właśnie za jednym zamachem miała to wszystko zmienić.

Z drżącym sercem Hayley wkroczyła za Glorią do niskiego pokoju w końcu korytarza. Wewnątrz czekało trzech mężczyzn. Kiedy weszły, wszyscy stali, patrząc na drzwi. Dookoła porozstawiane były krzeselka i stoliki. Pokój wyglądał bardziej na miejsce spotkań niż na docelowe miejsce ich eskapady.

- O co chodzi? - szepnęła do Glorii.

- Ciii.

Słyszając ostry syk Glorii, Hayley zapadła w milczenie, koncentrując się dla odmiany na swoim galopującym sercu i trzęsących się kolanach. Pamiętaj o nagrodzie, przypomniawszy sobie szorstko. Pamiętaj o nagrodzie. Cel uświęca środki.

- Na górze, u Keitha - jeden z mężczyzn powiedział Glorii, nie patrząc nawet na Hayley.

- Ona jest w porządku? - zapytał drugi, ignorując obecność Hayley nawet wówczas, gdy o niej mówił.

Gloria wzruszyła ramionami.

- Keith ją chce - stwierdził trzeci z mężczyzn.

Hayley ogarnęła paniką. A więc to było to. To naprawdę było to!

- W porządku - Gloria zawróciła i Hayley szybko podążyła za nią.

- Kto to jest Keith? - zapytała, kiedy ruszyły z powrotem ku głównej sali lokalu.

- To właściwy człowiek, złotko. Właściwy człowiek.

Szła za Gloria, mijając kobiety kochające się z czerwonymi słupami, na ulicę, gdzie czekał czarny samochód. Hayley wśliznęła się na tylne siedzenie, obok Glorii. Kierowca, mocno zbudowany mężczyzna, uruchomił samochód, gdy tylko zatrzasnęły za sobą drzwiczki.

W powietrzu panował zaduch stęchlizny. Tanie perfumy Glorii przyprawiły Hayley o mdłości. Szybko otworzyła okno, aby wpuścić świeże powietrze i zajęła się obserwacją mijanych neonów i ruchu ulicznego.

Pamiętaj o nagrodzie.

„U Keitha” oznaczało apartament w kondominium. Kierowca zahamował koło wolnego miejsca postojowego dla inwalidów i zaparkował tam samochód. Hayley spojrzała na Glorię, która dała znak, aby wysiąść.

Gdy tylko stanęły na asfalcie, czarne auto odjechało.

- Jesteś gotowa? - spytała Gloria, a jej czerwone usta błyszcząły dziwną niebieską poświatą w świetle pobliskiej latarni ulicznej. Uśmiechała się, w pełni świadoma rozterek Hayley.

Pamiętaj o nagrodzie.

- Prowadź.

Weszły do przedsionka, w którym śmierdziało pleśnią i brudem. Gloria nacisnęła guzik windy.



- Daj mi mówić. Jedno słowo z twoich ust, a będą wiedzieli, że nie jesteś prawdziwa.

- Będę cicho.

- Będą chcieli, żebyś pokazała, co potrafisz, złotko. Nie myśl o niczym innym.

- Wiem.

- Wątpię, żeby ci starczyło odwagi.

Kiedy wsiadały do pustej windy, Hayley ścisnęła zębami wewnętrzną stronę policzka. Drzwi zamknęły się z łoskotem i z gwałtownym szarpnięciem winda, kołysząc się, ruszyła do góry.

W napiętej ciszy przeszły przez korytarz na trzecim piętrze aż Gloria zatrzymała się przed ciemnozielonymi drzwiami. Dwa razy lekko zapukała.

Drzwi otworzyły się niemal natychmiast. Fala dymu wypłynęła ze środka, jak powitalna mgła. Gloria wkroczyła do środka, za nią Hayley, trzymając się blisko.

Mieszkanie było umeblowane prymitywnie. Imitujący skórę zebry dywan leżał przed obitą czarnym skajem kanapą. Ściany zdobiły oprawione w ramki plakaty kiepskiej jakości, przedstawiające kobiece usta i inne części ciała. Rekwizyty na małym stoliku, którego fornir nadpalony był papierosami i naznaczony plamami rozlanej kawy, musiały zostać nabyte wprost z katalogu „Tygodnik Narkomana”.

Dwaj mężczyźni i blondynka, wyglądająca, jakby była pod wpływem narkotyków, siedzieli na krzesłach i kanapie. Mężczyźni przyglądali się Hayley i Glorii.

- Jak chcecie, żeby to zrobić? - spytała ich Gloria.

- Kto to jest? - zapytał szczuplejszy, mizerniejszy mężczyzna, wskazując Hayley.

- Przyjaciółka. Życzliwa przyjaciółka - dodała.

- Jestem obserwatorem - powiedziała Hayley.

Wszystkie oczy zwróciły się ku niej. Usta Glorii zacisnęły się w wąską, wściekłą linię. Mężczyźni po prostu czekali. Sama Hayley zdumiona była, słysząc swój głos. Miała wrażenie, że słowa wypowiedział ktoś inny.

- Taaak? - rzucił drugi mężczyzna. Papieros tłący się w jego beładnych palcach groził wypaleniem dziury w skaju kanapy.

- Nie biorę udziału. Przyglądam się.

- Siostro, kiedy tu jesteś, pracujesz.

- Kim ona jest, do cholery? - zapytał Mizerny bez energii.

- Jestem obserwatorem.

Hayley usiadła na najbliższym krześle, założyła nogę na nogę i zaczęła się modlić do łaskawego Boga, w którego nie wierzyła od lat.

Gloria Carver była wściekła.

- I nie dostaje za to pieniędzy. Ja biorę swoją część i jej. Ona tylko ma przyjemność z oglądania.

- Niezbyt przyjemne - włączyła się bez entuzjazmu blondynka.

Co za grupa przegranych typów, pomyślała Hayley i jej lęk przerodził się w pogardę. Narkotyki wypaliły im mózgi, pozbawiły energii. Wszelkie ruchy w pokoju wykonywali tak powoli, że zdążyłaby podejść do telefonu, zadzwonić na policję i mieć pod drzwiami brygadę antynarkotykową, zanim ktokolwiek z nich zdołałby mrugnąć okiem.

- Dobra, skarbie. Ty pierwszy. - Gloria wskazała na Mizernego, który zastanawiał się przez minutę - całą cholerną minutę - po czym posłusznie zaczął rozpinać suwak.

Hayley skupiła się na tych dwóch rzędach ząbków suwaka, osaczona przez złe wspomnienia, którym nie chciała się poddać. Gloria pochyliła się w jej stronę.

- Mówiłam ci, żebyś się nie odzywała - wysyczała jej do ucha.

Mężczyzna z papierosem podał go blondynce i Hayley zauważyła, że był to skręt. Blondynka zaciągała się nim tak długo, aż pozostał z niego poskręcany, żarzący się na czerwono węgielek.

Gloria uklękła, włożyła rękę w rozporek Mizernego, a potem nieubłaganie przybliżyła swoje czerwone, bardzo czerwone usta.

A Hayley skoncentrowała się na scenie, którą wyobrażała sobie czasami w chwilach, gdy rozpaczliwie potrzebowała spokoju. Otoczona sosnami sucha łąka, przecięta piaszczystą drogą. Jagodowe krzaki. Samotny orzeł, kołujący na tle jasnoniebieskiego nieba.

Coś z jej przeszłości? A może przyszłe przeznaczenie.

Cokolwiek by to było, powstrzymało ją przed wypadnięciem z pokoju, wymiotami i wrzaskiem.

\*\*\*

Wydobywając się z głębin snu Denise miała wrażenie, że coś jest nie w porządku, ale jej umysł stronił od zidentyfikowania problemu. Było jej gorąco pod ciężką kołdrą. Jak w pułapce. Coś mrocznego i groźnego wzbierało w jej głowie, pęczniało i kurczyło się, by znów wezbrać. Jakiś męski głos. Jak karmel. Delikatny, miękki i słodki. Ale zły.

Jęknęła przez sen i wtedy otoczyły ją ramiona Johna. Poczowała jego oddech na swej szyi. Dobry John. Cudowny John. Przytuliła się mocniej.

To nie może być John. Jestem w hotelu w Scottsdale. To tylko sen.

Ale jakże wspaniały sen. Żadnych zmartwień. Po prostu bezpieczeństwo.

Denise była o krok od obudzenia się, ale John zaczął całować jej kark, palcami gładzić pasma włosów, opadające jej na ramiona.

- Nienawidzę samotności - mruknęła, oddychając nierówno.

- Denise - wyszeptał miękko, zniewolony, a jego palce z większą śmiałością podążyły wzdłuż jej ręki ku krzywiźnie talii.

Wygięła się w jego kierunku, czując wręcz bolesną potrzebę poddania się jego miłości.

- Jesteś pewna? - tchnął gorącymi ustami tuż przy jej skórze.

- Tak... tak...

Nie było więcej oczekiwania. Odwrócił ją ku sobie, odrobinę gwałtowniej niż zwykle. Najczęściej John był taki słodki; i to właśnie najbardziej w nim kochała. Jego czułe uprawianie miłości. Powolną metodę pieszczona i drażnienia jej - „Sprawię, że będziesz chciała umrzeć z pożądania”.

Ale nie tym razem. Teraz cały składał się z mięśni, siły i żądy. Zakiełkowało w niej uczucie lęku. Nie było tak, jak miało być.

- Byłem napalony na ciebie od momentu, kiedy weszłaś

- powiedział, delikatnie kęsając zębami jej skórę. Delikatnie, ale z tłumioną pasją. - Myślałem, jak będziesz się o mnie ocierać, dosiadać mnie, jęcząc i stękając. O krzyku nas obojga...

- Przestań - szepnęła, a dzwonki w jej głowie rozdzwoniły się na alarm.

- Lubisz to robić ostro. Powiedziałaś, że lubisz ostro...

- Z ledwością mogła go zrozumieć, tak niski i nabrzmiący prymitywną żądzą był jego głos.

Krew wzburzyła się w jej żyłach. Denise miała wrażenie, jakby właśnie ukończyła bieg maratoński.

Wziął ją szybko, wdzierając się, pchając, torując sobie drogę w jej wnętrzu, jakby oczekiwał jakiegoś oporu. Lęk stopniał, przemienił się w znużoną akceptację. To było jej pisane. Zawsze. Tylko z Johnem było inaczej.

Zamiast walczyć, leżała spokojnie, przyjmując jego obce, męskie ciało i szorstkie, gardłowe słowa poniżenia, którymi ją smagał, jakby to była jej powinność. Zasłużyła na to. Zawsze na to zasługiwała. I jej chora, piekielna jaźń karmiła się tym.

Później, dużo, dużo później, otworzyła oczy i rozejrzała się po otaczających ją, niewyraźnych, szarych kształtach. Musiał być już środek dnia; przez szparę między zasłonami wpadało jaskrawe światło. Przyszedł do niej nad ranem, pachnąc whisky, nowym zapachem, bowiem John zawsze przychodził do łóżka smakując i pachnąc jak miętowa woda do płukania ust.

Nie spał. Czowała, że ją obserwuje, jeszcze zanim obróciła się, żeby na niego spojrzeć. Na jej twarzy pojawił się tajemniczy, porozumiewawczy uśmiech.

- Nie mogę w to uwierzyć - odezwał się głosem pełnym uwielbienia. - Po prostu nie mogę w to uwierzyć...

Po czym Brent McCaffey zamknął oczy i pochylił się, żeby wtulić nos w obnażoną pierś Denise.

Pamięć Denise powróciła. Znajdowała się w Scottsdale, a to nie był chory sen. To się działo! Właśnie teraz!

Cała się zatrzęsała. Nagłym ruchem odepchnęła Brenta. Ciężko dysząc zawinęła się w prześcieradło i wyskoczyła z łóżka, ciągnąc je za sobą.

- Co się stało? - zapytał zdumiony, wyciągając do niej rękę.

Leżał nagi w łóżku. No, prawie nagi. Zielony kondom, którego lateksowa powierzchnia nakrapiana była dziwacznie wyglądającymi, okrągłymi guzkami, zdołał jego sprawiający raczej niepozorne wrażenie członek.

Denise utkwiała spojrzenie w kondomie. A potem jej wzrok przesunął się koło Brenta na nocną szafkę, gdzie zielone pudełko z obrazkiem śmiejącego się kaktusa saguaro radośnie reklamowało:

KAKTUSOWE PREZERWATYWY. MUSISZ JEDYNIE DOSTARCZYĆ PENIS. Nigdy nie napisano prawdziwszych słów. Napadł ją atak histerycznego śmiechu.

## 5

Jesień zapanowała w centralnym Oregonie, przykrywając wszystko kocem złota, brązu i pomarańcza. Kolory były tak intensywne, że wydawały się nierzeczywiste, powietrze było suche i pełne kurzu w ciągu dnia, czyste i rześkie wieczorami. Ziemia czerwieniła się, pokryta korą wysokich sosen i kosodrzewiny; krajobraz wydawał się zbyt suchy, jak na powszechne wyobrażenie o Oregonie, za piękny, by był tak rzadko zaludniony.

Connor Jackley dorastał w Bend, mieście najbliższym Wagon Wheel. Chwytał bydło na lasso, pracował na ranczo, był graczem drużyny futbolowej w szkole średniej i kochał się pierwszy raz na tylnym siedzeniu forda swojej dziewczyny. Podłożył ogień pod kępę krzaczastej bylicy i niewiele brakowało, by wywołał pożar lasu, za co ojciec uderzył go mocno, raz, w twarz i powiedział, że trzeba zdobywać ludzki szacunek i odpowiedzialność.

Stróże porządku fascynowali go odkąd sięgał pamięcią. Miał wówczas pięć lat i obserwował, jak jego matka uśmiechając się i flirtując usiłuje uniknąć mandatu za przekroczenie szybkości. Policjant z drogówki poddał się z pełnym zrozumienia uśmiechem, ukradkiem patrząc na jasne loki siostry Connora.

To zdarzenie odcisnęło na nim mocne piętno. Chociaż później, jak w przyspieszonym filmie brał udział w wielu gwałtownych, przejmujących czy wprost groźących utratą życia wydarzeniach, tamta sytuacja pozostała wyraźnie i żywo w jego pamięci. Wybór, jakiego dokonał policjant z drogówki, poruszył młode serce Connora. Czy powinien, czy też nie,

wypisać mandat pięknej kobiecie z dwójką ślicznych dzieci? W tamtym przypadku odpowiedź brzmiała: nie.

Wiele lat później Connor często przywoływał tę kartę swojej pamięci. Czy powinien aresztować zasmarkaną, nadużywającą narkotyków prostytutkę, aby jej sutener musiał zapłacić za nią kaucję, czy też ją puścić? Czy powinien tolerować potok wulgarnych przekleństw, wydobywający się z ust ulicznika, czy też zawlec go za tyłek do więzienia? Czy powinien tak strzelić, żeby zranić marnego pedofila, który zaraził jedną ze swoich niewinnych ofiar wirusem HIV, czy raczej zabić go na miejscu?

Przez ten ostatni wypadek stracił pracę w policji. Postrzelił drania, zanim znane były wyniki testów na obecność wirusa HIV. Strzelił w kolano. Zrobił z niego inwalidę.

Nie, nie wyrzucono go z policji. Cholernik uciekał, próbując się osłaniać porwaną ofiarą, dziewięcioletnią dziewczynką. Kiedy tylko odepchnął ją na bok, Connor wymierzył w te żółte plecy i, do dziś nie potrafił powiedzieć, celowo czy przypadkiem, ręka opadła mu w ostatniej chwili, a pocisk trafił faceta z tyłu w kolano, zrywając ścięgna i roztrzaskując rzepkę.

To było za mało. O wiele za mało. Zwłaszcza gdy wynik testów krwi dziecka ujawnił zimną, tragiczną prawdę. Pozytywny. Wyrok śmierci w postaci lekarskiego zaświadczenia.

To było za mało nawet owej fatalnej nocy. Connor poszedł do wrzeszczącego, krzyczącego przestępcy i wycelował kreaturze prosto w twarz. Czy powinien zabić bezduszną gnidę? Czy powinien zakończyć jego pełne przemocy, nieważne życie?



Chciał to zrobić. Trzymał lufę pistoletu wymierzoną między oszalałe ze strachu oczy nędznika.

Connor skrzywił się na to wspomnienie. Majstrując przy radiu w wypożyczonym jeepie cherokee, rozmyślał nad figlami, płatanymi przez los. Nie pociągnął za spust. Tylko wycelował w łkającą, opanowaną strachem ofiarę i czekał.

Tchórze. To tchórze. Każdy z nich. Niektórzy ukrywali swoje tchórzostwo pod maską stoickiej, pozbawionej wyrazu twarzy. Inni płakali i dziwnie się zachowywali, nawet sikali w spodnie.

- Tchórze - powiedział głośno, w chwili gdy dźwięki nosowej, słodko-gorzkiej ballady country rozgrzały wnętrze jeepa. Uśmiechnął się do cisnących się wspomnień. Trudno było ignorować codzienność w stylu country-western w mieście takim jak Bend w stanie Oregon, gdzie każdy drogowskaz i reklama nawiązywały do koni, rodeo, gór, wypasu bydła i żywego inwentarza.

Spotkanie z zarażonym wirusem HIV gwałcicielem było ostatnim zadaniem w ciągu piętnastu lat pracy Connora w policji w Los Angeles. Odszedł po tym zdarzeniu, wśród protestów kolegów i współpracowników. Ale detektyw Jackley z sekcji zabójstw nie słuchał ich. Teraz, po dwóch latach od tamtych wydarzeń, prowadził na pół etatu na wpół legalną działalność jako prywatny detektyw, a najzabawniejsze w tej historii było to, że jego dawni koledzy z policji nadal korzystali z jego pomocy przy prowadzeniu swoich spraw. I tak...

Zmierzał do pokrytego pyłem, porośniętego krzakami jagód parkingu dla przyczep, w poszukiwaniu niejakiej Candy Daniels Whorton, córki Thomasa Danielsa i jego pierwszej żony, Jane. Sama Jane umarła ostatniej

wiosny na zawał serca, będący rezultatem dziedzicznych cech oraz niebywałego zamiłowania do jedzenia i picia. Według wszelkiego prawdopodobieństwa, nieszczęsna Candy sama przebyła pół drogi na spotkanie z Kostuchą, rozwijając odziedziczone po matce skłonności i prześcigając ją w miłości do jedzenia, która przybrała rozmiary ponad trzystu funtów wagi.

Było mu jej żal, chociaż nigdy jej nie spotkał.

Pełen ponurych myśli, Connor skręcił w drogę prowadzącą do Valley High Trailer Park i podskakując na wybojach dojechał do zakurzonej, samotnej przyczepy na samym końcu parkingu. Słońce odbijało się od zniszczonych, pomalowanych na biało i łososiowo ścian, oświetlając plamy rdzy, wypełzające spod nitowań i wokół drzwi.

- Candy-Dandy - mruknął Connor, wzdrygając się na wspomnienie bezmyślnego okrucieństwa tego imienia, które padło dziś rano z ust Gusa Dempseya. Niewątpliwie szeryf nie należał do osób zbyt subtelnie formułujących swoje poglądy. Connor zdażył już zapomnieć o wypowiedzianych otwarcie, niepoprawnych politycznie opiniach Gusa, ale godzina spędzona z nim dziś rano pozwoliła mu wszystko to sobie przypomnieć z ogromną dokładnością.

- To Candy powiedziała mi o tej aktorce, Denise Scott. Powiedziała, że były przyrodnimi siostrami. Sądziłem, że kłamie. - Dempsey roześmiał się głośno. - A ty? Ty byś tak nie pomyślał? Przecież to gotowy artykuł do „National Enquirer”!

- Fakty z życia Denise Scott opisywano już chyba setki razy. - Connor rozczarował go.

- Ho, ho. - Dempsey nalał sobie następną filiżankę kawy, zaproponował dolewkę Connorowi, który potrząsnął głową, potem przysiadł

na brzegu biurka, jakby przymierzał się do dłuższego opowiadania. - Candy ma tyle wycinków, że aż trudno uwierzyć. Siedzi losy tych dziewczyn. Przez cały czas, kiedy wszyscy głowili się, kim one są, ona wiedziała.

- Dziewczyn.

- Trzech sióstr. Denise i Diane, tak mi się wydaje. Nie, jakoś inaczej, trzecia ma na imię Hildegarde, albo coś w tym stylu. Nie przywiązywałem do tego wagi. To ta aktorka go zabiła. Candy tak powiedziała.

- Gdybyś był tego pewien, wezwałbyś Denise Scott na przesłuchanie. Po prostu nie chcesz popełnić błędu, żeby cały świat nie śmiał się z głupka z leśnej głuszy. - Connor uśmiechał się, aby jego stary przyjaciel się nie obraził.

- Jak zawsze masz rację. Nie chcę mieć z tym nic wspólnego. Cenię to, co mam tutaj. - Wskazał ręką na niezbyt okazałe otoczenie biura okręgowego. - Jesteś tu po to, żeby zapewnić mi zachowanie tego wszystkiego.

- To znaczy?

- Och, nie bądź taki tępy, Jackley. Ta sprawa może okazać się sporym paskudztwem, jeśli nie będzie prowadzona z wyjątkową ostrożnością. Nie chcę mieć z nią do czynienia. Wolałbym chyba, żeby sprawa ucichła i nigdy nie stała się przedmiotem śledztwa. I po to tu jesteś.

Connor uśmiechnął się półgębkiem.

- Czy chcesz mi powiedzieć, że jesteś leniwy i skorumpowany?

- Nie jestem Urganisem - prychnął Gus, wspominając poprzedniego szeryfa, który został przyłapany na zdradzie małżeńskiej i paru innych rzeczach przy okazji. Szeryf Urganis został wykopany z domu oraz z pracy.

- Po prostu mi się nie chce - mówił dalej Gus. - Musisz jednak zrozumieć, jak się sprawa przedstawia. Thomas Daniels... - Radosna, przyjazna twarz Gusa wykrzywiła się w grymasie. - Otóż okoliczni mieszkańcy uznali dzień jego zniknięcia niemal za święto narodowe. Nie chcę, żeby ktokolwiek niepotrzebnie został skrzywdzony.

- Muszę ci przypomnieć, Gus, że ty tylko łapiesz przestępców. Sąd decyduje o tym, kto będzie ukarany.

- Czy ja tego nie wiem? - parsknął zdegustowany. - Cały ten pieprzony system!

- A więc jestem tutaj, żeby dowiedzieć się paru rzeczy w sposób nie budzący podejrzeń, a potem mam wrócić do Los Angeles.

Przez krótką chwilę oczy Gusa zaświeciły się tak dobrze ukrywaną inteligencją.

- Rozumiem, że tego mamy się trzymać, co, Jackley? Pojedziesz do Los Angeles, aby znaleźć te dziewczyny, jednak przedtem...

Wręczył Connorowi kartkę z adresem Candy Daniels. I był tutaj.

Connor gwałtownie zahamował, koła z poślizgiem wryły się w piasek, a cherokee zarzęził wysokim, piskliwym tonem, jakby chciał uciec stąd jak najdalej, ruszyć do akcji, w przyszłość.

Powietrze na dworze zdawało się zadziwiająco chłodne przy tak intensywnym, palącym słońcu. Connor przeciągnął się, wyciągając ręce nad głowę, po czym udał się w kierunku na wpół przegniłego, drewnianego ganku, na którym znajdowały się drzwi. Deski skrzypiały złowieszczo pod jego butami. Unosząc niedomkniętą siatkę, zapukał do drzwi.

Odgłosy szurania i ciężkich kroków dały mu znać, że ktoś jest w środku. Powolne kroki wyraźnie się przybliżały. Po chwili drzwi lekko się uchyliły i podejrzliwy kobiecy głos zapytał: - Kto tam?

- Connor Jackley. Szeryf Dempsey prosił, żebym z panią porozmawiał o zabójstwie Danielsa.

- Tak.

- Jeśli nie ma pani nic przeciwko temu - dodał cierpliwie. Drzwi otworzyły się odrobinę szerzej, a w głowie Connora

rozbłysło czerwone światelko alarmowe, bowiem jego oczy napotkały ciemny i groźny wylot rewolweru kaliber 38. Kiedy przeniósł spojrzenie wyżej, dojrzał parę podkreślonych czarną kreską, niebieskich oczu, w których mieszały się podejrzliwość, nieufność i wrogość. Los mocno dokopał Candy-Dandy, a jej ogromne cielsko powodowało, że się wyróżniała, czy tego chciała, czy też nie.

Okrutne, okrutne zrządzanie losu.

- Chciałem porozmawiać o Denise Scott i jej siostrach. Rozumiem, że są to pani siostry przyrodnie.

- Akurat się do tego przyznają - szyderczo uśmiechnęła się Candy.

- Czy mogę... wejść.

Przez cały czas bacznie obserwując Connora, Candy popchnęła lufą drzwi, aby otworzyły się jeszcze trochę szerzej, a potem dała znak, aby wszedł.

Miał ogromną nadzieję, że przeklęta broń nie jest nabita.

\*\*\*

Dinah obudziła się razem z ptakami. Poprzedniej nocy nie zmrużyła oka. W jej głowie kotłowały się wściekłe myśli i troski, więc wierciła się na

łóżku tak bardzo, aż zaczęła się martwić, że John Callahan może przyjść do jej sypialni i sprawdzić, o co ta cała chryja.

Ta myśl szybko ją uspokoiła, ale potem długo leżała bez ruchu, wsłuchując się w bicie swojego serca, reagując na najmniejszy skrzyp czy trzask w domu. Słyszała telefon, dzwoniący w środku nocy, ale Callahan odebrał go, zanim zdążyła wyciągnąć rękę. Trochę spodziewała się, że wpadnie do jej pokoju, pogrozi jej palcem i huknie:

- Oszustka! - ale nic takiego się nie zdarzyło. Na razie...

Wciągnęła na siebie dzinsy i czarną podkoszulkę, związała włosy w koński ogon i właśnie myła zęby, kiedy przyszło jej na myśl, że zupełnie nie wygląda jak Denise. Tak, oczywiście, surowiec był taki sam, lecz Denise zawsze, bez względu na sytuację, wyglądała co najmniej czarująco. Tymczasem Dinah była zwyczajna, jak ubranie seryjnej produkcji.

Strojąc miny do swojego odbicia w łazienkowym lustrze rozważała możliwość pogrzebienia w ciuchach Denise, ale szybko porzuciła ten pomysł. W porządku, może się nieco podmalować. Ale umie pracować tylko w niebieskich dzinsach i, na Boga, nie będzie zmieniać sposobu ubierania się nawet ryzykując, że zostanie zdemaskowana.

- Nie prosiłaś o to - wyszeptała, pokazując palcem na swoją skrzywioną twarz.

Jakaś jej część chciała oczyścić sytuację i wyjaśnić okoliczności, czuła jednak wyraźnie, że taka postawa nie stopiłaby lodów między nią i Jego Wysokością. Bóg jeden wie, jaką karę mógłby nałożyć - bardziej na Denise niż na nią, była tego pewna. Może więc nie powinna się przejmować. Callahan nie mógł się dowiedzieć od kogoś innego, że Denise ma siostrę

bliźniaczkę, a Dinah była mocno przekonana, że Denise trzymała tę informację w tajemnicy. Denise miała wprawę w utrzymywaniu sekretów.

Jeśli jednak istotnie dom należał do niego, musi się wynieść. Nie mogła udawać Denise i kręcić się tu przez cały dzień, skoro dom nie był jej. Jaki byłby tego sens? Na dodatek John Callahan, mając wystarczająco dużo czasu, niewątpliwie zaczęłyby coś podejrzewać.

A właściwie co on tutaj robił? Powinien być na planie tego przekłętego filmu; Denise miała jasne zdanie o jego obsesyjnym zaangażowaniu w pracę.

Dinah zmrużyła oczy i w myślach zaczęła przeglądać różne scenariusze, po kolei je odrzucając. Nie pozostawało nic innego do zrobienia, jak tylko zachowywać pozory - przynajmniej teraz. A to oznaczało konieczność upodobnienia się do Denise.

Czując się jak podglądacz, Dinah ostrożnie wyciągnęła kilka szuflad, aż znalazła schowane szminki, róż, tusz do rzęs, konturówki do oczu i parę małych narzędzi tortur do regulacji brwi i podwijania rzęs. Prawie wszystko było jeszcze w oryginalnych opakowaniach, kupione i zapomniane.

Rozpakowawszy te artykuły do makijażu, Dinah starannie nałożyła na powieki delikatny brązowy cień, potem podkreśliła oczy brunatną kredką i brązową maskarą. Muśnięcie różem policzków i pachnący brzoskwiniami błyszczak na usta dokończyły jej przeobrażenia.

Kiedy Dinah rzuciła okiem na swoje odbicie, dreszcz przebiegł jej po plecach i mimowolnie się zatrzęsła. Z wyjątkiem włosów, wyglądała jak swoja siostra bliźniaczka. Aż za bardzo. A jednak nawet to mogło nie wystarczyć do dalszego zwodzenia Johna Callahana.

Nie była jednak w stanie znieść myśli o podkreśleniu szopy jasnych gładkich włosów, toteż z powrotem zaczesła je do tyłu i zaczęła grzebać w szufladach Denise, poszukując jakiejś frotki albo ozdobnej wstążki.

Bez rezultatu. Czyż Denise mogłaby po prostu ściągać włosy gumką?

Dinah ustawiła odpowiednio boczne części trójskrzydłowego lustra, obróciła się i poddała inspekcji swój profil. Poczowała przyływ natchnienia. Szybko upięła włosy w kok na czubku głowy, pozostawiwszy kilka swobodnych pasm, okalających twarz. Trochę staroświecko, trochę modnie. To był styl Denise w *Blindsided*.

Dinah cofnęła się i, pełna zdumienia dla swej transformacji, otworzyła usta. Już od bardzo wielu lat nie ubierała się jak Denise. Od całych wieków, jeśli mierzyć to zdobywym doświadczeniem i dorosłością. Nigdy nie chciała być swoją siostrą. Zawsze unikała naśladowania jej w jakikolwiek sposób. Z zazdrości? Bo Denise była ładniejsza, dziksza, śmielsza? Możliwe. Ale także z chęci odkrycia własnych talentów i potrzeb. Odkrycia samej siebie.

Wychodząc ze swojej sypialni, rozejrzała się na wszystkie strony. Nie było ani śladu Callahana.

Cichutko, łowiąc uszami najlżejsze odgłosy, przebiegła na palcach koło drzwi pokoju Denise ku schodom w głębi domu, prowadzącym do kuchni. W domu panowała cisza i poranny chłód.

U dołu schodów zawahała się i wyjrzała za róg. W kuchni było pusto i ciemno. Zegar cyfrowy na kuchence wskazywał 5. 30.

Dinah wydała westchnienie ulgi, uświadomiwszy sobie po pewnym czasie, że stale wstrzymywała oddech. Skierowała się prosto ku perkoczącemu już ekspresowi do kawy, który zaprogramowała wczoraj



wieczorem, gdy była jeszcze przekonana, że jest jedyną lokatorką tego domu.

A teraz musiała go opuścić przed wschodem słońca albo stanąć przed lufą pistoletu o świcie.

Albo coś w tym stylu.

Nagle pomyślała o wszystkich swoich notatkach, porzucanych po bibliotece Callahana. Jak wyjaśni nagłe zainteresowanie Denise pisaniem?

Nie bacząc na hałas, pobiegła przez mrok do biblioteki. Z bijącym sercem oczekiwała, że zastanie Callahana siedzącego przy komputerze, ślęczącego nad jej ostatnim artykułem.

Ale pokój był nieoświetlony. Pusty.

Trzęsącymi się rękoma odnalazła wszystkie swoje zbiory w komputerze i usunęła je. Potem zebrała dyskietki z notatkami i wyciągnęła z kosza wszystkie papiery, które wyrzuciła do śmieci. Papiery wrzuciła do kominka i podpaliła.

Płomienie migotały pomarańczowym, nieziemskim blaskiem, odbijającym się w kątach pokoju, gdy papiery zapalały się i nikły w ogniu. Myśli przelatywały przez głowę Dinah jedna za drugą. Zapaliła lampę na biurku i rozejrzała się dokoła, poszukując jeszcze innych śladów kariery pisarskiej Dinah Scott. Jeśli nie liczyć dyskietek, była bezpieczna.

W kuchni zaczęła się intensywnie zastanawiać, stale mocno ściskając w rękę stosik dyskietek. Dziecinny strach zmusił ją do wsunięcia ich do pudełka z ciasteczkami, na wypadek, gdyby Jego Wysokość miał nadejść.

Nagle dotarło do niej, że rzeczywiście będzie musiała się dzisiaj wynieść. Flick będzie poruszony, ale ku własnemu zdumieniu wcale nie paliła się do opuszczenia Los Angeles tak bardzo, jak sądziła wcześniej.

Obserwując krople kawy, kapiące do dzbanka, Dinah zmarszczyła brwi, rozważając różne możliwości. Powinna porozmawiać z Denise, tymczasem nie wiedziała, gdzie jej szukać. Czy uciekła z tym Derekiem? Callahan zdawał się tak myśleć. Ale to było w okresie rozvodu i wiele rzeczy mogło się wydarzyć od owego czasu. Denise utrzymywała, że korzysta z pomocy psychologów i głównie dlatego Dinah zgodziła się na tę maskaradę.

Ale gdzie jest?

Kawa przestała kapać, więc Dinah naląła sobie filiżankę irytująco drżącymi rękami. Była zła. Zła na siebie, że pozwoliła Denise narzucić warunki umowy. Denise wiedziała, gdzie ona będzie, podczas gdy Dinah nie miała pojęcia, gdzie przebywa zwariowana siostrunia.

I jakie może mieć kłopoty.

I z kim...

- Psiakrew, psiakrew, psiakrew - zamruczała, przenosząc napełnioną po brzegi filiżankę na stół. Czuła, że bardzo potrzebuje dawki kofeiny.

Na widok paska podtrzymującego nisko osadzone džinsy krzyk uwiązł jej w gardle. Rozlana kawa oparzyła jej przegub.

- Cholera - warknęła, kiedy Callahan rzucił się do przodu, by ratować ją, kawę, a może wyłożoną kafelkami podłogę, gdyby miała upuścić filiżankę. - Co sobie do diabła wyobrażasz? - zapytała z furią Dinah. - Tak się skradać!

- Sądziłem, że ktoś się włamał. Chciałem go przyłapać.

- A nie przyszło ci do głowy, że to mogę być ja?

- Nie - przyznał uczciwie. - Od kiedy wstajesz tak wcześnie.

- Odkąd... odkąd powiedziałaś, że nie mogę tu dłużej mieszkać! - wybuchła Dinah.

Uśmiechnął się i choć był to właściwie uśmiezek pełen niedowierzania, był tak bardzo czarujący, że Dinah musiała odwrócić wzrok, by uciec przed jego magnetyczną siłą.

- Akurat byś mnie posłuchała - powiedział z ironią. - Na litość boską, Denise, kiedy ostatni raz się włamałaś, trzeba było gwardii narodowej, żeby cię usunąć.

- Ostatni raz? - Dinah nie mogła się powstrzymać od zadania pytania.

Niecierpliwie machnął ręką.

- Na planie. Wiesz przecież.

Dinah obdarzyła go niewyraźnym uśmiechem, nadal zakłopotana.

- Cóż, nie była to dosłownie gwardia narodowa - przyznał, bacząc się jej przyglądając. Ponieważ się nie odzywała, dodał. - A więc te poranne chwile przy kawie oznaczają, że szykujesz się do odejścia.

- Nie mam ochoty być wyrzuconą z hukiem jak wczorajszej nocy. Sama decyduję o sobie.

- Tak, racja. - Był rozbawiony, co zirykowało Dinah. Nie chciała się wynosić. A już z całą pewnością nie miała ochoty, aby do niego należało ostatnie słowo. Zaciśnęła wargi, doszła bowiem do wniosku, że chwilowo najlepszym rozwiązaniem będzie granie na zwłokę.

- Gdybym zadała ci parę pytań... o warunki naszego rozwodu, czy potrafiłbyś mi szczerze na nie odpowiedzieć? Czy mógłbyś założyć, że naprawdę ich nie znam, tak żeby mogła jeszcze raz wszystko usłyszeć?

Callahan powoli potrząsnął głową, a swymi niebieskimi oczami szukał jakiegoś wyjaśnienia w jej oczach.

- Dlaczego?

- Bo... to wszystko wydaje mi się jakby za mgłą - odparła Dinah, zadowolona ze swojej pomysłowości. - Leczę się, przecież wiesz.

- Ty stale się leczysz.

Gdyby nie było to takie tragiczne, mogłaby się roześmiać. Jak doskonale oboje znali Denise!

- Spraw mi przyjemność, dobrze? Mój terapeuta twierdzi, że powtarzanie w kółko prawdy dobrze mi robi. – Poruszała się po niepewnym gruncie, ale niewątpliwie zabrzmiało to diabelnie dobrze. - To mi pomaga utrzymywać formę psychiczną.

- U kogo się leczysz? - zapytał John.

- U doktora Runyana - krótko odrzekła Dinah. Wyżeł Flicka miał na imię Runyan.

Zamiast odpowiedzieć, nalał sobie filiżankę kawy i ostrożnie przełknął. Jego twarz wykręciła się w komicznym grymasie zaskoczenia.

- Och! Mocna!

Już otwierała usta, żeby powiedzieć: - Taką lubię - szybko jednak zmieniła zamiar.

- Potrzebowałam jakiegoś bodźca.

- Domyślam się!

- Za mocna dla ciebie.

Utkwił w niej uważne spojrzenie.

- Co się z tobą dzieje? - Omiótł wzrokiem jej czarną koszulkę i džinsy.

-I co z twoim ubraniem? Kupujesz seryjną odzież w „The Gap”.

Dinah patrzyła zimno. Najlepszą obroną jest atak.

- Masz więc zamiar mi pomóc, czy nie? Wszystko zależy od ciebie.

Opowiesz mi o rozwodzie?

- To ty nie potrafisz rozmawiać o rozwodzie. Zawsze zaczynasz wrzeszczeć, wyzywać i przeklinać.

- Teraz tego nie zrobię.

- Gówno prawda.

- Obiecuję.

- Akurat, twoje obietnice nie są warte funta kłaków. Daj spokój, Denise - dodał znużonym głosem, jakby był zmęczony tą grą. - Nie mam czasu. Jestem w trakcie realizacji filmu.

- Wobec tego co tu robisz?

- Odrobina relaksu.

- Tak? Wydawało mi się, że żyjesz i oddychasz filmem w czasie jego kręcenia. Musiało zdarzyć się coś, co cię sprowadziło do domu.

- Jedna noc w Malibu to nie wakacyjna podróż dookoła świata. Zawsze mogę wrócić do pracy. - Przyjrzał jej się znad brzegu filiżanki z kawą. - Zupełnie cię nie rozumiem.

Jego zainteresowanie wzrosło, na twarzy poczuła taksujące spojrzenie. Krew napłynęła jej do głowy. Do tego momentu traktował ją z lekceważeniem, rozdrażnieniem i odrobiną rozbawienia, jakby była zwykłą błahostką, a nie myślącą i czującą ludzką istotą. Teraz jednak zaczynała go ciekawić. Zły znak. Czas na ucieczkę.

- Zbiorę tylko rzeczy i wynoszę się.

Usiłowała przemknąć obok niego, ale jego silne palce pochwyciły nagle jej ramię, obracając ją ku niemu. Jej tętno falowało nerwowo. Z tak

bliskiej odległości mogła dostrzec kolorowe plamki w jego oczach, złote i zielone na tle głębokiego, promiennego błękitu.

A mówiono, że to ja mam piękne oczy, pomyślała nielogicznie, przypominając sobie doniesienia prasowe na temat oczu Denise Scott o barwie akwamarynu, identycznych jak jej własne.

- Bez walki? - zapytał miękkim, głębokim głosem.

- Bez walki. - Jej własny głos był drżący, pozbawiony tchu.

Czuła każdy mocny palec, wpijający się w skórę. Zerknąwszy w dół, zobaczyła te długie, opalone palce, owinięte wokół jej czarnej podkoszulki.

- Kiedy poprosiłem o rozwód, przysięgłaś, że obetniesz mi jaja i poczęstujesz nimi na przystawkę Lauralee Gentry. - Przerwał, uważnie badając ją wzrokiem.

Lauralee Gentry. Rudowłosa modelka o głosie małej dziewczynki. Jedna ze zdobyczy Callahana. Złe przeczucie zakradło się do duszy Dinah, przypomniała sobie bowiem o jakimś skandalu, w który zamieszana była Denise.

Callahan wyjaśnił. - A potem wezwałaś prasę i oświadczyłaś, że Lauralee powiększyła sobie biust, wypełniając go szampanem, a nie silikonem czy wodą.

Przez szaloną chwilę Dinah omal nie parsknęła śmiechem. Dokładnie przypomniała sobie to zdarzenie, chociaż myślała zawsze, że w opisaney historii błędnie przytoczono wypowiedź Denise; w końcu nawet niepoczytalność Denise miała swoje granice. Teraz zaczynała w to wątpić.

Denise, ty wariatko!

Chociaż Lauralee też nie była takim aniołem. Kręciła z mężem Denise za jej plecami i opowiadała dziennikarzom, że jest już zaręczona z Johnem Callahanem - na długo przed rozpoczęciem sprawy rozwodowej.

- Kochałeś ją? - Z ciekawością zapytała Dinah. Brwi Johna pojechały do góry.

- Czy ją kochałem?

- Czy dlatego zdradzałeś?

- Nigdy nie przespałem się z Lauralee Gentry - oświadczył stanowczo.

Szybko wyciągnęła wnioski z tej wypowiedzi, choć była przekonana, że nie chciał niczego ujawniać.

- Ale były inne.

- Byli też inni w twoim łóżku - przypomniał jej zimnym głosem, w którym dźwięczało ostrzeżenie, że jeśli chce igrać z ogniem, musi się poparzyć.

Dinah pogrzyżyła się w bezpiecznym milczeniu. Najwyraźniej był to nowy, jak na Denise, chwyt, bowiem John Callahan zaczął się jej przyglądać jeszcze uważniej, kiedy wreszcie puścił jej rękę. Usiadł za stołem, zdając się nie zauważać, że nadal trzyma w dłoni filiżankę z kawą, i wbił twardy wzrok w jej twarz - jakby nigdy wcześniej jej nie widział.

Co wcale nie było dalekie od prawdy.

Nie wiedziała, czy ma wyjść, czy zostać. Chciała wyjść. Naprawdę chciała wyjść, ale jej nogi zdawały się nie przyjmować poleceń. Stały twardo, wojowniczo, jakby wrosnięte w podłogę z terakoty.

- Mnie przyznano dom, ty dostałaś pieniądze za „Cosmos”, chociaż ani grosza z nich nie zarobiłaś. Ja dostałem wolność, ty Dereka. Zgodnie z

intercyzą, zatrzymałem swoje rzeczy i oszczędności; ty zatrzymałaś swoje. Jasne?

- Jasne.

- A teraz obrażasz mnie oskarżeniami o Lauralee Gentry i Tii Martinez.

Tia Martinez. Gwiazdka, mająca 48 centymetrów w talii i, rzekomo naturalne, 100 centymetrów w biuście. Tia Maria, jak nazywała ją prasa, uwielbiała opowiadać o najdrobniejszych szczegółach swojego życia.

- Czy nie obsadziłeś jej w swoim ostatnim filmie?

- Dostała jedną z ról w *Fortunacie*.

Dinah prychnęła.

- Cholernie dobrze wiesz, że nie zadaję się z nikim w trakcie realizacji filmu.

- Każda kobieta, która nazywa się tak jak drink, jest pewnie osiągalna po godzinach - wyniośle stwierdziła Dinah. - Jestem jednak przekonana, że miałeś dużo skrupułów i trzymałeś się od niej z daleka.

- Więcej niż ty.

- W porządku, starczy już tego. - Dinah nie lubiła walczyć, gdy wiedziała, że nie może wygrać, a taka sytuacja właśnie miała miejsce. - Popatrzmy na fakty. Po rozwodzie ty zachowałeś karierę, natomiast imię Denise Scott na zawsze zostało połączone ze skandalem. Nie ma znaczenia, co ty zrobiłeś, ważne jest to, co zdaniem prasy zrobiła Denise. Wygodna podwójna moralność.

Tego właśnie doświadczyła Denise po rozstaniu z Johnem. Nie od razu. Nie natychmiast. Ale jej szacunek do siebie samej, od początku niezbyt



duży, legł w gruzach. Prasa ją zniszczyła, tymczasem John Callahan, przedstawiciel panującej płci, wyszedł bez szwanku.

Świat naprawdę należał do mężczyzn.

- Zasłużyłaś na każdą negatywną opinię, jaką wydrukowano w gazetach - odparł bezlitośnie.

- Czyżby.

- Tak.

- A czy zasłużyłam na utratę domu?

Błysk emocji pojawił się w jego oczach. Aha! - pomyślała z triumfem Dinah. Szczelina w pancerzu! Jego Wysokość czuł się winny, że wykołował Denise. Zdumiało ją, że był zdolny do emocji.

- Czego chcesz? Czego naprawdę chcesz?

- Chcę tu zostać - usłyszała swoje słowa. - Chcę odzyskać część tego wszystkiego.

Oczy mu pociemniały. Wokół ust pojawiły się zmarszczki. Zamiast odpowiedzieć, chwycił wczorajszą gazetę, leżącą na stole tam, gdzie ją Dinah zostawiła. „Santa Fe Review”. Otwarta na stronie z artykułem Dinah Scott...

- Dobrze - wyrzucił z siebie. - Nie będę tu długo, więc możesz...

Dinah wyrwała mu gazetę z ręki. Kiedy wkładała ją sobie pod pachę, szczeka opadła mu z zaskoczenia.

- Ja to czytałam.

Przez chwilę gapił się na nią, a potem odchylił głowę do tyłu i z piersi wyrwał mu się głęboki rechot. Boże! Co on musi sobie myśleć! Nie miała jednak czasu na subtelniejszy plan. Jak miała wyjaśnić swoje imię i

„Review”? Myślałby, myślał i myślał, aż w końcu dotarłby do prawdy. Taki miał charakter.

- Nie wiem, co w ciebie wstąpiło i naprawdę nie dbam o to. Powiem tylko, że jest to sto razy zabawniejsze niż twoje zwykłe sztuczki. Zostań tak długo, jak chcesz. - Wstał i ręką wykonał pompatyczny gest zaproszenia.

Następnie, pokonawszy schody w górę, zniknął, a jego śmiech słychać było na dole, pełny, zachrypnięty i nieodparcie męski.

Dinah wyciągnęła dyskietki z pudełka na herbatniki i pobiegła schronić się w zaciszu sypialni, a echo śmiechu Johna dudniło w jej głowie jak przekleństwo.

\*\*\*

Szósta rano. Zdaniem Connora za wcześnie, żeby skontaktować się z Dempseyem i porównać notatki, ale kiedy wczoraj skończył z Candy, była prawie północ i nie chciał przeszkadzać żonie Dempseya, dzwoniąc do szeryfa w środku nocy.

Siedział teraz nad kubkiem kawy przy kontuarze cukierni otwieranej wczesnym rankiem. Tak. Gus Dempsey wpadał tu regularnie. Bardzo często stereotyp świetnie charakteryzuje całą grupę; Connor przekonał się, że ma to miejsce częściej, niż wypadało przyznać. A Gus wyglądał na człowieka, który kroczy przez życie, jedząc ciastka i popijając kawę.

Obserwował dwie kobiety w fartuszkach, które ziewając krążyły między ekspresem do kawy i zapleczem, skąd wносиły tace pełne pączków. Connor, który dawno już zrezygnował z tłustego, smażonego jedzenia, poczuł, że ślina napływa mu do ust. Obecnie był chudy jak patyk i twardy - rezultat narzuconej sobie dyscypliny w uprawianiu ćwiczeń fizycznych i zdrowego sposobu odżywiania się. Pił rzadko, nie miał wielu wad. Nie

można pracować w sekcji do walki z narkotykami, a potem w sekcji zabójstw policji w Los Angeles bez pewnego poziomu samokontroli. Słabszych ludzi pochłaniała kusząca, mroczna strefa życia.

A ponadto codziennie otrzymywał swój zastrzyk adrenaliny obserwując brudne sceny i podejmując decyzje o życiu i śmierci, co wymuszała na nim praca w policji w Los Angeles. Kto by potrzebował silniejszych przeżyć?

- Czy mogę panu dołączyć? - zapytała młodsza z kobiet, trzymając napełniony kawą szklany dzbanek nad jego kubkiem.

- Oczywiście.

Jeszcze nie wyrzekł się kofeiny. W końcu gdzieś muszą być granice.

Dempsey wkroczył pół godziny później. Jego brzuch lekko zwisał nad paskiem spodni, w sam raz na tyle, by dowieść, że jest mężczyzną lubiącym drobne uciechy życia.

- Nie pokazałeś się wieczorem po spotkaniu z Candy-Dandy.

- Nie mogłem wyjść wcześniej. Dempsey uśmiechnął się leciutko.

- Uważaj. Candy ma ustaloną reputację w okolicy.

Rozumiejąc się bez słów, przenieśli się do oddzielnego boksu. Kelnerka przyniosła Dempseyowi kubek kawy i oblane czekoladą pączki.

Gus ugryzł pierwszy pączek, jednym gryzem pochłaniając połowę ciastka.

- Powiedziała ci, że jest kurwą? - mruknął z pełnymi ustami.

Connor zamieszał kawę.

- Powiedziała mi wiele rzeczy. Gus kiwnął głową.

- Pod wieloma względami to smutny przypadek. Co ci mówiła o Danielsie?

- Wiele rzeczy - ale mało faktów. Nie jest jedynym łącznikiem, prowadzącym do panien Scott, prawda.

- Nie. Ludzie pamiętają Danielsa, nawet jeśli nie pamiętają jego żony. A i dziewczyny dały się zapamiętać. - Z tylnej kieszeni Gus wyciągnął mały notatnik. - Były z tych, co chodzą do szkoły i wracają do domu. Nie za wiele nadzoru. Ale jedna z nich zaszła w ciążę i usiłowała zwalić winę na miejscowego chłopaka z dobrej rodziny.

- I co się stało?

- Nic. - Wzruszył ramionami. - Chłopak dorósł i mieszka teraz w Seattle. Dzwoniłem do niego. Jest z tego dumny - teraz kiedy ona jest sławną gwiazdą - ale poza nami, mieszkańcami Wagon Wheel, nie może nikogo przekonać, że sypiał z Denise Scott, gwiazdą filmową. On jest pyszałkiem, a ona spreparowała jakiś śmieszny życiorys, który nawet nie wspomina o Wagon Wheel, więc nic nie trzyma się kupy.

- Dziwię się, że nie sprzedał swojej historii jakiemuś brukowcowi - z ironią wtrącił Connor.

- Ależ sprzedał. Wydrukowano ją! Ale ta damulka ma już teraz tyle życiorysów, że nikt nie wie, czy pochodzi z Nowego Jorku, czy z Juneau na Alasce. A drobna aborcja w przeszłości nie jest żadną sensacją.

- Usunęła ciążę?

- Hm, jakiś lekarz stwierdził, że poroniła. Kto to może wiedzieć? Sądzę, że dlatego nie było plotek. Poronienie jest czymś smutnym, a nikt nie chciał żałować kogoś tak ślicznego i odnoszącego takie sukcesy jak Denise Scott. Zdradzanie na prawo i lewo tego syna króla filmu. Oto co interesuje ludzi. - W zamyśleniu przyjrzał się Connorowi. - Candy nic ci o tym nie mówiła?

- Nie, nie mówiła.

- Co więc ci powiedziała?

Connor westchnął. Rozmowa z Candy Daniels Whorton pozostawiła uczucie niepewności i lekkiego przygnębienia. Tyle było ludzi zagubionych na tym świecie, bezrobotnych, włóczęgów, ludzi z marginesu społecznego, których cała reszta traktowała z nieświadomą pogardą i z trudem skrywanym szyderstwem.

Otyłość Candy stanowiła jej najmniej atrakcyjną, a zarazem najbardziej oczywistą cechę. Człapiąc jak kaczka odeszła od drzwi, odsunęła na bok brudne naczynia, którymi zavalony był kuchenny blat, położyła tam trzydziestkę ósemkę, po czym opadła na kanapę, wskazując Connorowi plastikowe kuchenne krzeselko.

Zauważył ślady czerwonego sosu, przyklepione do oparcia, ale mimo to usiadł na krzeselku. Obserwowała go uważnie.

- Może papierosa?

- Nie, dziękuję.

- Szeryf wspominał, że chciał pan ze mną pogadać. Trochę się pana spodziewałam. - Zapaliła papierosa, a ciężki, szary dym pogłębił jeszcze ogólne wrażenie ruiny i zaniedbania.

- Thomas Daniels był pani ojcem?

- Tak.

- Był stolarzem.

- Miał sprawne ręce - powiedziała z uśmiechem. - Wychodził do pracy, a spędzał o wiele za dużo czasu z cudzymi żonami. Oberwał parę razy, za mało jednak, żeby przestać. Miałam jedenaście lat, kiedy mama wyrzuciła go z domu na dobre.

- I wtedy ożenił się z Niną Scott?

- Wprowadził się do niej, zanim zaczął starać się o rozwód. - Candy wzruszyła ramionami. - Byłam zadowolona. Uwolniłyśmy się od niego.

Connor zastanawiał się, czy to aby prawda, zdarzyło się to jednak tak dawno temu, że teraz nie warto już było w to wnikać.

- Czy kiedykolwiek poznała pani swoje przyrodnie siostry?

- Trzy aniołki - parsknęła śmiechem. - Wiedziałam o nich, pochodziły nie stąd. Ich mama rozwiodła się z ich tatą i przeprowadziła do Wagon Wheel. Wydaje mi się, że przybyły z południowego Oregonu, z Medford, Roseburg albo tak jakoś. Mieszkały tutaj tylko około trzech lat. - Candy ciężko westchnęła i zaczęła wydłubywać tytoń papierosa, który przykleił jej się do zębów. - Nina była śliczna. Tato z miejsca stracił dla niej głowę, a ona okazała się na tyle głupia, żeby go chcieć. - W jej śmiechu nie dźwięczała radość.

- Powiedziała pani szeryfowi Dempseyowi, że pani zdaniem jedna z siostr zabiła pani ojca.

- Nie powiedziałam tego w taki sposób - poprawiła pospiesznie. - Powiedziałam tylko, że miały mnóstwo powodów, żeby go nienawidzić, to wszystko.

- To znaczy?

Zza obłoku dymu posłała mu spojrzenie, w którym czały się głęboko skrywane myśli.

- Stale wsadzał im łapy pod sukienki. - Wzruszyła ramionami. - Całe miasto o tym wiedziało.

Connor miał wątpliwości. Candy nie miała nieskalanej reputacji cnotliwej niewiasty. Wyglądało na to, że jej myśli podążają tylko jednym

torem i podejrzewał, że opowiedziała mu raczej coś, w co chciała wierzyć niż coś, co naprawdę wiedziała.

- W jakim wieku były siostry, kiedy Thomas z nimi mieszkał?

- W wieku licealnym. Bliźniaczki właśnie zdały maturę, a najmłodsza, Hayley, była w drugiej klasie, tak mi się zdaje. Wszystkie zniknęły w tym samym czasie.

- Co się stało z ich matką?

- Och, umarła. Zawsze sprawiała wrażenie przygnębionej. Była nieobecna duchem.

- Nigdy nie chodziła pani z nimi do szkoły?

- Nie. Byłam młodsza od nich. Były naprawdę śliczne, ale głównie przebywały w swoim towarzystwie. Kto by pomyślał, że Denise zostanie gwiazdą filmową! - Przejmująca gorycz pojawiła się na jej twarzy. Przez chwilę Connor mógł zobaczyć jej własną niezwykłą urodę, piękno zagubione w fałdach tłuszczu, zniszczone latami ciężkiego życia.

- Mam zdjęcia - zaproponowała z lekkim ociąganiem - jeśli chciałby pan obejrzeć.

Począpiała do drewnianego, odrapanego stolika i wyciągnęła szufladę. Wewnątrz znajdował się tani, lecz zdumiewająco czysty album. Z lekkim zawstydzeniem wręczyła go Connorowi, który otworzył album i ujrzał pożółkłe z upływu czasu wycinki z gazet. Najwięcej dotyczyło Denise, jej kariery aktorskiej, jednak Candy umieściła tam również zdjęcia ze szkoły wszystkich trzech dziewcząt.

Blond włosy, niebieskie oczy, białe zęby - podobieństwo rodzinne było duże. Było coś uderzająco smutnego w tych zdjęciach.

- Nie wyglądają na szczęśliwe - zauważył.

Prychnęła z odrazą.

- Mój ojciec z nimi mieszkał.

- Nie sądzi pani, że śmierć ojca mogła być przypadkowa?

- Że roztrzaskał sobie łeb i sam siebie wepchnął do tego przepustu?

Niech pan nie będzie śmieszny!

- Może jakiś zazdrosny mąż go dopadł.

- Może. - Znów spojrzała na niego i znów wyczuł, że chowa jakieś tajemnice.

A może, skoro uchodziła za miejscową prostytutkę, taką pozę wybrała sobie, żeby zachęcać klientów.

- Po co w ogóle zajmować się tym zabójcą? - zapytała Candy. - Mój tato był śmieciem. Wszystkim nam jest lepiej bez niego, proszę mi wierzyć.

- Przerwano ludzkie życie - odparł, sprawdzając jej reakcję.

- Był śmieciem - powtórzyła beznamiętnie. - I w końcu ktoś zrobił z nim porządek.

Jeszcze sześć razy Connor wracał do tego tematu, za każdym razem próbując ją inaczej podejść, ale nie miała wiele więcej do dodania. Nic nie wiedziała o losach Hayley i drugiej bliźniaczki, która zdaniem Candy miała na imię Dinah.

Wreszcie doszedł do wniosku, że po prostu chciała być ważna i że był to starannie opracowany plan, żeby zobaczyć swoje imię w gazecie w połączeniu z nazwiskiem sióstr. Nie interesowała jej sprawiedliwość. Candy mocno wierzyła, że Thomas Daniels zasłużył na śmierć i że w końcu dopadło go przeznaczenie.

Kiedy od niej wychodził, bez większego zapału podjęła próbę spędzenia z nim nocy, a gdy odmówił, sprawiała wrażenie niemal



zadowolonej. Na pożegnanie powiedziała: - Nie jest nabity - jakby pytał ją o rewolwer.

Candy-Dandy była nieszczęśliwą istotą, wiodącą żalosną egzystencję i z powodów, których dokładnie nie umiałby nazwać, bardzo było mu jej żal.

Teraz patrzył na Dempseya, który pomimo nazwania jej „smutnym przypadkiem” wyraźnie nie czuł do Candy nic, poza lekką pogardą.

- Czy w pobliżu jest jeszcze ktoś, kto mógłby coś dodać na temat sióstr Scott?

Ostre spojrzenie Dempseya rozbłysło.

- A więc sądzisz, że zrobiła to jedna z nich?

- Nie mam pojęcia - szczerze odpowiedział Connor. - Nie wiem nawet, dlaczego nadal zajmuję się tą sprawą.

- Powiem ci, dlaczego. - Gus włożył do ust następne dwa ciastka i zjadł je tak samo szybko, jak pierwsze. Teraz lizał kciuk i zabierał się za wyjadanie okruszków. - Bo nie wiesz, co masz dalej robić ze swoim życiem na tej Bożej zielonej ziemi, a dopóki tego nie wymyślisz, ta zagadka jest równie dobrym sposobem spędzenia czasu, jak każdy inny.

Connor nie odpowiedział.

Dempsey popchnął w jego kierunku notes.

- Każdy zna jakiś maleńki kawałek. W zasadzie gdybyś poszedł do budki telefonicznej, dowiedziałbyś się nowych szczegółów o każdej z dziewcząt. Ale nikt nie wie zbyt wiele.

Connor wziął notes z oporami, czując, że znalazł się na progu czegoś, czego naprawdę nie chciał odkrywać. Krzywiąc się mruknął: - Mam do zabicia sporo czasu. Równie dobrze mogę zobaczyć, co mi się uda wygrzebać.

Taksówka wioząca Denise z lotniska do eleganckiej siedziby Carolyn posuwała się spowitą smogiem autostradą w ciągu innych pojazdów. Mercedes pozostał w odpowiedzialnych rękach Brenta McCaffeya; będzie odwieziony ciężarówką następnego dnia.

Ze zmęczenia zamknęła oczy, czuła ból ramion. Bała się myśleć zbyt intensywnie. Nie miała pojęcia, co zrobić z McCaffeyem, chociaż ten okazał się wystarczająco pojętny, by zabrać swoje kaktusowe prezerwatywy i zniknąć bez awantur. Mogła sobie wyobrazić, jak ten radosny drań opowiada wszystkim o nocy spędzonej z Denise Scott.

Poszedłem do łóżka z Denise Scott, tą aktorką!

Tak. Świetnie. Jeszcze jedno błyskotliwe posunięcie.

Denise skrzywiła się, zadowolona, że kierowca wyczuł jej nastrój i nie odzywał się, gdy pędzili przez szary mrok.

Nie miała ochoty wracać do Carolyn, ale gdzie indziej mogłaby pojechać? Nie miała prawdziwego domu. Była wędrowcem. Zagubioną duszą.

Jestem wyczerpana, pomyślała. Kompletnie, zupełnie wykończona.

Nie myśleć, nie myśleć, nie myśleć. Zacisnąć pięści i pozbyć się emocji. Wyrzucić je precz, w mroczną przestrzeń niebytu.

- Cholera, Denise - wyrwało jej się, a łzy pojawiły się w kącikach oczu. Nie działało. Nic już nie działało.

Taksówkarz zerknął we wsteczne lusterko. Ich spojrzenia się spotkały.

Denise objęła się mocno rękami i wtuliła w sweter. Nie była gotowa na konfrontację z Carolyn, ale nie miała wyboru. Kiedy odchyliła głowę i

położyła ją na oparciu, poczuła, że jej ciało staje się wiotkie. Kości miała jak z waty.

Pozwoliła płynąć łzom.

\*\*\*

Pół godziny później zapłaciła za przejazd taksówką i zaczęła iść długim, kamiennym podjazdem do frontowych drzwi Carolyn. Żadna wędrówka nie wydała jej się nigdy tak długa, dojście do drzwi zdawało się trwać wieczność, każdy krok był tak ciężki, że samo uniesienie kolan wymagało nadludzkiej siły.

Przed drzwiami, Denise trzęsąc się, głęboko wciągnęła powietrze. Gdy przyciskała dzwonek, palce jej drżały. Dźwięk dzwonka rozległ się wewnątrz jak sygnał alarmowy.

Wyczerpanie spowijało ją na niczym pajęcza sieć. Chwiejąc się na nogach Denise oczekiwała na wyrok. Doszedł ją odgłos przytłumionych kroków, przemierzających francuski dywan o długim, niestrzyżonym włosie. Przerwa. Ktoś się jej przyglądał przez judasza.

Nagle drzwi się otworzyły. Denise przełknęła ślinę. To był Peter. Ten od namaszczonego olejkiem penisa. Pan Hawaiian Tropics w całej swej nagiej okazałości. Takie było pierwsze wrażenie Denise, potem dopiero dostrzegła, że ma na sobie czarne spodenki kąpielowe.

- O, cześć! - rzucił takim tonem, jakby dokonał właśnie odkrycia. - Miło cię widzieć.

Wszystkie siły opuściły ją w tym momencie. Rozpadała się. Jakby była pod wpływem narkotyków. Stała bez słowa, z szeroko otwartymi oczami, a kompletna bezbronność, wiedziała o tym, malowała się na jej twarzy. Peter zrobił krok do przodu

I otoczył ją swoimi odrażającymi ramionami, ona zaś nie miała siły się opierać.

- Gdzie jest Carolyn? - wykrztusiła.

- Gdzieś tu się kręci. Hej, marnie wyglądasz. Wejdz i napij się czegoś.

Zaprowadził ją do solarium i pomógł jej zająć miejsce na jaskrawozielonym leżaku. Denise zamknęła oczy. Czowała, że nie panuje nad drżącymi ustami.

- Czy mógłbyś zadzwonić do... doktora Haydena Stones... ? Powiedz Carolyn, żeby do niego zadzwoniła... proszę...

- Dobrze, w porządku. A nie chciałabyś najpierw szklaneczki coli?

Denise zatrzęsała się rozpaczliwie i wyczerpana straciła przytomność.

RS

Connor zajął się notatnikiem Gusa Ludzie chętnie opowiadali, ale brakowało nowych informacji, więcej było natomiast aluzji i ogólnego przekonania, że chłopak z Seattle zrobił jednej z sióstr dziecko, które zostało usunięte. Wszyscy okazywali największą sympatię Denise Scott, ją najlepiej zapamiętano Zdumiewające było to, że ponad połowa ludzi, z którymi rozmawiał Connor, nie wiedziała, że ta słynna aktorka to ta sama Denise Scott Zdanie, które ciągle słyszał brzmiało - Ha, nie może być!

Porządni obywatele Wagon Wheel jakoś nie mogli pogodzić ze sobą tych dwóch taktów. Znana z filmów Denise Scott Callahan była zbyt doskonała, by mogła pochodzić z ubogiej rodziny z małego miasteczka i mieć za ojczyzna kogoś tak odrażającego jak Thomas Daniels. O tak, Connor dowiedział się wiele o Danielsie. Była to swego rodzaju sławna postać. Miał wzięcie u kobiet, był diabelnie złośliwy i większość rozmówców Connora była przekonana, że źle skończył.

Zła krew, tak wyraziła się starsza kobieta, która mieszkała najbliżej Danielsów w tym czasie, kiedy siostry Scott były pod opieką Thomasa. Jej dom znajdował się niespełna milę od posiadłości Daniela „Taki paskudny się urodził i taki już pozostał do końca życia. Wszystko wskazuje na to, że niemal zatłukł swoją pierwszą żonę na śmierć, nie wątpię też, że niejedną raz pobił drugą. Te dziewczyny musiały wiele widzieć. A także wiele poczuć. Powinno się z nim skończyć o wiele wcześniej, niż to się stało"

Im bardziej Connor zagłębiał się w życie Daniela, tym silniej czuł, że grzęźnie w ruchomych piaskach. To nie była sprawa do rozwiązania Thomas Daniels był powszechnie znienawidzonym człowiekiem, zasłużył sobie na to

całym swoim gwałtownym, czterdziestoletnim życiem. Nawet kobiety, z którymi sypiał - przynajmniej te, które się do tego przyznały - z całego serca żałowały, że miały z nim kiedykolwiek do czynienia.

Nikt się nie przyznał do zabicia Daniela, ale wszyscy, co do jednego, byli zadowoleni, że nie żyje

I chociaż nie byli zbyt skłonni do wyrażania opinii na temat osoby mordercy, Connor przekonał się, że wszyscy wierzyli też, że musiała to zrobić jedna z sióstr Scott.

Przyszedł więc czas, aby wrócić do Los Angeles, przesłuchać Denise Scott i zobaczyć, co z tego może wyniknąć. Był też może już czas, żeby trochę uporządkować własne życie.

Droga wiodła do Hollywood.

Zapakował do torby parę rzeczy, które przywiózł ze sobą do domu siostry. Obserwowała go uważnie, kiedy się żegnał, stojąc przy drzwiach.

- Chcesz wsadzić jedną z tych dziewcząt do więzienia? - Usiłowała ukryć swój smutek, ale nie do końca jej się to udało.

- Mam nadzieję, że poznam prawdę.

- Zamierzasz zrujnować jej życie, żeby pomścić Thomasa Daniela.

Tego oblicza siostry nigdy wcześniej nie widział. Rozdrażniły go te uwagi, zwłaszcza że wyraziła w nich jego własne uczucia, które starał się zignorować.

- Morderstwo jest wbrew prawu. Gdybym kiedykolwiek myślał o powrocie do pracy, musiałbym mieć przekonanie, że potrafię bronić prawa. To byłaby moja praca.

- A więc ta sprawa jest dla ciebie pewnego rodzaju testem.

Connor miał już tego dość. Całej tej rozmowy o dręczącym go sumieniu. Przerzucił torbę przez ramię, otworzył drzwi, wyszedł na drewniany ganek i odetchnął pełnym dławiącego kurzu powietrzem późnego września.

- Wujek Jack!

Zatrzymał go widok siostrzeńca, Matta. Razem z Mattem był jego przyjaciel i wierny druh, Mikey Watters. Rzucili się na Connora, jakby był wyjątkowym znaleziskiem niespotykanej wartości.

- Gdzie jedziesz? - zapytał Matt, zaalarmowany widokiem wypchanej czerwonej torby.

- Z powrotem do Los Angeles.

- A co ze starym Danielssem? Co z poszukiwaniami zabójcy?

Connor podszedł do wynajętego samochodu i cisnął torbę na tylne siedzenie. Matt i Mikey ruszyli jego śladem jak zabląkane psiaki.

- Nadal nad tym pracuję.

- Zamierzasz odszukać tę aktorkę? - Matt zmarszczył brwi.

- Z pewnością będę się starał.

- Dostał to, co mu się należało - ostro powiedział Matt. - To był... skurwiel.

Connor spojrział ukradkiem na chłopca, rozbawił go widok uszu Matta, czerwieniejących z zakłopotania.

- Nie wygrałby plebiscytu popularności w Wagon Wheel, to pewne.

- Myślisz, że zasłużył sobie? - włączył się Mikey, a niesforny kosmyk włosów podskoczył mu na czubku głowy.

Connor zawahał się. Trudna sprawa, gdy się ma do czynienia z takimi młodymi, podatnymi na wszystko umysłami.

- Nikt nie zasługuje na to, żeby go zamordować, bez względu na to, jakie sam popełnił zbrodnie. Ale są ludzie, dla których celem życia jest sprawianie kłopotów i krzywdzenie innych. Tacy ludzie sami często umierają gwałtowną śmiercią.

Mikey uroczyście skinał głową.

- Kto mieczem wojuje, od miecza ginie.

Te słowa zaskoczyły Connora, zwłaszcza że wypowiedział je taki smarkacz.

- To prawda.

Matt, wyczuwając że w jakiś sposób Mikey zdobył nad nim przewagę, podskoczył szybko.

- Jego mama stale to mówi! A on jest strasznie głupi.

- Zamknij się!

- To ty się zamknij! - Matt wlepił wzrok w przyjaciela. Cztery małe dłonie zacisnęły się w pięści.

- Będę potrzebował waszej pomocy, chłopaki - przerwał Connor, zanim sprzeczka zdążyła się przerodzić w trzecią wojnę światową. - Ktoś musi mnie informować, co się dzieje w Wagon Wheel. Czy moglibyście prowadzić notatki i dzwonić do mnie co jakiś czas?

Podstęp udał się tak dobrze, że Connor aż poczuł wyrzuty sumienia, iż ich oszukał. Obaj obiecali, że będą przygotowywać wspaniałe sprawozdania i natychmiast zaczęli się kłócić o to, kto będzie prowadził notatki i kto będzie pierwszy rozmawiał, kiedy zadzwonią do Connora.

Skrzypienie drzwi oznajmiło pojawienie się siostry Connora, Mary. Stała na ganku, a lekkie zmarszczenie czoła psuło urodę jej pięknej



twarzy. Mógł w niej czytać jak w książce: miała nadzieję, że jego misja się nie powiedzie.

Ostatni raz machnął ręką na pożegnanie, skręcił na zachód i rozpoczął dwuipółgodzinną podróż samochodem na lotnisko w Portland.

\*\*\*

- Głucha jesteś, czy po prostu głupia? - zapytał Jason, przywołując Hayley do rzeczywistości. Wpatrywała się w menu trzymane w rękach, ale przed oczami miała zupełnie inny obraz.

- Tak mądrze to powiedziałaś - odparła mu.

- Masz kłopoty z pracą, Hayley? Tamci ludzie w kacie zamierzają wyjść, bo ich nie obsługujesz, a jeżeli wyjdą, ty przejdziesz do historii tego baru.

- Zarządzanie przez tyranie - mruknęła, włożyła menu pod jedno ramię, przywołała na twarz szeroki uśmiech i ruszyła w kierunku boksu w końcu sali.

Para miała pod trzydziestkę. Kobieta nie uśmiechnęła się na widok nadchodzącej Hayley. Jej towarzysz bez zainteresowania omiół Hayley wzrokiem i powiedział: - Dość długo już czekamy.

- Naprawdę? - Hayley udawała, że nie ma za grosz rozumu.

- Jaka jest ta zupa grzybowa? - zapytała kobieta tak doskonale snobistycznym tonem, że Hayley natychmiast zapamiętała tę intonację. Pewnego dnia może się jej to przydać.

- Zupa jest wspaniała - odpowiedziała tym samym tonem. - Delikatny aromat grzybów z lekką nutą wiśni. Nasz kucharz dodaje liści laurowych, a także, przy właściwej kwadrze księżyca, szczyptę gałki muszkatołowej. Wszystko można oddać za taką zupę.

Oboje wpatrywali się w nią tępo, niepewni, czy stroi sobie z nich żarty, czy też mówi serio. Hayley powstrzymywała się, by nie wybuchnąć śmiechem.

- Proszę o sałatę - lodowatym głosem powiedziała kobieta.

- Tak, dla mnie też - dodał jej towarzysz i odchrząknął.

- Czy mogę państwu zaproponować wino albo wodę mineralną?

Przez chwilę się naradzali i oboje zdecydowali się na miejscowe chardonnay.

- Doskonały wybór - zauważyła Hayley, z uśmiechem przyklejonym we właściwym miejscu. - Bardzo plebejski.

- Co ona powiedziała? - zapytała kobieta, kiedy sądziła, że Hayley znajduje się już poza zasięgiem głosu.

- Poleciała wino - odszepnął mężczyzna, każąc Hayley walczyć z napadem śmiechu.

- Nie wyszli jednak - tymi słowami powitał ją Jason, kiedy zaczęła wypisywać ich zamówienie.

- Tak, a na dodatek myślą, że w tym jednogwiazdkowym lokalu mamy szefa kuchni.

- Wpakowałaś się w śmierdzącą sprawę. Hayley posłała mu krzywe spojrzenie.

- Śmierdzi nie gorzej niż twoja restauracja, nieprawdaż.

Wykrzywił w grymasie usta. Należał do kierowników najgorszego rodzaju: przerost autorytetu i krytyki, brak chęci pomocy i pochwał. Od czasu nocy spędzonej w towarzystwie Glorii Carver, Hayley dowiedziała się paru rzeczy o takich typach. Jason, chociaż nie tak beznadziejny i pozbawiony zasad moralnych jak mężczyźni, których wówczas spotkała, był

jednak marną kreaturą. Zachowywał się podle i samolubnie, co denerwowało Hayley. Cieszył się swoimi drobnymi zniewagami i lubił, gdy ludzie skręcali się ze wstydu. Irytowało go, że Hayley była bardziej odporna niż większość pracowników.

Przypominał jej kochanego, słodkiego, starego ojczyma.

- Wydaje ci się, że jesteś taka cwana - mruknął w końcu i odwrócił się, żeby warknąć na nową kelnerkę, osiemnastolatkę o dziurawych rękach, która podskakiwała ze strachu za każdym razem, kiedy Jason na nią huknął. Kierując się do kuchni, z impetem wpadł w wahadłowe drzwi.

Osiemnastolatka zwróciła ku Hayley oczy pełne łez. Tak. Jason naprawdę miał klasę.

- Mężczyźni - rzuciła Hayley w charakterze wyjaśnienia. - Czy zastanawiałaś się kiedy, po co mieszkają na naszej planecie?

Dziewczyna pociągnęła nosem.

- Żebyśmy mogli mieć dzieci.

Jej niewinność była prawie nie do wytrzymania.

- Są tutaj po to, żeby mieć pewność, że nigdy niczego nie osiągniemy. Muszą nas trzymać w ryzach. To męski świat. A najbardziej lubią nas ranić.

Oczy kelnerki zrobiły się okrągłe. Wpatrywała się w Hayley, jakby ta właśnie stwierdziła, że przybyła z Jowisza.

- Co?

- Nieważne.

- Hayley była szorstka. Nie znosiła tego rodzaju naiwności. Tak łatwo było zniszczyć taką istotę.

W tym momencie drzwi się otworzyły i Gloria Carver we własnej osobie przedfilowała w stronę najbliższego boksu i, osuwając się na krwistoczerwone siedzenie, oblizwała wargi.

- Ja się nią zajmę - zawołała Hayley przez ramię, czując jak motyle w jej żołądku przygotowują się do lotu.

- A więc... - powiedziała Gloria.

- A więc... - odpowiedziała Hayley.

Po wieczorze w mieszkaniu „u Keitha”, które okazało się meliną, zabezpieczającą przed policją szyję Danny'ego - tego Danny'ego z klubu z czerwonymi słupami - Hayley i Glorię zabrał ten sam czarny sedan, prowadzony przez tego samego kierowcę o pozbawionej wyrazu twarzy. Zostały odwiezione z powrotem do klubu, skąd Hayley taksówką pojechała do domu.

Od tamtego czasu nie miały ze sobą kontaktu, toteż Hayley zaciekawilo i zaniepokoiło zarazem pojawienie się nowej „przyjaciółki”.

- Jesteś więc obserwatorem, tak? Najgłupsza rzecz, o jakiej słyszałam.

- To pobądź tutaj przez jakiś czas. Zobaczysz, że to jeszcze głupsze.

- Jesteś mocna w gębie, co?

- Kierownik chyba tak uważa - przyznała z ironią Hayley.

- Chciałabyś pójść jeszcze raz?

Hayley zmierzyła ją wzrokiem. Za nic w świecie nie mogła zrozumieć, dlaczego Glorii na tym zależało.

- To im się podobało - wyjaśniła Hayley. - Kiedy dziewczyna patrzy, czują się jak prawdziwe ogiery.

Hayley odpędziła obrazy, o których chciała zapomnieć. Gloria Carver była profesjonalistką i świadczyła usługi na poziomie, bez względu na to, kto się przyglądał.

- Mieli już przecież damskie towarzystwo - zauważyła Hayley.

- Ach, tamtą. - Z wyrazem niesmaku Gloria zlekceważyła tępą blondynę. - Ona tylko lubi prochy. Ale ty byłaś kompletnie przytomna, prawda? Siedziałaś tam i patrzyłaś. Zobaczyłaś, co chciałaś.

- To była dobra nauka.

- Trochę cię wzięło, prawda?

Hayley przyjrzała się jej spokojnie. Gloria Carver pewnie by klęła i pomstowała, gdyby wiedziała, jak odrażający był to widok dla Hayley. Przetrawienie tamtego wieczoru było możliwe tylko dzięki temu, że zmusiła się do ucieczki w świat wyobraźni.

- Rozumiesz, mam też innych przyjaciół.

- Jakiego rodzaju przyjaciół? - ostrożnie spytała Hayley.

- Bogatych przyjaciół. W stylu Heidi Fleiss, pojmujesz, o co mi chodzi? Pieniądze. Zboczenia. Naprawdę dzicz.

- Jakieś sławy? - rzuciła pytanie Hayley, czując przyspieszony puls.

- Och tak. Słuchaj, jedna z dziewczyn Danny'ego dostała jakąś rolę, bo umiała robić nieprawdopodobne rzeczy swoim małym, świńskim palcem u nogi.

- Wymyślasz to wszystko - Hayley omal się nie roześmiała.

- Ho, ho. Chodź ze mną jeszcze raz. Zabiorę cię w miłe miejsce.

- Dlaczego? Co będziesz z tego miała?

- Więcej pieniędzy! - Zdziwiła się, że Hayley jest taka tępa. - Tamtej nocy nieźle zarobiłam.

Hayley potrząsnęła głową. - Następnym razem ktoś może chcieć ode mnie czegoś innego. Nie chcę ryzykować.

- Jak bardzo ci zależy na tej roli.

Hayley napotkała jej porozumiewawcze spojrzenie. Gloria Carver miała za dużo sprytu i intuicji jak na uliczną dziwkę.

- Możemy pograć w bilard w jakimś modnym miejscu.

Hayley przyjrzała się ulicznym ciuszkom Glorii, ale nic nie powiedziała. Gloria czytała w jej myślach.

- Mam ładniejsze szmatki. Zdziwiłabyś się, gdybyś wiedziała, kogo znam.

Johna Callahana? Nie, zupełnie tu nie pasował. Mógł być kobieciarzem, ale istniał tylko jeden powód, dla którego kontaktowałby się z prostytutką, ten sam powód, dla którego Hayley prowadziła podwójne życie: film.

- Dobrze - powiedziała Hayley z napięciem. Pamiętaj o nagrodzie.

\*\*\*

Przyjęcie Carolyn wkroczyło w fazę między fałszywymi uśmiechami i pocałunkami a ostrym piciem do upadłego, paleniem i podnieceniem. Był to punkt zwrotny, od którego wszystko mogło potoczyć się fantastycznie albo paskudnie, w zależności od nastroju tłumu.

Od chwili, gdy Denise straciła przytomność na kanapie, upłynęły cztery dni - i absolutnie nic się nie zmieniło. Początkowe podniecenie, wywołane jej omdleniem przerodziło się w znudzenie, kiedy czcigodny doktor Stone przyszedł z bardzo nietypową wizytą lekarską i zalecił - jako lekarstwo - pełną miskę zupy. No tak, prawda, nie jadała regularnie. Jednak Denise nie uważała, by Stone miał prawo tak irytująco się zachowywać.

- Grzeźniesz - znów zrobił nietypową uwagę. - Już nie toniesz. Idziesz na dno.

Denise leżała na kozetce z nogami owiniętymi kocem. Niepewna, skurczyła się przed nim. Nigdy jeszcze nie znajdowała się tak blisko Stone'a. Nie oddzielało ich żadne biurko. Siedział tuż obok niej na krzeselku obróconym tak, żeby móc jej patrzeć prosto w twarz.

A światło w solarium było piekielnie jasne. Jezu! Można się było spodziewać, że Carolyn będzie miała bardziej pobłażliwe oświetlenie. Denise czuła się bezbronna, niepewna i przestraszona.

- Ile będzie mnie kosztować ta wizyta domowa? - zapytała.

- Podwójną stawkę?

- Całymi tygodniami słuchałem twoich impertynencji. Mówią same za siebie. - Widząc, że nie zrozumiała, wyjaśnił:

- Twój styl życia to maska.

To zaczynało być interesujące. Stone stawiający diagnozę? A sądziła, że potrafi jedynie papugować innych, lepszych psychiatrów.

- No dobrze, co chcesz usłyszeć? Że mi przykro? Od tej chwili będę pamiętała o jedzeniu.

- Czy chcesz mi opowiedzieć, co się zdarzyło od twojej ostatniej wizyty? Denise zastanowiła się.

- Pojechałam na małe wakacje - rzekła ostrożnie.

- Co cię do tego skłoniło?

- Co mnie skłoniło? Słuchaj, doktoru, wydaje mi się, że pomyliłeś mnie z kimś innym.

- Wyszłaś z mojego gabinetu i pojechałaś samochodem Carolyn. Byłaś świadoma tego, co robisz?

- Tak - odparła wojowniczo. Czy musi mówić takim aroganckim, oskarżycielskim tonem?

- Cierpiałas na różne przywidzenia. Chciałbym tylko wiedzieć, czy decyzję o wyjeździe podjęłaś świadomie.

- Po naszej ostatniej sesji byłam wściekła, rozumiesz.

- Bo zarzuciłem ci, że grasz.

Z jego szarych oczu nic nie można było wyczytać. Żadnego współczucia. Miała wrażenie, że jest na nią zły. Może chwilowo miał dosyć swoich czubków?

- Naprawdę poważnie traktujesz swoją pracę, co, Stone.

- Denise, czy przypominasz sobie, co ci powiedziałem w czasie naszej pierwszej sesji?

- Niech pomyślę. Nie, nie mów mi. Założę się, że sobie przypomnę.

- Powiedziałem, że tylko czasowo jestem w Houston.

- Nie dałeś mi odpowiedzi - upomniała go. Przeklęty facet. Nie znosiła, kiedy zachowywał się tak, jakby jej nie słyszał.

- Moim miastem jest Los Angeles - ciągnął dalej nieustępliwie Stone. - Zrezygnowałem z praktyki i wyprowadziłem się z powodów osobistych, ale teraz wracam.

Niejasno przypominała sobie fragmenty tej historii. Żona. A może była żona? I życie, które wydawało się płytkie i bez sensu. Przeniósł się do Houston, bo... bo...

Jej umysł odmówił dalszej pracy. Ogarnęła ją panika.

- Nie możesz - wyszeptała umęczona.

Nie odpowiedział, ale jego oczy dostrzegły wszystko. Ku swemu przerażeniu, Denise poczuła pod powiekami piekące łzy. Nie będzie płakać.



Nic nie zmusi jej do płaczu przed kimkolwiek, poza poleceniem reżysera.

Nie pozwoli sobie na cholerny płacz!

- Przepraszam - powiedział.

Coś ścisnęło Denise w krtani. Patrzyła bez słowa.

- Jednak nie przyjechałem tutaj, żeby opowiadać o sobie - dodał łagodniej. - Musimy porozmawiać o tobie. O twojej terapii i o tym, gdzie stąd wyjedziemy.

- Nigdzie nie jadę.

- Za krótko jestem twoim lekarzem, żeby móc przewidzieć rozwój choroby.

- Ale na pewno jestem chora, prawda? To już ustaliliśmy.

- Masz symptomy cyklotymii i...

- Powiedz to po ludzku, doktoru.

- ... i wydaje mi się, że zmierzasz w kierunku głębszych zaburzeń osobowości, takich jak psychoza maniakalno-depresyjna.

- Ho, ho... - Denise zasłoniła oczy od słońca, aby przyjrzeć mu się dokładniej. - To dopiero bełkot. Chcesz powiedzieć, że cierpię na depresję maniakalną.

- To jedna możliwość. Druga jest taka, że twoje napady urojeń i omdlenia są wywołane przez narkotyki.

Zrozumiała, o co pyta. Nie miała mu tego za złe. Nie była całkowicie wolna od narkotyków.

- Kobiety są bardziej podatne na choroby, związane z gwałtownymi zmianami nastroju, załamaniem.

- Doprawdy.

- Kobiety mają dwa chromosomy X, a to jest istotne w przypadku takich chorób.

Niewiele mówiące słowa wydobywały się z ust, ale Denise czytała w jego oczach. Mówił wzrokiem:

- Proszę, pozwól sobie pomóc. - Prawie mogła uwierzyć w jego szczerość.

Ale byłoby to zbyt ryzykowne. O wiele, wiele za bardzo.

- Uważaj, bo zapomnisz powiedzieć o moim nienormalnym życiu seksualnym - mruknęła głosem cichym i słabym.

Ściągając brwi zmarszczył czoło. Chociaż raz w życiu wyglądał, jakby zatkał się, rozprawiając o profesjonalnych banałach. Sięgnął ręką do kieszeni na piersi, wyciągnął wizytówkę i podał Denise. Przyjęcie jej wymagało ogromnej energii.

- Masz tu numer telefonu mojego gabinetu w Los Angeles, na wypadek, gdybyś zmieniła zdanie - skomentował.

Nadzieja wezbrała w Denise. Przecież nie mieszkała tutaj, z Carolyn. Nie, do diabła! Sama była mieszkanką Los Angeles.

Ale on ją odtrącał. Obojętnie, jak to nazwać, przyjechał tutaj, żeby osobiście przedstawić jej swoją diagnozę i upewnić się, iż pojęła, że to koniec ich relacji.

- W ten sposób stracisz niemały dochód.

Zrozumiał. Zobaczyła, że się zatrzymał i spojrzał na nią z namysłem, smutno. Cóż, dlaczegoż by nie? Naprawdę rezygnował z dużych pieniędzy. Czy sądził, że pojedzie za nim, jak zakochana pensjonarka? Czy sądził, że nabierze ją na ten bzdurny, psychiatryczny bełkot?

- Zadzwoń do mnie - nalegał.

- Pasujesz do Los Angeles, Stone. Z tymi farbowanymi włosami i tym kpiąco-poważnym wyglądem. Jeśli jeszcze nauczysz się nieco wydymać wargi, będziesz się świetnie nadawał do reklam dżinsów, w stylu lat pięćdziesiątych, takich z Jamesem Deanem czy Marlonem Brando.

Ku jej ogromnemu zaskoczeniu, sięgnął po jej dłoń. Denise zareagowała na ten kontakt gwałtownym drżeniem serca, on jednak zwyczajnie ujął jej zwiotczące palce w głęboko symbolicznym geście pożegnania tak, że miała trudności z powstrzymaniem łez, cisnących się do oczu.

- Może kiedyś nauczysz się mieć odrobinę więcej zaufania - powiedział i zanim odszedł, obdarzył ją jednym ze swoich rzadkich uśmiechów.

Cóż. To był z pewnością fatalny dzień. Resztę popołudnia spędziła w towarzystwie Carolyn, serwując sobie LSD. Zwykle nie brała dużo prochów. Jednak od ucieczki z Los Angeles i od Johna czuła się taka nieszczęśliwa, że poddała się wszystkiemu, co robiła Carolyn. A Carolyn i jej przyjaciele brali LSD.

Oczywiście, nigdy nawet nie wspomniała o tym Stone'owi, chociaż podejrzewała, że wiele się domyślał. Pewnie winą za jej urojenia i chwilowe utraty świadomości obciążyłby LSD i byłaby w tym pewna racja. On jednak sądził, że była na granicy depresji maniakalnej. A to było przerażające. Oznaczało bowiem po prostu, nie wdając się w szczegóły, że jest wariatką.

Denise bała się panicznie, że jest prawdziwą wariatką.

Ocknęła się gdzieś po południu następnego dnia i od tego czasu była trzeźwa jak świnia. Nic zabawnego, ale przy okazji doświadczyła jednego z

tych krótkich okresów pełnej świadomości, kiedy życie zdaje się nabierać pewnego sensu, a ścieżka przeznaczenia nie wydaje się zbyt wyboista.

Powinna zerwać więź z Carolyn. Najwyższy czas, by ruszyć do przodu. Z obawą myślała o powrocie do Los Angeles i do kariery, ale co w zamian otrzymywała tutaj?

Powinna wrócić. I ta decyzja nie ma absolutnie nic wspólnego z doktorem Haydenem Stone. Zupełnie nic.

Kłamczucha...

- Hop, hop, tutaj...

Denise wyrwała się z marzeń i spostrzegła uśmiechającego się do niej Petera. Od kiedy znalazł ją przed drzwiami, zachowywał się zupełnie przyzwoicie. A przynajmniej ona nie cierpiała na żadne seksualne urojenia, on zaś nie prezentował swoich możliwości.

- Masz na coś ochotę? - Machnął ręką w kierunku baru, Denise wiedziała jednak, że w rzeczywistości proponował również całą gamę środków odurzających. Zdążyła już rzucić kokainę, ecstasy i parę innych, których nazw nawet nie starała się zapamiętać. Tak, gdy Carolyn mieszkała w Los Angeles, obracała się w towarzystwie złotej młodzieży z Hollywood i niektórzy z nich odwiedzali ją w Houston, kiedy szukali chwilowej odmiany.

Depresja maniakalna. Ciarki jej przeszły po skórze. Czytała relację Patty Duke o cierpieniu na tę chorobę. Wiedziała o Kristy McNichol. Wspomnienia te właśnie się ukazały, ujawniając, że autorzy walczyli z chorobą.

Ale ja nie jestem taka. Nie jestem.

Peter nadal czekał.

- Chciałabym dowiedzieć się czegoś o chorobach, charakteryzujących się nie zrównoważeniem emocjonalnym - powiedziała. - Mógłbyś mi przynieść encyklopedię medyczną?

- To ma być podchwytliwe pytanie?

Przesunął spojrzenie z jej twarzy na piersi. Z najgłębszego punktu dekoltu bluzki z szarego jedwabiu wystawał rąbek czarnej koronki.

- Tak, to jest podstępne pytanie. Chwył polega na sprawdzeniu, czy je rozumiesz.

- Rozumiem.

Teraz za wzrokiem podążyły jego palce. Wyciągnawszy dłoń, nakreślił linię od nasady szyi po najgłębszy punkt wycięcia i z powrotem, ponad wzniesienie jej lewej piersi.

- Nie wydaje mi się, żebyś zrozumiał - odparła Denise, czując jednocześnie gwałtowne wzburzenie. W jej środku złość, żal i strach walczyły o prymat.

Przysunął się bliżej. Na swoim uchu czuła ciepło jego oddechu. Potem przesunął się i stanął za nią. To nie był sen. To był Peter Dumny, gotów ją kusić narkotykami, alkoholem i, no tak, nie wolno zapominać o najważniejszej przynęcie: Peter Dumny Penis.

Denise czekała w poczuciu nieuchronności wydarzeń, a jego ciepło ogarniało ją. Omiotła spojrzeniem luksusowe wyposażenie domu Carolyn: barwne gobeliny; obiekty sztuki prekolumbijskiej, jedwabne zasłony, mozaikowa podłoga z płytek inkrustowanych złotem.

I goście. Kłębiący się dokoła, nie zwracający uwagi na ręce Petera, przesuwane się z pleców do przodu, po żebrach, aby objąć jej piersi.

- Lubisz to, dziecino? Lubisz? Przestań płakać. Mówię poważnie, przestań beczeć!

Denise wzdrygnęła się, jakby ktoś ją wyrwał z głębokiego snu. Peter bez słowa napierał na nią, rytmicznie ocierając się o jej pośladki, jakby w pokoju nie było nikogo, kto mógłby to zauważyć w każdej chwili!

Nie traciła czasu na słowa. Okręciła się tylko i uderzyła go najmocniej, jak umiała. Sekundę później przyglądała się w zdumieniu swojej ręce.

- Dziwka - wyrzucił z siebie Peter.

Denise cała się trzęsła. Na sztywnych nogach wyszła z pokoju i pobiegła po schodach, zaczynała płonąć. Palić się ze wstydu. Ze wstydu, że pozwoliła mu się dotknąć.

To nie były urojenia. Tym razem nic jej się nie przywidziało.

Twoje życie jest tylko zasłoną dymną. Przycisnęła palce do płonących policzków i mocno, aż do krwi zagryzła dolną wargę.

- Denise? Jesteś tam? - Zza drzwi sypialni doleciał przytłumiony głos Carolyn. - Na litość boską, wywołałaś wrzawę w całym towarzystwie. Peter rozwalił w drobny mak moją ulubioną waterfordzką wazę, pieprzony skurwiel, i powiedział, że to twoja wina! - Załomotała w drzwi. - Denise?

Denise niechętnie otworzyła drzwi. Popatrzyła na Carolyn. Naprawdę jej się przyjrzała. Rude włosy były artystycznie ułożone, miały jednak zniszczone końce, wiele mówiąca oznaka nadmiaru zabiegów fryzjerskich. Miała świeżą twarz pozbawioną zmarszczek. Poddała się paru sesjom trwałego makijażu, więc teraz oczy były na stałe podkreślone delikatną szarą kreską, a usta zawsze różowe. Wyglądało to niezwykle atrakcyjnie, jednak niepokoiło Denise.

- Ten fiut mówi, że go uderzyłaś. Powinnaś była kopnąć go w jaja.

- Myślałam, że go lubisz.

- Rozbił wazon na mojej mozaice. Kawałek uderzył w brodę Iana Wallace'a. Facet krwawi, do cholery!

Spod wściekłości na Petera wyzierało oskarżenie wymierzone w Denise. Denise nie była na tyle głupia, by tego nie zauważyć.

I nagle poczuła się zmęczona całą tą sytuacją. Miała po dziurki w nosie Petera, Carolyn i każdego, kto w czasie ostatnich tygodni przewinął się przez ten dom.

Może stąd wyjechać i wrócić do Los Angeles jeszcze dziś.

Kiedy tylko Carolyn powróciła do towarzystwa, Denise spakowała ubrania i drobiazgi osobiste, które nabyła po zamieszkaniu u Carolyn. Minęła godzina, godzina w czasie której dobiegające z dołu dźwięki muzyki i głosy stawały się coraz głośniejsze. Kolejna noc zmarnowana na hulanki i folgowanie swoim słabościom.

Pozostawiwszy na górze schodów swoje torby, Denise jeszcze raz zbiegła na dół na czubkach palców, zdecydowana za wszelką cenę omijać Petera.

Nie udało jej się. Leżał rozciągnięty na dywanie tuż przy drzwiach wejściowych. Denise bardzo ostrożnie przekroczyła nad jego nogami, facet był wyraźnie nieprzytomny.

Carolyn stała u boku wysokiego, szczupłego mężczyzny w czarnej podkoszulce i szarym sportowym wdzianku, obejmując go gestem posiadacza. Mężczyzna przyciskał do brody chusteczkę, Ian Wallace. przypominała sobie Denise. Ten od afery z kryształem z Waterford.

- Szampana? - zapytała Carolyn. Oczy miała zbyt błyszczące i szeroko otwarte.

- Nie, dziękuję. Carolyn, muszę wyjechać. Dzięki za wszystko - powiedziała Denise.

Szczupły mężczyzna intensywnie jej się przyglądał. Jego jasnobrązowe włosy miały modną długość, jak u piosenkarza rockowego. Denise przyoblekła twarz w uprzejmy uśmiech, chociaż nigdy w życiu nie miała mniejszej ochoty się uśmiechać.

- Denise Scott Callahan - powiedział. - Widziałem, jak zdiełałaś naszego poległego wojownika.

- Fiut - mruknęła Carolyn i, chwiejąc się lekko, popatrzyła na leżące twarzą do dołu rozciągnięte ciało Petera.

- Przykro mi z powodu skaleczenia - rzekła Denise do Iana.

- Warto było.

- Co chciałaś powiedzieć przez to, że musisz wyjechać?

- zapytała Carolyn. Najwidoczniej jej zamroczony umysł w końcu zinterpretował informację.

- Pora wracać.

- Do Los Angeles? - Próbowała skoncentrować się na Denise. - Nie, nie, nie, nie... - Tuląc się do Iana, zapytała:

- Szampana? Umieram z pragnienia.

- Zaraz podam ci kieliszek.

Ian uwolnił się od Carolyn, delikatnie opierając ją o oparcie kanapy. Skinął na Denise, by podążyła za nim. Denise wyczuwała kłopoty, jednak mimo to posłuchała. Ian był chyba jedyną osobą w tym pokoju, która zdawała się posiadać pełnię władz umysłowych.

- Wyjeżdżasz dzisiaj wieczorem? - zapytał, otwierając następną butelkę Dom Perignon. Do połowy opróżnione butelki wały się na barku.



- Mam nadzieję.
- Chcę zdążyć na lot o północy. Dlaczego nie przyłączysz się do mnie?
- Jedziesz do Los. Angeles?
- Mieszkam w Beverly Hills.
- No cóż... sama nie wiem.
- Nie odmawiaj. Mogę nigdy nie dojść do siebie po twojej odmowie. -

W uśmiechu pojawił się cień szyderstwa.

Denise zaczęła się zastanawiać. Dlaczego nie? Przynajmniej Ian był trzeźwy. Do diabła, wśród tego tłumu był jak skała Gibraltaru.

- Nie cierpię być sama - przyznała.

Podał jej kieliszek szampana, zupełnie zapomniawszy o Carolyn.

- Ja też - powiedział, nadal się uśmiechając. Stuknęli się kieliszkami, pieczętując zawartą umowę.

\*\*\*

Dinah wpatrywała się w ekran, żałując że nie ma okularów. Zostawiła je w Santa Fe. Zawsze gdzieś je zostawiała. Ale nie miała w planach tak długiego rozstania z nimi.

Gdyby tylko Denise zadzwoniła! Nagrywała jedną wiadomość po drugiej na automatycznej sekretarce Dereka Sathera. Derek jednak albo ignorował jej prośby, by Denise się odezwała, albo guzik go obchodziły wiadomości do Denise, albo... nie wiedział i nie interesowało go, gdzie przebywa Denise.

Być może Callahan mylił się, zakładając, że po zerwaniu Denise uciekła do Dereka. Może porzuciła go i przeniosła się gdzie indziej. W jakieś lepsze miejsce. Może tym razem naprawdę skorzystała z pomocy, zamiast rzucać się w objęcia następnego faceta.

Marne szanse, ponuro pomyślała Dinah, za dobrze znała swoją siostrę.

Ale do cholery, Denise musi zadzwonić. Dinah nie mogła przedłużyć tej maskarady w nieskończoność.

Podrwała się, słysząc cichy warkot nadjeżdżającego pojazdu. Była sama w domu. John Callahan wpadł i wypadł - jego krótka przerwa wypoczynkowa trwała krócej niż dobę. Zdumiewające, ale czuła się dziwnie samotnie po jego odjeździe; nie zdawała sobie sprawy, w jakiej izolacji żyła, dopóki nie miała kontaktu z inną istotą ludzką - bez względu na to, jak wstrętą była to istota.

Może był to samochód Federal Express, albo jakiś inny, doszła do wniosku i spojrzała na zegarek. Południe. W środku tygodnia. Nieprawdopodobne, aby Jego Wysokość zjawił się powtórnie bez zapowiedzi, zwłaszcza w dzień powszedni.

Zadzwonił telefon, stojący na biurku. Dinah złapała słuchawkę, rozproszona przez odgłosy silnika samochodowego.

- Tak? - zapytała. Mógł to być telefon do niej jedynie w przypadku, gdyby dzwonił Flick, a właśnie przed chwilą skończyła z nim rozmawiać.

- Czy mogę rozmawiać z Denise Scott Callahan? - zapytał męski głos.

Dinah zawahała się. Czasami udawała Denise, czasami mówiła, że pilnuje domu. Tym razem nie wiedziała, którą wersję wybrać.

- Przepraszam, a kto mówi?

- Tu Connor Jackley. Szukam pani Scott Callahan, mam bowiem parę informacji z Wagon Wheel w Oregonie.

Jak za naciśnięciem guzika, Dinah oblała się zimnym potem.

- Tu jej nie ma. Wyjechała na pewien czas.

- Nie orientuje się pani, czy przebywa w domu Carolyn Lenton w Houston, w Teksasie?

- W czyim?

- Czy pani pracuje dla pani Scott Callahan?

- Mm... tak. Jest nieosiągalna. Kim pan jest? - postawiła pytanie, coraz bardziej zaniepokojona. - Czego pan chce? Jakie informacje?

Chłodny podmuch musnął jej ramiona. Dinah zerknęła w górę i ujrzała Johna Callahana, stojącego w hallu, omiatającego wzrokiem jej postać, dostrzegającego jej dżinsy, koński ogon, twarz bez makijażu i to, że siedzi przy jego komputerze...

Człowiek po drugiej stronie telefonu coś jeszcze mówił. Dinah wypuściła słuchawkę z pozbawionych czucia palców.

Callahan zaczął powoli iść w jej stronę. Dinah kliknęła myszą zamykając swój zbiór i wygaszając ekran. Serce zaczęło jej bić jak oszalałe. To był koniec gry. Denise by nigdy nie pracowała z komputerem. Nigdy.

- Co tu kombinujesz? - zapytał tym swoim powolnym, nasyconym seksem głosem, wpatrując się w monitor. - Piszesz coś?

- Nie twój interes.

- Tak?

- Jeśli mam ochotę coś pisać, to moja rzecz.

Skinął głową. - Cóż, jesteś dobra w różnych rzeczach, więc proszę bardzo, zaczynaj jeszcze jedną.

Odroczenie! Dinah zaczęła odzyskiwać pewność siebie.

- Kto dzwonił?

- Nikt, z kim chciałabym rozmawiać.

- Moim zdaniem wyglądało to na jakiegoś szantażystę. Czy zrobiłaś coś, czym można by cię szantażować? To znaczy, coś innego niż zwykle?

- Idź do diabła.

- Nie jesteś Denise, prawda? - powiedział spokojnym głosem.

Dinah prawie zatkało, udało jej się jednak ukryć przyspieszony puls i z kamiennym spokojem spojrzeć na Johna.

- Grasz jakąś rolę, wypróbujesz nową, dziwną metodę gry, którą wcielasz w swoje życie. Do czego zmierzasz? Już nigdy nikt cię nie zaangażuje w tym mieście. Przynajmniej nikt, mający choć odrobinę rozsądku.

Dinah zmrużyła oczy. Teraz, kiedy minęło zagrożenie związane z telefonem, a jej oszustwo się nie wydało, poczuła dziwny przyływ sił. - Czy wróciłeś, żeby mnie obrazić? Dość kiepski pomysł, nawet jak na ciebie.

- Ta zabawa jest całkiem interesująca, muszę ci to przyznać. Myślałem już, że mnie nie obchodzisz, ale znów udało ci się zwrócić moją uwagę. - Błądził spojrzeniem gdzieś w okolicach jej ust.

- Dlaczego po prostu nie znikniesz stąd?

- Bardzo mi przykro. Zamierzam tu zostać do poniedziałku. Muszę coś zrobić w domu. Może nawet dopuścisz mnie do mojego komputera, jeśli złożę wniosek z podaniem terminu.

Jego niebieskie oczy skrzyły się humorem. Żartował z niej, było to jednak znacznie lepsze niż badawczy, zimny wzrok, jakim analizował ją w ubiegłym tygodniu. - Nie licz na to - mruknęła.

- A kto jeździ tym fiatem, stojącym w garażu?

- Ja - stwierdziła zimno. - Zmieniam swój styl.

- Ho, ho.

Dinah wpatrywała się w ciemny ekran, modląc się, żeby sobie poszedł i dał jej swobodnie odetchnąć. Ale jego biodro opierało się o stół komputerowy, falami docierał do niej jego zapach, a opalona ręka znajdowała się dosłownie o centymetry od klawiatury.

- Mógłbym się założyć, że nigdy w życiu nie będziesz jeździła takim samochodem. Czyj on jest? Nie kłam, bo jeszcze raz cię wyrzucę z domu i tym razem pozostaniesz na zewnątrz. Ręczę za to.

- Jest mój, ty bezczelny draniu. A teraz wynoś się stąd do diabła i zostaw mnie samą. Jestem zajęta.

Zwarli się spojrzeniami. Callahan sprawiał wrażenie, że gotów jest rzucić ją z krzesła i spełnić swoją groźbę. Dinah zacisnęła palce na siedzeniu krzeselka, po dziecięcinnemu przygotowana walczyć o życie, gdyby zrobił choć jeden krok w jej kierunku.

- Dlaczego śpisz w gościnnym pokoju? - zapytał, wprawiając ją w zakłopotanie.

- Bo bardziej mi się podoba.

- Masz dość stylu Santa Fe?

Na wzmiankę o Santa Fe jej ręce pokryły się gęsią skórą. Kim był mężczyzna, który telefonował? Co to za informacje z Wagon Wheel?

- Pokaż mi, co piszesz - zażądał, pochylając się bliżej. Bębenki w uszach Dinah omal nie popękały od uderzeń pulsu. I nagle przyszło natchnienie.

- Załatwisz mi przesłuchanie? Wciągnął powietrze przez zęby.

- Wiedziałem! - wybuchnął dziko.

- Nie ma zdjęć próbnych, nie ma oglądania mojego pisanego!

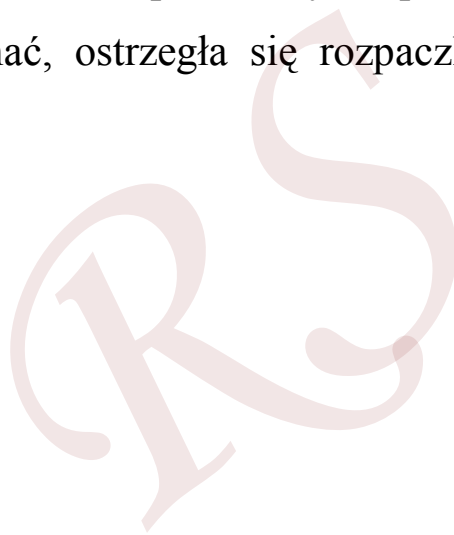
Wbił w nią wzrok, dwie bliźniacze wiązki jasnoniebieskiej furii. Dinah przełknęła ślinę przez zaschnięte gardło. Pomyślała, że może ją uderzyć. Jeśli to zrobi, będzie żałował do końca życia.

Tymczasem Callahan podniósł powoli jedną rękę. Uchyliła się, kiedy ręka znalazła się blisko jej twarzy, ale on, pochwycawszy wzrokiem jej przerażone spojrzenie, delikatnie przesunął pięść wzdłuż jej kości policzkowych.

A potem odwrócił się na pięcie i odszedł, zaś jego kroki echem odbijały się w hallu..

Dinah opadła za biurko, kompletnie wyczerpana.

Muszę stąd wyjechać, ostrzegła się rozpaczliwie. Zanim będzie za późno.



Lot z Los Angeles do Houston trwał trzy godziny. Kiedy Connor zdejmował torbę z umieszczonej nad głowami pasażerów półki, pomyślał sobie, że marnuje czas. Adres Carolyn Lenton był mocno niepewny. Derek Sather przypomniał go sobie mgliście dopiero wtedy, kiedy Connor zastosował taktykę zastraszenia.

Derek Sather był stereotypem. Szybka droga do sławy. Nowy, modny aktor-reżyser. Szybki upadek w krainę intensywnego życia, pełnego narkotyków i seksu.

Jego problemy należały do gatunku, jaki bujnie krzewił się w Hollywood. Paranoik z kompleksem niższości. Koncentrujący się raczej na pozorach, nie na prawdziwych wartościach. Nigdy nie dobry na tyle, żeby naprawdę coś osiągnąć. Zaznał wszelkiej goryczy sławy, nigdy nie będąc prawdziwą gwiazdą. Stale tykająca bomba zegarowa, pełna różnych niepokojów i niepewności - i straszliwy snob, do szpiku kości.

Kiedy spoglądał z góry na Connora, usiłował wyrzucić na nim wrażenie. Connora niezmiernie frapowało, że spotykał się z tym tak często. Czy taki charakter mieli wszyscy ci, którzy nie wiadomo dlaczego masowo przybywali do Hollywood jak do Mekki? A może społeczność Hollywood odrzucała inne charaktery, pozostawiając jedynie te galaretowate kłębki nerwów, wszystkie oczywiście w najlepszych z dostępnych opakowań.

Bo Derek Sather był pięknym mężczyzną. Nawet Connor, który widział wielu pięknych ludzi, należycie ocenił jego przymioty. Gęste, ciemne włosy, zielone oczy, wyraziste usta i nieduże, zwarte ciało, wskazujące na intensywne ćwiczenia fizyczne. Zapewne na ekranie prezentował się wspaniale. Ale kręgosłup? Nie miał żadnego.

- Nie jestem opiekunem Denise Scott Callahan - powiedział wyniośle Connorowi. - A w przyszłości, byłbym wdzięczny za respektowanie mojego prawa do prywatności. Zmęczyło mnie już to stałe nękanie telefonami.

Connor niemal się uśmiechnął. Zastanawiał się, czy nie zadzwonić najpierw do Johna Callahana, w końcu jednak zdecydował się dotrzeć do Denise bardziej okrężną drogą.

Ponieważ nie mieszkała już z mężem, Derek Sather wydawał się najlepszym celem, wszyscy bowiem wiedzieli, że z jego powodu rozpadło się małżeństwo Denise - jak radośnie kumple z policji poinformowali Connora, który zawsze dowiadywał się ostatni.

Tak więc Connor nagrał kilka wiadomości na automatycznej sekretarce Sathera, pytając o Denise. Sather nie oddzwonił ani razu. Connor znów zaczął rozważać konfrontację z Johnem Callahanem, ale jakiś szósty zmysł kazał mu się powstrzymać. Zaczynaj od Sathera, ostatniego znanego kochanka Denise, potem cofaj się. Tyle że Sather okazał się wyjątkowo niechętny kontaktom, toteż Connor zdecydował się osobiście stanąć w drzwiach faceta.

- Gdyby pan zadzwonił do mnie - Connor zwrócił uwagę srożącego się młodego aktora - nie robiłbym tej wycieczki. Mam pewne informacje dla pani Scott Callahan.

- Tak, pan i cała reszta świata - zakpił.

- Czy wie pan, gdzie ona jest?

- Może wiem. Ale niech się pan odpieprzy.

Toteż Connor po prostu barkiem otworzył drzwi i pchnął Dereka Sathera na ścianę. Młody, popularny reżyser hollywoodzki skamlał i szarpał



się, groził wszczęciem procesu, zachowywał się jak prawdziwy robak, ale Connor trzymał mocno i czekał, aż zmięknie.

I osłabł w końcu. Derek mógł być człowiekiem całkowicie przegranym, ale nie był zupełnie głupi. Connor nie zamierzał ustąpić, bez względu na to, co zrobi Derek. A Derek dał jeszcze jeden popis brawury.

- Powinieneś siedzieć w więzieniu, ty dupku! Wsadzę cię tam!

- Nie chcesz mieć ze mną do czynienia - odpowiedział mu pogodnie Connor. - Naprawdę nie chcesz.

- Pieprzę cię!

I właśnie wtedy Connor rzucił okiem za plecy swojego wijącego się, miotającego groźby więźnia i rozejrzał się po pokoju. Stojący w salonie stolik ze sztucznego marmuru zastawiony był pustymi butelkami po alkoholu i przyborami do zażywania narkotyków. Licząca nie więcej niż szesnaście lat dziewczyna leżała na kanapie w samych tylko majtkach.

Connor skierował wzrok na Dereka, który oblał się szkarłatnym rumieńcem oburzenia. Ale gra była już skończona i obydwaj o tym wiedzieli.

- To moja córka - wybuchnął. - To prawda! Mogę tego dowieść.

Tak jakby to usprawiedliwiało sytuację.

- Daj mi adres Denise - warknął z niesmakiem Connor i w ten sposób udzielono mu informacji o Carolyn Lenton.

Dalsze badania ujawniły, że Carolyn Lenton z nikim się nie przyjaźniła. Miała za wiele pieniędzy i za mało zainteresowania kimkolwiek lub czymkolwiek różnym od jej własnych, niezdrowych rozrywek. Sprawiała wrażenie, jakby uważała się za rodzaj duchowego guru dla możnych i sławnych tego świata. Jej sposób działania polegał na

wyszukiwaniu w Hollywood neurotycznych typów - a była ich obfitość na tej ziemi pełnej słońca i radości - i ściąganiu ich do Houston, na Bóg jeden wie jaką terapię.

Jednakże przed wyruszeniem do Houston Connor zatelefonował do Johna Callahana, do pracy i do domu. Jego wysiłki, aby się z nim skontaktować, nie zakończyły się sukcesem, a kobieta, która odebrała telefon w domu Callahana zachowywała się paranoicznie i była zupełnie zdezorientowana, kiedy wymienił nazwisko Carolyn Lenton. Najwidoczniej paranoja była powszechną chorobą w Hollywood, ale niewątpliwie tej kobiecie nic nie mówiło nazwisko Carolyn

Toteż..

Toteż postanowił odbyć wycieczkę do Houston. Kierował się różnymi powodami. Gdyby się rozniosło, że poszukuje Denise Callahan w związku z niewyjaśnionym morderstwem, byłaby to woda na młyn mediów. A on chciał uniknąć prasy. Subtelna, okrężna droga wydawała się bardziej skuteczna.

Poza tym był pewien, że jest na właściwym tropie, chociaż jego racjonalny umysł podpowiadał, że ta droga prowadzi na manowce. Ale w głębi ducha pogratulował sobie wyboru i zdał się na swój instynkt.

A kiedy już skontaktuje się z Denise - będzie miał klucz do znalezienia Dinah i Hayley

Na lotnisku wynajął samochód i bez przeszkód dojechał do domu Carolyn Lenton w River Oaks. Był zaskoczony. To była stateczna, zamożna część miasta. Stare fortuny. Konserwatywne upodobania. Niezupełnie miejsce, gdzie można by szukać ekstrawaganckich osobników z Hollywood.

Ale Carolyn Lenton, zgodnie z informacjami wygrzebanymi przez dawnych kumpli Connora z policji, pochodziła z River Oaks. Wyrzutek. Odmieniec. Zadra w tyłku zadzierających nosa rodziców, którzy zmarli na zawał serca - oboje - w odstępie paru miesięcy jedno za drugim, po pierwszym drobnym skandalu związanym z romansiem niespełna dwudziestoletniej wówczas Carolyn ze starszym, żonatym od wielu lat, miejscowym politykiem.

A rezultat? Pokłady pieniędzy, które dostały się w jej chciwe ręce. Pokłady wolnego czasu, aby zaspokoić nawet najbardziej hedonistyczną zachciankę, jaka jej przyszła do głowy. A teraz jej własny, mały pensjonat, oferujący nocleg, śniadanie i narkotyki tym wszystkim, którzy mieli takie potrzeby.

Takie przynajmniej były pogłoski.

Szczęśliwie dla Carolyn jej goście zachowywali się przyzwoicie. A przynajmniej żaden z sąsiadów nie narzekał, nikt nawet nie zdawał się być świadomy tego, że w tym dwupiętrowym domu o balkonach w nowoorleańskim stylu, ozdobionych balustradami z kutego żelaza i o przesłoniętych okiennicami oknach, działy się takie rzeczy.

Connor powoli wyhamował i zatrzymał wypożyczony niewielki samochód na ulicy sąsiadującej z domem Carolyn. Jedynym dowodem, że dom był czymś więcej niż na to wyglądał, był natłok samochodów, parkujących wzdłuż podjazdu, skręcającego za domem w stronę garażu.

Była czwarta po południu i potworny upał. Nawet przy włączonej klimatyzacji czuł wilgoć na skórze. Zerknąwszy w lusterko zauważył usta wykrzywione w zaciętej linii potępienia. Z wysiłkiem zmienił wyraz twarzy. Wiele już widział. Za dużo. Najczęściej umiał zachować kamienną twarz,

ale bardzo go drażnił zwyczajny egoizm i jałowa egzystencja. Świat był pełen prawdziwych problemów, a tacy jak Carolyn Lenton mieli wszystko w nosie.

Krocząc po mozaikowym chodniku Connor zauważył, jak bardzo intensywnie zielony był trawnik w porównaniu z trawnikami u sąsiadów. Widocznie Carolyn Lenton nie należała do grona ludzi oszczędzających wodę. Do diabła, jeśli była choć trochę podobna do tego, co sobie wyobrażał, najlepiej opisywałoby ją słowo „nadmiar”.

Zamiast skorzystać z dzwonka przy drzwiach wybrał kołatkę i parę razy głośno zastukał.

Nic.

Nad głową krążyły i tańczyły ptaki, przenikliwie świergocząc. Dawno, dawno temu zatrzymałby się, żeby je poobserwować. Lata dorastania na oregońskiej wsi nauczyły go doceniać proste przyjemności. Ale okres pracy w policji dał mu poczucie, że nie może cieszyć się przyrodą. Najzwyczajniej nie miał na to czasu.

Podjął jeszcze trzy próby natarczywego bębnienia w drzwi, zanim w domofonie rozległ się głos.

- Kto tam? - z wielką irytacją zapytał męski głos.

- Connor Jackley. Czy zastałem panią Lenton?

- Kto?

- Connor Jackley - powtórzył z niezmaconym spokojem.

- Czego pan chce?

- Chciałbym porozmawiać z właścicielką tego domu. Popłynął krótki stek wyzwisk. Minęły minuty. Connor doszedł do wniosku, że jego prośba nie została przekazana pani domu. Zastanawiając się, czy Carolyn wezwie

na niego policję, Connor wcisnął guzik przy drzwiach i zadzwonił tak długo, że aż sam zaczął wariować od tych dźwięków.

Nagle drzwi otworzyły się gwałtownie. Rudowłosa kobieta z niesympatycznym, wściekłym wyrazem twarzy wrzasnęła: - Wynoś się z mojej posiadłości! Wezwałam policję!

- Czy to pani jest Carolyn Lenton?

Dwaj mężczyźni stanęli po obu jej stronach. Żaden nie wyglądał na takiego, który mógłby wyrządzić krzywdę. W rzeczywistości kolana im się trzęsły ze strachu. Najwyraźniej nie spodziewali się, że mogą być wezwani do obrony swojej gospodyni.

Carolyn miała na sobie zielononiebieską jedwabną chustę, luźno zarzuconą na skąpe bikini.

- Jeżeli natychmiast się pan nie wyniesie, poszczuję pana psem!

- Pani Lenton, usiłuję odnaleźć Denise Scott Callahan. Mam dla niej pewne informacje z jej rodzinnego miasta.

Zamykała już drzwi, tak pogrążona w swoim poczuciu ważności i wściekłości, że gdyby nawet powiedział, że ma dla niej czek na dziesięć milionów dolarów z „Publisher's Clearing House”, i tak nie miałoby to najmniejszego znaczenia. A jednak coś ją powstrzymało. Connor nie był zupełnie pewien, czy w końcu wiadomość dotarła do niej, czy też było to coś innego. Ale zamiast spełnić groźbę, obrzuciła go spojrzeniem, przesuając po nim wzrokiem od góry do dołu i z powrotem.

Wyraz jej twarzy uległ zmianie. Niecierpliwym gestem odprawiła swoich przybocznych i jednym palcem uchyliła szerzej drzwi. Takiego namiętnego zaproszenia Connor nie mógł pominąć.

W duchu ciężko westchnął. Wiedział już, co jej przyszło do głowy. Wielokrotnie widział już te objawy wcześniej. Jego wygląd działał jak magnes na kobiety pewnego typu. Kiedyś usiłowała mu to wyjaśnić jego była kochanka. - Masz w sobie spokojną siłę, w stałej gotowości. Oszczędny sposób mówienia, w stylu Bogarta. To doprowadza kobiety do szału, rozumiesz. Wyglądasz na mężczyznę, potrzebującego kogoś, kto by cię zrozumiał. Jesteś trudny, ale dobry, no wiesz, o co mi chodzi? I jesteś seksowny - dodała z zawstydzonym uśmiechem. - Tak baaardzo seksowny...

To był dobry związek. Lubił jej humor, jej żarty. Ale nie potrafił się zaangażować tak, jak pragnęła, więc wszystko skończyło się na niczym. On był całkowicie pochłonięty swoją pracą, a ona marzyła o spokojnym, domowym życiu. Jak na ironię, wkrótce po rozstaniu porzucił służbę i został prywatnym detektywem.

Po prostu niektórym rzeczom nie było pisane się przydarzyć.

Carolyn oparła brodę na zwiniętej w pięść dłoni, próbując go ocenić, gdy wchodził do wnętrza domu.

- O co więc chodzi? - zapytała. - Kim pan naprawdę jest?

- Jestem prywatnym detektywem.

- Ojej. Co zrobiła Denise?

- Czy jest tutaj?

- No cóż, dobre pytanie, panie... ?

- Jackley.

- Ma pan jakieś imię?

- Connor.

- Hmm... - Carolyn poprowadziła go przez solarium, na brzeg basenu. Parę osób leżało na leżakach, brązowe figurki, ignorujące wszystko, poza ciepłem promieni słonecznych na swojej skórze.

Connor zatrzymał się w cieniu altany, oplecionej winem, usiłującym zachować świeżość pomimo palących promieni. Carolyn usiadła w słońcu, po drugiej stronie zastawionego szklankami stolika i gestem skłoniła go do zajęcia miejsca.

- Jak się dowiedziałeś, że Denise tu była?

- Nie było trudno się dowiedzieć.

- Rozmawiałeś z jej byłym mężem?

- Nie.

- A więc powinieneś z nim pogadać. Ona go nadal kocha. Informacja powoli dotarła do Connora. Było to coś nowego.

- Chyba muszę najpierw z nią porozmawiać.

- Cóż, świetny pomysł, tyle że wyjechała stąd. Kilka dni temu. Z powrotem do Los Angeles.

Carolyn odwróciła się i zawołała do wszystkich i do nikogo w szczególności:

- Hej, przynieście mi tonik i coś mocniejszego dla pana Jackleya.

Nikt się nie poruszył. Senny bezruch wyglądał wręcz surrealistycznie. Carolyn spróbowała jeszcze raz, po czym mruczając przekleństwa pod nosem sama udała się po drinki. Connor zapatrzył się w lazurową toń basenu, obserwując grę światła na wodzie.

Carolyn powróciła z emaliowaną czarną tacą i dwoma drinkami, tonikiem dla siebie i kuflem piwa dla niego, tak schłodzonym, że kropelki wody skapywały z powierzchni kufła. W czasie gdy szła po drinki, udało jej

się rozluźnić jedwabną narzutkę, teraz więc, siadając na leżaku, uniosła jedno kolano, aby zaprezentować zgrabne udo i łydkę.

- A może miałbyś ochotę na coś innego? - zapytała z cieniem sugestii w głosie.

- Nie, dziękuję.

- No dobrze, Connor. To co mam ci opowiedzieć o Denise Scott?

Connor podniósł kufel. Chłód piwa był niebiańską rozkoszą w upalne popołudnie. Łyknął z ochotą i odstawił kufel. Obserwując go, Carolyn Lenton wyciągnęła ze swojej szklanki kostkę lodu, otrząsnęła ją z nadmiaru toniku i przyłożyła do piersi, przesuwając mały, zamrożony blok po opalonym ciele.

Chlup! Wrzuciła kostkę do kufla z ale.

- Co chciałbyś usłyszeć? - wydała z siebie zachrypnięty, pytający pomruk.

- Wszystko.

- Każdy brudny szczegół? Każdą niedyskrecję, każdy niezbyt legalny postępek? - Pochyliła się do przodu, a jej piersi napięły trójkątne skrawki, tworzące górę bikini.

Connor ocenił ją wzrokiem. Nie mógłby jej teraz powstrzymać, nawet gdyby jej zapłacił.

- Nie opuszczaj niczego.

\*\*\*

Trzy godziny później wracał na lotnisko międzynarodowe w Houston ze znacznie większym zasobem informacji. Denise była w Los Angeles. Carolyn nic nie wiedziała o siostrach.



- Siostry? - powtórzyła zdziwiona. - Żartujesz chyba. Denise ma byłego męża. Zgodnie z jej opowieściami, prawdziwy fiut. Ale nigdy nie wiadomo. Denise jest tak samo zwariowana jak wszyscy. Wiedziałabym coś o siostrach.

Carolyn zaczęła mu opowiadać o Ianie Wallace. Nastroszyła się, wymieniając to nazwisko. Wyglądało na to, że Denise ukradła faceta swojej gospodyni. Niewybaczalne zachowanie, jak mógł wnioskować Connor, widząc przymrużone z wściekłości, umalowane oczy Carolyn.

Mniej rozwlekłe wspomniała również o doktorze Haydenie Stone. Psychoterapeuta Denise, który przypadkowo także przeniósł się do Los Angeles.

Patrząc na listę nazwisk i adresów, zapisanych na kartce, którą cisnął na siedzenie obok kierowcy, Connor doszedł do wniosku, że najlepiej zrobi, jeśli skontaktuje się teraz z Dempseyem. Szeryf był zaniepokojony. Jakaś część jego duszy istotnie pragnęła zatuszować całą tę paskudną historię. Ale pozostała część nadal pracowała w pocie czoła nad rozwiązaniem sprawy. Kiedy Connor rozmawiał z Dempseyem poprzednim razem, ten właśnie powtórnie przesłuchał byłego chłopaka Denise, niejakiego Jimmy'ego Fargo, mieszkającego w Seattle.

- Przysięga, że miała skrobankę. - Gus poinformował Connora. - Sprawia wrażenie opętanego tym pomysłem.

- Zapytałeś go, czy jest przekonany, że był ojcem?

- Co ty kombinujesz, Jackley?

- Nie wiem - uczciwie odparł Connor. - I nie chcę wiedzieć.

- Ta sprawa może przynieść jeszcze niejedno - z prawdziwym żalem westchnął Gus. - Z absolutną pewnością twoja siostra nie jest zachwycona tym myszkowaniem dokoła. Wiesz, Matt prowadzi notatki.

- Nie chce, żeby się w to angażował.

- No cóż, Matt w jakiś sposób czuje się właścicielem całej tej sprawy. To naturalne. Ale ja mam ciekawsze rzeczy do roboty niż zamartwianie się problemem morderstwa takiego kundla jak Daniels, które miało miejsce przed ośmioma laty. Kiedy tylko będziesz miał tego dosyć, daj mi znać...

Kiedy będziesz miał dosyć tej pracy...

Connor położył dłoń na karku i zaczął rozmasowywać kości kręgosłupa. Po dwóch kuflach ale czuł suchość w ustach. Carolyn wciskała mu więcej, ale zazwyczaj Connor stronił od trunków. Tylko raz podczas błyskotliwej kariery w policji w Los Angeles, pozwolił sobie wypić za dużo alkoholu. Jego partner wrzucił go do tyłu samochodu i odwiózł do domu. Nic wielkiego. Ale później, tej samej nocy, ten sam partner jako pierwszy znalazł się na miejscu potwornego wypadku samochodowego. Mgła. Nierozważni kierowcy.

Pierwszy na miejscu wypadku. Pierwszy w zderzeniu.

Jego śmierć nie miała nic wspólnego z Connorem. Ale pociąg Connora do alkoholu bardzo się zmniejszył.

I dobrze, bo Carolyn właściwie wdrapała się na niego, kiedy jej goście smażyli się na słońcu. Miała silne ręce, gładkie i doświadczone, i z poczuciem winy przypomniał sobie, że czekał jedną chwilę za długo, zanim ją powstrzymał.

Potrzebował kobiety, ale na tej cholernej planecie nie było ani jednej, do której by go ciągnęło.

Z wysiłkiem odpędziwszy myśli o orzechowym, posmarowanym olejkami ciała Carolyn i wędrujących palcach, zaczął planować swój następny ruch: Ian Wallace z Beverly Hills.

Dlaczego to nazwisko brzmiało tak znajomo? I dlaczego miał wrażenie, że ma dziurę w brzuchu?

Ta sprawa może przynieść jeszcze niejedno.

Connor skrzywił się, myśląc, czy Gus Dempsey i jego siostra nie mieli mimo wszystko racji. Sprawa będzie zagmatwana i źle się skończy.

Takie sprawy zawsze źle się kończyły.

\*\*\*

Pojechała z nim prosto do jego domu. Po długim, wspólnym locie wydawało się to zupełnie właściwe. Zresztą gdzie mogłaby pojechać? Do siebie? A gdzie był jej dom? Dinah mieszkała z Johnem, a Derek, ten fagas, lubił się tylko pieprzyć analnie. Facet był klasycznym homoseksualistą, ale nie daj Boże spróbować mu to powiedzieć. Denise żartem wspomniała coś na ten temat, a Derek zaczął krzyżeć, że ma „nastoletnią córkę, gdybyś tego nie wiedziała! Nienawidzę tych słabych, odrażających drani!”

Denise zauważyła wówczas, że ma wielu przyjaciół, którzy są pedałami i cóż - jest się tym, kim się jest - ale nie udobruchała Dereka, którego paranoja osiągnęła stan krytyczny.

Ale i tak ich związek wygasi, więc Denise, pozbawiona pracy i domu, cierpiąca na dwubiegunową jak - to-się-tam -nazywa - Jezu. trudno wprost uwierzyć! - zatelefonowała do Dinah i pojechała z Carolyn na nowe wyboje na życiowej ścieżce.

Po wejściu do domu Iana miała wrażenie, jakby wracała z dalekiej podróży. Pasowała tutaj. Potrafiła to ocenić. Wszystko wokół było takie

piękne. Błyszczące okna. Antyki. Większość zabrana z domu w Charlottesville, który teraz znajdował się w rejestrze zabytków historycznych. Posadzki z twardego drewna pokryte były grubą warstwą dywanów. Płatki róż pływały w cynowej misie, stojącej na kredensie w hallu.

Denise zerknęła na twarz Iana. Uśmiechał się swoim trudnym do rozszyfrowania uśmiechem.

- Podoba ci się?

- A jak myślisz?

- Sądzę, że ci się podoba. - Ujął jej dłoń i poprowadził na tyły domu, do kuchni. Na krześle leżały porządnie poskładane gazety.

- Co jest... - Lina! - wrzasnął, zaskakując Denise gwałtowną zmianą nastroju.

Gdzieś nad ich głowami rozległy się drobne, szybkie kroki. Chwilę później pojawiła się meksykańska pokojówka, a w jej szeroko otwartych oczach widniał strach.

- Pozbieraj to i wyrzuć - zimnym głosem zażądał Ian. Wskazał ręką na gazety.

- Zabiorę je ze sobą - powiedziała, raz za razem potakująco kiwając głową.

Trzymając się w bezpiecznej odległości obeszła Iana, wynosząc w ramionach ogromny stos gazet.

Po jej wyjściu zapanowała cisza. Nagle Ian otoczył Denise ramionami, ciasno. Serce biło mu mocno i szybko. Denise pozostała bierna.

- Chcesz się kochać? - szepnął, baczenie się jej przyglądając.

Wiedziała, że do tego dojdzie. Zawsze tak było. Czy muszę? pomyślała znużona Denise.

- Czy masz coś do picia?

- Oczywiście. - Puścił ją z ociąganiem i podszedł do lodówki. W jego rękach pojawił się dzbanek świeżo zmieszanego martini. Być może Lina nie wiedziała, co należy robić z gazetami, ale zdawała się nieźle rozumieć inne potrzeby swojego chlebodawcy.

Ian wyjął dwa kieliszki i sprawnie nalał drinki dla obojga. Było coś paralizującego w sposobie, w jaki przyglądał się, gdy unosiła swój kieliszek, ale Denise odrzuciła te myśli. Po prostu czerpał przyjemność z patrzenia na nią. Połowa ludności w kraju dostawała bzika obserwując ją w trakcie udawanego orgazmu w „Cosmosie\*’. Jezu, jakie marne usprawiedliwienie dla filmu, nawet jeśli zarobił miliony.

Denise przyjemnie szumiało w głowie, gdy Ian wyciągnął rękę i uszczypnął ją w biust.

- Coś mi się zdaje, że to się nazywa molestowanie seksualne - powiedziała do niego, starając się, żeby jej słowa zabrzmiały lekko, chociaż czuła się kompletnie znużona i wyczerpana.

Uśmiechnął się i powtórzył zaczepkę.

Spowilo ją poczucie nieuchronności. Ta sama scena, inny aktor. Puste, puste życie. Nic innego nie pozostało.

Przeciagnął dłonią wzdłuż jej policzka. Pochylił się i pocałował ją w ucho. Gorący oddech. Natarczywy język.

Polubisz to, skarbie. Polubisz.

Przed jej oczami zamajaczyła twarz Thomasa Danielsa, okrutna, lubieżnie łypiąca okiem. Denise cała się zatrzęsała.

Niewłaściwie to interpretując Ian otoczył rękami jej pośladki, uniósł ją i posadził na blacie, jednocześnie zadzierając jej spódnicę tak wysoko, że widać było jej długie, gołe nogi, wystające ze skąpych jedwabnych majteczek. Rytmicznie zaczął przesuwać dłońmi po jej udach, a jego kciuki delikatnie ocierały się o majteczki, cofały, ocierały się znowu. Ruchy te miały na celu wzbudzenie ognia i namiętności, ale Denise nie była w stanie zareagować.

Ian albo tego nie zauważył, albo też się nie przejmował. Jednym szarpnięciem przesunął jej biodra na brzeg blatu, zdarł z niej majteczki, rozpiął spodnie, wyciągnął wzwiedziony członek i przystąpił do pracy.

Denise zacisnęła ręce i zaczęła się desperacko zastanawiać, czy zaraz znów nie pojawi się Lina. Ale służącej nie było widać, a Ian okazał się tak szybki, że zanim Denise zdążyła mieć sobie za złe następny niewłaściwy wybór mężczyzny, on miał już na powrót zapięte spodnie, a nawet, jak na dżentelmena przystało, poprawił jej spódnicę.

Martwił ją jednak uśmiech na jego twarzy.

W życiu mogą się zdarzyć gorsze rzeczy. Dużo, dużo gorsze.

- Miałem na to chęć już w Houston - powiedział. - Przez całą drogę powrotną w samolocie o tym myślałem. Chodź... - Wziął ją za rękę i zaprowadził na wspaniałe patio z basenem, gdzie usadowił ją na leżaku.

Denise w napięciu zaczęła bębnić palcami. Prześladowające ją kłopoty. Nawiedzające duchy. Zaciśnij dłoń w pięść. Wyrzuć trucizny.

I wtedy Ian Wallace zrzucił z siebie ubranie i stanął przed nią jak wojownik - zdobywca.

Nerwowo przelękając ślinę zastanawiała się na poły histerycznie, czego od niej teraz oczekuje. Nie zamierzała brać niczego do ust, jeśli o to chodziło.

On jednak dał nurka do basenu i zaczął pływać tam i z powrotem. Denise obserwowała go jak zahipnotyzowana, wreszcie oderwała wzrok i spojrzała na szerokie francuskie drzwi, prowadzące do sypialni pana domu. W ich obramowaniu stała Lina, jak madonna bez uśmiechu, z czarnymi włosami zaczesanymi do tyłu.

A w jej spojrzeniu malowała się litość.

- Jest najpaskudniejszym egzemplarzem rodzaju ludzkiego, jaki kiedykolwiek widziałam.

- Jest królem w świecie przemysłu filmowego.

- Widzę u niego plamy potu pod pachami.

- No więc nie jest panem Czyściochem. I kogo to obchodzi? Jest nadziany.

- Które ma studio?

- Titan Pictures.

- O cholera...

Hayley zazgrzytała zębami ze złości. Scena była taka jak zawsze: grupki ludzi na haju, gramolących się na miękkich nogach i rękach, nieobecne spojrzenia, brak zainteresowania. Tylko tym razem działo się to w położonym przy Mulholland Drive domu Rodneya Walburna III. Szyk. Klasa. Dom pełen ważnych graczy, wspaniałych, zblazowanych i tak niewiele się różniących od ludzkich wraków.

Sam Rodney był potworem. Obowiązująca w Hollywood zasada: „Bądź szczupły, bo będziesz zerem” wydawała się go nie dotyczyć. Był

obrośnięty sadłem, skóra błyszczała mu od potu. Małe oczy tonęły w fałdach tłuszczu. Kluchowate dłonie sprawiały wrażenie małych, a ręce sterczały z boków tułowia, złożone jak skrzydła, nie miały bowiem żadnych szans przy jego ogromnym obwodzie.

Jeśli jednak chodzi o włosy, był niezwykle pedantyczny. Nosił je wypomadowane, nawet najmniejszy włoszek pozostawał na swoim miejscu. Kiedy czegoś potrzebował, pstrykał palcami i dorodne hollywoodzkie gwiazdki przybiegały spełniać jego rozkazy.

Taki Jabba the Hutt.

Ale jeden jego telefon mógł otworzyć jej drogę do kariery. Jeden telefon.

- Co mam robić? - Hayley zadała pytanie Glorii.

- Zdawało mi się, że jesteś obserwatorem. Wszystko, co masz robić, to patrzeć.

Na co patrzeć? pomyślała z lekką histerią. Jeśli miałyby oglądać Jabbę w akcji, na pewno by się porzygała. Ucieczka duchem od takiej sceny graniczyłaby z niemożliwością.

Żeby być jeszcze bardziej odpychającym, w każdym zdaniu używał słowa na p. Pieprzę to i pieprzę tamto, pieprzona ta rzecz i pieprzona tamta rzecz, i ty pieprzony idioto, i ty głupi, pieprzony skurwielu.

Tak, był prawdziwym dziełem sztuki.

Nagle, jakby czytając w jej myślach, Jabba pstryknął palcami i wskazał na Hayley i Glorię. Tłumiąc niepokój Hayley ruszyła za Glorią.

Obie zbliżyły się do Jabby, Hayley odrobinę z tyłu.

- Niezłe cycki - zauważył, przyglądając się Glorii. Cóż, pomyliła się. Nie mówił o pieprzeniu w każdym zdaniu. Ale godzina była jeszcze młoda.



- Tak, najuczciwszy silikon - odpaliła Gloria.

Jabba parsknął. Jego odpowiedź przypominała gdakanie. - Jesteś pieprzoną brzydulą - oświadczył złośliwie. Takie stwierdzenie w ustach Oślizłego Króla?

- Kim jest ta myszka? - zapytał, patrząc na Hayley.

- Nowa w interesie - odparła Gloria. - Jest obserwatorem.

- Co to za pieprzony pomysł?

Gloria wzruszyła ramionami. - Sam ją zapytaj. Lubi się przyglądać.

Jabba natychmiast zamilkł, jakby go zatkało. W końcu czasem do sformułowania zdania potrzebne są inne słowa niż pieprzenie, pieprzony czy pieprzyć. A to mogło być trudne zadanie dla kogoś tak ograniczonego.

Szef Titan Pictures! Jak to się stało? Jak? Oblizął wargi, oddychając ciężko przez nos i próbując przez warstwy tłuszczu wciągnąć do płuc trochę tlenu. Rodney Walburn - niech będzie nazwany odrażającym.

Hayley czuła do niego ogromne obrzydzenie.

- Cóż, mnie nie będziesz obserwować - powiedział jej z kiepsko maskowaną cnotliwością. - Wynoś się.

Hayley mało szczęka nie opadła. A więc Jabba był świętoszkiem.

Gloria nie usłyszała albo się nie przejęła. Poglądziła go po głowie. Duży błąd. Kosmyki natłuszczonych włosów zaczęły sterczeć na wszystkie strony. Tłuste łapsko Jabby schwyciło jej przegub i ścisnęło złośliwie.

- Spieprzajcie stąd. Dziwki. Wasze miejsce jest na pieprzonej ulicy!

W ciągu paru sekund znalazły się za drzwiami, wyrzucone jak śmieci. Gloria była rozwścieczona.

- Mam przyjaciół! - wrzeszczała. - Znam różnych ludzi. Tłusty gnojek!

- Walila pięścią w zamknięte na klucz drzwi.

- Nigdy chodzenie po ulicy nie wydawało mi się takie przyjemne - mruknęła Hayley, czując większą ulgę niż zmartwienie.

- Wyrzucił nas! Wyrzucił! - Gloria szalała z wściekłości. - Poczekaj, jak powiem Danny'emu!

Obie wiedziały, że Danny nie ma najmniejszego wpływu na Rodneya Walburna. Był drobnym stręczycielem, o Rodneyu zaś mówiono, że zdobył swoją pozycję dzięki związkom z mafią. Danny uważał za zaszczyt, że Rodney zainteresował się jego dziewczynami. Było bardziej prawdopodobne, że oskarży Głorię o niewykonanie zadania, niż że zacznie rozważać, jaką świnią okazał się Rodney.

- Chodźmy - zaproponowała Hayley, jednocześnie analizując w duchu różne możliwości. W porządku, poniosły porażkę w tej części hollywoodzkiego światka. Dobra. Hayley naprawdę nie sądziła, żeby ktokolwiek, nieważne kim był, obsadził autentyczną prostytutkę w takiej roli jak rola Toni z *Lady Paradise*. A poza tym, nawet jeśli Jabba był szefem Titan Pictures, i tak nie miał kontroli nad częścią artystyczną. Hayley nie była nawet pewna, czy Callahan miał umowę z Titan. Czy nie było jakichś kwasów między nim i studiem, które praktycznie posiadał jego ojciec?

Zresztą, kto by się przejmował. Dla niej najlepszym rozwiązaniem był John Callahan i doświadczenia jednodniowej prostytutki. Wdzieranie się w kręgi śmietanki Hollywood w przebraniu ulicznicy mogło przynieść więcej szkody niż zysku. Czas z tym skończyć.

Czas zacząć podchodzić samego Callahana.

Spojrzenie ciemnych oczu mężczyzny więziło ją. Emocje tliły się w nich jak rozgrzane do czerwoności węgielki. Pokój był prymitywnie urządzony. Tanie łóżko ze skrzypiącym materacem, odrapane biurko, pożółkła karta hotelowa przymocowana do drzwi.

- Nie opuścisz mnie - wysyczał. - Jesteś biedna. Potrzebujesz mężczyzny takiego jak ja.

Stojąc w kącie pokoju, ze znużeniem na twarzy przyjrzała się swemu kochankowi. Taki był naprawdę. Samo dno, to prawda. Ale i tak najlepszy, jakiego miała kiedykolwiek.

Kiedy wyciągnęła rewolwer i postrzeliła go śmiertelnie w środek klatki piersiowej, nadeszła ulga. Na głośny huk rewolweru stojący najbliżej członkowie ekipy filmowej podskoczyli zaskoczeni.

Także aktorka podskoczyła, ale jej zachowanie dało się podciągnąć pod scenariusz.

Niestety, „biedna” zamiast „wierna” ze scenariuszem pogodzić się nie dawało. Bohater filmu był nieokrzesany i prymitywny, ale nie miał klusek w ustach.

John Callahan zerknął na Franka Carello, reżysera *Fortunaty*. Frankie kiwał głową, jedną ręką zapamiętale sygnalizując „dalej, dalej, dalej”. Najwyraźniej podobało mu się to, co widział.

Johnowi się nie podobało. W jakimś sensie *Fortunata* wymykała mu się, wręcz trudno ją było rozpoznać. Nigdy nie powinni byli powierzać Justinowi Deversowi roli Toma. Facet nie miał za grosz talentu. Ale Frankie go obsadził, był bowiem jego dalekim kuzynem, a sukces, jaki odniósł w

telewizyjnym serialu *Plenty of Trouble* z nastoletniego idola zrobił zeń sławnego człowieka filmu.

Nie do końca.

Niestety, byli już z Frankiem bardzo zaangażowani. Za bardzo. Początkowe sugestie Johna, żeby na nowo skompletować obsadę, odbijały się jak groch od ściany. Frankie chciał Justina Deversa i gotów był głośno wrzeszczeć, gdyby nie postawił na swoim. Frankie potrafił być rozkoszny jak pluszowy niedźwiadek i zażarty jak niedźwiedź grizzly, kiedy zakwestionowano jego słowa. John walczyłby ostrzej, ale w owym czasie był tak pochłonięty osobistymi problemami, że po prostu dał Frankiemu rozstrzygnąć sprawę obsady w sposób, przy którym się upierał.

Teraz było już za późno. -Nakręcono za wiele scen, żeby zaczynać od nowa. Musieli kontynuować i pot widoczny na czole Frankiego i zwilżający mu na plecach białą podkoszulkę mówił sam za siebie.

Scena się nie kleiła. Justin nadal dukał swoją kwestię. W końcu Frankie wybuchnął.

- To John powinien tobą kierować, prawda? - krzyknął, wymachując rękami. - Pracujesz tylko dla Johna? Kto tu jest reżyserem, jak myślisz? Sądzisz, że John Callahan? On jest producentem, ty dupku. Reżyserem jestem ja. - Poderwał palec do góry i raz za razem zaczął się stukać w klatkę piersiową.

John westchnął w duszy. Zdarzyło mu się reżyserować zaledwie kilka scen, raczej przypadkiem, nie planowo, bowiem Frankie miał zwyczaj późno chodzić spać, pić za dużo wina, jeść nadmiernie i gadać zbyt wiele. Sceny kręcone wczesnym ranem były zabijające dla kogoś o takich

przyzwyczajeniach i temperamencie, poza tym parokrotnie John kierował też zdjęciami popołudniowymi.

Cokolwiek Frankie myślał, nie było prawdą, że Justin grał lepiej przy Johnie. Guzik, facet był beznadziejny, a John czułby się szczęśliwy, gdyby jakąś scenę udało się nakręcić za piątym podejściem. Część problemu Frankiego polegała na tym, że był perfekcjonistą (i maniakiem), i chociaż sam wybrał Justina, zgotował biednemu chłopakowi prawdziwe piekło.

*Fortunata* była klęską od samego początku - a teraz z hukiem staczała się w dół.

- Wiem, że jesteś reżyserem, Frank - mruknął Justin, czerwieniejąc ze złości. - Nie mylę się specjalnie.

- Naprawdę? W takim razie świetnie udajesz!

- Dość tego. - Justin zszedł z planu, trzaskając za sobą najbliższymi drzwiami.

- Przeklęty gnojek - parsknął Frankie. - Zachowuje się, jakby był cholerną gwiazdą.

- Chcesz, żebym została? - jęknęła ciemnowłosa aktorka. Kiedy nie grała, mówiła wszystko jęczącym głosem.

- Idź, idź! - odprawił ją machnięciem ręki.

- Kiedy będziemy kręcić tę scenę? - zapytała jedna z asystentek. - Kończy nam się czas.

John wciągnął powietrze przez zęby. Fatalny pomysł, mówić Frankiemu to, co sam wiedział.

Frankie spurpurowiał. Tego dnia miał nastrój niedźwiedzia grizzly. - Jesteś zwolniona. Znikaj mi z oczu! - Przemknął obok niej, młócąc rękami i mrużąc przekleństwa.

Asystentka, Tonja Terkell, kilka razy szybko zamrugała oczami. John westchnął, czując, że mu żal dziewczyny. Było mu żal każdego, kto stał się z nieznośnym charakterem Frankiego.

- Nie najlepszy dzień - powiedział ze współczuciem John, obserwując jednocześnie Frankiego, który zerwał się z krzesła jeszcze bardziej urażony niż Justin Devers.

- Naprawdę jestem zwolniona? - zapytała cichym głosem.

- Pracujesz u mnie, nie u Carello, ale Frankie jest uparty i łatwo nie wybacza. A kręcenie zdjęć do filmu i tak się kończy. Nie musisz tu wracać.

Jej oczy wypełniły się łzami. John dodał, znacznie łagodniej: - Hej, zadzwonię do ciebie, kiedy znowu będę kogoś potrzebował.

- Zadzwonisz?

Podejrzewał, że zabrała scenariusz *Lady Paradise* i albo go sprzedała, albo podarowała przyjacielom. Miał bzika na punkcie zachowywania planów w tajemnicy, toteż kusiło go wtedy, żeby ją wyrzucić. Ale z drugiej strony, umiała wypełniać polecenia i - generalnie rzecz biorąc - trzymać język za zębami. Może trzeba byłoby nad nią trochę popracować.

A może on sam jest adwokatem przegranych spraw.

- Tak - powiedział z powagą. - Zadzwonię.

Wyszedł, zanim wypłynęły następne bolączki związane z produkcją filmu, mając zamiar udać się do swojego mieszkania w pobliżu Titan Studios. Zamiast tego jednak ruszył na północ w kierunku Malibu, a jego myśli, jak ostatnio coraz częściej, zaczęły krążyć wokół byłej żony.

Dlaczego? Dlaczego? Co takiego w niej było, że zalazła mu za skórę jak bolesny cierń?

Po raz pierwszy spotkał Denise w czasie realizacji *Willful*, pierwszego prawdziwego hitu Denise, trzeciego w jego karierze. Denise miała rolę drugoplanową, ale to ona stała się główną gwiazdą tego filmu. Trochę słodka, trochę seksowna i nieskończenie wrażliwa, posiadała tę tajemną cechę, właściwą wielkim gwiazdom. Promieniowała z ekranu, odciskając piętno na całym filmie.

W tym czasie John związany był z odtwórczynią głównej roli, piszczącą egoistką, która przestawała być nieznośną divą tylko wtedy, gdy znajdowali się sami w łóżku. Pod tą powłoką była wesola, przylepna i nieomal wstydliva. Ten uderzający kontrast przez miesiące intrygował Johna, aż do momentu, kiedy jej wybuchy złości tak bardzo opóźniły realizację filmu, że poczuł się zły i zakłopotany. Jej ostatni dzień na planie był ostatnim dniem ich związku. Zrzuciła mu, że wykorzystał ją dla dobra filmu, zapomniawszy, że właśnie on sprzeciwiał się obsadzeniu jej w głównej roli i został do tego wbrew sobie zmuszony. Procesowała się z nim o zerwanie kontraktu. Zerwanie kontraktu? Stwierdziła, że ustnie ustalili, iż dostanie role w trzech filmach Titan Pictures, studia jego ojca.

Titan Pictures... przekleństwo w życiu Johna. Był związany ze studiem w specyficzny sposób, ale branie udziału w jego przedsięwzięciach budziło w nim niechęć. Nienawidził studia, ponieważ nienawidził swojego ojca, a śmierć Sampsona Callahana w żaden sposób nie zmiękczyła Johna.

Spowily go czarne chmury, gdy wrócił pamięcią do postaci skoncentrowanego wyłącznie na sobie, charyzmatycznego, butnego ojca. Jako że John był synem „Sampsona Callahana, Szefa Titan Studios”, dwukrotnie wytoczono mu proces o ojcostwo. Obie sprawy były tak samo

niedorzeczne jak oskarżenie jego przyjaciółki o zerwanie kontraktu. Nigdy nie przespał się z żadną ze skarżących go kobiet.

Ale Sampson z nimi sypiał. Podobnie jak z całym tabunem innych. Może to on był ojcem ich nie urodzonych dzieci. Może same wszystko wymyśliły. Wiedział tylko, że został wybrany na kozła ofiarnego, ponieważ Sampson Callahan był obojętnym, zimnym draniem.

A John dziedziczył po nim wszystko.

Procesy sądowe niczego nie rozstrzygnęły. Burzliwe związki Johna z ojcem trwały nadal. Uganianie się Sampsona za kobietami wzrosło.

Sampson Callahan miał w zwyczaju sypiać z gwiazdkami, zmuszać kompanię filmową do obsadzania ich w drobnych rolach, a potem zapominał o ich egzystencji. Matka Johna ze stoickim spokojem ignorowała wszelkie plotki, topiąc swoje nieszczęście w alkoholu. Kiedy John dorósł, te same plotki zaczęto mówić o nim. Był oskarżany o tak częste uwodzenie kobiet, że chyba tylko cudem pozostawał mu czas na jedzenie, sen i pracę.

Początkowo energicznie zaprzeczał pogłoskom, ale okazało się to tylko pożywką dla prasy. Jaki ojciec, taki syn, tylko syn na dodatek krzyczy, że to wszystko nieprawda! Wokół aż huczało od głośnego śmiechu.

John nauczył się trzymać język za zębami.

Połowa dotyczących go plotek miała coś wspólnego z Sampsonem i chociaż większość nocy spędzał samotnie, jego reputacja kobieciarza rosła.

Matka знаła prawdę. Nigdy o tym nie rozmawiali, ale tuż przed śmiercią przycisnęła dłoń do jego policzka i powiedziała „Dziękuję ci” w sposób, który mówił wszystko.

Jak na ironię, Sampson zmarł wkrótce po niej. Krzepki szef studia warknął swój ostatni rozkaz - polecenie zwolnienia jednego z najbardziej



zaufanych pracowników, skarżąc się na ból w klatce piersiowej udał się do domu na obiad i parę minut później zmarł na zawał serca.

W pogrzebie uczestniczyły tysiące ludzi. Aby tam pójść, John musiał strzelić sobie szklaneczkę whisky. Myślał o matce. Jej pogrzeb był cichy i skromny, zgromadził jedynie paru odległych krewnych ze wschodniego wybrzeża. Ten cyrk, to był cały Sampson. Porównanie go ze skromną uroczystością matki przyprawiło Johna o mdłości. Jego żołądek nie znosił hipokryzji.

Wtedy właśnie John dowiedział się, że zgodnie z wolą ojca, pewien procent Titan Pictures należy do niego. To go naprawdę rozsierdziło.

Nie chciał nawet centa z pieniędzy Sampsona. Przez całe życie staruszek go dręczył, był nawet piekielnie bliski wydziedziczenia jedynaka, gdy John nie zgodził się pracować w Titan Pictures. Jako drobny odwet Sampson odmówił finansowania filmów Johna. A kiedy John otrzymał nominację do Oscara, jego ojciec publicznie opowiadał, jak bardzo dumny jest ze swojego „uzdolnionego, utalentowanego syna”, a prywatnie wywarkiwał połajanki, ilekroć przypadkiem ich drogi skrzyżowały się.

W dzieciństwie John bał się ojca. Żadnego miłego słowa. Żadnej rady. Jedynie obraźliwe komentarze i krytyka. Ale wyrósł na twardego człowieka. Jeśli taki był plan Sampsona, znakomicie się powiódł. John jednak wierzył - chociaż nie można było odgadnąć, jakimi torami biegły myśli Sampsona - że w rzeczywistości jego ojciec chciał go złamać, zniszczyć, trzymać w garści. To strach rządził Sampsonem Callahanem. Strach, że jego nieudany syn w jakiś sposób go prześcignie. Zażarty, nienaturalnie zapalczywy duch rywalizacji pogrzebał wszelkie ojcowskie uczucia, jeśli w ogóle jakieś były,

zabijając w ten sposób miłość i szacunek, jakie John mógłby odczuwać wobec człowieka, który pomógł go stworzyć.

Jak na ironię, że gdyby Sampson był choć trochę inny, mógłby czerpać radość patrząc, jak jego syn poświęca się sprawom, które sam też lubił. Ilu mężczyzn oddałoby wszystko, by ich syn poszedł w ich własne ślady? A może nawet wspólnie by pracowali, aby stworzyć dynastię. Żeby być świadkami, jak ich dziecko realizuje najśmielsze marzenia i odnosi ogromne sukcesy na tym samym polu.

Tak wiele dzieci odnoszących sukcesy hollywoodzkich grubych ryb utraciło gdzieś po drodze poczucie stabilności. Zagubieni, egzystujący bez celu, dryfowali po morzu lęku i niewiary w siebie, próbując realizować niebываły standard życia. Umierali młodo albo unosił ich donikąd jakiś słaby prąd.

John Callahan sam sterował swoim okrętem, natomiast u jego ojca nadęte poczucie własnej wartości nie pozostawiało miejsca dla innych członków załogi. Prowadzili ze sobą zimną wojnę pełną cichych spojrzeń i zaciśniętych szczęk, zaden nie ustąpił nawet o milimetr.

Po śmierci Sampsona Callahana John był zaskoczony uczuciem straty. Utracił wroga. Powód, dla którego tak długo i ciężko walczył. Stracił kogoś ważnego w swoim życiu - człowieka odpowiedzialnego za zabicie w nim wiary w innych ludzi.

Wtedy też studio wybrało Rodneya Walburna III na miejsce Sampsona. Przewrotnie, ta nominacja go zabolala. Chociaż John nie chciał mieć nic wspólnego z imperium ojca, ostateczne pominięcie go przez zarząd nawet jako kandydata - na dodatek na rzecz kogoś tak odpychającego jak Walburn - dotknęło go bardzo, bardzo głęboko.

I wtedy wkroczyła Denise Scott: utalentowana, pozbawiona szacunku, sprawiająca wrażenie delikatnej i pełna miłości. Brukowce trąbiły, że ożenił się z nią, aby zatrzeć swój obraz playboya. Lepsze gazety stwierdzały, że państwo młodzi są w sobie głęboko zakochani, pochłonięci swoją pracą i swoim nowym przedsięwzięciem filmowym: *Cosmosem*.

Wiara Johna w miłość do Denise trwała dwadzieścia trzy dni. Ich małżeństwo przetrwało jeszcze dziesięć miesięcy. Owego dwudziestego trzeciego dnia wszedł do luksusowej przyczepy, którą wspólnie zajmowali na planie zdjęciowym w Nowym Meksyku i zastał Denise z jednym z kamerzystów tak zajętych, jakby za chwilę uprawianie seksu miało zostać na zawsze zakazane.

Co gorsza, Denise nawet nie dostrzegła, że zrobiła coś złego. Oskarżyła go o zdradę z Lauralee Gentry, a potem wymieniła jego wszystkie byłe dziewczyny - prawdziwe i wyimaginowane - i stwierdziła, że przyszedł czas, żeby i ona miała coś z życia.

Nie mógł w to uwierzyć. To nie była Denise Scott, z którą się ożenił. No cóż, niestety, to była ona. Posypały się następne romanse, niektóre miały fatalne skutki. Paskudnie wyglądające, purpurowo-czarne oko wstrzymało realizację filmu na dwa tygodnie. John wyrzucił nędznika, odpowiedzialnego za to uderzenie, chociaż i facet, i Denise zaklinali się, że „to nie było tak”.

W czasie gdy *Cosmos* kulejąc przechodził przez ostatnie stadium realizacji, John był właściwie nieświadom niczego, poza swoją amoralną żoną o kociej duszy i sznurem jej kochanków. Zdumiewające, jak wspaniale wyglądała nadal na scenie, jak surrealistyczna wizja sprawiająca, że czuł piekący ból w gardle.

Paskudny rozwód. Krzyczące nagłówki gazet. Ostateczne usunięcie Denise z życia i z ich - jego - domu. Czuł się zraniony i chciał zadawać ból w rewanżu. Chciał niszczyć.

Zabrał wszystko. Nie miała środków, żeby z nim walczyć, ale było to zwycięstwo nie dające satysfakcji, zwłaszcza kiedy zrozumiał, że miała prawdziwe, głębokie problemy psychologiczne, które dopiero zaczynały się ujawniać. Zaciążyło mu poczucie winy. Chciał nienawidzić i ranić, ale jakaś część jego istoty pragnęła przebaczyć.

Rzucił się w wir pracy przy *Fortunacie* i wstępne przygotowywanie *Lady Paradise*. Żadnych myśli o Denise. Żadnych myśli o czymkolwiek, poza pracą. Praca. Sens jego życia.

I wtedy właśnie pojawiła się w jego domu.

W ich domu.

A teraz parkował na podjeździe przed tym domem, wyłączył silnik i oparł się o skórzane oparcie siedzenia. Zamknął oczy i oddychał, wciągając powietrze przez zęby.

Nigdy by nie pomyślał, że będzie w stanie znów rozmawiać z Denise, nie odczuwając głębokiego, palącego gniewu i pewnego upokorzenia, związanego z faktem, że cały świat dowiedział się o jego rogach. Największy cios zadany jego męskości.

Pokażcie mi mężczyznę, który twierdzi, że to nie boli, a pokażę wam wierutnego kłamcę.

Ale w ciągu ostatnich paru tygodni i podczas kilku spotkań z nią, John przeszedł metamorfozę. Nie czuł się już zagniewany. Nie w ten sam sposób. I nie czuł się już tak osobiście dotknięty. Czy to czas i odległość złagodziły

ból? A może odkrycie, że problemy Denise były tak głębokie, iż naprawdę nie była w stanie odróżnić dobra od zła.

A może była to jakaś zmiana w niej samej. Zmiana tak wyraźna, że John przyłapywał się na uważnym jej obserwowaniu, jakby była jakąś obcą, fascynującą istotą, z którą nigdy wcześniej nie miał kontaktu.

Wyglądała inaczej, mówiła inaczej, ba, do diabła, nawet poruszała się inaczej. Nie chciała spać w swojej dawnej sypialni. Malowała się minimalnie. Miała ciemnoblonde włosy, tryskające zdrowiem. Żadnego rozjaśniania, żadnych zabiegów upiększających.

Sprawiała wrażenie, jakby świadomie stała się kimś innym.

On zaś polubił tę nową Denise bardziej, niż powinien.

Przeciągnął się wysiadając z jeepa i powoli podszedł do frontowych drzwi. Przekręcił klucz w zamku i wkroczył do środka, wsłuchując się w ciszę. Dobięły go niewyraźne odgłosy przerywanego stukania - odgłosy pracy na komputerowej klawiaturze.

John pokręcił głową. Znowu była przy jego biurku. Z rosnącą ciekawością ruszył w kierunku, skąd dolatywały dźwięki.

Stukanie w klawisze ustało. Kiedy John dotarł do drzwi prowadzących do jego gabinetu, siedziała niepewna przy klawiaturze, z głową zwróconą w jego stronę.

W jej oczach zabłysła podejrzliwość. Wargi zacisnęły się w wąską linię. Żadnej szminki. Żadnego widocznego makijażu. Drobnutka mgiełka piegów na czubku nosa. Różowy odcień skóry, jakby odrobinę za długo przebywała na słońcu. Biała podkoszulka na ramiączkach, postrzępione dżinsowe szorty, wygodne sandały. Dobry Boże.

- Znowu w domu? - pytanie zabrzmiało tak, jakby była rozdrażniona.

John natychmiast poczuł się też rozdrażniony.

- Co jest na obiad? Zacisnęła usta jeszcze mocniej.

- Kupiłam trochę jedzenia dla kotów.

- Nie mam kota.

- Ale ja mam.

Wskazała na łaciatego kociaka, śpiącego w głębokim fotelu. Patrzył zdumiony.

- Jesteś uczulona na koty.

- Nie, nie jestem. Po prostu nigdy ich za bardzo nie lubiłam. Zmieniłam zdanie.

Ostatnie słowa wybąkała prosto w dłoń, którą przysłoniła usta, gdy zaniósła się, John był tego pewien, udawanym kaszlem.

- Może ten kaszel sygnalizuje alergię.

- Jestem przeziębiona - stwierdziła krótko. - Nie jestem uczulona.

- Już dobrze, dobrze. - Dlaczego niby miałyby się kłócić. Był przekonany, że nigdy nie myślała nawet połowy tych rzeczy, które powiedziała mu w przeszłości, czemu więc miałyby się coś zmienić teraz? Tyle, że teraz zdawała się mówić zupełnie do rzeczy.

- Jak się nazywa kotek?

- Bobo.

- Kot Bobo?

- Chcesz coś ode mnie? - zapytała. - Mam coś do zrobienia.

Spojrzał na ekran, ale ten był już ciemny. Oczekująco uniosła jedną cienką, jasną brew.

Podnosząc ręce w geście kapitulacji John wycofał się. Dlaczego miałyby się kłócić, kiedy była w takim nastroju?

I czy kiedykolwiek przedtem Denise bywała w takim nastroju?

- Tak przy okazji, twój faks to jedno wielkie gówno - zawołała za nim.

- Do kogo faksujesz? - rzucił przez ramię, wchodząc po schodach na galerię.

- Nie twój pieprzony interes! - odkrzyknęła.

W zaciszu swojej sypialni John rzucił się na nieskalaną narzutę w kolorze czekolady i zapatrzył w sufit. Czy coś grała? Czy był to rodzaj gry, zalecanej przez jakiegoś guru, uznanej za psychoterapię?

- Cholera - mruknął, odwracając się twarzą do dołu, wściekły, że jego zmysły są tak wrażliwe i nawet najłżejsze otarcie materiału o ciało powoduje w nim dojmujący ból.

Złe wieści. Była żona podniecała go.

\*\*\*

Denise przebudziła się, czując pod powiekami piasek, kwaśny smak w ustach i ogólne odrętwienie, które zwykle wiązała ze zbyt dużym spożyciem alkoholu.

- O Boże, czuję się jak szmata - wymruczała.

Łóżko było ogromne. Całe połacie kołder i poduszek, a pod jedwabnymi prześcieradłami jakiś piankowy materac, gwarantujący dobry sen w nocy.

W poszukiwaniu schronienia wcisnęła głowę pod poduszkę. Było jeszcze za wcześnie. Bolała ją głowa. Chciało jej się wyć, bała się jednak wydać choć jeden dźwięk.

Z wolna powracała świadomość. Czego się bała?

Ostrożnie wysunęła głowę spod olbrzymich rozmiarów poduszki i rozejrzała się dokoła. Nieznana sypialnia. Sypialnia Iana, przypomniła sobie w przypiływie paniki. Spała w łóżku Iana.

Teraz jej bóle i dolegliwości zaczęły mieć trochę więcej sensu. Kochał się z nią gwałtownie, wiele żądał. Miała okropne sny. Diaboliczne widma, pełne krzywiących się lubieżnie twarzy i zaciskających się szponów. Jakby jej prywatne „Dziecko Rosemary”. Cholera. Nawet teraz, w świetle dnia, płoszyła się na samo wspomnienie tych koszmarów.

Gdzie się podział Ian?

Wyciągnęła na próbę rękę i zbadła drugą stronę łóżka. Nie było tam ani ciała, ani ciepła. Albo nie spał razem z nią, albo też był rannym ptaszkiem.

Zadrzała. Na trzęsących się nogach udała się do łazienki. Marmury w odcieniu malachitowej zieleni i złote dodatki. Niedźwiedzia skóra jako dywanik przed wanną.

Odkręcając prysznic, ustawiła wodę tak gorącą, jak tylko dawało się wytrzymać i stanęła pod parzącym, kłującym strumieniem, powstrzymując nagle, histeryczne łkanie.

Kiedy godzinę później niemal pewną ręką nakładała makijaż, lepiej panowała nad sobą. W lustrze dostrzegła coś, co zwróciło jej uwagę. Niewielkie przebarwienie w okolicy obojczyka.

Wykręcała się, żeby przyjrzeć się dokładniej swojej skórze, ale miejsce znajdowało się za blisko szyi. Wreszcie pochyliła się do przodu i przeegzaminowała obojczyk w lusterku. Rozległy siniak.

Poraziło ją wspomnienie. Gruba, czerwona pięść Thomasa Danielsa, miażdżąca jej kość policzkową.



- Nie!

To nieprawda. Nic takiego się nie stało. To tylko jej lęki. Strach, bo był takim sadystycznym draniem. Nigdy jej nie dotknął. Nigdy.

W obronnym geście przysłoniła rozpostartymi dłońmi szyję i kości obojczyka, Ian też nie. To się dawało wytłumaczyć. Musiała za dużo wypić. Potknęła się. Nie, wpadła na ścianę. Tak właśnie było! Teraz sobie przypominała. Drink. Coś jakby dzin... albo coś innego. A czy nie było tam gdzieś wąskiego przejścia? Pomiędzy barem i hallem? Ruszała się niezgrabnie. Nigdy nie była najzręczniejsza, a już zwłaszcza po kilku kieliszkach... cóż, tak musiało się stać.

Wytłumaczenie wyglądało bardzo rozsądnie.

Poczuła ulgę, rozlewającą się po całym ciele. Uśmiechając się z wysiłkiem do swojego odbicia w lustrze, pomalowała wargi na jaskrawoczerwony róż. Ręka nieco jej się trzęsła. Zrozumiała. Będzie musiała powiedzieć Ianowi, żeby nie dawał jej nic do picia. Nie umiała przestać pić. Była koszmarną pijaczką.

Gdy spostrzegła swoje walizki i torby, zawahała się niepewnie. Czy powinna się rozpakować? Czy się tu wprowadza? Naprawdę powinna zatelefonować do swojego agenta.

- Powiem Leo, żeby do ciebie oddzwonił - oświadczyła jego zarozumiała sekretarka.

- Nie jestem w domu - powiedziała Denise, recytując numer telefonu Iana.

- Przekażę mu wiadomość.

Przez chwilę Denise zastanawiała się, czy nie zadzwonić do Dinah. Winna była siostrze ten telefon.

Suka. Suka podkradająca mężczyzn.

Denise przełknęła z trudem ślinę i sięgnęła ręką do kieszeni w bluzce, aby wyjąć wizytówkę, którą tam trzymała. Pusto.

Owładnęła nią panika. Gdzie? Gdzie?

Jak oszalała zaczęła otwierać walizki, przekopywać się przez ubrania, rozrzucając je po całym pokoju, walcząc jednocześnie z falami przerażenia, które powoli ją ogarniało.

Adres w Los Angeles i numer telefonu doktora Stone'a znalazła w kieszeni swojej zielonej bluzki. Oczywiście. Była tu już od kilku dni. Po prostu zapomniała. Trzęsąc się, wybrała numer, ale zastała jedynie recepcjonistkę.

- Proszę - powiedziała Denise łamiącym się głosem. - Bardzo potrzebuję z nim porozmawiać.

- Powiem mu, pani Scott.

Nienawidziła błagać. Nienawidziła. Wpadłszy z powrotem do łazienki, chwyciła ręcznik, zwinęła go jak grubą linę i wbiła weń zęby. Jej ciałem targały dreszcze.

Jesteś kompletną wariatką. Potrzebujesz pomocy. Poważnej pomocy.

Przejmujący dźwięk rozległ się w cichym domu. Mglistie uświadomiła sobie, że to dzwonek do drzwi wejściowych. Usiłowała go zignorować, ale brzęczenie dzwonka nie ustawało. Z wysiłkiem rozwarła szczęki, wyjęła z ust ręcznik, obejrzała dokładnie w lustrze swoją bladą twarz, poprawiła włosy i na niepewnych nogach ruszyła po schodach w dół.

- Kto tam? - zapytała, zaglądając przez wizjer. Na stopniach stał piekielnie przystojny facet.

Nie czekając na odpowiedź gwałtownym ruchem otworzyła drzwi.

Wpatrywała się w niego, a on przyglądał się jej.

- Denise Scott? - spytał spokojnym głosem.

Kiedy przytaknęła, podał jej ciepłą, suchą dłoń. Odwzajemniając uścisk ręki, czuła ogarniające ją dreszcze i zastanawiała się, czy on też może je wyczuć.

- Connor Jackley - powiedział. - Prywatny detektyw...

\*\*\*

A więc był w Wagon Wheel. Miał tam siostrę. Dorastał w okolicach Bend. Był eks-gliną. Wyczuła, choć tego nie mówił, że był na pewnego rodzaju urlopie. Zajęcie prywatnego detektywa nie było naprawdę dla niego.

Boże, miał wygląd gwiazdora filmowego. I ten poważny styl.

Sięgające duszy, głębokie spojrzenie. Ale nie był aktorem. Taki był naprawdę. Prawdziwy eks-gliniarz z Los Angeles, wypełniający swoje zadanie.

Co on mówił? Coś o jej rodzinie? O jej rodzinie?

- Wychowałam się na farmie w Indianie - powiedziała mechanicznie.

Znów coś mówił, ale nie mogła zrozumieć słów. Szum w uszach zagłuszał wszystko. Zimny pot pojawił się na jej czole.

- Pani Scott... ? - Jego głos falował, nierealny, gdzieś daleko, daleko.

Ocknęła się nagle, leżąc płasko na plecach i wpatrując się w białe gzymsy, zdobiące sufit. Była sama. O Boże!

- Pani Scott?

Zachłysnęła się zaskoczona, a kiedy rozejrzała się dokoła, zmieszała się, widząc swojego gościa siedzącego na pobliskim krześle i uważnie się jej przypatrującego.

Pulsowało jej w głowie.

- Co się stało?
- Straciła pani przytomność.
- Która... która godzina?
- Piąta.

Piąta. Denise opadła z powrotem na poduszki i mocno zamknęła oczy. Straciła cały dzień. Jeszcze jeden cały dzień. A on był tutaj przez cały czas.

- Nie zgwałcił mnie pan, ani nic w tym stylu, prawda? - wymamrotała dość wesoło, ale drzenie warg zepsuło cały efekt.

Zapanowała długa, pełna niezdecydowania cisza. Denise spoglądała na niego kącikiem oczu. Z jakiegoś powodu jego widok boleśnie przypominał jej o Johnie, chociaż z wyglądu wcale nie byli do siebie podobni.

Musi zobaczyć się z Johnem. Zaraz.

- Czy pamięta pani, co mówiłem wcześniej? - zapytał Connor Jackley.
- Hm... nie.
- Powiedziałem, że znaleziono szczątki pani ojczyma.

Denise zamrugła oczami. Powieki opadły jej z powrotem na oczy, jakby były z ołowiu. Znów zamrugła. - Co?

- Prowadzę sprawę zabójstwa Thomasa Danielsa. Potrzebuję pani pomocy.

Rozległy się miękkie, kocie kroki. W drzwiach pojawił się Ian i znudzonym wzrokiem omiół atrakcyjnego pana Jackleya.

- Nie wiedziałam, że tutaj jesteś - zauważyła zmieszana.
- A tak. Kiedy wróciłem do domu, twój przyjaciel był już tutaj i żadne moje słowa nie przekonały go, żeby się stąd wyniósł. - Ian wykrzywił usta.

Denise uprzytomniła sobie, że już kiedyś widziała, jak patrzył na nią w ten sam sposób.

- Wezwałem policję - kontynuował Ian - ale okazało się, że ten człowiek właściwie reprezentuje policję. - Tym samym drapieżnym krokiem podszedł, aby usiąść na brzegu kanapy. Podał jej szklanekę wody i pastylkę. - Nic nie mów - dodał, przykładając palec do jej warg. - Po prostu odpoczywaj.

Denise nie mogła nie zauważyć nieufności i poczucia urażonej męskiej dumy, emanujących z Iana. Connor Jackley grał mu na nerwach.

- To czego pan jeszcze chciał? - zapytała, ignorując tabletkę.

- Thomas Daniels - z niezmaconą cierpliwością przypomniał jej Connor. - Pani ojczym.

- To ja nie pochodzę z Indiany? - spytała, unosząc brew. Udało jej się zmusić go do uśmiechu.

- Nie.

- Już dobrze, dobrze. Wygląda na to, że odrobił pan swoją pracę domową. Thomas Daniels był moim ojczymem - przyznała. Wydobywała słowa z trudem, jakby były zardzewiałe.

- Muszę dowiedzieć się czegoś o nim. Potrząsnęła głową.

- Czy mówi panu coś słowo „podły”?

- W jakim sensie?

- Czy jestem przesłuchiwana? - zapytała, a w ślad za nagłym zrozumieniem nadciągnął strach.

- Nie pracuję już w policji.

Ian parsknął. Connor Jackley miał wypisane dużymi literami na czole: STRÓŻ PRAWA - bez względu na swój wygląd.

- Nie musisz odpowiadać na żadne pytanie - poradził Ian.

- Nie, nie. - Denise usiadła z wysiłkiem. Paliła się, żeby wyjaśnić sytuację. - Powiedział pan, że go zamordowano? Czy jest pan pewien?

Jackley nie oszczędzał jej.

- Miał zmiażdżoną czaszkę.

Ból nad lewym okiem Denise był jak igła, dżgająca, dżgająca, dżgająca jej mózg. Przysłoniła oko dłonią, pragnąc odpędzić ból. Bezskutecznie.

- Nie wiem...

- Pani matka umarła, kiedy z siostrą bliźniaczką byłyście w szkole średniej.

- Bliźniaczką! - sapnęła Denise, przerażona jego wiedzą.

- Pani młodsza siostra, Hayley, była w niższej klasie? Jeszcze przez kilka miesięcy mieszkaliście z Danielsem, zanim wyjechałyście.

Zmrużyła oczy. Ból stawał się coraz bardziej dręczący. Ból wspomnień. Nie mogła znaleźć. Nie mogła nic odnaleźć, bo tak naprawdę nie szukała zbyt intensywnie. Za bardzo bolało.

- Nie pamiętam - przyznała uczciwie.

- Czy przypomina sobie pani śmierć matki? - zapytał łagodnie.

Chryzantemy. Żółte, krwistopomarańczowe i białe. Pachnące jak zielsko. Trumna była otwarta. Denise mogła dostrzec czubek głowy matki, pasma siwizny na jasnym brązcie. - Tak.

- Czy pamięta pani jakieś późniejsze wydarzenia? Wyszła z pogrzebu ze swoim chłopakiem, Jimmym Fargo, wbrew woli Dinah. Jimmy mówił jej, jak mu przykro. Pocałował ją w policzek i przytulił. Była jesień. Gorąca i sucha, a Jimmy zaprowadził ją do ich kryjówki nad rzeką, gdzie w

poprzedni piątek nieźle się pieścili. Denise wtuliła twarz w jego ramię, narastał w niej straszliwy żal. A Jimmy zaczął ją obmacywać.

- Nie pamiętam wiele - krzywiąc się, Denise powiedziała Connorowi.

- Proszę powiedzieć, co pani pamięta.

Spojrzała na niego. Czy powinna mu opowiedzieć, że potem Jimmy przycisnął ją do suchej trawy na łące, niespokojnymi, pospieszonymi palcami ściągnął z niej ubranie, wspiał się na nią i pomiędzy pomrukami rozkoszy krzyczał, jak bardzo ją kocha?

O tak. Seks. Jej upadek. Pozwoliła Jimmy'emu Fargo posiąść się bez cienia sprzeciwu. Nawet później, kiedy podsłuchiwała, jak chichocząc opowiada swojemu kumplowi, że „pieprzył Denise Scott, aż zaczęła krzyczeć”, nie skarżyła się.

A jeszcze później, gdy dowiedziała się, że jest w ciąży, a Jimmy Fargo, idąc za radą swojego bogatego tatusia, potentata drzewnego, zachowywał się tak, jakby jej nie znał - nawet wtedy się nie załamała.

Rzeczywiście?

Niewiele mogła sobie przypomnieć z późniejszych wydarzeń; dopiero kiedy parę miesięcy potem znalazła się w autobusie, zmierzając w stronę błyszczących świateł Hollywood. Była z nią Dinah. I Hayley. I Dinah opowiedziała jej o poronieniu, a ona dopiero wtedy przypomniała sobie, że w ogóle kiedykolwiek była w ciąży.

- Nie wiedziałam, że mój ojczym nie żyje, dopóki mi pan nie powiedział - ostrożnie wyznała Denise. - Chyba sądziłam, iż nadal przebywa w Wagon Wheel, ale ja naprawdę nigdy o nim nie myślę. Przynajmniej usiłuję nie myśleć. Był podły. Wyjątkowo podły. Miał zwyczaj straszyć mnie i moje siostry.

- Co robił?

- Och, groził, że nas zbije, jeśli nie będziemy go słuchać. Takie rzeczy. Usiłowałyśmy trzymać się od niego z daleka. Raz uderzył Hayley i Dinah rąbnęła go pucharem, który zdobył w grze w kregle, kiedy był jeszcze w szkole średniej.

- Czy to się zdarzyło po śmierci matki?

- Ja... chyba nie. - Denise patrzyła prosto w szare oczy Connora. - Nie, chwileczkę, jeśli o to panu chodzi, to Dinah uderzyła go w ramię! To nie ma żadnego związku z morderstwem!

- Twierdzi pani, że w chwili, gdy pani i siostry opuszczałyście Wagon Wheel, Thomas Daniels był cały i zdrowy.

- Był cały... nie sądzę, żeby kiedykolwiek był zupełnie zdrowy.

- Czy to już koniec? - zapytał Ian. Trzymał ramię przewieszone swobodnie przez oparcie kanapy i przesuwał palcami po obojczykach Denise.

Zadrżała i odsunęła się. Bystre oczy Connora rejestrowały wszystko, nie była jednak w stanie odgadnąć, co myśli.

- Czy ma pani adresy sióstr? - zapytał. - Chciałbym z nimi porozmawiać.

- Nawet nie potwierdziłam, że mam siostry, panie Jackley.

- To mi znacznie pomoże w śledztwie - odparł spokojnie. Nie zamierzał odejść. Te szare oczy były gotowe czekać, i czekać, i czekać.

- Mam adres Hayley, ale nie kontaktowałam się z nią od ... - Wzruszyła ramionami.

- A Dinah?



- Będę musiała ją odnaleźć - rzuciła szybko. - Naprawdę. Zawsze trudno z nią złapać kontakt.

Jego twarz mówiła „Wiem, że kłamiesz”. Czekwała z mocno bijącym sercem, czekała, że zarzuci jej kłamstwo, zamiast tego jednak dał jej numer telefonu, pod którym będzie mogła go złapać, kiedy skontaktuje się z Dinah.

Z wysiłkiem wstała z kanapy i wspięła się po schodach do swoich porzucanych bagaży i małego notesu z adresami, który gdzieś cisnęła. Była bardzo zmęczona. Tak bardzo, bardzo zmęczona.

Dyktując Connorowi adres i numer telefonu Hayley przyglądała się, jak szybko wstukiwał dane do swojego elektronicznego notesu. Hayley powinna dać sobie radę z panem Jackleyem. Nie uda mu się jej zatrzymać w drodze do wymarzonego celu. Nikt i nic jej nie powstrzyma.

- Ktokolwiek go zabił, wyświadczył światu przysługę. - Denise usłyszała swoje słowa.

- Mimo wszystko to jest morderstwo.

Ian odprowadził go do drzwi, a Denise wsłuchiwała się w odgłosy oddalających się kroków.

- Weź to - polecił po powrocie Ian, znów wręczając jej proszek.

- Dlaczego czuję się taka rozbita?

- Weź proszek, to przestaniesz się czuć tak paskudnie.

- Czy ostatniej nocy dodałeś coś do mojego drinka, Ian?

- Och, na litość boską! - wybuchnął, twarz mu poczerwieniała. - Weź ten cholerny proszek i przestań się tak nerwowo zachowywać!

Denise westchnęła. I tak miała już dosyć myślenia na dziś. Posłusznie połknęła pastylkę - środek na uspokojenie nerwów - a kiedy zarówno jej kłopoty, jak i jej kości zaczęły się rozplýwać, przyniósł jej kieliszek brandy.

W chwili gdy unosiła kieliszek do ust, zobaczyła swojego ojczyrna tak wyraźnie, jakby znajdował się razem z nią w pokoju.

Lubisz tak? Lubisz? BACH! Lubisz to, ty dziwko? Powiedz! Powiedz natychmiast! Teraz, teraz!

- Ian... ? - Wyciągnęła na oślep rękę.

Nie było go tutaj. Była sama. Sama z potworem.

Trzymała w ręce kamień. Czy to była jej ręka? Niekształtny odłamek szarobiałego granitu. Trzask! Uderzył w jego czaszkę. Trzask! Popłynęła krew, jasnoczerwona, cała rzeka krwi! Na jej ręce, na jego szyję. Szkarłatny strumyczek zalał jego oko. Oko poruszyło się. Trzask! Trzask! Trzask! Zatoczył się. Osunął w dół. A potem kapelusz. Zasłonił połowę twarzy.

- Ian... ? - wyszeptała, tracąc świadomość.

- Jestem tutaj, skarbie. Jestem tutaj...

\*\*\*

- Dobra, złotko, masz ochotę na coś sensacyjnego? Zaslugujesz na coś ekstra. Eksssstra - sugestywnie przejechała językiem po uszmkowanych na różowo ustach. Ściągnęła wargi i dla zachęty przesłała kilka całusów. - No chodź, chodź. Na co czekasz? Na zaproszenie? Złotko, właśnie je dostałeś.

- Ile?

- A cóż to, egzamin? Chodź i pokaż mi swój towar, a ja ci powiem, ile jest wart - drażniła się.

- Musisz podać mi cenę.

Czy ten facet był zupełnie zielony, czy co? W czasie nocy spędzonych na ulicach Hayley nauczyła się paru rzeczy, a reguła numer jeden mówiła, żeby nigdy nie dyskutować o cenie, dopóki facet nie będzie tak samo

zdecydowany na wspólne spędzenie nocy jak jego potencjalna cizia. Ten młody brutal musi być świeżo upieczonym policjantem.

To była gra. Odkryła, że jest w niej piekielnie dobra. A poza tym, przechadzanie się po Hollywood Boulevard było tysiąc razy zabawniejsze niż konieczność spędzenia nocy z jakimś naćpanym typem o chorej, chociaż twórczej wyobraźni.

Niestety, brakowało jej czasu. Niektóre prostytutki były wrogo do niej nastawione. Podejrzywały, że nie jest tą, za którą się podawała, ponieważ nigdy nie świadczyła usług. Teraz usiłowały ją rozszyfrować. Jeszcze chwila, a pozbędą się jej. Denerwowała je. Była policjantką, czy co?

Gloria Carver przestała być jej współpracowniczką. Musiała pilnować własnych interesów. Interesy i cele Hayley jej nie obchodziły.

Tak więc była teraz sama, ale wystarczająco wiele razy widziała dalszy ciąg akcji, żeby dać sobie radę. Miała poczucie ogromnej potęgi.

- No dalej... - Romeo dotknął jej ramienia - powiedz, co dla mnie możesz zrobić. Rozbudź mój apetyt.

- Zabiorę cię w podróż dookoła świata.

- A jak?

- Rusz swoją wyobraźnię, skarbie. Jestem twoim agentem turystycznym.

- Mam tylko pięćdziesiątkę, najdroższa. Pięćdziesiąt ci wystarczy?

Kłasknęła językiem. - Ach, chłopcze. To będzie tylko krótka wycieczka.

- Sto? Co dostanę za sto?

Stał zbyt blisko. Na swojej szyi czuła jego oddech. Odruchowo odsunęła się, czując potrzebę większego dystansu. Może nie był policjantem. Może był kimś innym. Znacznie gorszym.

Jakiś czarny samochód zahamował przy krawężniku w niewielkiej odległości od nich. Hayley przeciągnęła rękami w dół bioder. Miała na sobie spódnicę z czarnego plastiku i takie same wysokie botki. Brązowa zamszowa kamizelka, zasznurowana z przodu skórzanym rzemykiem, była jedynym okryciem, powstrzymującym jej piersi przed wyskoczeniem. Natapirowała jasne włosy, układając je w seksowną, wysoką fryzurę, nałożyła całe tony makijażu, a dopełniła obrazu parą czarnych sztucznych rzęs.

- Przejdźmy się - powiedział Romeo, kiwając głową w stronę rogu budynku, gdzie stał zaparkowany zielony sedan z włączonymi światłami postojowymi.

- Nie... - Wykręciła się i zaczęła udawać znudzenie. - Nie mogę przystać na twoje warunki.

- Sto pięćdziesiąt. Ostateczna propozycja.

- Gówno prawda. Dawałbyś coraz więcej, aż połknęłabym haczyk. Ale wydział nie płaci, prawda? Nie wydaje mi się, żeby budżet pokrywał tego typu wydatki.

- Nie rozumiem, o czym mówisz. - Był zły.

Męska ambicja, pomyślała Hayley, śmiejąc się w duchu.

- O tak, wiesz doskonale.

Nagle poczuła na ramieniu jego silnie zaciskające się palce.

- Hej! - krzyknęła zaskoczona.

- Puść panią - poleciał inny głos, zimny, twardy i bardzo męski.

Hayley rozejrzała się dokoła ze zdumieniem. Ze stojącego przy krawężniku samochodu wysiadł mężczyzna i przeszywał spojrzeniem jej niedoszęłego klienta.

- Kim do diabła jesteś? - rzucił pytanie zirytowany Romeo.

W odpowiedzi silne ramię owinęło się wokół jego cienkiej szyi. Poderwało Romea na sześć stóp do góry i puściło - wszystko to tak szybko, że gdyby mrugnęła okiem, straciłaby całe widowisko.

Romeo natychmiast zaczął jęczeć.

- Nie wiedziałem, że to twoja dziewczyna, człowieku. Może powinien pan z nią porozmawiać na temat zachowania, pan rozumie. Boli mnie szyja! Przepraszam, już dobrze?

Tak, tak, tak, pomyślała znudzona Hayley. Wszyscy byli tacy sami. Kiedy sytuacja stawała się trudna, słabsi podkulali ogon pod siebie i jęczeli.

- Dziękuję za ratunek, ale sama potrafię o siebie zadbać - powiedziała przybyszowi, kiedy Romeo odbiegał do swojego zielonego sedana.

- Łapiesz klientów?

- Kim jesteś, gliniarzem? - Omiotła go zimnym spojrzeniem. - No tak... - Powinna była to od razu zauważyć. Coś w sposobie, w jaki wszyscy reagowali. To była prawda. Można było ich rozpoznać na kilometr.

Niewątpliwie ten wyglądał nieźle. Hayley zawsze doceniała wszelkie przejawy piękna, a ten facet. Boże, miał kupę uroku.

Tylko... ten nieuchwytny styl gliniarza. Kompletnie gasił entuzjazm.

- Jak się pan nazywa, panie policjancie?

- Pan Eks-policjant - odpowiedział, uśmiechając się sucho.

- No jasne. I jesteś tutaj umówiony na randkę, tak?

- Szukam kogoś.

- Ho, ho. - Z przesadnym zainteresowaniem Hayley oglądała swoje paznokcie. - A kogóż to?

- Ciebie.

- Dziewczyny twoich marzeń, tak? - Na jego uśmiech odpowiedziała ironicznym wykrzywieniem warg.

Miał szare oczy. Miał sposób przewiercania cię wzrokiem, ale bez manifestowania swej wyższości. Spojrzenie było dociekliwe i, można by pomyśleć, nie ferowało wyroków.

- Jesteś Hayley Scott?

Hayley niemal zapomniała języka w ustach. Wytrzeszczyła oczy.

- Kim jesteś, do diabła?

- Connor Jackley. Były gliniarz - podkreślił. - Prywatny detektyw, pracujący z szeryfem z okręgu Dechuttes nad zbadaniem sprawy morderstwa twojego ojczyma, Thomasa Danielsa.

Słowa jak ostrzał. Pociski przeszywające jej mózg. Hayley zaczęła ciężko oddychać, nic do niej nie docierało.

- On... nie żyje? - zapytała tępo.

- Już od jakiegoś czasu.

Poczuła, że uważnie się jej przygląda. Wszystko, ulica, dźwięki, zapachy, brud, wszystko się zamazało. Spowijała ją mgła. Gęsta zupa. Gdzieś ktoś krzyczał. Płakał.

- Nienawidziłam go - oświadczyła otwarcie. - Był potwornym draniem.

- Czy jest gdzieś miejsce, gdzie moglibyśmy porozmawiać?

- O Danielsie? Zapomnij o tym. Cieszę się, że nie żyje. - W chwilę później dotarło do niej. - Zamordowano go?

- Ktoś roztrzaskał mu czaszkę.

Słowa wstrząsnęły nią, bolesne i budzące strach. Przeróżające, głęboko. Jakieś drzwi rozwarły się gwałtownie na końcu długiego korytarza jej wspomnień, zatrzasnęła je tak szybko, że nie zdążyła nawet się zastanowić, co robi.

Nie będzie próbowała ich otwierać jeszcze raz.

- Do zobaczenia - mruknęła, usiłując prześliznąć się obok niego.

Chwycił ją za rękę, lekko, nic poważnego, ale coś się w niej załamało. Ruszyła do ataku i przejechała mu paznokciami po twarzy. Oszłołomił ją widok krwi napływającej do zadrapań na policzku, a naskórek, który wbił jej się pod paznokcie, napawał ją odrazą.

Zaklął cicho i krótko pod nosem. Szarpnął ją do przodu i wlokąc obok siebie doprowadził do swojego samochodu, wepchnął ją do środka i szybko wsiadł za nią.

- To przejaw brutalności policji! - zapiszczała, sięgając ku klamce w drzwiach auta.

W chwili kiedy otwierała drzwi, zapalił silnik i włączył się w ruch uliczny. Przez ułamek sekundy bawiła się myślą o wyskoczeniu z samochodu. Bulwar przemykał obok w smudze neonów.

Opanowała ją panika. Spojrzała w jego stronę. Strużki krwi spływały z bruzd, które wyryła na jego policzku.

Nie patrząc na nią, powiedział spokojnym, pozbawionym zainteresowania głosem: - Jeśli nie masz zamiaru wyskoczyć, zamknij drzwi.

Zrobiła to, co jej polecił i pomknęli w noc.

- To porwanie - rzuciła oskarżenie, stojąc z rękami założonymi na plecach przed kilkurodzinnym domem w dość porządnej okolicy. Tu mieszkał? - Z całą pewnością nie jest to komisariat. Co zamierzasz zrobić?

- Diabli wiedzą - przyznał zwięźle. - Mam parę pytań, które wymagają odpowiedzi. Twoja siostra nie sprawiała wrażenia, żeby była w stanie poskładać wszystko do kupy

I wyjaśnić mi różne rzeczy.

- Moja siostra? - ostrożnie spytała Hayley.

- Denise Scott Callahan. Także nie wiedziała, że Thomas Daniels nie żyje. - Jego głos wskazywał, że jego zdaniem obie trochę kręcą. - Nie będziesz chyba próbowała wmawiać mi, że ona pochodzi z Indiany i nie jesteście siostrami?

- Chyba nie. - Tak naprawdę, to rozważała tę możliwość. - Jak mnie odnalazłeś?

- Dała mi twój adres. Śledziłem cię. W dzień bar Stanbury'ego, Hollywood Boulevard nocą. - Wzruszył ramionami.

- Pewnie cię to szokowało. - Jakiś cienki, wewnętrzny głosik w jej głowie domagał się wysłuchania. Głos jej niewinności. Głos, który pragnął zawołać: - Ja tylko udaję! To tylko gra!

Stłumiła ten krzyk. A guzik, nie zamierzała niczego mu mówić!

- Myślę, że mam cię o co oskarżyć - zauważyła i dodała płaczliwie: - Siłą wciągnął mnie do swojego samochodu i wywiózł w nieznane miejsce... - zawiesiła głos, wskazując na otoczenie.

- Moje mieszkanie - uzupełnił.



Cmoknęła. - Do swojego mieszkania. Tam zaś zmusił mnie... - Znow przerwała, czekając by dokończył.

- Do rozmowy o człowieku, który, jak sędzę, bił i zmuszał ją i jej siostry do stosunków seksualnych, wbrew ich woli - powiedział spokojnie.

Drzwi na końcu korytarza, te w jej pamięci, otworzyły się skrzypiąc. - Nie - wycodziła przez zęby. - Nie.

- O człowieku, którego czyny mogą prowadzić wprost do jednej z jego pasierbic, wkraczającej na drogę prostytucji.

- Nie jestem żadną prostytutką.

Tak. Wyrzuciła to z siebie. Zawsze lepiej niż rozmawiać o Danielsie.

- Usiłujesz zostać aktorką.

Hayley zamrugwała. Wiedział. Cholerny drań wiedział przez cały czas!

- Kierownik w barze miał wiele do powiedzenia o tobie.

- Jason! - Niemal się roześmiała z ulgą.

- Co robisz? - Ze zdziwieniem oglądał badawczo jej strój.

Hayley nie należała do osób łatwo zawierających znajomości, obdarzających zaufaniem obcych, w szczególności mężczyzn, ale z jakiegoś dziwnego powodu poczuła potrzebę towarzystwa.

- Postaw mi filiżankę kawy, to ci opowiem. Machnął ręką w kierunku domu, pytająco unosząc brwi.

- Na neutralnym gruncie - powiedziała, kręcąc przecząco głową.

- Dla jakiejś dziwki - mruknął, ale otworzył przed nią drzwi od strony pasażera i Hayley, zastanawiając się, co za diabeł ją opętał, wsunęła się na siedzenie. - Powinieneś się gdzieś zatrzymać i kupić chusteczki - powiedziała. - Zakrwawisz wszystko.

Lokal był pełen hałasu, mały i nabity ludźmi i dymem papierosowym. Pokrzepiło to Hayley na duchu. Nikt nie zwracał najmniejszej uwagi na jej strój. Niewątpliwie jednak warunki panujące w lokalu ograniczały ich możliwości wzajemnego słyszenia się, a w miarę jak upływał wieczór, Hayley coraz bardziej przekonywała się, że rozpaczliwie pragnie słyszeć wszystko, co pan Connor Jackley miał do powiedzenia.

Naprawdę był eks-gliniarzem. Szybko dowiedziała się, że faceta nie interesuje opowiadanie nieprawdy. Był dokładnie tym, za kogo się podawał. Zrozumiała też, że chciał znaleźć zabójcę Thomasa Daniela i nikt i nic mu w tym nie przeszkodzi.

Wyglądało na to, że zupełnie przypadkowo przyjechał do Wagon Wheel wkrótce po odkryciu zwłok Daniela. Znalazł je siostrzeniec Connora i teraz, na prośbę swojego przyjaciela, szeryfa Gusa Dempseya, Connor prowadził śledztwo w Los Angeles, podczas gdy dochodzenie toczyło się - w żółtym tempie, jeśli Hayley dobrze rozumiała - na miejscu, w Oregonie.

Hayley dowiedziała się więcej z tego, co przemilczał, niż z tego, co powiedział. Connor Jackley pragnął znaleźć mordercę Daniela. Był przekonany, że Hayley, Denise albo Dinah (lub wszystkie razem) są osobiście odpowiedzialne za tę zbrodnię, a przynajmniej w nią wplątane. Po dociekliwych badaniach Connora śmietanka towarzyska Wagon Wheel uważała Denise, siostrę, która odniosła największe sukcesy, a jednocześnie posiadała reputację najdzikszej, za podejrzaną numer jeden.

Ze swojej strony Connor ostrożnie nie zdradzał się ze swoimi poglądami na temat winy Denise. Ale ta jego ostrożność mówiła bardzo

wiele. Hayley wiedziała, co oznaczała. Jeszcze jedna rysa na wizerunku jej niezasłużenie pięknej starszej siostry.

Pan Jackley miał coś na Denise.

- Nie była zanadto chętna do udzielania informacji - powiedział, gdy spytała go o przebieg rozmowy z Denise.

- Naprawdę?

Skinął głową, w zamyśleniu mrużąc oczy. Wiedziała, że przypominał sobie Denise. Jej pociąg do alkoholu. Jej słabość. Jej nieodparty urok.

- Przespałeś się z nią? - rzuciła z nadzieją, że pytanie zabrzmie bardzo obojętnie.

Uśmiechnął się tylko, dając jej w ten sposób do zrozumienia, że nie zamierza dać się ciągnąć za język. Hayley doszła do wniosku, że nie spał z Denise. A przynajmniej jeszcze nie spał.

- Poczekaj na swoją kolej - poradziła mu. - Ma diabelnie swobodne obyczaje. Nic na to nie może poradzić, naprawdę.

- Wcale nie wywarła na mnie takiego wrażenia.

Zachęcał ją. Naprowadzał. Czekał, żeby się otworzyła, odsłoniła duszę i opowiedziała mu tragiczną historię sióstr Scott.

Żałując gorąco, że rozcapierzonymi pazurami przeorała mu twarz, zdecydowała się ofiarować mu coś w zamian.

- Dawno, dawno temu były sobie trzy siostry, które postanowiły zabić swojego ojczyma. Najstarsza z nich - ta sprytna, mądra - nie chciała tego robić. Zbyt niebezpieczne. Oczywiście, zasługiwał na śmierć, ale lepiej to zostawić innym.

Druga siostra była zanadto zwariowana, żeby coś zaplanować. Cały czas spędzała na wydobywaniu się z kolejnych kłopotów, w jakie się

wpędzała. Kłopoty ciągnęły się za nią czarną chmurą, ale i tak udało jej się wspiąć na szczyty kariery.

- A najmłodsza siostra? - zadał pytanie, kiedy się zawahała.

Drzwi otworzyły się szerzej, za nimi widoczna była czarna dziura. Ogarnął ją paniczny strach, miała wrażenie, że w jej żyłach płynie wrzątek.

- Najmłodsza siostra cieszy się, że ojczym nie żyje - powiedziała powoli. - Ma nadzieję, że nie żyje naprawdę, choć to wydaje się jej niemożliwe.

- Naprawdę nie żyje. - Słowa Jackleya były spokojne, zrównoważone, gorące.

- Zostawmy go więc w spokoju - szepnęła, nie myśląc o tym, czy ją usłyszy.

Spędzili w kawiarni jeszcze jedną godzinę, ani słowem nie nawiązując do powodów, dla których siedzieli tam razem. Jak na detektywa, pan Jackley był wyjątkowo cierpliwym, wrażliwym człowiekiem.

Albo to, albo też był cholernie dobry w swoim fachu.

- Zapłać rachunek, Jack, i zawieź mnie do domu - mruknęła Hayley. W na wpół opróżnionym lokalu było już dość cicho. Zrobiło się późno i bolało ją gardło od rozmowy prowadzonej pełnym głosem.

Uśmiechnął się.

- Co w tym śmiesznego?

- Mój siostrzeniec mówi na mnie Jack.

- Wujek Jack? - zapytała, wykrzywiając się, wiedziała bowiem, że to musi być prawda.

W geście potwierdzenia podniósł do góry kciuk, a Hayley jęknęła.

- No tak. Dobrze. Opowiesz mi wszystko o swojej rozległej rodzinie innym razem. Jestem zmęczona, a jutro rano muszę się stawić u Jasona.

- W porządku. Chodźmy.

Kiedy otwierał drzwi i wyprowadzał ją z kawiarni, delikatnie objął ją w pasie. Dużo później, gdy leżała po ciemku w łóżku, wspomnienie tego delikatnego dotknięcia powróciło do niej jak miła melodia, której nie można zapomnieć, jak zapach perfum, przywołujący obraz pewnej chwili, pewnego miejsca.

Hayley nie przejmowała się samoanalizą. Wyznaczała sobie cele i do nich dążyła. Koniec i kropka. Życie było wyzwaniem.

Ale tej nocy wspomnienie obecności Connora Jackleya było czymś tak realnym, żywym, że nie dawało jej zasnąć. Ciągnęło ją do niego. Była nim szczerze, głęboko zafascynowana. Wreszcie rozwiązała zagadkę fizycznego magnetyzmu, który nosił imię: Connor Jackley, były policjant z Los Angeles.

- Eks-gliniarz - mruknęła głośno, zdegustowana. - Też pomysł.

A na dodatek miał coś na jej wiecznie popularną siostrę.

Wzięła tabletkę i przespala cały wieczór. Gdy się obudziła koło dziewiątej wieczorem, stwierdziła, że nadal leży na kanapie. Chwiejnie stanęła na nogach, czując nieprzyjemne przyćmienie umysłu.

- Ian? - zawołała, ale dom był pusty. Oczywiście, jeśli nie liczyć Liny, która mieszkała w służbówce nad garażem.

Denise powędrowała do garażu, gdzie postanowiła przyjrzeć się samochodom Iana. Stały tam trzy. Krwistoczerwony maserati. Mercedes. I niebieski, najnowszy model forda sedana - typ samochodu, używany przez

policjantów, śledzących podejrzanych, zdradzających mężów i ludzi wszelkiego koloru skóry, wyznania i pokroju, pragnących wtopić się w tłum.

A klucze były w środku!

- Jesteś pod wpływem proszków - ostrzegła sama siebie, ale mimo to i tak wśliznęła się za kierownicę. Musi zobaczyć Johna i swoją zdradziecką siostrę. Tylko że Dinah nigdy by jej nie zdradziła. W żaden sposób. Jej siostra bliźniaczka była zbyt ostrożna. Za sprytna.

Denise włączyła się w ruch uliczny, świadoma że: a) powinna jechać powoli, w przeciwnym bowiem razie naraża się na wypadek i b) powinna jechać na tyle szybko, by nie zwracać na siebie uwagi. Była tak pochłonięta prowadzeniem samochodu, że kilometry przemykały pod kołami i w krótszym czasie niż mogłaby przypuszczać znalazła się na ostatnich zakrętach drogi, prowadzącej do domu w Malibu.

Myślała jaśniej. Niejasno, ale jaśniej. Pogratulowała sobie zręczności za kierownicą. Nie zatrzymał jej żaden nędzny policjant z drogówki. Przyjechała tutaj i czuła się znakomicie!

Z wyjątkiem tego bólu głowy nad oczami. I niemiłego uczucia niepokoju, które wzbudził Connor Jackley.

Brama zatrzasnęła się jej przed nosem i przeżyła paskudne chwile zastanawiając się, czy John zmienił kod. Ale wciskając w zamku elektronicznym sekwencję cyfr, odpowiadającą dacie urodzenia Johna, zmusiła kute z żelaza skrzydła bramy do powtórnego rozsunięcia się. Denise szybko wskoczyła do samochodu i wjechała do środka.

Dom był ciemny, nie zostawiono w nim nawet światła, mającego zmylić włamywaczy. Denise doszła do wniosku, że Dinah musi nie być w domu. Gdyby bowiem była, pogasiłaby światła przed samym snem, a Dinah

nigdy nie poszłaby spać tak wcześnie. Siostra, podobnie jak ona sama, Denise, była nocnym markiem.

Chyba że Dinah i John są razem w łóżku. Ta myśl szybko ją otrzeźwiła.

Pragnąc odzyskać panowanie nad sobą wzięła kilka głębokich oddechów, ale uległa przyływowi wściekłości i uczucia zdradzenia. Podbiegła do frontowych drzwi i nacisnęła dzwonek. Dzwonek rozdzwonił się szaleńczo, dzwonił i dzwonił, gdy tak bez końca przyciskała guzik.

Nic.

Powoli Denise uwierzyła, że dom jest pusty. Nie ma Dinah.

Nie ma Johna. Może wyszli gdzieś razem. A może nie.

Koło garażu znajdował się drugi zamek elektroniczny, ale kiedy wybrała ten sam kod, co poprzednio, nic się nie stało. A więc jednak John dbał trochę o bezpieczeństwo.

- Psiakrew. - Swój jedyny klucz do domu oddała Dinah. W tylnej części domu znajdowało się okno, które nigdy

dobrze się nie zamykało. Wiedziała też, że system alarmowy będzie wyłączony; nadmiar fałszywych alarmów w czasie gdy mieszkała tu z Johnem, skłonił go do rozebrania układu.

- Niech nas ograbiają! - grzmiał. - To lepsze niż przyjazdy policji za każdym razem, gdy człowiek zapomni zablokować to cholerne urządzenie!

Szarpnęła za okno i poczuła, że zamek ustąpił. Gdy wpełzła do środka, otoczyły ją zapachy i wspomnienia, które przypomniały jej o Johnie i o tych kilku wspólnych, szczęśliwych miesiącach.

Ty to zniszczyłaś. Pamiętasz Merle'a, kamerzystę? Pamiętasz go?

Ale to dlatego, że John zajmował się tą suką Gentry. Tyle że to nieprawda. Nie pamiętała dobrze. Tak, pamiętała!

Denise zasłoniła uszy i potykając się zaczęła iść w ciemności, aż tak mocno uderzyła nogą o stół, że zawyła z bólu. Klnąc, zapaliła światło w salonie, nie dbając o zacieranie śladów swojego włamania. Niech wiedzą, że tu była. Tym gorzej.

Krażyła po górnym piętrze domu, włączając światła, zaglądając do pokoi. Ku jej zaskoczeniu, Dinah zajęła pokój gościnny.

Jak to wytłumaczyła? Denise zastanawiała się przez chwilę.

Pokój Johna nie był zajęty. Wyglądał dokładnie tak samo jak w momencie, gdy opuszczała dom; panowała w nim taka sama pustka i atmosfera niezamieszkania.

Nie sypia tutaj, stwierdziła ze zdumieniem.

Zszedłszy na dół potrząsnęła głową, czekając na rozwianie się pajęczyny przed oczami, modląc się o chwilę przytomności. Ale depresja prześladowała ją jak nieproszony gość i gdy się w końcu ocknęła, stała w gabinecie, patrząc na rzeczy Johna w pokoju, który najbardziej lubił.

Światło padało na owalny przycisk do papieru i sprawiało, że znajdujące się w jego środku kryształki mieniły się bajecznie, jak jakieś szlachetne kamienie, gęsto wyściełające ściany bogatej kopalni.

Denise uniosła go, zważyła w rękach i nagle przeraziła się na myśl o tym, co Ian może jej zrobić odkrywszy, że ukradła jego samochód.

Prowadząc jak szalona pokonała drogę powrotną do Beverly Hills w rekordowym czasie, z piskiem hamulców zatrzymała się w garażu. Serce mocno biło jej w piersi. Potem wbiegła do środka i stanęła w ciemnościach.



Lampa paliła się na dole w hallu. Podeszła do niej powoli, jak więzień zbliżający się do plutonu egzekucyjnego. Ale Ian, w przeciwieństwie do Dinah, pozostawiał włączone światło.

Była sama.

Odetchnęła z ulgą, spojrzała na kamienny przycisk i, zamknawszy oczy, przycisnęła go do piersi. Miała kawałek Johna. Jutro, jutro zajmie się planowaniem następnych kroków, dzięki którym na powrót go odzyska, a na tę noc miała malutki kawałeczek Johna.

Wczołgała się na ogromne, miękkie łożo Iana, przytuliła do siebie kamienne jajo jak niemowlę i zaczęła śnić, że teraz już wszystko będzie dobrze.



Kolacja z Jego Wysokością. Zaprosił ją, ona zaś odrzuciła zaproszenie, kiedy jednak redagowała swój ostatni artykuł, tak silnie odczuwała jego obecność w domu, że i tak nie udało jej się skończyć pracy. Wtargnął w każdy, najmniejszy, otaczający ją obszar, nawet jeśli fizycznie nie było go razem z nią w tym pomieszczeniu. Ustąpiła więc i spędzili razem dwie koszmarne godziny.

Nie mówiła prawie nic, dziobiąc swoje jedzenie i zamartwiając się na śmierć, że John odgadnie rzecz nieprawdopodobną: nie jest jego żoną. On także nie miał za wiele do powiedzenia. Domyślała się, że jemu również było przykro, iż nadaremnie zadali sobie tyle trudu.

Teraz wracali jego jeepem cherokee. Sytuacja była nie do wytrzymania. Dinah była bliska załamania i aż nadto świadoma jego męskiego uroku. Zdawał się sączyć pod jej skórę. Ten uwodzący, męski zapach. Swobodny sposób poruszania się. Grymas uśmiechu. Burza gniewu i zdziwienia w jego lodowato niebieskich oczach. Obdarzony szczupłą sylwetką, przystojny, męski, mógł rozpaść jej zmysły.

I rozbudził je.

Pożądanie zżerało ją jak rak i Dinah nic nie mogła na to poradzić.

Chyba, żeby wyjechała.

- Brama jest otwarta - powiedział ze zdumieniem John, kiedy zjechali z głównej drogi.

- Zostawiłeś ją otwartą.

- Nie. - Potrząsnął głową.

To była najdłuższa wymiana zdań w ciągu całego wieczoru. Dinah obrzuciła go ukradkowym spojrzeniem. Już nie wierzyła w te wszystkie opowieści o nim. W historii opowiadane przez Denise. Kłamstwa miały przedstawić ją w lepszym świetle. Może zresztą Denise sama w nie wierzyła, ale Dinah już nie.

Nadal jednak Callahan był niebezpieczny. Zagroził jej. I nie było sposobu, aby poprawić sytuację. Żadnego.

- Mój Boże - mruknął, a Dinah poderwała się na baczność. Z każdego okna biło światło. - Złodzieje? - zapytał zaniepokojony, gwałtownie zatrzymując jeepa trzydzieści stóp od domu.

- Jacy złodzieje zostawiliby pozapalane światła? Potrząsnął głową, wyskoczył z jeepa i ruszył w stronę domu.

- Zaczekaj! Zaczekaj! - Przerażona Dinah mocowała się z klamką. - Jesteś wariat, czy co? Oni mogą mieć broń! Stój!

Zawahał się tylko przez chwilę, po czym spróbował otworzyć frontowe drzwi do domu. Rzucił w kierunku Dinah niezbadane spojrzenie, wyciągnął klucz i delikatnie otworzył drzwi. Wstrzymała oddech. Serce biło głucho. Może zostać zabity. Zastrzelony. Na śmierć.

- O Boże...

Zdrowy rozsądek zwyciężył męską brawurę. Podbiegł do Dinah.

- Wsiadaj do samochodu - polecił. Nie musiał jej tego powtarzać. Nie zdążyła nawet zamknąć za sobą drzwi, a już cofał samochód po podjeździe, a potem pędził z ogromną prędkością, pożerając drogę, którą przyjechali. Przez telefon komórkowy zwięźle przedstawił przebieg wypadków policji. Pojawiła się cała masa aut policyjnych, wyły syreny.

Jechali za smugą niebieskich i czerwonych migających świateł, aż zatrzymali jeepa kilka jardów za czołową linią samochodów policyjnych. W ciemności uśmiechnął się do niej, mignęły białe zęby. Dinah odpowiedziała uśmiechem. Po sztywnym, napiętym wieczorze, w czasie którego żadne z nich nie potrafiło wymyślić nic do powiedzenia, poza najbardziej zdawkowymi uwagami, to była wielka ulga, burza adrenaliny w żyłach.

- Nikogo tu nie ma - dowodzący operacją policjant relacjonował z pewnym rozczarowaniem. - Nic nie stłuczone, może zabrano jakieś rzeczy. Proszę sprawdzić. Łatwo jest na początku nie zauważyć, co zginęło. Proszę więc to robić bez pośpiechu. - Przerwa. - Brak śladów wtargnięcia siłą. -

A potem odjechali, a John i Dinah zostali sami. Razem weszli do domu, ostrożnie. W milczącym porozumieniu wspólnie sprawdzili każdy pokój. Odkrywszy Bobo śpiącego pod jej łóżkiem, Dinah przytuliła do siebie zaniepokojonego kociaka i położyła go na łóżku.

W końcu, w kuchni, John i Dinah popatrzyli na siebie ze zdumieniem.

- Jakiś żartowniś? - zasugerował John. Dinah rozłożyła ręce.

- Chcesz brandy?

- Nie piję brandy.

- Ależ pijesz, pijesz - powiedział znużony, jakby nagle stracił cierpliwość dla niej, dla tego włamania i całej reszty.

Przyniósł po kieliszku dla każdego i jednym łykiem wypił połowę swojego trunku, obserwując ją przy tym uważnie. Dinah wzięła do ust łyżeczek, wstrzymała oddech, kiedy alkohol palił jej przełyk, a potem wyzywająco spojrzała mu w oczy.

Cisza zawisła pomiędzy nimi. Żywa cisza. Dinah poczuła mrowiące ciarki na szyi. Znalazła się w kłopotliwej sytuacji.

Zamyślony Callahan kręcił w palcach swój kieliszek.

- Oddałem stery *Fortunaty*. Ten film jest teraz dzieckiem Frankiego, ja jestem wolny.

Frankie. Reżyser.

- Co złego jest w filmie?

- Obsada. Scenariusz. - Patrzył na nią melancholijnie. - Ty powinnaś dostać główną rolę.

- Naprawdę? - Dinah była właśnie w trakcie prób przełknięcia następnego łyka i zakrztusiła się brandy. Odstawiła kieliszek, ale oczy wypełniły się łzami i zaczęła kasłać i kasłać.

- Gdybym obsadził ciebie, efekt byłby o wiele lepszy od tego, co dostałem. Oddaję film Frankieemu i zabieram się za *Lady Paradise*.

- Czy dlatego tutaj przyjeżdżałeś? - udało jej się wydusić pomiędzy napadami kaszlu. - Żeby uciec.

- Żeby uzyskać jakąś perspektywę - potaknął skinieniem głowy. Wyciągnął z kredensu butelkę brandy i znów nalał sobie następną, dużą porcję. Unosząc brew, bez słów zapytał ją, czy ma ochotę do niego dołączyć.

- Nie piję brandy... Najlepiej - poprawiła się.

- Dlaczego nie nalegasz, żebym ci dał rolę? - zapytał.

- Myślałem, że rzucisz się na mnie. Powiedziałem ci przecież, że byłabyś lepsza niż ta, jak-jej-tam.

- Nie chcę roli - odparła Dinah bezbarwnym głosem.

- A poza tym, i tak nie dałbyś mi szansy. Jestem za dużym ryzykiem.

- Twoje nazwisko oznacza kasę. Dużą kasę. Pewnie teraz, po tych wszystkich skandalach, jeszcze większą. Jestem producentem. Robię interesy. Byłbym szalony, odrzucając cię.

Panika szarpała jej nerwy. Co to oznaczało? Nie ma jak. Nie umiałaby stanąć za Denise do próbnych zdjęć!

- Nie mówisz poważnie. Nie serio.

Zmierzyli się wzrokiem i panika Dinah jeszcze wzrosła. Ale wtedy Callahan potrząsnął głową, przeczesał ręką włosy i mruknął: - Boże, nie. Nie mogę być aż takim masochistą. - Jego niebieskie oczy przytrzymały jej spojrzenie jeszcze chwilę. Przełknęła ślinę. Zakławszy cicho, chwycił szyjkę ukochanej butelki brandy i udał się na górę. - Dobranoc, kochanie - spłynęło do niej na dół. Dinah objęła się rękami, życząc sobie, żeby mogła go nienawidzić tak jak dotychczas. Z pewnością życie byłoby wówczas łatwiejsze.

Antybiotyk w śladach po paznokciach Hayley, którymi go tak hojnie obdarzyła. Connor przestudiował połowę twarzy i wykrzywił się. Naprawdę mu to zrobiła. Prawie jej nie dotknął, ona zaś zareagowała jak dziki kot.

Strach. Widział go w jej oczach i był to strach człowieka oczekującego, że zostanie skrzywdzony. Człowieka przyzwyczajonego do tego. Kilka godzin w jej towarzystwie wystarczyło, aby go przekonać o jej obawie przed mężczyznami w ogóle. Spuścizna po Thomasie Danielsie?

Jednocześnie była osobą pracą do przodu. Niemal obsesyjnie. Nie chciała rozmawiać o siostrach, o swojej przeszłości, o niczym, co by się wiązało z Wagon Wheel. Nawet kiedy wspomniał, że jego rodzinne miasto znajdowało się niedaleko, żadnej odpowiedzi.

Chciała rozmawiać o swojej karierze. O swoich celach.

O swojej przyszłości.

Napomykał o Denise na dziesiątki różnych sposobów, ale Hayley Scott nie chciała tego słyszeć. Była głucha, niema i ślepa, kiedy pojawiał się jakikolwiek temat, związany z jej dzieciństwem.

Nie trzeba było psychiatry, aby postawić diagnozę: całkowicie nastawiła się na zaprzeczanie. A Denise...

Twarz Connora pociemniała, gdy sięgnął pamięcią do tamtego spotkania. Na początku uderzyło go piękno Denise Scott Callahan. Później, jak bardzo była blada i wrażliwa. I Ian Wallace, zmuszający ją do brania proszków... Connor zrobił wszystko, żeby powstrzymać się przed zaduszeniem faceta.

Ian Wallace. Zapytał swojego kolegę z policji, Benniego, czemu to imię wydaje mu się znajome. Bennie był prawdziwą kopalnią informacji.

- Ian Wallace? Człowieku, guzik wiesz, prawda?

- Nazwisko zabrzmiało mi znajomo - bronił się Connor.

- Jego stary pozostawił mu mnóstwo pieniędzy. Całe tony. Ale Ian jako dziecko miał sporo kłopotów. Seksualnych. Obmacywał małe dziewczynki, i takie rzeczy. Został więc wysłany do szkoły z internatem. Papa gotów był stracić majątek, żeby oczyścić syna z zarzutów, toteż rodzice ofiar zawsze rezygnowali z wytoczenia procesu.

- Może się zmienił - powiedział Connor, wcielając się w rolę adwokata diabła.

- Jedyne różnice, to fakt, że teraz on dysponuje pieniędzmi, a jego dziewczyny są starsze. - Bennie potarł policzek. - Była jeszcze jakaś inna sprawa. Chcesz, żebym ją odszukał?

- Tak. Daj mi znać, jeśli pojawi się coś interesującego.

- Rozpracowujesz faceta?
- Wpadłem na niego przypadkiem, pracując nad inną sprawą.
- Uważaj na siebie. - Bennie powiedział to zupełnie poważnie. -

Naprawdę uważaj, chłopie.

Connor był w kropce. Cała ta kawa z Hayley. I myśli, chodzące mu po głowie. Nie z głodu, ale z nudów otworzył drzwi lodówki i bezmyślnie przyglądał się na wpół wyjedzonemu majonezowi, słoikom z musztardą i resztkom pizzy. Przed oczami miał obraz Iana Wallace'a i Denise Scott Callahan.

Znalazł się w kłopotliwej sytuacji. Gus Dempsey stracił zainteresowanie sprawą Danielsa. Nie był typem stróża prawa, który wierzy w słuszność wygrywania niepopularnych spraw. Nikt nie lubił Danielsa. W najlepszym przypadku facet był nędznym cudzołożnikiem i seksualnym nagabywaczem, w najgorszym zaś wykorzystywał seksualnie i gwałcił. Do jego uroków należałoby też zaliczyć obżarstwo, niechlujność, lenistwo i ogólną wredność. Jego śmierć była dla wszystkich błogosławieństwem.

Niewątpliwie Connor nie był idealistą. Wierzył, że Daniels był tak zły, jak go opisywano. Jemu zaś, Connorowi, z pewnością wystarczy różnych spraw w czasie potrzebnym do podjęcia decyzji, czy chce wracać do pracy w policji, czy też zająć się czymś innym. Może czymś w Oregonie.

Ale spotkanie z Denise Scott wywarło na nim wrażenie. Nigdy w życiu nie było mu bardziej żal innej istoty ludzkiej.

Uzależniona osobowość. Za dużo, za szybko. Prawdopodobnie wykorzystana przez ojczyma, teraz uwikłana w chory związek z Ianem Wallace'em, posiadającym za wiele pieniędzy, a za mało sumienia.



Czy mógł ją tak zostawić? Po prostu odejść? To był jej wybór, prawda? Była dorosła. Ale Ian Wallace.... Żadnych zasad moralnych. Brak szacunku. Brak etyki. Szumowina z Beverly Hills, tyle że zasadniczo w porządku. O tak, pieniądze kupią wszystko.

Connor chciał wyrwać mu Denise i oczyścić ją z zarzutów. Denise Scott pozostawała pod wpływem Wallace'a, i nie tylko. Narkotyków. Alkoholu. Bóg jeden wie, czego jeszcze.

Thomas Daniels nie będzie wkrótce jedynym trupem, jeśli Denise nie zmieni szybko swojego życia.

Chwycił kawałek zimnej pizzy i stojąc nad zlewem, przeżuwał go bez smaku. Po południu zadzwonił jego siostrzeniec i nagrał długą wiadomość, bezustannie przerywaną przez jego kumpla, Mikeya. Obaj chłopcy kłócili się przy telefonie tak długo, dopóki Mary ich nie popędziła. Niezadowolenie promieniowało wzdłuż kabla, kiedy relacjonowała, że chłopcy, w poszukiwaniu świeżych, ciekawych informacji dla niego, śledzili pana Lancastera aż do jego domu i podglądali starszego człowieka, którego włości sąsiadowały z zagrodą Danielsa. Usłyszawszy hałas, pan Lancaster chwycił strzelbę, stanął na ganku machając nią na wszystkie strony i śmiertelnie przestraszył Mikeya i Matta, którzy dali nura w gęste krzaki, kiedy staruszek strzelił w powietrze.

Connor natychmiast zadzwonił do chłopców i polecił im przerwać dochodzenie. Zirytował go zadowolony głos siostry, mówiącej - A nie mówiłam... - Ale działania chłopców były niebezpieczne i należało ich powstrzymać. Potem cierpliwie wyjaśnił Mattowi i Mikeyowi, że przeprowadził już rozmowy ze wszystkimi, związanymi ze sprawą, a ich poprosił o robienie notatek, żeby czuli, iż pomagają.

Okłapnięci wymruczeli, że będą grzeczni i odłożyli słuchawkę. Pozostawili Connora z poczuciem winy i myślą, że może też powinien zupełnie zrezygnować z tej sprawy.

Tylko że teraz znał już Denise i Hayley.

Hayley... Nie wiedział, co o niej myśleć. Świeża, śmiała, zuchwała i grająca w niebezpieczną grę. Obie z Denise ukrywały informacje o Danielsie, a dlaczego nie? Znęcał się nad nimi. Pytania jak i dlaczego nie miały znaczenia; Connor wiedział, że Daniels je wykorzystywał.

Nie chciały o tym mówić. Diabelnie pragnęły zapomnieć. Wyciągnięcie czegoś z Denise wymagałoby zaangażowania profesjonalnego terapeuty; potrzebowała poważnej pomocy, nie było co do tego wątpliwości. Ale Hayley... Nie potrafił tego dokładnie określić, jednak czuł, że będzie w stanie przebić się przez wzniesiony przez nią mur autoobsesji i dotrzeć do sedna problemu.

Tylko czy było warto? To śledztwo należało do Dempseya, Connor mu jedynie pomagał. Czy któryś z nich, wobec wszystkich poważnych zbrodni i nieszczęść, występujących jak plaga w tym kraju, powinien przejmować się nadmiernie tym, co trzy udęczone siostry zrobiły, albo nie zrobiły, swojemu ojczymowi, który je wykorzystywał?

Na to pytanie nie było dobrej odpowiedzi, mimo to postanowił, że ją znajdzie. Może prawda zaleczy rany.

\*\*\*

Drrrr! Drrrrr!

Śmieszny, cichy pomruk telefonu w pokoju gościnnym przedarł się przez sen Dinah. Diabli nadali, pomyślała. Jediną osobą, która w ogóle do

niej dzwoniła był Flick, ona zaś absolutnie nie zamierzała rozmawiać z nim o...

Z trudem uniosła jedną powiekę. Pierwsza w nocy! Czy ten człowiek nie zna umiaru?

Całkowite rozbudzenie. Serce zatrzepotało. Nie Flick. Nie w środku nocy.

Denise!

- Cholera!

Dinah porwała słuchawkę i rzuciła pospiesznie: - Halo? Usłyszała, że ktoś podnosi słuchawkę przy innym aparacie.

- Odebrałam, John - ostrzegła.

- Kto dzwoni? - zażądał informacji.

Nic. Dinah wyteżyła słuch, do jej uszu doleciał jednak tylko dźwięk przerywanego połączenia. Przez chwilę słuchała oddechu Callahana. Nędzny podsłuchiwacz. Sama oddychała szybko i lekko. Odłożyła słuchawkę na widełki i zwinęła się pod kocem przekonana, dzięki tej dziwacznej telepatii, jakiej od czasu do czasu doświadczały z Denise, że jej świrięta siostra bliźniaczka usiłowała się z nią skontaktować. Cóż, najwyższy czas.

Leżała w łóżku, licząc uderzenia serca. Jakaś jej część na wpuł oczekiwała, że John pojawi się w drzwiach jej sypialni. Jakaś jej część chciała, żeby się pojawił!

No pięknie, Dinah. Śliczne pomysły. Nawiązać kontakt fizyczny z Johnem Callahanem, kiedy myśli, że jesteś Denise. Wspaniale.

Nie mogła dużo dłużej przeciągać tej maskarady. Zastanawiało go wiele różnych rzeczy. Jej zainteresowanie komputerem i pisaniem

zakłopotalo go. Nie miała mu tego za złe. Denise niezupełnie była typem ezoterycznym, miłośnikiem literatury, a już na pewno nie była zorganizowana - a przynajmniej nie w takim stopniu jak Dinah. Callahan musiał sądzić, że przeistoczyła się w kogoś zupełnie innego.

Ach, ta jej siostra!

Na piętrze rozległy się kroki i zatrzymały przed jej drzwiami. Dinah usiadła wyprostowana na łóżku, mocno przyciskając do szyi prześcieradła.

Drzwi otworzyły się i w świetle rzucanym przez lampę z salonu zarysowała się jego sylwetka.

- Nie musisz się skradać - powiedziała ostrożnie.

- Kogo ostrzegłaś?

Dinah złapała oddech. Facet był diabelnie bezpośredni. - Nie musisz podsłuchiwać moich rozmów telefonicznych.

- Schodzę na dół poszukać czegoś do zjedzenia.

I wyszedł, zostawiając Dinah zaskoczoną, bo jego słowa zabrzmiały tak... gniewnie. Jakby to była jej wina, że podsłuchiwał. Litości.

Wytrzymała jakieś pięć minut, mrużąc coś ze złością, zanim wyskoczyła z łóżka, wśliznęła stopy w różowe klapki Denise a na swój podkoszulek z nadrukiem i spodenki w kratkę narzuciła jedwabne kwieciste kimono.

Siedział przy stole i wyjadał tort lodowy prosto z pudełka. Miał na sobie czarne spodnie od dresów i czarną, ocieplaną bluzę, zapinaną na suwak. Goła pierś wyglądała spod bluzy; mogła dostrzec, jak światło muska ciemne, brązowe włosy na jego piersiach. Włosy na głowie były nieuczesane, potargane i z jakiegoś powodu na ich widok Dinah poczuła dziwne sensacje w żołądku.

Nie lubię go, wytknęła sobie dobitnie. Nie lubię!

- Jestem zaskoczony, że przyszedł mi towarzyszyć. Nie tylko on był zaskoczony. Musiała stracić rozum.

Zła na siebie, Dinah nalała do szklanki resztkę soku pomarańczowego, po czym oparła się o blat i marszcząc brwi przyjrzała mu się z namysłem.

- Zaprosiłem cię na kolację, żebyśmy mogli porozmawiać, ale tak się nie stało - powiedział.

- Podejrzewam, że nie ma nic do powiedzenia.

- Dlaczego tu naprawdę wróciłaś? - zapytał, ignorując jej uwagę. - Czy sądziłaś, że kiedy zaczniesz się zagadkowo zachowywać, po prostu oddam ci dom?

- Nie. - Dinah parsknęła.

- Przejrzałem jeden z twoich zbiorów. „Miłość sprawia, że świat się kręci i dlatego wszyscy mamy dosyć tego ruchu”.

To brzmi jak nagłówek w gazecie.

Dinah zakrztusiła się sokiem. Łzy nabiegły jej do oczu. Zaczęła łapać powietrze i sapać. John spokojnie odstawił pojemnik z lodami, podszedł do niej i uderzył ją w kark. Mocno.

- To już się stało twoim zwyczajem.

Zachwiała się na boki, odepchnęła go, a z piekących, rozmazanych oczu trysnęły łzy.

- Idź... sobie! Idź sobie!

- Wiesz, to nie było takie najgorsze. Nie wiedziałem, że jesteś jak Erma Bombeck ekspertem w sprawach miłości i romansu. Jeśli naprawdę sama to napisałaś.

- Co masz na myśli? - Dinah ostatni raz mocno odkaszlnęła i upiła następny łyk soku pomarańczowego. Drżało jej w gardle. Powoli, głęboko zaczerpnęła powietrza.

- Daj spokój. - Wrócił do swoich lodów, brał je łyżką do ust i uśmiechał się głupawo. - To nie ty, skarbie. Potrafisz wiele rzeczy, ale nie pisać.

Wbijał jej szpile. Celowo. Żeby ją rozpracować. Żeby dowiedzieć się, o co jej chodzi. Nie da się na to nabrać. Nie da się.

- W szkole średniej wygrałam konkurs literacki.

- Ho, ho. Przed czy po twoich randkach z drużyną piłkarską?

Dinah zmrużyła oczy. - Po.

Odrzucił głowę do tyłu i wybuchnął śmiechem. Dinah uśmiechnęła się ostrożnie. Denise nie opowiadała mu niczego o swojej przeszłości. John strzelał na oślep.

- Jak się nazywał ten chłopak? - zapytał.

- Który chłopak?

- Ten, którego omal nie poślubiłaś.

Dinah wytrzymała jego spojrzenie, szybko kalkulując. Zdecydowała się zgrzeszyć nadmiarem uczciwości. - Jimmy.

I wcale nie „omal” poślubiłam go.

John kiwnął głową. Czy naprawdę wiedział coś o przeszłości swojej byłej żony? Czy to miał być test? Przez chwilę Dinah niemal poddała się panice, ale natychmiast przyszedł jej z pomocą jej chłodny umysł. Co mógłby wiedzieć? Denise była świetna w opowiadaniu różnych historii - fikcja stanowiła jej specjalność. Opowiedziała mu więc coś, a teraz historyjka Dinah nie zgadzała się. Też problem. Denise mówiła różne

głupstwa, a Dinah potrafiła być piekielnie zręcznym kłamczuchem, jeśli było jej tak wygodnie.

Doszła do wniosku, że potrafi bawić się w kotka i myszkę lepiej niż ktokolwiek inny. Udało jej się tak dużo, chociaż Callahan wpadał i wypadał kiedy tylko chciał. I ponieważ potwornie utrudniało to Dinah pisanie, kilka wymownych spojrzeń rzuconych na Jego Wysokość trzymało go z dala od jej gabinetu.

Od „jego” gabinetu, jak przypomniał jej wczoraj, chociaż nie umiała powiedzieć, czy był bardziej rozbawiony, czy też poważny. Przekonała się, że najlepszą metodą dawania sobie z nim rady było despotyczne zachowanie.

- Nie wtrącaj się do mojego życia - powiedziała mu parę dni wcześniej, kiedy zadawał za dużo pytań.

- Nie wtrącam się. Po prostu rozmawiamy.

- Tak, ale cóż, nie mam czasu. Pracuję nad nową karierą.

- W porządku.

- To ty sam powiedziałeś mi, że nie będę miała przesłuchania, nawet gdybym się przespała z każdym osobnikiem płci męskiej - obojętne, czy z normalnym, czy też z gejem - w Hollywood.

Te słowa wywołały jego uśmiech.

- Niezupełnie dosłownie, ale dość blisko.

- Zrezygnowałam więc z aktorstwa na rzecz pisania.

- Wiesz, jesteś piekielnie dobra. Nigdy naprawdę nie doceniłem, jak bardzo dobra, ale to jest świetna rozrywka. - Oparł ramię o framugę drzwi, spojrzenie niebieskich oczu leniwie zogniskowało się gdzieś w okolicy jej ust. - Ale to nie zapewni ci przesłuchania.

Oczywiście, wszystko się zmieniło po dzisiejszym oświadczeniu, że powinien być dać jej rolę w *Fortunacie*. Co za zmiana!

Co się działo?

Dotychczas planowo unikała go. To było łatwe. Mógł machać jej przed nosem marchewką w postaci próbnych zdjęć dowolnie długo: nie obchodziło jej to.

Ale z całą pewnością nie zamierzała rzeczywiście robić próbnych zdjęć!

Zresztą nawet wówczas, kiedy jej nie prowokował, wprawiał ją w zaniepokojenie. Zdawał się taki męski i imponujący. Samo przebywanie w jego pobliżu powodowało, że czuła się niespokojna i zakłopotana, i to nie tylko dlatego, że uważał ją za Denise - choć oczywiście to też miało znaczenie. To było coś innego, coś, czego nie chciała zidentyfikować.

Lepiej się skoncentrować na maskaradzie. Nie mógł udowodnić, że nie jest Denise. Jak by mógł? Nie wiedział przecież, że ona, Dinah, w ogóle istniała, a poza tym, powiedzmy szczerze, udawanie Denise naprawdę było całkiem łatwe. Jej siostra bliźniaczka była taka roztrzęsiona, niepewna i drażliwa, że jedyne, co Dinah musiała robić, to udawać, że dzwoni do Leo, jej agenta i jęczeć, jęczeć, jęczeć.

Nic nie mogło lepiej utwierdzić Johna Callahana w przekonaniu, że chciała z nim mieszkać tylko po to, żeby dostać rolę. A dla Johna Callahana, producenta i egoisty, to było łatwe do uwierzenia.

Mogła więc przez 99 procent czasu być Dinah i nie zostać rozszyfrowana.

Poza tym, że tego wieczora napomknął o powierzeniu jej roli.



- Pamiętasz, kiedy się po raz pierwszy spotkaliśmy? - powiedział nagle, krzywiąc się lekko. Najwyraźniej nie było to ciepłe wspomnienie.

- Nie.

- Nie?

- Nie, nie pamiętam. - To był naprawdę niebezpieczny teren.

- Czemu upierasz się, żeby tak się zachowywać? Porozmawiaj tylko ze mną, dobrze?

- Czego chcesz? - zapytała Dinah. - Nic ci nie jestem winna.

- Mieszkamy razem. Byliśmy dla siebie okrutni. Chciałbym, żeby to... się już skończyło.

Wyrzucił z siebie słowa z zakłopotaniem. Jego niebieskie oczy wwierciły się w jej oczy. Dinah chciała cofnąć się przed ich mocą. Była pewna, że tak postąpiłaby Denise. Ale ona nie mogła. Po prostu nie mogła.

- Spotkaliśmy się na planie *Willful* - powiedziała wolno Dinah. Czytała o tym w *People*.

- Ale czy to pamiętasz?

- O co ci chodzi?

Jego spojrzenie powędrowało wzdłuż jej szyi, do miejsca, gdzie pod jedwabnym szlafrokiem sterczały jej piersi. Dinah rozchyliła usta. Wobec tego szczerego, męskiego oświadczenia jej ciało ogarnęło mrowienie.

- Pamiętam to kimono - powiedział cicho.

Teraz, kiedy na niego spojrzała, zauważyła. Pożądanie. Widywała je wcześniej. Nie wtedy, gdy mężczyźni patrzyli na nią. Boże, nie! Ale kiedy patrzyli na Denise, czasami mieli ten wyraz twarzy.

Jego twarz doskonale odzwierciedlała także jej uczucia, gdyż malujące się na niej pożądanie przemieszane było z innymi emocjami. Z żalem.

Gniewem. Frustracją. John Callahan wcale nie był bardziej zachwycony swoją fascynacją jej osobą niż ona swoimi uczuciami do niego.

A na dodatek myślał, że ma do czynienia z Denise. Co się stanie, kiedy odkryje, że nią nie jest?

W głowie Dinah kłębiły się niebezpieczne myśli. Myśli, na które nigdy sobie nie pozwalała. Jej doświadczenia seksualne w najlepszym przypadku można określić jako letnie. Poczciwy stary Glen nie był przykładem najwprawniejszego czy obdarzonego większą fantazją kochanka. Szybki numer w ciemnościach nocy. Klaps w pośladki, kiedy zmywała naczynia. O tak, świetnie wiedział, jak zalecać się do kobiety.

Zdawała sobie sprawę, że czegoś brakowało, lecz naprawdę nie wiedziała, czego.

Ale płynne, roztopiające swym ciepłem sensacje, które przetaczały się przez nią, były znakiem ostrzegawczym. Będzie cudownie. Chociaż to zakazane. Całkowicie poza jej doświadczeniem. I nagle zapragnęła tego tak bardzo, że cała jej istota skoncentrowała się na tej jednej palącej myśli.

Chcę się z tobą kochać, mówiły jego oczy i zacięty wyraz twarzy.

Bóg jeden wie, co zdradzała jej własna twarz.

Patrzyła, jak wstaje od stołu, ze wzrokiem utkwionym w jej oczach. To mógłby być scenariusz filmowy, pomyślała na wpół histerycznie, a spowolnione ruchy zaplanowane tak stereotypowo, że aż zmuszały do przerobienia sceny. Jej własne hipnotyczne wahanie zbyt banalne, by można było w nie uwierzyć.

Skuliła się za barkiem. Zmogła ją jego bliskość. Koncentrując się na poskręcanych włosach na jego piersi, starała się usunąć z głowy wszelkie myśli o nim.

Wtem jego dłoń ujęła jej brodę. Gorąca, sucha i zaborcza. Uniósł jej głowę do góry, aby nie mogła umknąć przed tym pełnym mocy wzrokiem.

- Co się stało? - zapytał ochryplym, zmieszanym głosem. Dinah nie miała siły, żeby odpowiedzieć. Z ogromnej, ogromnej odległości obserwowała, jak jego wargi opuszczają się na spotkanie jej ust.

- O mój Boże - wyszeptała chwilę wcześniej, nim jego usta dotknęły jej ust, zrazu na próbę, potem z większą natarczywością.

Później w ślady ust ruszyło jego ciało, napierając na nią, aż każda krzywizna, każdy zakamarek męskiego ciała, wydawał się przyklejony do jej ciała. Dinah poczuła się słabo. Nie mogła tego pojąć. Zbyt wiele wrażeń. Za dużo.

Pomyślała wtedy o Thomasie Danielsie. Jak pchnął ją na łóżko. Jak jego gorący język wywalczył sobie drogę do wnętrza jej ust. Jak po omacku macała wokół szukając jakiegoś narzędzia, napotkała jeden z pantofli Denise na wysokim obcasie i uderzyła go obcasem w skroń.

Nigdy więcej jej nie tknął.

Ale teraz było inaczej. O tak, kusząco inaczej. Jego język był gorący i gładki i, podniecający, a jej usta powitały z radością jego inwazję.

Czy ten głos należał do niej? Te przerywane, niespokojne jęki? Wyczuwała jego twarde, męski organ, gwałtownie uciskający jej uda. Chciała, żeby ją miażdżył, chociaż myśl ta ją przeraziła. Zbyt pierwotne. Zbyt intensywne. To nie mogła być ona. Nie Dinah Scott. Ona była tą sprytną, zaradną siostrą. Opanowaną. Tą, która sprzątała brudy i panowała nad wszystkim.

Nie, nie, nie!

Opuścił rękę w dół jej pleców, przesunął do przodu, przez kwiecisty jedwab kimona ścisnął jej pierś. Zapragnęła opleść go nogami. Natychmiast uniosła do góry jedną drżącą nogę, a jego palce od razu przyszły z pomocą.

Nagle znalazła się na blacie, uniesiona przez zręczne, niespokojne ręce. A miażdżenie, o które błagała w duchu, rozpoczęło się od lekkich ucisków, które szybko wyrwały się spod kontroli i niespodzianie wpijała się w niego, gwałtownie łapiąc powietrze, on zaś był gotowy, chętny i zdatny.

Kimono opadło. Majteczki zsunięte sprawnie. Uda przy udach. Jego twarda męskość wślizgująca się prędko, bez wysiłku, głęboko w jej wilgotny środek.

Uczucie było niezwykle - i niewłaściwe. Całkowicie niewłaściwe. Tylko dlaczego coś tak niewłaściwego odczuwała tak wspaniale? Czyż to nie ona pisała o prawdziwości romansu? Czyż to nie ona wierzyła, że seks i miłość mogą być jednym i tym samym?

Nie. Nie wierzyła. W gruncie rzeczy nie wierzyła, ale ooooooch, Boże...

Jego ciężki, przyspieszony oddech zlał się z jej oddechem. Nagle znów ją uniósł, nadal będąc w niej głęboko, i znaleźli się na podłodze, a pchnięcia ustały.

- Co? - wykrztusiła.

Wtulił usta w jej szyję, śmiejąc się cichutko.

- Co ty ze mną wyprawiasz? Muszę zwolnić, inaczej zaraz będzie po wszystkim.

- Nie, nie, tak jest dobrze. - Ogarniała ją ogromna fala żalu. - O, mój Boże!

- Ciii - mruknął, a kiedy znów zaczął się poruszać, Dinah po prostu przestała istnieć. Jej miejsce zajęła inna osoba, prężąca się, wijąca i skręcająca, dopasowująca się do męskiego ciała. Aż stał się cud. Wybuch czystych doznań, źródło ogarniających ją uczuć, w których istnienie dotychczas nie wierzyła.

Kiedy było już po wszystkim, odgarnął z jej czoła wilgotny od potu kosmyk włosów, mając na twarzy uśmiech głębokiej satysfakcji, symbol czystej męskiej dumy i siły.

- To dlatego w filmach mają sztuczne ognie - powiedziała Dinah, łapiąc oddech.

W odpowiedzi pochylił usta ku jednej z jej obnażonych piersi i rozpoczął nowy rodzaj pieszczot, któremu Dinah całkowicie się poddała.

\*\*\*

Obudziła się nagle, gdy świt skradał się nad horyzontem. Targnął nią szok, poraził. Znajdowała się w jego pokoju. W jego łóżku. Jego noga zaborczo oplatała jej nagie ciało!

Spała z mężem swojej siostry.

Z byłym mężem, przypomniała sobie szybko, jakby to coś mogło naprawić. Dobry Boże, Jego Wysokość po prostu rzucił jej to swoje seksowne, przenikające na wskroś spojrzenie, a ona niemalże położyła się i zapraszająco rozłożyła nogi.

- Och, nie - westchnęła nieszczęśliwa, zaciskając oczy na ten okropny widok.

Jej protest spowodował, że jego ramię objęło ją w talii. Jego usta zaczęły wędrówkę po jej włosach, całując, tuląc się. Był pogrążony w półśnie, nie chciał jednak pozwolić jej odejść.

A jej się to podobało.

Żal i ledwo hamowana żądza.

A więc tak wygląda następny dzień.

I Denise telefonowała ostatniej nocy. Była tego pewna. Dzwoniła jej siostra, a potem ona poszła do łóżka z mężem Denise.

Cholera!

A było tak idealnie!

Musi się stąd wydostać. Z tego pokoju i poza zasięg jego uroku. Rozejrzała się dookoła, zauważyła fotografię Denise i znów westchnęła.

Jego oddech muskał jej włosy. Nasłuchiwała spokojnie. Przebiegała w pamięci żywe wspomnienia ostatniej nocy: powtórka z miłosnych pieszczot w tym łóżku z czekoladową pościelą i zapachem mężczyzny. On, ofiarowujący jej niebywałą rozkosz w niebywałych miejscach. Ona, odpłacająca się bez zastanowienia, bez chwili wahania, z radością.

Raz jeszcze westchnęła bezradnie, kuszona tymi wizjami, zła na siebie za tę zmysłową radość. Z kimś innym, w porządku. Skakałaby do góry z radości i wywiesiła tabliczkę: **DINAH SCOTT MIAŁA ORGAZM I BYŁO WSPANIALE!**

Ale nie z Johnem Callahanem. Nie z Jego Wysokością, Królem Podbojów, szowinizmu i niezobowiązującego seksu.

Dalsze pieszczoty. Natrafił na jej kark, zaczął próbować ustami, odkrywać językiem. Przez jej grzbiet przebiegły dreszcze. Na ramieniu pojawiła się gęsia skórka. Jego palce rozcapierzyły się na jej brzuchu, przesunęły niżej, napotykając trójkąt włosów w drodze ku jej kobiecości.

Przytulał się do niej, twardniejącym penisem napierając na jej pośladki. Niewiele potrzeba, aby jego pieszczoty stały się gwałtowne i żądające. Ona zaś już czuła wilgoć swojego przygotowującego się ciała.

Ciąża! O, Boże. Albo jeszcze coś gorszego!

Nie miała żadnego zabezpieczenia.

Usiadła prosta jak struna, tak głęboko wstrząśnięta, że mogła jedynie załkać.

- Co? - zapytał zaspanym głosem. Uchylił jedną powiekę.

- Prezerwatywy - wyszeptała. - My ich nie... my nie...

To kazało mu się zastanowić. Zamrugał parę razy. Potem wyrzucił z siebie: - Kiedy po raz ostatni się badałaś?

- Ja? - Zaniemówiła z oburzenia, zanim przypomniała sobie, kim jest. - Jakiś tydzień temu - skłamała ze złością, ponieważ to nie ona wdawała się w przygodny przygody miłosne. - Wynik ujemny.

- A kiedy miałaś ostatniego kochanka?

- Nie martw się, ja nie mam problemów - warknęła.

- Od ponad roku z nikim nie spałem - odwarknął. - Przedtem miałem ujemne testy. A, jak sama świetnie wiesz, gdybym był tak głupi, żeby wdać się w przygodowy związek, skorzystałbym z kondomu.

- Ale nie ostatniej nocy - wytknęła mu.

- To ty masz całe stado kochanków! Do cholery! - Wyskoczył z łóżka, a jego męska uroda momentalnie ją rozproszyła. - To ty zawsze nalegałaś, żebyśmy stosowali prezerwatywy. Co się stało z twoją troską, żeby nie mieć dziecka?

Zmieniłaś zdanie? - Chwilę później wysyczał: - Jesteś w ciąży? O to chodzi? Taka sztuczka, żeby mnie zrobić?

- Nie zwalaj wszystkiego na mnie! - Dinah zerwała się na nogi i, przypomniawszy sobie o swojej nagości, pochwyciła jedno z tych przeklętych czekoladowych prześcieradeł i owinęła się nim. - To ty się ze mną kochałeś. A nie na odwrót! - Poczwała ogromną ulgę, gdy dowiedziała się, że był ostrożny w kontaktach seksualnych. Jeśli mówił prawdę.

- Ach, tak? - Spojrzał na nią w taki sposób, że się zaczerwieniła. Nie zamierzała dać się wciągnąć dalej w tę utarczkę.

- Nie mam wirusa HIV - oświadczyła.

- Ditto.

- Wybacz, ale chciałabym uzyskać potwierdzenie.

- Świetnie. - Podniósł dłoń na znak zgody. - Poddamy się testom oboje, żeby się upewnić.

- Świetnie.

- Tak, świetnie.

Z tymi słowami zatrzasnął za sobą drzwi do łazienki i odkręcił prysznic. Dinah z powrotem opadła na łóżko. Witaj seksie lat dziewięćdziesiątych.

Żar lał się z nieba. Niezwykły upał, jak na tę porę roku. Nadmorska bryza przynosiła tylko więcej ciepła. Wszystko parowało, paliło się, kipiało.

Denise kiwała się na bujanym leżaku, dryfując, dryfując, powoli dryfując. Duży palec u nogi oparła o betonowy brzeg błękitnego basenu Iana i bujała się, bujała.

Leo, to przeceniane gównu, nie odpowiadał na jej telefony. Ach, oczywiście jego bezmózgowa sekretarka zapewniała ją, że wyjechał z miasta, ale Denise wiedziała lepiej. Lizał dupę komuś innemu. Denise Scott Callahan była przeszłością. Nie liczyła się. Była skończona.



Duszne, zamglone dni. Zlewające się ze sobą. Ospałym ruchem sięgnęła po zimny sok grejpfrutowy, jej wzrok padł na wczorajszą „Variety”. Tak, jakby ją obchodziło, co się dzieje w świecie. Bez wątpienia mogłaby przeczytać o wiecznie popularnym Johnie Callahanie, super ogierze.

Co przypomniało jej o Dinah.

Dinah, uda ci się nie zawieść? Dinah, nie zdradzisz?

Zanuciła cichutko: - Dinah, nie zdradzisz mnie dla kutasa Johna?

Zazdrość przetoczyła się jak trucizna przez jej żyły, a towarzyszące jej uczucie bólu sprawiło, że załkała. Była zadowolona, że posiada ten kamienny przycisk. To był jej prywatny kawałeczek Johna. Jedyny, jaki kiedykolwiek zdołała zdobyć.

Trzymała w ręce sok grejpfrutowy. Przyjrzała mu się bacznie i uniosła do ust. Zimny płyn spłynął w dół po jej piersiach, wypełnił pępek.

- Psiakrew! - krzyknęła, zaskoczona, że nie trafiła do ust. Kiedy odstawiała szklanę na blat stolika z matowego szkła, spostrzegła garść białych tabletek, ułożonych w szeregu, jak mali żołnierze. Podarunek Iana. Umiał dawać prezenty.

Gdy brała do ust dwie tabletki, przypomniała sobie, że nie używa narkotyków. Ho, ho. W żaden sposób. Nie były dla niej. Ona nazywa się Denise Scott i nie używa narkotyków.

Czas płynął. Niebieściutkie niebo. Chmury jak z waty. Oślepiający, migający blask światła, odbijającego się od wody i rażący jej oczy.

Czuła się wspaniale. Nie ma powodu, aby usuwać trucizny, więc odpieprz się doktorze Haydenie Stone, razem z całym twoim kramem. I odpieprz się, Johnie Callahanie. I Dinah, też!

Wiele godzin później odkryła, że stoi na środku sypialni Iana i trzyma przy uchu słuchawkę. Nie była sama. Lina słała łóżko.

Głos w telefonie.

- Denise? Denise, czy to ty?

Dinah! Jej głos był jak oszalały. - Dinah?

- Gdzie jesteś? Odchodziłam od zmysłów, martwiąc się o ciebie! - Dinah właściwie wrzeszczała.

- U mnie wszystko w porządku. - Język miała obrzęknięty, jak z waty. Oblizwała wargi i powtórzyła: - U mnie wszystko w porządku.

- Jesteś pijana? Słuchasz mnie? Jaki jest numer telefonu do ciebie? Czy jesteś w hotelu?

Ciemne oczy Liny zimno ją szacowały. Denise pomyślała, żeby ją wyrzucić za drzwi, ale przypomniała sobie, że lubi Linę. - Czy znasz Iana Wallace'a?

- Nie, do diabła. - Dinah wyglądała na zirytowaną.

- Jestem u niego.

- W Los Angeles?

- Tak, dokładnie w Beverly Hills. Znasz nas, wielkie gwiazdy filmowe. - Mrugnęła do Liny, straciła równowagę i upadła na podłogę. Z dokuczliwym brzękiem telefon stoczył się ze stolika i uderzył ją w nogę, pozostawiając paskudną czerwoną ranę. - Hooop... - Denise dotknęła ręką skaleczenia. Jej palce pokryły się krwią.

- Denise? Denise?

Głos Dinah był cichy i słaby. Lina pochyliła się i odłożyła słuchawkę, przerywając protest Denise w pół słowa.

- Pani się skaleczyła - mruknęła.

- Potrzebny mi bandaż - powiedziała Denise.

Nagle przebudziła się, nieświadoma tego, że spała, dopóki nie dotarło do niej, że jest w łóżku Iana, i to nie sama.

- Kim jesteś? - zapytała bełkotliwie. Szeroko otworzyła oczy. - Mój Boże! - To był doktor Stone. Jej stary psychiatra!

Nie. Nie, to nie on. To był Ian, i coś w wyrazie jego twarzy spowodowało, że zatrzęsała się przerażona. Zamierzał ją skrzywdzić. Zwarła się w sobie przed pierwszym uderzeniem.

Wiele godzin, a może dni później, obudziła się znowu. Otulone watą zmysły nadal odmawiały rejestrowania tego, co działo się dokoła. Tępo wsłuchiwała się we własny oddech.

Och, Denise, Denise, Denise... co ty wyprawiasz?

Umieram. Zabijam się. Tonę.

Z jękiem zapadła na powrót w niespokojny sen.

\*\*\*

Dinah siedziała na pomoście i kontemplowała przewalające się fale, ciemne i złowieszcze w mroku, panującym w środku nocy. Bobo zwinął się u jej stóp i pomrukiwał. Z roztargnieniem drapała kociaka za uszami, wpatrzona w światło zawieszonych pod okapem lamp, których promienie jak palce wyciągały się w kierunku oceanu, dodając scenerii głębi i tajemniczości.

Jej siostra miała kłopoty. Jak zwykle paskudne, jeśli Dinah właściwie odczytała sygnały, a trudno było się pomylić. Kto to jest Ian Wallace z Beverly Hills? Nie chciała wiedzieć.

Tak, chciała. Chciała wiedzieć, aby móc zadzwonić do jego drzwi, poczekać, aż drań się pojawi i wystrzelić mu prosto między oczy.

Boże, jakże nienawidziła mężczyzn źle traktujących kobiety. Mogła to wyczuć przez telefon, telepatyczna wiadomość była tak intensywna, że czuła jej gorycz, ohydny smród zgnilizny. Drań krzywdził jej siostrę.

Nie tym razem.

Odezwało się sumienie. Ty ją skrzywdziłaś. Ogromnie skrzywdziłaś. Kochałaś się z jej mężem.

Byłam mężem, przypomniała sobie we własnej obronie.

Nieważne. Nie liczy się. Pieprzyłaś się z nim. Ty! Ty!

Wciągnęła powietrze przez zęby. Popełniła błąd. Głupi, niemal niewybaczalny i potencjalnie fatalny błąd. Poddała się testom. John także. Oboje mieli ujemne wyniki, które nic nie znaczyły przed upływem sześciu miesięcy, ponieważ nie uwierzyła w deklarowany przez niego celibat.

No właśnie. Jak Jego Wysokość mógł nie spróbować czegoś na boku. Jaki mężczyzna by się powstrzymał? A wiedziała od Denise, że John Callahan nie był wolny od grzechu cudzołóstwa - chociaż tu należałoby wziąć poprawkę na źródło tej informacji, przypomniała sobie, krzywiąc twarz. Och, jakże by chciała, żeby Denise się myliła! Chciała, żeby John Callahan był lepszy, niż był.

Ale może mówi prawdę, podpowiadała jej dusza małej dziewczynki. Może jest jednym z tych grzecznych chłopców.

- Głupia - mruknęła głośno, wściekła na siebie.

Cóż, przynajmniej wyniósł się. Zajęty przy końcu produkcji *Fortunaty* (akurat miał zamiar wszystko powierzyć Frankie-mu!) i przygotowaniem do realizacji tego nowego filmu, *Lady Paradise*. Dinah nie interesowała się żadnym aspektem aktorskiego biznesu. Musiała przyznać, że była całkiem szczęśliwa, mając swoją pracę.

Nagle i zupełnie niespodziewanie ogarnęła ją tęsknota. Musi wrócić do domu w Santa Fe i do Flicka, z jego trudnym charakterem i chamskimi manierami. Miała dość Los Angeles i Hollywood.

Bądź uczciwa. Boisz się, że się zakochasz!

- Tak - zamruczała i sięgnęła po swój niedopity kieliszek białego wina.

Wyprostowała się, słysząc warkot silnika. John? I natychmiast znowu wściekła się na siebie. I co z tego, nawet jeśli to on? I co z tego? Dostyc tych głupot tylko dlatego, że były przyjemne. Nie była aż tak głupia.

Mów do mnie jeszcze.

Kroki. Jego kroki. Wkraczające do domu. Potem mocne i zdecydowane, i zmierzające w jej stronę. Dinah opadła na krzesło, serce biło jej tak głośno, jakby za chwilę miało ją ogłuszyć. Zaczęła się pocić.

Zatrzymał się w otwartych drzwiach. Włosy na jej karku zjeżyły się. Każdy nerw drżał w oczekiwaniu.

- Myślałem - powiedział, podchodząc do niej.

- Myślenie to kiepski interes. Zbyt niebezpieczny. - Wsadziła nos w szklaneczkę z winem jak spłoszona pensjonarka.

Pocałował jej kark. Przebiegł ją dreszcz, niemożliwy do ukrycia.

- Przyniosłem ci prezent - mruknął ochryple.

- Prezent?

Wręczył jej niewielkie pudełeczko. Dinah obejrzała je. Pudełko prezerwatyw w paski i gwiazdki, czerwone, białe i niebieskie.

- Nie mogłem się powstrzymać - dodał, odwracając jej krzeselko, zawładając jej ustami.

Dinah była rozdarta pomiędzy ekstazą i wielką obrazą.

- Wyglądają tak patriotycznie.

- Znaleźliby się ludzie, mający inne zdanie.
- Powinni rozdawać je w wojsku. Chronią, służą i tym podobne rzeczy.
- Kto powiedział, że będą nam potrzebne?
- I to niejedna - odparował. - Koniec z rosyjską ruletką.
- Taki z ciebie patriota?
- Szybko się uczysz.
- Nie zamierzam iść z tobą do łóżka - rzuciła szybko Dinah. Jego

wargi, ręce, całe ciało utrudniały myślenie!

Pieścił ręką jej pierś. Cichutko stęknął z rozkoszy prosto w jej ucho. Próbowała wywołać w wyobraźni obraz Thomasa Daniela - najbardziej lodowaty i nieprzyjemny zimny prysznic, na jaki było ją stać - i po raz pierwszy w życiu nie umiała. Jej ciało odpowiedziało natychmiast, ręce niecierpliwie wyciągnęły się ku niemu.

Bobo miauknął protestacyjnie, ale ani John, ani Dinah go nie słyszeli. Przytulając ją blisko do siebie John zaniósł ją na górę, w radosne, intymne królestwo swojej sypialni, a Dinah straciła ostatnie chęci do stawiania oporu, kiedy jego ciało opadło na jej ciało, a jej ciało owinęło się zaborczo wokół niego.

Nieźle ją to kosztowało, ale w końcu było warto.

Hayley siedziała na brzegu szerokiego łóżka i ogryzając paznokcie, oglądała swój film wideo. Dobra, facet występujący razem z nią - kolega z zajęć teatralnych, którego głównym talentem było wciąganie do ust papierosa, trzymanego w wyciągniętej ręce - był beznadziejny, ale kto by się tym przejmował? Na jego tle wypadła jeszcze lepiej!

Oczywiście wideo nakręcone zostało domowym sposobem, dzięki uprzejmości innego kumpla z zajęć, Teda Neusmitha, który sądził, że opłata za wyświadczoną przysługę winna być negocjowana w sytuacji, gdy Hayley leżała rozciągnięta na plecach. Tak, cóż.

Hayley zapłaciła mu pięćdziesiąt dolców plus koszty taśmy. Swojemu partnerowi filmowemu dała drugie pięćdziesiąt.

Ale dzięki temu ona, Hayley, ożyła jako Isabella, pechowa prostytutka, której styl życia dotyka najbliższe jej osoby, aż pozostaje sama, otoczona pustką. Tonja Terkell pomyliła się. To nie była komedia. Materiał na Oscara. Od ręki!

Jasne, wiedziała, że każda aktorka w Hollywood chciałaby grać tę rolę. To był za łakomy, za soczysty kąsek, żeby go ominąć. Hayley nie była na tyle naiwna, by sądzić, że może zostać gwiazdą, istniały jednak inne, drobniejsze role, jakby stworzone dla kogoś o jej ambicjach i talencie.

Teraz jej głównym zadaniem stało się doprowadzenie do tego, by John Callahan obejrzał taśmę. Nie miała agenta. Ze skąpstwa. Kiedy w końcu dostanie rolę, wtedy wynajmie agenta. O tak, z pewnością. Znała

obowiązujące zasady. Nikt, ale to nikt nie zajmie się tobą, jeśli nie masz agenta.

Ale John Callahan nie jest szwagrem każdego. Super-producent.

Gdyby tylko wiedział o jej istnieniu.

Westchnąwszy, wyjęła taśmę z magnetowidu i włożyła ją do torebki. Tonja znów pracowała dla Callahana. Z niewyjaśnionych powodów zainteresował się nią i powierzył jej funkcję asystenta asystenta asystenta producenta *Lady Paradise*.

Cuda się zdarzają!

Tego ranka Hayley zaplanowała wciśnięcie taśmy Tonji. Było wcześnie. Diabelnie wcześnie. Piąta nad ranem. Będzie mogła złapać Tonję, zanim ta wyruszy do pracy u Callahana i przekazać jej taśmę. Oczywiście Tonja będzie protestować. Traktowała swoją pracę z Callahanem jak jakąś świętość, której nie powinni bezcześcić jej krzykliwi przyjaciele.

To było coś nowego u Tonji - zapominanie o przyjaciółach - lecz Hayley nie zamierzała pozwolić, by jej się to udało. Tonja wiele jej zawdzięczała i teraz Hayley oczekiwała rewanżu.

W ostateczności Hayley była gotowa osobiście spotkać się z Callahanem, byłoby jednak dużo lepiej, gdyby najpierw przynajmniej mógł zapoznać się z jej możliwościami aktorskimi.

Pokrzepiona tym niewielkim sukcesem, Hayley wskoczyła do wraka, na którego wypożyczenie się zdobyła. Była prawie bez grosza, ale kto by się przejmował? Miała mnóstwo energii i chęci działania. I nic, ani Jason, szef z piekła rodem, ani Tonja i jej niepewność, ani Connor Jackley, były funkcjonariusz policji w Los Angeles nie powstrzymają jej przed osiągnięciem celu.



Swędzenie w mózgu. Wspomnienia. Zaciskając szczęki zapaliła samochód. Zmęczony pojazd zazgrzytał, zakrztusił się w proteście i pomknął przez szary poranek ulicami tandetnego Hollywood.

Sławo, oto przybywam!

\*\*\*

Zamknął oczy i policzył do pięćdziesięciu, co praktykował od dziecka, od chwili gdy hormony zaczęły wymykać się spod kontroli, a spódniczki mini i bujne, kołyszące się piersi dziewcząt zajmowały wszystkie myśli. Teraz był to jedynie sposób na zmniejszenie napięcia. Inni ludzie używali papierosów, alkoholu, leków, stosowali ćwiczenia fizyczne. Doktor Hayden Stone korzystał z powszechnych metod nauczycieli z podstawówek: krótka przerwa.

Metoda zdała egzamin. Okres dojrzewania i początki dorosłości przeżył bez poważniejszych kłopotów, skończył studia na Uniwersytecie Kalifornijskim i akademii medycznej, odbył praktykę internistyczną, otrzymał stałą posadę, a potem przez dziesięć lat praktykował jako psychiatra, by nagle pewnego pogodnego, odrobinę tylko zamglonego poranka, który nastał nad Los Angeles, uciec od wszystkiego.

Wszyscy uważali, że potrzebował terapii. Co? - krzyčeli. Zostawić żonę Leesę, kwitnącą karierę i nieprzyzwoitą furę pieniędzy? Szaleniec? Obląkany? Za długo leczył wariatów. Właśnie. Zrób sobie wakacje, radzili. Wszystko będzie dobrze.

Miał pozwolenie na prowadzenie praktyki w dwóch stanach, w Kalifornii i w Teksasie. Kiedy jedna z jego pacjentek bez większego zaangażowania usiłowała go uwieść - normalne postępowanie Carolyn

Lenton - delikatnie odstawił ją, ale nie odrzucił z miejsca jej oferty, by wyjechać z nią do Houston.

Miała przyjaciół. Całe stado szajbusów, jak ich określiła, potrzebujących pomocy profesjonalisty.

- Rusz się - namawiała go, zakładając na zmianę jedną nogę na drugą i bezskutecznie obciążając krótką czerwoną spódnicę. - Wybieram się do domu w odwiedziny i sędzę, że powinieneś jechać ze mną.

Ku jej zdziwieniu i sporemu własnemu zaskoczeniu, zgodził się. Nie po to jednak, żeby zamieszkać w jej bogatym domu. Wynajął jednopokojowy apartament, całkowita odmiana w stosunku do jego zadbanej posiadłości w Bel-Air, gdzie paradowali ogrodnicy, służące i robotnicy, zatrudniani przez Leesę.

Leesa wystąpiła o rozwód. Przeczytał jej warunki - i przyjął je. Natychmiast wycofała pozew i zaczęła błagać, by wrócił do domu. Leesa była wspaniałą kobietą, ale czegoś tu brakowało.

Wspaniała kobieta. Wspaniała.

Sama delikatność. Leesa zasługiwała na coś więcej.

Doktor Hayden Stone otworzył oczy i podszedł do okna w swoim nowym gabinecie. Parter domu utrzymanego w stylu angielskiego dworku, położony w pobliżu Sunset. Wielki upadek. Niezwykle przytulnie. Wystarczająco nieszykownie, aby wzbudzać zakłopotanie na przyjęciach.

Doskonale.

Potem wystąpił o rozwód. Wspaniałomyślne warunki, niewygórowane Leesa podpisała papiery, zmięte i aż szorstkie od wylanych przez nią łez. Prawdziwe łzy, które wbiły mu się w serce i z powodu których omal nie zaczął się na nowo zastanawiać.

Tymczasem w pierwszą sobotę po sprawie rozwodowej Leesa wyszła za mąż za dwudziestosiedmioletniego surfera i była w ciąży od dwóch miesięcy.

I to dopiero go zraniło. Pragnął dzieci. Jakoś razem z Leesą nigdy o nie nie zadbali.

Powrót do Los Angeles był dla niego sprawdzianem dojrzałości. Sprawdzianem dojrzałości, pomyślał powtórnie i zatrząsł się leciutko.

Czego oczekiwałeś? Jakiegoś objawienia? Bądź realistą!

Klienci czekali na niego z niepokojem, żeby nafaszerować go historią spieprzonego ostatniego roku ich życia, chcąc usłyszeć nową radę, doświadczyć nowych metod, czegoś nowego.

Wrósł w nowe warunki, jakby nigdy nie było żadnej przerwy. I żył nieszczęśliwy, niespełniony, pędząc po lukratywnej ścieżce sukcesu ku jakiemuś odległemu horyzontowi, na którego osiągnięciu wcale mu nie zależało.

Jeden żał Denise. Nie powinien był jej zostawić. Ogromnych niebieskich oczu, wypełnionych krzywdą, strachem i poczuciem winy. Tego bólu, tak ogromnego, że wydostawał się na zewnątrz i dotykał go. Płaczącej, umierającej duszy, chronionej jedynie przez mądre słowa i poczucie humoru.

Dlaczego nie zadzwoniła do niego?

Bo ją porzuciłeś.

Nieprawda. Telefonował wielokrotnie do Carolyn. Jednakże to zainteresowanie osobą Denise najwyraźniej ją irytowało, gdyż nie chciała mu nic powiedzieć poza zdawkowymi uwagami. Dowiedział się jedynie, że Denise opuściła Houston z mężczyzną. Gdyby chciał więcej informacji,

musiałyby zmierzyć się z Carolyn, znaleźć sposób ominięcia zapory wzniesionej ze słów i dotarcia do zwykłej prawdy. Może powinien polecieć do Houston Jego telefon zapiszczał i odezwał się głośnik - Doktor Stone? - głos recepcjonistki wypełnił pokój - Znow zadzwoniła tamta kobieta jest na linii.

Zmarszczył brwi.

- Jaka kobieta?

- Ta niezborna. Ponieważ nie jest pan zajęty z żadnym pacjentem, pomyślałam, że może chciałby pan z nią porozmawiać?

Hayden podejrzewał, że to Angela Mercer. Zwykle wydzwaniała do niego za każdym razem, kiedy była w dołku, myśląc, że nie będzie jej kazał płacić za poświęcony na rozmowę telefoniczną czas. I co miesiąc, kiedy obciążał ją kosztami dwugodzinnych, pełnych płaczu rozmów telefonicznych, odmawiała ich opłacenia.

- Połącz ją - powiedział z westchnieniem.

- Łączę z doktorem Stone - usłyszał słowa recepcjonistki, skierowane do dzwoniącej.

Nastąpiła znacząca przerwa, w czasie której Angela głośno oddychała. Hayden poczekał, a potem rzucił zachęcająco:

- Angela? Czy stało się coś, o czym chciałabyś mi opowiedzieć?

- Stone? - Głos Denise drżał.

Jednym skokiem znalazł się przy biurku, wcisnął guzik i porwał słuchawkę.

- Denise?

- Gdzie byłeś? Ty skurwysynu!

Połączenie zostało przerwane.

Z pozornym opanowaniem przycisnął guzik, łączący go z recepcjonistką.

- Kiedy ta kobieta znowu zadzwoni, proszę mi przerwać.

- Nawet jeśli będzie pan rozmawiał z kimś ważnym? - zaniepokoiła się.

- Nawet gdyby pani miała kazać czekać prezydentowi Stanów Zjednoczonych.

Niezadowolenie.

Hayden postanowił zwolnić recepcjonistkę i wynająć kogoś obdarzonego wrażliwym sercem, nie tylko urzędniczą sprawnością.

\*\*\*

Bam! Słuchawka spadła z widełek, odbiła się rykoszetem od krawędzi stołu i przewróciła figurkę z kości słoniowej. Denise uświadomiła sobie niejasno, że chyba popełniła błąd. Ianowi to się nie spodoba.

Dowiedziała się już, że Ianowi nie podoba się wiele rzeczy. Często bił Linę. Uzyskała od niego dużo pieniędzy, ponieważ swoją winę zamazywał pieniędzmi i świecidełkami. Lina oszczędzała. A czego jej nie zapłacił, to mu wyciągnęła z kieszeni. Lina dawała Denise wiele rad.

- Niech pani bierze pieniądze i ucieka, madam - szeptała konspiracyjnie Lina. - Nie musi pani zostawać. Ja muszę. Przez jakiś czas. Ale ja też się stąd wynoszę. Bardzo, bardzo niedługo.

- Gdzie pójdziesz?

- Mam rodzinę. Oni nie wiedzą. - Obejrzała się do tyłu, ze strachem na twarzy, w śmiertelnej obawie, że Ian Wallace magicznie się pojawi.

- Dlaczego teraz nie odejdziesz?

- Potrzebuję referencji. On mi ich nie da. Muszę brać, co tylko się da.

- Ja ci dam referencje - zaoferowała wielkodusznie Denise.

Lina spojrzała na nią ciemnymi, wilgotnymi, podejrzliwymi oczami.

- Pani może już niedługo nie żyć - udzieliła niepokojącej odpowiedzi.

Tak. To ją oczywiście otrzeźwiło. Co za pomysł! Ian może mieć swoje dziwactwa, ale Denise wiedziała, że na świecie istnieją gorsi wariaci.

Chcesz usłyszeć historię, Lino? Naprawdę dobrą? Pozwól, że opowiem ci o kochanym ojczymku.

Bolała ją głowa. Nie było żadnej historii. Co się z nią działo, u diabła?

- Dwubiegunowe gówno - mruknęła, wędrując zygzakiem po sypialni. Gdy ujrzała swe odbicie w lustrze, jej ręka odruchowo przesłoniła usta. Przysunęła się bliżej, przejęta i zaalarmowana. To była ona? Ta rozczochrana, śmiesznie wyglądająca, stara kobieta? Jezu, wyglądała jak biała nędzarka.

Tak właśnie ją nazywał, uświadomiła sobie z przerażającą jasnością. Również suką, dziwką, kurwą i wieloma innymi obelżywymi przezwiskami.

Thomas Daniels. To on zdawał się pochłaniać wszystkie jej myśli w tych dniach. Odkąd Connor Jackley pojawił się przed drzwiami Iana, by zadać jej te wszystkie pytania, myślała o Danielsie w każdej chwili przytomności. Nie żył. Zamordowano go. Oszołomiona Denise potrząsnęła głową. Niemożliwe, żeby nie żył. Był za bardzo ordynarny, żeby nie żyć. Był zbyt podły.

Chwasty nigdy nie giną.

Powiedzenie wymyślone przez matkę na domowy użytek, Denise jednak była przekonana o jego słuszności. Thomas Daniels nie umarł. Był gdzieś tutaj, gotowy za chwilę ją przestraszyć. Kiedy myślała, że jest bezpieczna, sama. Kiedy była najbardziej wrażliwa.

Denise wpatrywała się w swoje odbicie niewidzącymi oczyma. Zatopiona w myślach, chwiała się na nogach. Kiedy jakieś dłonie zacisnęły się na jej ramionach, sądziła, że śni znowu, ale Ian okręcił ją tak szybko, iż niewiele brakowało, aby straciła równowagę.

- Wychodziłaś dzisiaj - oskarżył ją ostrym głosem, z którego buchała złość.

- Chciałam się z kimś spotkać. - Skuliła się.

- Z kim?

- Ze znajomym.

- Z kim?

- Z moim psychoanalitykiem - przyznała, ustępując. Jego palce tak głęboko wbiły się w jej ramiona, że zadygotała z bólu. - Nie widziałam się z nim. Przejechałam tylko koło jego gabinetu.

- Moim samochodem.

- Wiesz, Ian, masz cztery. Wzięłam fordą.

- Nie pozwoliłem ci. Powinnaś była zapytać.

Jego złość była czymś niezwykle żywym, głęboko ukrytym tylko wtedy, gdy byli obecni inni ludzie. Prezentowane publicznie oblicze Iana Wallace'a ogromnie się różniło od prywatnego. Ale czyż nie jest tak zawsze?

- Nic się nie stało - mruknęła.

- Naprawdę?

- Nic się nie stało.

- Lepiej powiedz mi prawdę.

- Ian, muszę wrócić do pracy. Telefonowałam do mojego agenta, żeby poszukał mi czegoś.

- Zniszczyłaś już swoją karierę, Denise. Koniec. Satysfakcja w głosie. Sadystyczna przyjemność. W zwierciadle udało jej się pochwycić jego odbicie. Zadowolony uśmiech, z jakim spoglądał zaborczo w dół, na czubek jej głowy. Jak mogła kiedykolwiek uważać, że jest atrakcyjny?

- Muszę zadzwonić do mojej siostry. Ten detektyw...

- Były detektyw - uśmiechnął się szyderczo. - Mam przyjaciół na ważnych stanowiskach. Kariera tego faceta już się skończyła.

- Nie mogę tu zostać na zawsze.

- Chodź tutaj... - Pociągnął ją w pobliże łóżka. Potulnie ruszyła za nim, z odrętwiałym umysłem, nagle czując wypełniającą ją nienawiść wobec doktora Haydena Stone'a i jego braku zainteresowania.

Ian zaczął ją rozbierać. Stała cicho, patrząc jak kolejno opadają: jej jedwabna bluzka, luźne spodnie, majteczki bikini i stanik z czarnej koronki. Zobaczyła, jak jego długie, silne palce zaciskają się na jej piersi, poczuła kilka piekących uderzeń w sutki.

- Lubisz to? - zapytał.

Nie odpowiedziała. Następne uderzenie wymierzone było w twarz.

- Lubisz? - zażądał odpowiedzi; oddychał coraz szybciej.

- Nie.

- O tak, lubisz. - Ostryimi, równymi zębami wbił się w jej wargi, aż poczuła smak swojej krwi.

Popchnął ją do tyłu, rozchylił jej nogi, a potem te ostre zęby tam też zaczęły intensywnie pracować. Denise dygotała spazmatycznie, dopóki nie wspiał się na nią, potem leżała spokojnie, ledwo odważając się odetchnąć.

- Chodź, skarbie. Chodź. - Pompował wytrwale, ale prawdę powiedziawszy, jego miękki penis nie reagował. Denise poruszyła się,



świadoma tego, że jeśli nie pomoże, będzie musiała znosić ciężar jego seksualnych frustracji w inny sposób.

Sięgnęła ręką w dół ku jego sflaczałemu członkowi, dotykała go leciutko, próbując jednocześnie wymazać ze swej pamięci wszystko, poza obrazem tych wspaniałych chwil z Johnem, kiedy kochał ją czule, szepcząc, jak bardzo jej pragnie i jak jest piękna.

- Popracuj mocniej, skarbie - rzucił rozdrażniony Ian. Uszczypnął ją w szyję, mocno.

Denise zacisnęła zęby. Nie płakać. Nigdy nie płakać.

Niemal udusił ją, wpychając język głęboko w jej usta, trzymając jednocześnie jedną ręką za włosy tak mocno, że nie mogła powstrzymać okrzyku bólu. - No chodź, chodź - zachęcał.

Wiedziała, czego pragnął. Tak łatwo byłoby mu to dać. Łzy. Skargi. Strach. Wszystko to czuła, ale opierała się.

- Uderzę cię, ty suko. Tego właśnie chcesz. Właśnie tego. Pocierała go mocniej, ale bez rezultatu.

Bach! Cała galaktyka eksplodowała w jej głowie. Bach! Bach! Bach!

Teraz pracował bez przerwy, chrząkając jak świnia, radując się jej przerywanym oddechem, gdy usiłowała zapanować nad emocjami.

- Lubisz tak, prawda? - wymruczał. - Lubisz! - Szczytował z rykiem rozkoszy, padając na nią, dusząc.

Denise spokojnie leżała pod nim. Chwilę później poruszył się, wstał z łóżka i poszedł do łazienki, skąd przyniósł garść proszków i szklanek wody.

- Masz tutaj - powiedział.

Połknęła pigułki, krzywiąc się z bólu, jaki czuła w ustach, Ian delikatnie pocałował ją i odgarnął jej włosy z twarzy.

- Kocham cię - powiedział, kładąc się obok niej i gładząc po włosach.

Zamknawszy oczy Denise próbowała odprężyć swe zmęczone ciało. W jej wnętrzu coś się zmieniało. Cegielki, z których zbudowana była jej struktura psychiczna, pękały, zmieniały wzajemne położenie. Z intuicją większą niżby się mogła po sobie spodziewać wiedziała, że skończyła z Ianem Wallace i takimi sposobami samozniszczenia.

Tak czy inaczej, miała zamiar wrócić na właściwy szlak.

Nawet gdyby musiała go zabić.

\*\*\*

- Jesteś zwolniona - Flick zadudnił w telefon.

- Nie, nie jestem - przekonywała Dinah, wierząc się w ciasnej budce telefonicznej i robiąc miny do niecierpliwącego się, ciężko zbudowanego mężczyzny, przyglądającego się jej z zewnątrz. Może poczekać. Miała do załatwienia ważną sprawę i musiała się tym zająć. - Dostarczyłam ci kawałek w terminie i, jeśli ja to mówię, był to dobry tekst.

- Nikogo to nie obchodzi - prychnął pogardliwie Flick.

- Prawie już tutaj skończyłam - powiedziała znudzonym głosem Dinah, krzywiąc się na to oczywiste kłamstwo. Czy skończyła tutaj? Któż to wiedział? Ale wkrótce, bardzo niedługo będzie musiała opuścić Los Angeles i wrócić do swojego prawdziwego życia w Santa Fe.

- No cóż, szukam kogoś innego. Jakiś nowy tyłeczek będzie od czwartku grzał twoje krzeselko.

- Przefaksuję ci tekst, jak tylko go skończę - mruknęła. - Weź na wstrzymanie.

Mężczyzna pod budką pokazywał na zegarek. Dinah obrzuciła go zdumionym spojrzeniem, więc zaczął bębnić palcem w cyferblat.

Tak, jasne. Jakby nie wiedziała, o co mu chodzi. Wzruszyła ramionami, udając że nic nie rozumie. Wyrzucił w jej kierunku wiązkę zjadliwych wymysłów.

Czy cały świat był taki niecierpliwy?

- Mówię poważnie, Scott - dodał Flick zmienionym głosem. - Powiedziałaś sześć tygodni. Już minęło dwanaście.

- Dziesięć - poprawiła szybko. Facet dobijał się do drzwi. Spojrzenie Dinah mogłoby stopić stał. Obu rękami wykonał obraźliwy gest - dowód prawdziwego talentu. Posłała mu jeszcze jedno zdziwione spojrzenie.

- Złotko, moja cierpliwość się wyczerpała. Życzę szczęścia przy szukaniu nowej pracy.

Rozłączył się, zanim Dinah zdążyła zaprotestować. Świadoma tego, że zachowuje się po chamsku, zmitreżyła jeszcze trochę czasu przy telefonie, a gościa spod budki mało szlag nie trafił. Kiedy gwałtownie otworzyła drzwi, zalał ją potok ordynarnych wyzwisk, które normalnie mogłyby ją zaszokować. Tego dnia jednak była w stanie stawić czoła nawet niedźwiedziowi.

- Kup sobie telefon komórkowy, tumanie - powiedziała mu, wskakując do fiata i odjeżdżając z warkotem.

Faks wysłała ze swojego ulubionego urzędu pocztowego, zła i zmęczona stałą koniecznością tych wybiegów. Gdyby John Callahan po prostu ZOSTAWIŁ JĄ W SPOKOJU, mogłaby bez nerwów pracować w domu i dojść do tego, co u diabła nie działało w jego humorzastym faksie.

Dinah wysiadła w powietrze tak gęste od smogu, że niemal czuła jego smak i skierowała się do sklepu, gdzie poprosiła o WSPANIAŁĄ WODĘ SODOWĄ! NAWET TY NIE MOŻESZ WYPIĆ WSZYSTKIEGO! Potem

znów wsiadła do fiata, przez chwilę z niepokojem słuchała, jak pracuje silnik, wcisnęła sprzęgło i włączyła się w ruch.

Wspaniała woda sodowa okazała się czymś więcej, niż Dinah mogła utrzymać; była w kubku tak szerokim, że aż wysuwał się z ręki. Postawiła więc chybotające się naczynie na kolanach i prowadziła jedną ręką, pewna, że zaraz zginie na wypełnionych różnymi maniakami autostradach Los Angeles.

Nie mogła znieść widoku Johna. Jedno dotknięcie i była stracona. Musi się skontaktować z Denise. Musi się uwolnić!

Już od wielu dni rozważała powiedzenie mu prawdy. Co by się stało? Dinah zdrzała. Nawet jej płodna wyobraźnia miała kłopoty z przewidzeniem tego scenariusza. Obojętne jednak, co by się działo, i tak ona będzie czarnym charakterem. Wcieliła się w swoją siostrę. Żyła życiem Denise. Sypiała z jej mężem.

Z byłym mężem. Dinah skrzywiła się.

Kiepsciutkie usprawiedliwienie, prawda?

Denise była rozwiązaniem jej wszystkich kłopotów. Znaleźć ją, wyjaśnić wszystko, wyjechać z miasta z podkulonym ogonem.

W domu udała się do swojej pracowni. Według książki telefonicznej, Ian Wallace miał zastrzeżony numer. Też coś. Każdy mieszkaniec Los Angeles miał zastrzeżony numer. Dinah zażyczyła już sobie wydruku wszystkich połączeń, łącznie z numerami telefonów, z których dzwoniono do domu, na wypadek, gdyby Denise zadzwoniła jeszcze raz. Kiedy to nastąpi, uzyska numer Iana Wallace'a i będzie wiedziała, jak skontaktować się z Denise.

Jeśli zaś Denise nie zadzwoni w najbliższym czasie, Dinah uda się na policję i opowie im historię, której długo nie będą mogli zapomnieć. Wiedziała bowiem, że jej siostra bliźniaczka miała poważne kłopoty. Czuła to.

Podobnie jak ona sama.

RS

Flick nie wydrukował jej artykułu. „Santa Fe Review” przedstawił nową autorkę, Kate Patton, której pierwsza próba literacka, dotycząca romansu w latach dziewięćdziesiątych, nosiła tytuł „Co miłość ma z tym wspólnego?”. Potwornie wściekła Dinah pobieżnie przejrzała artykuł, zmięła gazetę w kulę i cisnęła o ścianę.

Musi wrócić. Musi uciec od tego piwa, którego sobie nawarzyła w Kalifornii i powrócić do Nowego Meksyku.

Nie chciała jechać.

Miotając obelgi, skierowane wyłącznie pod swoim adresem, spakowała walizkę, wrzucając rzeczy byle jak do środka. Ona, Dinah, Wielki Naprawiacz, zrobiła tak nieziemski bałagan i teraz musi uciekać, zostawiając wszystko!

- Co się z tobą dzieje? - zapytała.

Z walizką w ręce stanęła na galerijce, wsłuchana w odgłosy pustego domu. Callahan był w pracy, ale miał wrócić na noc. Od czasu ich wspólnych nocy prawie stale był nieobecny, pracował jak szatan, tak przynajmniej powiedział w trakcie jednej z licznych rozmów telefonicznych. Dzwonił co najmniej raz dziennie. Przejmował się, że jest sama w domu. Martwił się włamaniem i rozważał powtórne zainstalowanie systemu alarmowego.

Dinah zapewniała go, że u niej wszystko w porządku, a potem siedzieli po przeciwnych końcach przewodu telefonicznego, nie mając nic - i mając wszystko - do powiedzenia. Żadne z nich nie wiedziało, jak zacząć. Ten

uspokajający okres był dobry. Bardzo dobry. Dinah zdawało się, że traci rozum.

On, podobnie jak ona, wkroczył w fazę, kiedy nie wiedział, jak ma postępować. Zaginał protokół. Był przekonany, że przespał się ze swoją byłą żoną i nad tym rozmyślał. Ona wiedziała, że przespał się ze swoją byłą szwagierką.

Tak czy inaczej, była to katastrofa godna popołudniowych oper mydlanych.

A jednak wspomniał, że wróci dziś na noc.

Była już przy drzwiach, gdy zadzwonił telefon. Zawahała się. To mógł być Callahan, ale to mogła być również Denise.

Upuściła swoje bagaże i podbiegła do telefonu, czekając, żeby włączyła się automatyczna sekretarka. Rozległa się nagrana informacja - głos Denise powtarzający wybrany numer. Piknięcie.

- Tu Carolyn. Jesteś tam? Wszyscy tu sądzili, że wyjechałaś z Ianem. Powiedz, że to nieprawda. - Głos zachichotał z kobiecym rozbawieniem. - Zadzwoń do mnie, jak znajdziesz chwilkę.

Dinah podniosła słuchawkę.

- Carolyn? - zapytała ostrożnie.

- O mój Boże! Jesteś więc tutaj. Moje źródła mówiły, że mieszka tam twój były ślubny. Nie mieszkacie chyba razem?

Bez najmniejszego wysiłku ze swojej strony Dinah przekonała Carolyn, że jest Denise.

- Twoje źródła?

- Mówisz jakbyś to nie była ty - powiedziała z nagłą podejrzliwością. - Kto mówi?

Ganiąc się za nadmierną pewność siebie, rzuciła w odpowiedzi: - Ja. Kto inny miałby być?

- Każdy, najdroższa, z jego reputacją. - Przerwa, a potem: - O mój Boże! Dostałaś rolę! Dlatego znowu jesteś z Johnem!

- Nie, nie... nie jestem z Johnem. I nie ma żadnej roli. Po prostu pilnuję domu.

- Och. - Rozczarowanie, graniczące ze znudzeniem zabarwiło jej głos. Chytrze dodała: - Peter pytał o ciebie.

Peter? Mętne wody. - Naprawdę? - zapytała lekko.

- Nadal go lubisz?

- Ja... nie... nie w ten sposób.

- Domyślam się! Wiesz, że miał złamany nos? Całymi tygodniami jęczał z tego powodu!

O co w tym wszystkim chodziło?

- Hmm, jak wygląda? - spytała zaciekawiona Dinah.

- Och, no wiesz. Stale obnosi się ze swoim doskonałym fiutem. Sądzi, że ustawimy się w kolejce - parsknęła z pogardą, po czym ostrożnie zmieniła temat. - Widziałaś Iana? Muszę się z nim skontaktować, ale zgubiłam jego numer.

- Ian... ?

- Ian Wallace. Pamiętasz go?

- Przepraszam. - Dinah częściowo przesłoniła ręką słuchawkę i zakasłała. - Przez to przeziębienie mam zatkane uszy.

- Tu w końcu znalazł się klucz do odnalezienia miejsca pobytu Denise. Zachowując ostrożność, przesadnie westchnęła. - Ja też zgubiłam numer.



Nie masz przypadkiem jego adresu? Mogłabym wpaść i przekazać wiadomość.

- Ha, wszystko, co wiem, to Beverly Hills. Myślałam, że lecieliście z powrotem razem. Nie zdobyłaś tak ważnych informacji?

Podjeździwość brzmiała w jej głosie, i coś więcej niż odrobina zazdrości. Nic dziwnego, znając skłonność Denise do oczarowywania osobników płci męskiej.

- Sama wiesz, że nie jestem dobra w zapamiętywaniu ważnych rzeczy - powiedziała Dinah, domyślając się, że Carolyn na tyle blisko znała Denise, aby wiedzieć, jak bardzo była niestała. Im lepiej się znało Denise, tym mniej można się było po niej spodziewać.

- A w ogóle jak ci leci? - wystrzeliła Carolyn z nagle przypomniałą sobie troską.

- Jakoś daję sobie radę.

- Stone ci tam pomaga?

- Właściwie nie - powiedziała Dinah, zagubiona.

- Nie, nie zgubiłaś chyba też i jego numeru? Na litość boską, Denise, zależało mu na tobie.

- Masz jego telefon? - zapytała Dinah jękliwie, bojąc się, że jeszcze chwila, a przekroczy granicę. Niemal oczekiwała, że Carolyn wrzaśnie: - Oszustka! Krętaczka! - ale ta powiedziała tylko: - Poczciwy doktor jest pewnie wymieniony w książce telefonicznej. Wybierz się do niego, Denise. I zdrowiej.

Podtekst był zupełnie jasny: Ty kompletna wariatko, naprawdę potrzebujesz prawdziwej pomocy. I tu Dinah zgadzała się z Carolyn.

Jeszcze kilka tajemniczych uwag na temat Petera i Carolyn zakończyła rozmowę, zde gustowana niepowodzeniami przy poszukiwaniu Iana Wallace'a. Za to Dinah dowiedziała się czegoś istotnego.

Denise odwiedzała pewnego lekarza w mieście, noszącego nazwisko Stone.

Z torbami zarzuconymi na ramiona Dinah skreśliła parę słów do Johna na temat karmienia Bobo - na pewno mu się spodoba! - zamknęła za sobą drzwi na klucz i skierowała się w stronę swojego ukochanego fiata. Świadoma była, że ucieka od Johna. Nie wiedziała tylko, czy jest jej przykro, czy też czuje ulgę.

\*\*\*

John Callahan był szczęśliwym człowiekiem. Przebrnięcie przez końcowe sceny *Fortunaty*, z przeklinającym i wrzeszczącym Frankiem oraz z jęczącymi i narzekającymi aktorami powinno być prawdziwym piekłem. Ale John naprawdę nie bardzo się przejmował. Niech sobie spieprzą robotę. W głowie miał inne sprawy, które sprawiały, że był szczęśliwy.

Scenariusz *Lady Paradise* znajdował się na jego biurku. Przekartkował go z uśmiechem, wyobrażając sobie Denise w roli tytułowej. Mogłaby to zagrać. Mogłaby to świetnie zagrać - gdyby miała odpowiedni nastrój - chociaż trudno było na niej polegać.

Dyrektor decydujący o obsadzie, Susan Markson, przetestowała z tuzin aktorek, miała też jeszcze kilka zainteresowanych, będących „ponad” testami. Gdyby John wspomniał o Denise, Susan zerknęłaby na niego ponad kłębamii dymu z palonego papierosa, przesywając go spojrzeniem zimnych, wszechwiedzących oczu. Susan nie należała do ustępliwych. Ale Johnowi udałoby się wygrać, bo to był jego film.

Tylko czy naprawdę widział Denise jako Toni?

Tak!

Rozległo się pukanie w futrynę otwartych drzwi i do środka zajrzała jedna z asystentek. Przez chwilę nie mógł sobie przypomnieć jej imienia. Tonja. Tonja Terkell.

Popatrzyła na niego nieśmiało. W ręce trzymała kasetę.

- Co to jest?

- Kasetę wideo na przesłuchanie - stwierdziła z westchnieniem.

- Chciałabyś, żebym rzucił na nią okiem? Zaproponował jej pracę w czasie realizacji *Fortunaty*, bo zrobiło mu się jej żal. Żal mu było tych wszystkich, z których marzenia o sukcesie w Hollywood zrobiły ludzi zdesperowanych i nieszczęśliwych.

- To zależy od pana - powiedziała niepewnie, bojąc się mu narazić. Wszyscy bali się wychylić. Zbyt ryzykowne. Producent albo reżyser może się nie zgodzić. Nadstawiać swojego karku? Zapomnij o tym. Tylko by ci go przetrącono.

- Zostaw ją na moim biurku - powiedział John. Może uda mu się ją obejrzeć, kiedy przebrnie przez górę już zaplanowanych zajęć. A może nie.

Znajdował się w tej fazie produkcji, w której 110 procent czasu spędzał przy telefonie. Zaskakujące było, że *Lady Paradise* została zakupiona przez Titan Studios. Trudne do uwierzenia, tym bardziej że to oni przyszli do niego. Jedyne wyjaśnienie, jakie wpadło Johnowi do głowy to, że Rodney Walburn III czuł się zobowiązany do wyświadczenia mu przysługi, gdyż John był właścicielem części korporacji.

Tak przynajmniej myślał na początku. John gardził Titan Studios, toteż radośnie zażądał całkowitej kontroli nad filmem i budżetu półtora raza

większego niż naprawdę potrzebny. Oczekiwał, że oferta zostanie odrzucona - i to z hukiem. A tu niespodzianka! Stary, poczciwy Rod przystał na wszystkie warunki, żądając jedynie, żeby film był gotowy przed Bożym Narodzeniem.

Wniosek Johna: Rod pocił się pod tymi warstwami tłuszczu. Stanął na czele Titan Pictures przez pomyłkę i teraz zarząd żałował, że powołał takiego płaza. Cwanego płaza. Przewidującego płaza. Ale tak czy inaczej, płaza.

To jednak był problem Roda. John podpisał papiery i interes został ubity. Teraz dwa pragnienia pchały go do przodu: skorzystać z hojnego finansowania Titan Studios, co było łatwe do osiągnięcia, oraz jak najszybciej skompletować wspaniałą obsadę i rozpocząć kręcenie filmu.

I była też Denise. Co prawda zaklinał się długo i głośno, że nigdy nie dostanie roli w *Lady Paradise*, nie mógł jednak zaprzeczyć, że główna rola pasowała do niej jak ulał. Czemu nie? Kupił ten świeży, wartki scenariusz od początkującego autora dawno temu, mając na myśli Denise. Osobiście przerobił nieco główną postać, myśląc o niej. Tak dobrze ją widział. Bardziej skomplikowaną Denise, ale posiadającą tę dziwną, wewnętrzną wrażliwość, której jego była żona nigdy do końca nie zniszczyła.

Może dlatego go fascynowała.

Nerwowo, szaleńczo kręcąc piórem w palcach odbył pospiesznie pierwszą ze swoich rozmów telefonicznych, a potem chodził wkoło jak niespokojny tygrys, zdenerwowany i spięty. Powiedział jej, że spędzi noc w domu. Potrzebował jej. Boże, czuł się jak idiota!

Zadzwoił telefon, który zignorował, jak to zawsze miał w zwyczaju.

Cztery godziny później, zmęczony i zirytowany, opuścił biuro i otworzył centralny zamek swojego jeepa. Powinien zapomnieć o Malibu i popracować w nocy w swoim apartamencie.

Próżne wysiłki. Skierował jeepa w stronę Malibu i Denise.

Przez szyby wypożyczonego gruchota Hayley widziała, jak John Callahan zmierza w stronę swojego czarnego jeepa. Dzięki uchylonemu oknu słyszała cichutki pisk pilota, który wycelował w samochód. W chwilę później facet był już w samochodzie i włączał się w ruch uliczny. Hayley podążyła za nim.

Zgoda, śledzenie producenta nie było najlepszym pomysłem. Czy komukolwiek coś to dało? Ale to był jej były szwagier i fakt ten, jeśli nie pozostanie nic innego, był przynajmniej interesującym tematem do rozmowy.

Teraz mogła to sobie wyobrazić. - Hej, panie Callahan! Jestem Hayley Scott, siostra Denise. Wiem, że nie ma pan pojęcia o moim istnieniu, ale to wszystko prawda. Czy mógłby pan obejrzeć moją taśmę wideo? Bardzo bym chciała zostać pana następną wielką gwiazdą!

Akurat.

Ale... kto ryzykuje, nie traci.

Hayley zauważyła, że zmierza ku domowi w Malibu. Tonja wspominała, że wynajął w pobliżu biura apartament, ale to byłoby za dużo szczęścia na dzisiaj.

Niemal się rozmyśliła. Powinna raczej złapać go gdzieś bliżej swojego domu. W końcu i tak miała niewiele czasu do rozpoczęcia pracy, a Jason dostałby apopleksji, gdyby znowu się spóźniła. Jeśli uda się na wycieczkę do Malibu, na pewno nie będzie na czas.

Taka jednak jest cena sławy.

Callahan gnał na złamanie karku. Zdecydowanie nie należał do ostrożnych. Hayley manewrowała najlepiej jak umiała, ale cała spływała potem, kiedy na ostatnich paru kilometrach przed domem zwolnili.

Dom odgradzony był od drogi kutą z żelaza bramą. Hayley nie potrafiła powiedzieć, czy był to sposób Callahana na zazdrosne strzeżenie swojej prywatności, czy też pozostałość po paranoi Denise. Brama oznaczała jednak z pewnością, że znów zabrakło jej szczęścia i że nie odzyska go, jeśli nie wymyśli jakiejś metody na przedostanie się do środka, bo jej ciężkie skrzydła zamknęły się z łoskotem za ściganym.

Najlepsze rezultaty daje trzymanie się prawdy. Nie zawsze w to wierzyła, ale warto było spróbować.

Właśnie zamierzała skorzystać z interkomu, umieszczonego przy bramie, gdy żelazne wrota tajemniczo otworzyły się powtórnie. Nie zastanawiając się, dlaczego tak się stało, Hayley wjechała swoim wrakiem do środka i skręciła, żeby zatrzymać się na podjeździe niezbyt imponującego domu.

Oczekiwała dworku, w każdym razie czegoś więcej niż ten dom. Nie można było powiedzieć, że jest nieładny. Według normalnych standardów był to piękny dom, bez skazy. Ale znajdował się w Hollywood, którym i Denise, i John Callahan byli przesiąknięci. Zakupili tę posiadłość w okresie największego rozkwitu ich miłości, więc Hayley podejrzewała, że nie oszczędzali na wydatkach.

Z drugiej zaś strony sama wiele by dała, żeby mieszkać w takim spokojnym luksusie. Sądziła tylko, że Denise będzie miała, jakby to powiedzieć, gorszy gust.

Opanowała strach, który podchodził jej do gardła, chwyciła swoją kasetę wideo i pomaszerowała do frontowych drzwi. Prosiła o pomoc Tonję, ale nic z tego nie wyszło. Teraz musiała polegać na swoim męstwie, inteligencji i sprycie.

Dzwonek rozległ się w całym budynku, targając jej nerwami przy każdym odbiciu. Zatrzęsła się ze strachu i nagle przeniosła się pamięcią w lata młodości. Zaciskając zęby aż do bólu, odepchnęła od siebie te koszmarne myśli, odmawiając ich przyjęcia. Uciekła się też do swojej ulubionej sztuczki: wypełniła wyobraźnię obrazem górskiego strumienia, koncentrując się na spokoju, zupełnej ciszy i wrażeniu kojącego oderwania.

Drzwi otworzyły się gwałtownie i stanął w nich John Callahan, w koszuli wyciągniętej ze spodni, przyglądając jej się z góry.

Widok jego kształtnie umięśnionego ciała wytrącił Hayley z równowagi. Uśmiechnęła się głupawo.

- Tak? - zapytał, wyraźnie niechętnie. - Jak się tu pani dostała? O kurczę! To ja otworzyłem bramę.

- Jestem... Hayley Scott - powiedziała dobitnie, słysząc w uszach głośne uderzenia wystraszonego serca i krzyk nerwów.

- Spodziewałem się kogoś innego. Czego pani chce?

- Ja... ja...

- Słucham? - rzucił niecierpliwie, wyraźnie roztargniony.

- Jestem siostrą Denise.

To do niego dotarło. Skupionym wzrokiem omiół ją od stóp do głów. Uderzenia w jej głowie przekształciły się w głośny łomot. Nie mogła myśleć. Walczyła, próbowała nie dopuścić, by ten huk ogarnął ją całą. Mój Boże, pomyślała zdumiona. Zaraz zemdleję.

I natychmiast to zrobiła.

\*\*\*

Odzyskała przytomność niemal od razu, świadoma, że znajduje się w ramionach Callahana, wnoszącego ją do środka domu. Ściany i meble przemykały jej przed oczami, aż została położona na kanapie w salonie, otoczonym na górze galeryjką. Nad jej głową obracały się leniwie śmigła wentylatora.

John Callahan patrzył na nią z góry, a jego zimne niebieskie oczy pełne były przykrych pytań.

- Jesteś chora? - zapytał.

- Nie. - Udało jej się wydać żaloszny skrzek. Odchrząknęła i powiedziała jeszcze raz, głośniejszym głosem. - Nie.

- Pozwolisz, że ci coś przyniosę. Nie ruszaj się.

Nie ruszyła się. Nie mogła! Pomyślała, że za chwilę zamarźnie z zakłopotania i pozostanie w stanie trwałego zamrożenia. Nie tak wyobrażała sobie pierwsze spotkanie ze słynnym Johnem Callahanem.

Powrócił ze szklanką wody i kieliszkiem brandy i, kolejno podnosząc oba naczynia, rzucił jej pytające spojrzenie.

- Brandy - ze słabym uśmiechem zdecydowała Hayley.

- Mądry wybór.

Z trudem usiadła i upiła łyk piekącego napoju, krztusząc się troszkę. Niemal natychmiast poczuła, że kolory wracają na jej twarz, a razem z nimi duszące wrażenie przygnębiającego upokorzenia.

- W porządku, kim jesteś? - zapytał Callahan z większą cierpliwością, niż mogłaby się po nim spodziewać.

- Jestem Hayley Scott, siostra Denise.



- Moja była żona jest jedynaczką - zaripostował. - Nie ma żadnego rodzeństwa.

- To kłamstwo. Musisz wiedzieć, jak kłamie Denise. Nie może się powstrzymać. Pewnie już sama nie wie, jak wygląda prawda - dodała wielkodusznie Hayley.

Zmrużył oczy.

- Nie ma jej teraz tutaj. Nie wiem, gdzie jest.

Dostrzegła troskę w jego głosie, ale była zanadto pochłonięta własnym zdumieniem. Denise mieszkała z nim tutaj?

- A więc pragniesz odświeżyć wspomnienia dawnych czasów? - Był pełen ironii.

Tu kryła się szansa. Musiała tylko wyjąć swoją kasetę z torebki - która znajdowała się, co uświadomiła sobie z przykrością, gdzieś w pobliżu drzwi wejściowych - i oczarować go swoim talentem. Ale Callahan nie był w nastroju do oceniania jej zdolności aktorskich. Cały skoncentrował się na Denise.

- Mniej więcej - mruknęła.

- Powinna już być. - Spojrzał na zegarek, marszcząc brwi.

Do Hayley dotarło, że jeśli zabawi tu dłużej, spotka się oko w oko z siostrą. Nie brała dotychczas pod rozwagę takiej możliwości. Spotkać się z Denise osobiście?

Przetaczały się przez nią fale emocji. Nie widziały się od ucieczki z Wagon Wheel. Denise wtedy płakała, a Dinah potrząsała nią i potrząsała, zmuszając, aby wzięła się w garść.

Hayley przerwała, serce waliło jej tak mocno, że oszołomiona zamknęła oczy.

- Na pewno nie jesteś chora? - Jego głos zabrzmiał jak strzał z bata.

- Po prostu zmęczona. Nic dzisiaj nie jadłam i to są skutki. Kiedy... kiedy wróci Denise?

Pokręcił głową.

Naprawdę John nie był pewien. W domu roiło się od wiele mówiących śladów ucieczki. W pokoju Denise ubrania były porozrzucone, a w garażu brakowało poobijanego fiata. Pospieszna notatka w kuchni przypominała, żeby karmił Bobo. Ani słowa, gdzie pojechała i kiedy wróci. Być może po prostu wyjechała na parę godzin; z Denise wszystko było możliwe. Ale dom sprawiał wrażenie opuszczonego i pustego, niemal pogrążonego w żałobie. John czuł to dojmująco, boleśnie pod skórą.

I dlatego nie miał chęci zajmować się tą kopią Denise i jej kłamstwami, choćby były nie wiem jak zabawne.

Sprawiała wrażenie, jakby miała dużo do powiedzenia, ale coś zamykało jej usta. Innego dnia John mógłby mieć ochotę na rozwiązanie tej zagadki.

Ale nie dzisiaj.

Kolory powróciły jej na policzki. Oczy miała błyszczące, ciemniejsze niż Denise, ale tego samego kształtu i wielkości. Jej włosy nie były tak jasne. Może miały naturalną barwę, chociaż Denise także zdawała się ostatnio zagubić gdzieś butelkę z płynem rozjaśniającym. Gdyby nie był przekonany, że jest inaczej, mógłby uwierzyć, że są spokrewnione; niewątpliwie wyglądały bardzo podobnie.

- Podaj mi, jak się nazywasz i swój numer telefonu, powiem Denise, żeby zadzwoniła - powiedział rzeczowo.

- Nie mogłabym jeszcze trochę poczekać?

- Przekażę jej informację - usłyszała w odpowiedzi. Zagryzła górną wargę w sposób charakterystyczny dla

Denise, chociaż jego była żona za bardzo dbała o wygląd, żeby pozwalać sobie na nerwowe nawyki. Jednak coś do niego dotarło. Czego ona naprawdę chciała?

Ledwo myśl ta zaświtała mu w głowie, kiedy powiedziała.

- Jestem początkującą aktorką.

- O Boże.

To ją powstrzymało. W końcu nie była głupia.

- Domyślam się jednak, że nie chcesz o tym w tej chwili słuchać. Masz pióro?

Zabrał jedno z gabinetu, a kiedy wrócił, trzymała w rękach egzemplarz „Entertainment”. Na tylnej okładce nabazgrała swoje dane i podała mu magazyn.

- Dopilnuj, żeby Denise do mnie zadzwoniła - powiedziała. Rzucił okiem na jej nazwisko. Hayley Scott.

- Powiedz jej, że przez jakiś czas będę w mieście.

- Nie próbowałaś się z nią wcześniej spotkać?

- Jakoś straciłyśmy kontakt, panie Callahan.

Spojrzał na nią oczekująco. Zmarszczyła nos. Teraz to już zdecydowanie była Denise. Ta cała Hayley kopiowała jej ruchy tak dobrze, że było to aż niesamowite.

- A więc nadal wierzysz, że Denise jest jedynaczką? - spytała, wstając niepewnie na nogi. John automatycznie ruszył, aby jej pomóc, ale odskoczyła do tyłu.

- Naprawdę nie wiem - przyznał uczciwie.

- Zmuś ją, żeby ci powiedziała prawdę.

Udzielwszy tej rady, skierowała się do drzwi. Poszedł za nią i obserwował, jak wsiada do samochodu całą dekadę starszego niż fiat Denise.

- Gdzie jesteś? - wyszeptał John, gdy tylko tylne światła samochodu Hayley zniknęły za zakrętem. Otworzył bramę w momencie, kiedy stwierdził, że Denise nie ma w domu. Teraz, przy zapadającym zmroku, wcisnął guzik zatraskujący wrota z kutego żelaza.

Dwie godziny później, gdy siedział w swoim gabinecie i zamyślony coś gryzmołił, nagle zabrzączał telefon.

- Callahan - rzucił.

- John? To ty?

Włosy zjeżyły mu się na karku. Denise. Niewątpliwie bełkotała. Wspomnienia spiętrzyły się, jedno za drugim. Paskudne wspomnienia czasów, kiedy była naćpana, pijana i ogólnie biorąc, nie była sobą. Jego wściekłość nie miała granic. Oszukała go! Uwierzył jej, a ona jeszcze raz zrobiła z niego głupca!

- Gdzie jesteś? - warknął.

- Nie bądź zły...

- Na litość Boską, Denise, po prostu nie potrafisz się nie ześwinić.

- Przepraszam, przepraszam. - Zaczęła płakać. A przynajmniej tak to brzmiało. Denise nigdy nie okazywała prawdziwych uczuć, z całą pewnością udawała. - Nie bądź wściekły. Kocham cię i chcę wrócić do domu.

- Powinnaś była pomyśleć o tym przed odejściem.

- Nie, John. Nie...

Jakaś kłótnia po drugiej stronie kabla. Przekleństwa. A potem męski głos zapytał - Kto to jest, do cholery?

Chciał cisnąć słuchawkę. Już zdecydował, by to zrobić, ale nie był w stanie. Jego uczucia były zbyt skomplikowane i delikatne. - A kim pan jest? - zapytał w odpowiedzi.

Trzask! Mężczyzna na drugim końcu tak mocno grzmotnął słuchawką, że Johna zabolalo ucho. Z zimną wściekłością John zacisnął palce na telefonie z taką siłą, że aż zadrżały mu ręce.

Powoli odłożył słuchawkę na widełki. Ta suka znowu zrobiła to samo. Skradła mu serce, a potem odeszła. Kochała się z nim namiętnie, a potem prysnęła z pierwszą lepszą ohydłą kreaturą, jaką mogła znaleźć. Kara dla niej albo dla niego. Nie wiedział.

Ale to się stało po raz ostatni. Absolutnie ostatni.

Nie będzie miała prawa wstępu do tego domu - do jego przeklętego życia! - nigdy więcej.

\*\*\*

Zamglonymi przez narkotyki oczami Denise patrzyła, jak Ian ciska telefon. Chwilę później znowu podniósł słuchawkę. Bach! Bach! Poczowała wybuch bólu w głowie. Obraz ściemniał. Coś gorącego i lepkiego kleiło jej się do rzęs. Strużki krwi. Kiedy je przetarła, spojrzała na poplamione na czerwono ręce. Zszokowana, odwróciła je dłońmi do góry i wachała słodkawy zapach krwi, przypominając sobie ciepłe, lepkie wrażenie.

Deja vu...

- Zadzwoń do niego jeszcze raz, a będziesz trupem - wysyczał Ian prosto w jej ucho, potrząsając nią.

Denise nie odpowiedziała. Czekała, aż szalony oddech Iana uspokoi się. Sekundy wydawały się godzinami, gdy tak stała zupełnie bez ruchu. Sztywna. Wierząc niezachwianie, że jeśli się nie poruszy, być może zostawi ją w spokoju. W końcu opuścił pokój, zamykając go od zewnątrz na klucz.

Jak to się stało? W jednej chwili była u Carolyn Lenton, w następnej zaś już w środku tego koszmaru, Ian wydawał się jej biletem na wyplątanie się z kłopotów, zamiast tego wpłynęła w piekielny wir.

Z wysiłkiem dowlokła się do łazienki, żeby się umyć. Na swój widok nie wiedziała, czy ma się śmiać czy płakać. Bydlak rąbnął ją tak mocno słuchawką w głowę, że aż rozciął skórę. Mnóstwo krwi. Ogromne mnóstwo krwi. Jednak po dokładniejszym obejrzeniu okazało się, że skaleczenie wcale nie było poważne.

- Zabiję go - powiedziała cicho do żalostnej postaci, patrzącej na nią w lustrze. Ta myśl była kojąca. Tak jak wtedy, gdy postanowiła zabić swojego ojczyma.

Krzywiąc się, Denise zmyła z siebie krew. Thomas Daniels nie żył. Ale nie ona go zabiła. Zamierzała to zrobić. Bóg jeden wie, jak bardzo tego chciała! Ale wtedy coś się stało i już nie musiała.

Gdyby tylko wiedziała, co się wówczas wydarzyło. Grzebiąc w podświadomości ostrożnie przeglądała okruchy pamięci, które lepiej było pozostawić nietknięte. Paskudne przeczucie opanowało każdy skrawek jej ciała.

- Może to ja go zabiłam - stwierdziła głośno.

I może dlatego zabicie Iana wydawało się słuszne.

Tymczasem mężczyzna, o którym myślała, siedział na dole przy barku, paląc papierosa i obserwując swoją służącą Linę, ospale krążącą po salonie, ostentacyjnie sprzątającą i ścierającą kurze. Stanowiła jego własność od momentu, kiedy została przyłapana na kradzieży u jego przyjaciela - snoba i okazała się persona non grata w najlepszych domach Beverly Hills.

Oczywiście protestowała, że jest niewinna. Odpowiedzialnym za kradzież miał być czyściciel basenu, Juan Miguel. Ian zapewnił, że jej wierzy, sam ją wynajął i zachowywał się, jakby był jej najlepszym przyjacielem i opiekunem. Ale wiedział, że i jego okradała.

Miała synka, Paola, który mieszkał z dziadkami w Kolumbii. Lina chciała zbierać tyle pieniędzy, żeby móc sprowadzić Paola do Los Angeles. Jej mąż, pasożyt, który przepił całe jej oszczędności, nawet nie wchodził w rachubę. Lina uciekła od niego do ziemi obiecanej, aby mieszkać z przyjaciółmi, również mającymi chrapkę na znaczną część jej zarobków.

I wtedy oskarżenie o kradzież. Pojawia się Ian Wallace z propozycją pieniędzy i ochrony.

Tak. Teraz był jej właścicielem.

Pierwszego dnia swojego zatrudnienia pracowała do późnej nocy. Zaproponował jej drinka i wypytywał o jej życie w Kolumbii. Odmówiła drinka, ale z wolna się rozgrzewała. Bardzo powoli. Kilka miesięcy zajęło zburzenie jej linii obronnych, ale gdy pewnego razu przejechał dłońmi po jej krzepkich pośladkach, nie powiedziała nie. Zaakceptowała go ze stoickim spokojem, tylko jej ciemne oczy błyszczały pełne powstrzymywanych uczuć, co jednocześnie bawiło go i rozpalało.

Nie protestowała, kiedy jego palce pełzły w górę jej nogi. Po raz pierwszy posiadł ją, kiedy pochyłona myła marmurową posadzkę w przedpokoju. Widok kołyszących się pośladków i jej poddańcza pozycja podnieciły go. Podwinąwszy do góry spódnicę, trzęsącymi się palcami ściągnął jej majtki i szczytował tak szybko, że ledwo zdołał w nią wtargnąć, już było po wszystkim.

Pierwsze zbliżenie i nic nie powiedziała, Ian był w siódmym niebie. Lubił seks, zwłaszcza kiedy dominował. Gdy miał jedenaście lat, kochanka bogatego tatusia wprowadziła go w świat marihuany i wzajemnej masturbacji. Chciał się z nią kochać, ale ona dręczyła go i drażniła, odmawiając mu podstawowego aktu. Czy było więc jego winą, że zwrócił się z tym do Heather Newberger?

Co za cyrk. Ian uśmiechnął się leciutko, popijając cour-voisiera, a w pamięci ożywały tamte młode lata. Naturalnie jego bogaty, purytański ojciec zatuszował całą sprawę. A Newbergerowie zarobili na tym, nie ma co do tego wątpliwości. Cenę dziewictwa Heather Newberger? Ba, dużo więcej pieniędzy, niż było ono warte, na Boga. Wrzeszczała i płakała, stała się prawdziwym utrapieniem.

A te oskarżenia! Można by pomyśleć, że zgwałcił Matkę Teresę. Powiedział im, że sama tego chciała. Opowiedział wszystko jasno, ale nie chcieli go słuchać. Posłali do szkoły dla chłopców. Czas płynął. Nuda. Ian doszedł do wniosku, że kobiety są potrzebne na świecie tylko po to, by dawać mężczyznom rozkosz i możliwość dominacji. Znalazł sobie przyjaciela, który sądził podobnie, razem więc wymknęli się ze szkoły i spotkali parę dziewczyn, tak samo chętnych, jak oni. A potem jedna z nich utrzymywała, że jest w ciąży. Więcej pieniędzy dla uciszenia sprawy.



I tak się działo, dopóki drogiego, starego ojczulka nie zdmuchnął rak płuc. Przez pewien czas mamusia trzymała ręce na kasie, ale Ian sprawił, że dowiedziała się, kto ma prawo do pieniędzy. Tak długo straszył ją, groził i zamieniał w piekło każdy dzień życia, aż pewnego dnia po prostu poddała się, podpisała wszystko i zasyłała się w jakiejś kryjówce, jak żaloszny mały robak, którym była w istocie.

Dorośle życie było mniej interesujące. Za dużo zbyt chętnych kobiet. Żadnego wyzwania. Nic szokującego. Nic pobudzającego starą krew do krążenia, nic wywołującego twardnienie i pulsowanie penisa.

Na tym polegał problem, pomyślał cierpko Ian. Jego biedny członek po prostu nie lubił tych wszystkich ochocznych kobiet, trzymających jedną rękę na jego rozporku, a drugą wyciągających mu portfel. Musiał wyruszyć na poszukiwanie trudniejszego kąska i, co za pech, stale jeszcze płacił temu głupawemu robotowi, który narobił tyle smrodu w San Diego.

Słodka mała Jenny o czerwonych, czerwonych ustach sama się o to prosiła. Liząc lody w rożku, ubrana w sukienkę w drobne kropki, spod której wystawały chude nogi. Małe białe skarpetki i buciki. No tak, może była troszkę za młoda, ale była więcej niż chętna, żeby za pięć dolców ściągnąć z siebie ubranie. Jenny się nie skarżyła, nie, proszę pana, to jej ojciec, plujący ogniem i opowiadający niemiłe rzeczy na temat wezwania policji. Nie wystarczyła piątka, jak dla Jenny, żeby załagodzić sprawę, ale w końcu wszystko jakoś udało się załatwić.

Był bliski zanudzenia się na śmierć, kiedy natknął się na Linę. Ostatnich parę lat upłynęło w błogości. Żadnych problemów. Aż do chwili, gdy pewnego dnia spojrzął na Linę i nie spodobał mu się jej zgryz. I jej palce, takie grube.

Wyruszył więc na poszukiwania bardziej stylowego kąska. Czuł zdecydowany wstręt do Carolyn Lenton. Chciwa, pozbawiona zasad, hałaśliwa. Z początku odmówił jej zaproszeniu na dekadencjonalne imprezy do Houston. Wolał coś bliżej domu. Ale wtedy Carolyn wspomniała, że jednym z jej gości jest Denise Scott Callahan, która zawsze podniecała Iana.

Ian wyruszył w swój pierwszy lot. Dodatkowa słodka podnieca. Denise należała do Johna Callahana, a Ian tak dużo wiedział o tym draniu, że chciał dopaść jego byłą żonę. Callahan był jednym z tych świętoszkowatych głupków, patrzących z góry na cały świat, zwłaszcza zaś na jego przedstawicieli, mających trochę grosza. A przecież sam Callahan w czepku się urodził. O, tak! Sampson Callahan bogato wyposażył swojego oziębłego, niezależnego synalka.

Jakie więc miał prawo, żeby zachowywać się jak ktoś lepszy? Ponadto Iana denerwował sposób, w jaki kobiety reagowały na Johna. Reputacja Callahana jako kobieciarza powinna była je odstręczać - kobiety uwielbiały zabawę w rodzaju „nie możesz mnie złapać” - ale zamiast tego przyciągał je jak pieniądze.

Lecz Denise Scott urwała się ze smyczy. Nie była już prywatną maskotką Johna Callahana. I Ian Wallace nie mógł się doczekać, żeby oferować jej to, na co zasługiwała.

To było takie łatwe. Wystarczył jeden masturbujący się kretynek o imieniu Peter, by Denise znalazła się w rękach Iana, miękka jak z wosku. Chciała się uwolnić. On był jej przepustką. Wyjechali razem i reszta była już przeszłością.

Jednak w przeciwieństwie do Liny, Denise miała w sobie jakąś siłę. Nie ufał jej. Była zbyt niestała i uderzająco cięta, kiedy nie znajdowała się

pod wpływem narkotyków. Uciekanie się do prochów denerwowało Iana: wołałby, żeby była przytomna. Ale postępowała zanadto nieprzewidywalnie, no i ten męczący zwyczaj sięgania po słuchawkę telefoniczną musiał się wreszcie skończyć.

Boże, ależ to świetne! Dzisiaj rzeczywiście zadzwoniła do Callahana!

Na wspomnienie wściekłego głosu Callahana przebiegł go dreszcz podniecenia. Może powinien nakręcić film wideo, na którym pieprzyłby się z Denise i posłać Callahanowi kopię.

Pomysł miał swoje zalety, tylko że Ian nie miał zamiaru się w nic wplątywać. Szkoda. Cudownie byłoby sparaliżować Johna Gównianogłowego Callahana.

Może pójdzie do Denise i da jej poznać inny smak starego Wallace'a. Ostatnio stracił jakby trochę zainteresowanie, gdyby jednak wyobraził sobie, że przygląda im się Callahan...

Usłyszał ciężkie kroki Liny za ścianą. Obracając kieliszek z brandy Ian przysłuchiwał się jej ruchom. Wchodziła do jadalni.

Był zadowolony, że grzmotnął Denise telefonem. Ale dopiero mgliste spojrzenie jej oczu, ten brak zainteresowania - dopiero to naprawdę go zirytowało. Pragnął ujrzeć strach, jakąś prawdziwą emocję. Może przestanie jej podawać narkotyki i zmusi do prawdziwej, żywiołowej walki na śmierć i życie! Tylko że Denise była silna; nie udałoby mu się wyjść z takich zmagania bez szwanku.

Czy było warto?

Ian poczuł cytrynowy zapach olejku, który Lina wcierała w blat stołu. Zsunął się ze stołka i stanął w drzwiach, obserwując jak metodycznie tarła i tarła, aż do połysku.

Była świadoma jego obecności; zauważył lekkie, wymowne zeszywnienie ciała, chociaż próbowała je ukryć. Odkąd pojawiła się Denise, pozostawił ją w spokoju, ale w tej chwili, gdy śledził oczami każdy jej ruch, czuł się przyjemnie napalony.

Zajmie się Denise za chwilę, ale teraz, cóż...

Lina miała na sobie czarne spodnie i czarną bluzę. Jej piersi były ładne i duże, ale nie przerażająco krowiaste, jak te, za którymi szaleją niektórzy mężczyźni, Ian był koneserem. Lubił, by były duże, ale nie jak monstrualne worki. Jej pośladki były odrobinę za szerokie, ale dzięki temu miłe i miękkie w dotyku.

Podszedł bliżej. Przestała polerować. Dosłyszał, jak wstrzymała oddech.

- Nie przerywaj - popędził ją.

Po chwili wahania powróciła do swojej pracy. Pochylając się nad nią, chwycił jedną z tych dużych sutek i ścisnął. A ona tarła i tarła.

Przesunąwszy się za nią, rozpoczął swoje małe pocieranie. Zamknął oczy i uśmiechnął się, sięgając do suwaka jej spodni. Poczciwa, stara Lina.

- Lubisz to? - szepnął jej w ucho, grzebiąc przy swoich spodniach.

Nie odpowiedziała. Cicha. Posłuszna. Lina, dobra.

Wolała jego niż Denise.

Doskonała.

Siedząc w samochodzie zaparkowanym pod domem Hayley, Connor przetrząsał kieszenie w poszukiwaniu owiniętego w celofanową folię miętowego cukierka, który dostał razem z ciasteczkiem szczęścia w chińskiej restauracji Wu, gdzie jadł obiad. Ssąc cukierek rozważał różne możliwości. Mógł znowu skontaktować się z Denise. Powinien się z nią skontaktować, choćby tylko po to, żeby się przekonać, że jeszcze jakoś się trzyma. Z przyjemnością poradziłby jej opuszczenie Wallace'a - i może to zrobi - chociaż pewnie będzie to próżny wysiłek.

Był także inny trop: doktor Hayden Stone. Choć Carolyn Lenton tłumaczyła, że doktor Stone przestał już być psychiatrą Denise, istniała możliwość, że Denise nadal się go trzymała. A nawet jeśli nie, to i tak doktor Stone zapewne wiedział więcej niż ktokolwiek inny o jej psychice. I chociaż Connor był doskonale świadom istnienia „zaufania” między pacjentem i lekarzem, znał metody dowiadywania się różnych rzeczy bez wymuszania faktycznej spowiedzi. W gruncie rzeczy niektórzy lekarze ledwo mogli się przed tym powstrzymać. W opinii Connora, psychiatrzy stanowili bandę starych plotkarzy, po prostu szczęśliwych, gdy jako pierwsi dowiadywali się o jakichś brudach.

Tak więc to był następny punkt planu Connora. Teraz zaś chciał znów spotkać się z Hayley. Była taka skupiona, taka zimna i taka ukierunkowana w swoich pragnieniach. Nie była jednak otoczona strażnikami, jak Ian Wallace, a Denise nie przekazała mu adresu Dinah, więc Hayley stanowiła jego największą szansę.

Connor połknął ostatni kawałek miętówki i rozparł się wygodnie na siedzeniu. Wieczorny cień rzucany przez palmę o poszarpanym wyglądzie, rosnącą przed budynkiem Hayley, wymalował pasy na masce jego samochodu. Pomyślał o porzuceniu całej sprawy i przeniesieniu się do Wagon Wheel. Podobnie jak jego siostra dostrzegwał, że to poszukiwanie prawdy bardziej zrani niż pomoże. Ale, do diabła ciężkiego, on chciał wiedzieć!

Na parkingu zniszczony model chevroleta strzelił z rury wydechowej i wysiadła z niego Hayley Scott. Nie zawracała sobie głowy zamykaniem drzwi pojazdu na klucz. Connor obserwował jej szczupłe nogi, kiedy wspinała się po zewnętrznych schodach ku swemu apartamentowi. Było w niej coś z „zagubionej małej dziewczynki”, co go uderzyło. Denise była otwarcie dzika, pogrążona w wirach emocjonalnych, Hayley tymczasem prezentowała bardziej zrównoważone, choć podobne cechy charakteru.

Ciekawiło go, jaka okaże się Dinah.

Wysiadłszy z wozu ruszył za nią wolniejszym krokiem

I stracił ją z oczu, zanim pokonał najwyższy schodek. Hayley Scott poruszała się z podwójną prędkością, pełna zdecydowania.

Zapukał głośno do jej drzwi, lekko rozbawiony odgłosem drepczących szybko, ptasich kroczków. Uchyliła drzwi na długość łańcucha i zerknęła na zewnątrz.

- Ach, cześć - powiedziała, krzywiąc się. - Po prostu byłeś gdzieś w pobliżu, czy też zamierzasz jeszcze troszkę mnie pomęczyć?

- Być może jedno i drugie po troszku.

- Szczerść jest twoją najgorszą cechą - powiedziała mu, zdejmując łańcuch.

- Koniec z włóczęństwem się po ulicach?

- Tak. - Absolutnie ostatecznie. Dyskusja zamknięta.

- Czekam właśnie, żeby jakiś ważny facet obejrzał moją taśmę - wyjawiała. Kiedy Connor wszedł do mieszkania, zdeglustowana spojrzała na kasetę wideo, bezceremonialnie ciśniętą na kanapę. - Wzięłam ją dzisiaj do niego, ale wydarzenia nie potoczyły się tak, jak oczekiwałam.

- Nie spodobała mu się?

- Wcale jej nie widział. - Patrzyła w bok. - To skomplikowane.

- Mam czas.

Hayley wzruszyła ramionami.

- Ja też. Spóźniłam się do pracy i mój stary koleś, Jason, wyrzucił mnie.

Z jakiegoś powodu Connor uznał, że to zabawne. Wyszczrzył zęby, zdumiony tym, jak bardzo dawno się nie śmiał.

- Co z tobą? - spytała podejrzliwie Hayley.

- Chodź, zabiorę cię na kolację.

- Kto płaci?

- Ja.

- Czy powstrzymasz się z psychoanalizą, dopóki nie skończę jeść?

Podniósł do góry palce, w tradycyjnym geście skautowskiego przyrzeczenia.

Z westchnieniem skapitulowała.

- W porządku. Ale tylko dlatego, że jestem splukana i głodna.

- Nie pozwolę, żeby mi to uderzyło do głowy.

- Poważnie. Nie ma w tym nic więcej - stwierdziła zawzięcie.

- Posłusznie zanotowałem twoją opinię o płci męskiej. W zamian obdarzony został twardym spojrzeniem, które w dziwaczny sposób znowu skłoniło go do wyszczerzenia zębów w uśmiechu.

Hayley wyskrobała ostatnią łyżeczkę kremu migdałowego i z zadowoloną miną wygodnie rozparła się na krześle. Connor bawił się szklaneczką z wodą, rozsmarowując okrągłe, mokre ślady po błyszczącym, czarnym nakryciu stołu w Immediate Gratification Cafe.

- Może dostanę tutaj pracę - powiedziała Hayley, unosząc ręce nad głowę. - To niezłe miejsce, żeby z niego wylecieć.

- Co się stanie, jeśli nie spełni się twoje marzenie o aktorstwie?

- Och, spełni się. Dopilnuję tego.

Nie wiedział, czy ma być poruszony, czy też zaalarmowany tym opętaniem jednym celem.

- Jesteś gotowa, żeby porozmawiać?

- Nie mam ci nic więcej do powiedzenia, ale strzelaj, proszę.

- Chodźmy się przejść.

Wyszli na zewnątrz, na zatłoczoną ulicę. Kawiarnia położona była naprzeciwko modnego ciągu handlowego i Hayley, chociaż poniosła porażkę z Callahanem i straciła pracę w barze, czuła się przyjemnie beztroska.

Wiedziała, dlaczego - chociaż to głupie, powodem był Connor Jackley. Towarzystwo mężczyzny, któremu mogła zaufać było dla Hayley zupełnie nowym doświadczeniem. Chciał od niej jedynie informacji. I choć nie były to informacje, które gotowa była mu przekazać, miło było wiedzieć, na czym się stoi. Żadnych obłapiających rąk, brudnych myśli, dwuznacznych propozycji. Facet był Panem Porządnym o ciemnych włosach i przystojnym



wyglądzie - mocna kombinacja dla kobiety, której na tym zależało - a którą ona, oczywiście, nie była.

- Kiedy więc zamierzasz rozpocząć przesłuchanie trzeciego stopnia, Jack?

Wzruszył ramionami. - Chciałbym porozmawiać z twoją siostrą, kiedy nie jest pod wpływem Iana Wallace'a.

- Och, Denise już się z nim rozstała.

- Naprawdę? - Connor był zaskoczony.

- Yhm. Jej były małżonek czekał na nią w ich domu w Malibu. Powiedział, że skłoni Denise do zatelefonowania do mnie.

Nie wyglądał na przekonanego.

- Cóż, sądzę że może prowadzić coś w rodzaju podwójnego życia, co, znając Denise, też należałoby wziąć pod uwagę. Ale pan Callahan zachowywał się tak, jakby od jakiegoś czasu już tam mieszkała.

- A co z twoją drugą siostrą?

- Dinah? - Hayley wzruszyła ramionami. - Dinah sama dba o siebie. Nie trzeba się o nią martwić.

- Gdzie teraz jest?

- Nie mam pojęcia.

- Denise obiecała, że mnie z nią skontaktuje, ale jak dotychczas, nici z tego. Myślałem, że może ty będziesz mogła pomóc.

- Przykro mi.

Wzruszył ramionami, jakby nie do końca jej wierzył. Och, pewnie, mogła mu powiedzieć, że Dinah była gdzieś w Nowym Meksyku i pisała dla jakiejś gazety, ale wówczas skontaktowałyby się z nią i jeszcze bardziej rozgrzebał to gniazdo szerszeni.

Lepiej trzymać Dinah z dala od tego wszystkiego.

- Opowiedz mi o niej - powiedział.

- O Dinah?

Zatrzymali się przy samochodzie. Connor otworzył drzwi i wyciągnął rękę, żeby pomóc jej wsiąść. Hayley wpatrywała się w nią przez chwilę, leciutko zadrżała i wsiadła do samochodu nie korzystając z pomocy. Kiedy wsiadał z drugiej strony, patrzyła w okno.

- Nienawidzę cofać się myślami w przeszłość - wyznała ostrożnie.

- Z powodu Daniela?

- Och... Tak - skrzywiła się. - Sprawiał, że czułyśmy się nieprzyjemnie.

Zwłaszcza Denise. Miała tego swojego chłopaka i myślę, że staruszek był zazdrosny. Dużo na nią wrzeszczał. Uciekała, żeby być z Jimmym, a kiedy wracała, on krzyczał, krzyczał i krzyczał! - Potrząsnęła ramionami, przywołując na twarz słaby uśmiech. - Masz obraz sytuacji.

- A co z Dinah?

- Dinah była opanowana. - Hayley zmusiła się, żeby mówić. Bezpieczniej będzie, jeśli to ona opowie mu całą historię. Znacznie bezpieczniej, niż gdyby to zrobiła Dinah czy Denise. - Dinah jest sprytna. Wystarczyło kilka odpowiednich słów we właściwym momencie, żeby wpadł w złość! Tak bardzo jej zazdrościłam. Nienawidził jej.

- Wasz ojczym - uściślił.

Hayley skinęła głową. - A to z kolei skłaniało do działania Denise. Zaczynała mówić z sarkazmem, a on ryczał, wrzeszczał i szalał. W pewnym sensie było to nawet zabawne.

- Zaczęła nerwowo grzebać w torebce w poszukiwaniu miętówki. Gdzie się podziały te cholerne cukierki? - Do diabła! - mruknęła, ciskając torebkę na podłogę.

- A ty?

- Co ja, doktorze Freudzie? - zapytała. - Ja po prostu chciałam, żeby to wszystko się skończyło, jasne? I wreszcie się skończyło.

- Jak się skończyło?

- Wyjechałyśmy. Zwyczajnie, spakowałyśmy się i zwiałyśmy do Dodge. Dinah uparła się, żebym skończyła szkołę średnią i to już koniec tej opowieści.

- Wyjechałyście wszystkie razem.

- Tak, ale dość szybko się rozstałyśmy. Dinah miała gdzie się podziąć i związała się z Glenem Bosworthem - skrzywiła się z niesmakiem. - A Denise spotkała faceta, który był aktorem, potem dostała rolę i nagle wiele zaczęło się dziać w jej życiu.

Szare oczy Connora pochwyliły jej wzrok. Nie podobało jej się to, co w nich wyczytała. Poczowała się dziwnie zalękniona.

- A co z tobą? - zapytał spokojnie.

- Włóczyłam się tu i tam, biorąc lekcje aktorstwa i czekając na uśmiech losu. Uśmiechnął się do mojej siostry, więc doszłam do wniosku, że może także uśmiechnąć się do mnie.

Nie od razu odpowiedział i Hayley zaczynała już przechodzić na pozycje obronne. - Popatrz, nie wiedziałam, że nie żyje, dobra, ale uwierz mi, że to nie taka wielka strata dla świata. On był szumowiną.

- Ktoś go zamordował. Śledztwo nie zostanie przerwane.

- A dlaczego nie, do diabła? - zapytała Hayley. - Czy nie można znaleźć nic lepszego do roboty niż ryć w tych bzdurach! - Ze złością wypuściła powietrze i odgarnęła do tyłu włosy. Wewnątrz czuła ból i niepokój, chciała odejść od niewygodnego tematu i wrócić do rozmowy o naprawdę ważnych rzeczach w jej życiu. Ale Connor Jackley wyraźnie nie był zainteresowany współczesną Hayley Scott. Mogłaby godzinami paplać o swoich nadziejach i marzeniach, gdyby tylko chciał słuchać, ale nie, nie. Jedynie przeszłość go zajmowała. Jej przeszłość. I jakąś częścią siebie nie cierpiała go za to.

- Ktokolwiek zabił mojego ojczyma, na pewno nie mógł już więcej znieść. On miał dar zamieniania wszystkiego w gówno. Denise nazywała to „Dotyk Sadima” - wspaniałe od Midasa. Ja go unikałam.

- Czy cię wykorzystał?

- Nie. - Odpowiedź padła bardzo szybko. - Ale nie dlatego, że nie próbował - przyznała po chwili.

- A co z twoimi siostrami?

- Denise uczepiła się swojego chłopaka. Dinah zostawała w szkole. A ja trzymałam się z daleka.

Connor podjechał pod jej dom i zgasił silnik. Odwrócił się, żeby móc ją lepiej widzieć i zarzucił ramię za oparcie siedzenia. Hayley cała skuliła się w środku, chociaż fizycznie ani drgnęła.

- Były plotki, że opuszczając Wagon Wheel Denise była w ciąży. Jimmy Fargo, aktualnie mieszkający w Seattle, powiedział, że miała skrobankę.

Hayley mocno zacisnęła zęby. Niechętnie wyrzuciła z siebie prawdę.

- Straciła dziecko.

- Poronienie? - zapytał.

- Co to ma za znaczenie? - odwarknęła, naprawdę wyprowadzona z równowagi. Tego już za wiele!

- Sądzę, że Daniels ją skrzywdził. Nie wiem nic o tobie i Dinah, ale wierzę, że Denise była wykorzystywana fizycznie, prawdopodobnie seksualnie. Jeśli dowiedział się, że była w ciąży, co mógł zrobić? Pobić ją?

Hayley wzdrygała się na każde słowo. Connor ją obserwował, zachowując kamienny wyraz twarzy, jednak współczuł jej aż do bólu. Przez jej twarz przebiegały różne emocje. Emocje, którym zaprzeczała, a które jednak istniały. Głęboko pod powierzchnią. Dostępne tylko wtedy, gdy wyciągnął je szpadlem brutalnej prawdy.

- Nienawidzę tej rozmowy - powiedziała. - Chcę, żebyś sobie poszedł i już nigdy nie wracał.

- Czy dasz mi adres Dinah?

- Nie.

- Mogę go dostać od Denise. To tylko kwestia czasu.

- Nie obchodzi mnie, co zrobisz.

- Ochroniasz ją?

- Zdawało mi się, że cię lubię - powiedziała Hayley lodowatym tonem.

- Pomyliłam się. Nie zamierzasz z tym skończyć, prawda?

- Nie. - Po chwili dodał łagodniej. - Nie mogę. Apetyt Connora na znalezienie odpowiedzi zaostrzył się.

Był zdecydowany dotrzeć do sedna tej tajemnicy, za wszelką cenę, chociaż wiedział, że cena ta będzie wysoka.

Kiedy zerknął na Hayley, poczuł przez chwilę głęboki żal. Z profilu była niesamowicie podobna do Denise. Jaka okaże się Dinah? Siostra, której dotychczas nie spotkał.

- Dobranoc, Jack - powiedziała z westchnieniem Hayley, wysiadając z samochodu. - Współpracowaliśmy, ale to się skończyło.

Odeszła, mniej zdecydowana niż poprzednio, nie tak szybka i pewna siebie. Wyłaniała się nowa Hayley. Dzięki jego ciągłym pytaniom?

Pragnął wiedzieć, czy pomagał jej, czy przeszkadzał, chociaż to i tak nie miało żadnego znaczenia. Chciał poznać prawdę i w pogoni za nią gotów był zapłacić najwyższą cenę.

\*\*\*

Pokój redakcyjny nie zmienił się nawet na jotę od czasu, kiedy wyjechała. Ten sam zygzak między przepierzeniami, ten sam bałagan, ten sam hałas. Dinah zatrzymała się w drzwiach dziwnie poruszona i zaczęła się zastanawiać, czy Kate Patton, razem z redagowaną kolumną, zabrała także jej biurko.

Pomaszerowała w stronę biura Flicka, znajdującego się w przeszklonej wnęce. Jednak Flicka tam nie było, chociaż na wpół wypalone cygaro, nadal jeszcze tłące się w koszu na odpadki świadczyło, że przebywał w pobliżu.

Weszła do środka i usiadła na jednym z niewygodnych krzesełek koło ohydneho kosza na śmieci. Czowała się cała zmęczona, nieprzyjemne myśli wywoływały wręcz fizyczny ból. Dinah Scott nie była przecież głupia, a jednak przez własną głupotę znalazła się w tym kłopotliwym położeniu.

Przynajmniej zwykle nie była głupia.

Z jękiem przetarła rękami twarz, próbując odegnąć obraz Johna Callahana. Tymczasem każdy haust powietrza przypominał jego zapach.

Zdawał się przenikać w głąb jej własnego ciała i chociaż przyznawała się do tego z niechęcią, była na najlepszej drodze, by zakochać się w tym draniu.

Tyle że nie był draniem. Ona, Dinah Scott, nie zakochałaby się w kimś tak egoistycznym, podłym i zimnym, za jakiego uchodził John Callahan. Mądrzej by zrobiła, gdyby nie słuchała Denise. Czy jej siostra miała kiedykolwiek słuszość?

- A niech to diabli - mruknęła, kiedy drzwi otworzyły się gwałtownie i Flick wtaszczył do środka swe ogromne cielsko.

Na widok swojej błędzącej reporterki nie drgnęła mu nawet powieka. - Czego chcesz? - warknął zza nieodzownego, cuchnącego cygara, gdy przeciskał się za biurko i padał na krzesło. Siedzenie aż zatrzeszczało - w agonalnym krzyku? Chyba jednak nie, bo krzesło wytrzymało, przynajmniej jeszcze tym razem.

- Chcę dostać moją pracę, podwyżkę i przedłużenie zatrudnienia.

Głośno odchrząknął.

- Mój pobyt w Kalifornii w niczym cię nie krzywdzi. Po prostu jesteś zły, że nie możesz zaglądać mi przez ramię.

- Ładna postawa.

- Nauczyłam się od mistrza - odpowiedziała słodko Dinah.

- Nic nie dostaniesz. Jesteś zwolniona i nie potrzeba mi tutaj żadnych łez.

Dinah wiedziała, że Flick blefuje. Była pewna swojej pracy, zresztą pisywała do wystarczającej liczby gazet, by robić dalszą karierę z albo i bez „Santa Fe Review”.

- Chcesz, żebym się na stałe przeniosła do Los Angeles? Rzucił jej spojrzenie spod oka.

- A to co ma znaczyć, do diabła?

- Powoli się aklimatyzuję. Nieco więcej smogu. Trochę większy ruch. - Wzruszyła ramionami w geście akceptacji. - I jeszcze kilka katastrof żywiołowych, ale to ogromny obszar. Rozmawiałam w kilku lokalnych gazetach, a nawet w „Timesie”. Nie jestem nieznana, Flick.

To było bezwstydnie kłamstwo. To prawda, pisywała jakieś drobiazgi do gazet. Ale pisma, które korzystały z jej artykułów, nie należały do najbardziej znanych.

Flick przyjrzał się jej, wykrzywił twarz i powoli przesunął cygaro z jednego kącika ust w drugi. Wydmuchnął dym, wypełniając pokój błękitnym obłokiem i obrzydliwą wonią.

- Nikt cię nie zna.

- Możemy dyskutować tygodniami. Mam pracę czy nie?

- Masz pracę, jeśli zostaniesz tutaj. Żadnej podwyżki.

- Mam zaczęte sprawy w Los Angeles.

- Gównu. - Zrobił groźną minę.

- Powinnam wrócić na dobre za parę tygodni.

Przez długą chwilę mierzyli się wzrokiem. W końcu ciszę przerwał Flick.

- Co się z tobą dzieje?

- O co ci chodzi?

- Zmieniłaś się. Nie jesteś taka cięta. Jakby roztargniona.

- Bardzo ci dziękuję.

W oczach Flicka pojawił się cień uśmiechu. Wyjął z ust obślinione cygaro, zgniótł je w najbliższej popielniczce, a potem cisnął niedopałek w stronę kosza. Trafił w kant i niedopałek upadł na podłogę.



Pierwszy raz w życiu Dinah zobaczyła, że nie trafił.

Skrzywiony, mruknął: - Dwa tygodnie! Po tym terminie nie próbuj nigdy więcej tu się pokazać.

- Jesteś słodki. - Dinah roześmiała się i szybko się wycofała, żeby nie zdążył zmienić zdania.

Była już prawie przy wyjściu, kiedy przypomniała sobie o okularach. Pospiesznie podeszła do swojego biurka, przy którym napotkała młodą - bardzo młodą - kobietę o zaciśniętych wargach i bezczelnym spojrzeniu.

- Kate Patton? - zapytała Dinah.

- A kim pani jest?

- Siedzi pani przy moim biurku - wyjaśniła Dinah, gestem posiadacza otwierając szufladę i grzebiąc w niej, dopóki nie znalazła okularów. - To tylko czasowa zmiana, więc proszę niczego nie popsuć.

- Tak, tak, tak. - Kobieta ziewnęła i podeszła do ekspresu do kawy. - Jakby komukolwiek zależało na tej gównianej gazecie.

Rozwścieczona Dinah powstrzymała się przed ciętą odpowiedzią. Jej zależało. Ta praca wiele dla niej znaczyła i naprawdę ubodło ją, że komuś tak młodemu i niedoświadczonemu jak Kate pozwala się na takie zachowanie. Flick dostałby szału!

Nastrój Dinah szybko się poprawił. Jeszcze parę tygodni, może miesiąc, a Kate i tak przejdzie do historii. Ha! Dwa tygodnie, tyle dał jej Flick? Akurat. Dinah była bezpieczna do wiosny.

A przynajmniej bezpieczna, jeśli chodziło o pracę. Co do serca zaś - to już zupełnie inna sprawa.

Fiat czekał na nią cierpliwie na parkingu koło lotniska w Los Angeles. Dinah zapłaciła za parking i modląc się w duchu, aby nowe zgrzyty, dobiegające spod maski, oznaczały jakąś drobną usterkę, włączyła się do ruchu.

Jazda była straszna. Gigantyczny korek, pełen trąbiących klaksonów i migających karnawałowo czerwonych i niebieskich świateł wydłużył jej podróż do domu o godzinę. Mimo to jechała z lekkim sercem.

Głupia, ostrzegła się. Ale jej beztroskie serce nie chciało słuchać. Nie wiedziała, czy John będzie w domu, ale oczekiwanie było wspaniałym eliksirem.

Na widok otwartej bramy wjazdowej wstrzymała oddech. Był więc tutaj. Czekał. Chyba że znów ktoś włamał się do domu.

Ale nie. Jeep stał na podjeździe.

Bądź obojętna. To nic wielkiego. Zachowuj się naturalnie.

Silnik fiata zamilkł pod domem, jakby wydając ostatnie tchnienie. Dinah podjechała jeszcze kawałek, zahamowała, a potem przez kilka minut siedziała w samochodzie zaciskając ręce na kierownicy, a serce waliło jej jak oszałałe.

Zachowywała się jak idiotka, beznadziejna nastolatka, jak lekkomyślny, zakochany szczeniak. I nic nie mogła na to poradzić! Owładnęły ją emocje, a jej najwierniejszy sojusznik, zdrowy rozsądek, zrobił sobie wakacje.

Tak. Miała poważne kłopoty.

Ruszyła szybko brukowaną ścieżką, prowadzącą do drzwi wejściowych. Kiedy chwyciła za klamkę, poczuła, że serce wyrywa jej się z

piersi. Musiała przycisnąć dłoń do klatki piersiowej, po czym roześmiała się niepewnie z tego zachowania. Boże! Była chyba wariatką!

Wewnątrz domu panowała cisza. Stała w drzwiach, oddychając płytko.

- John? - zawołała na próbę, nienawidząc nuty niepewności w swoim głosie.

Jej postępowanie tak bardzo przypominało scenariusz, jakby była jedną z gwiazd w filmie z Denise Scott. Życie imitowało sztukę.

Nigdzie go nie było. A przynajmniej nie odzywał się, gdy wołała. Obecność jeepa stanowiła zagadkę, nie było jednak wykluczone, że opuścił dom z kimś innym.

Z inną kobietą?

Serce jej podskoczyło. Natychmiast rozzłościła się na siebie. Boże! Co za rozum! Żeby akurat o tym myśleć.

- Nie bądź taką niepewną idiotką - zganiła się. Prawdopodobnie był z kimś ze swojej firmy, albo ze studia, albo z kimkolwiek! Miał swoją pracę. Wymagającą, na dodatek. A przygotowania do *Lady Paradise* były opóźnione, co pociągało za sobą gigantyczne wydatki. Tyle wiedziała sama.

Kiedy jej serce powoli się uspokoiło, rzuciła torebkę na kamienną posadzkę i udała się do gabinetu Johna, zdecydowana myśleć logicznie, a nie jak szaleniec. Znużenie opanowało każdy cal jej ciała. Prowadzenie podwójnego życia dobijało ją. Coś musi się stać, i to szybko.

Uniosła w górę ręce, zamknęła oczy i przeciągnęła się, usiłując się odprężyć. Czas zapomnieć o wszystkim. Czas odpocząć. Czas na gorący prysznic i łóżko.

I może na Johna?

Zakłopotana, wymruczała parę przekleństw, skierowanych wyłącznie pod swoim adresem, otworzyła oczy i zatkało ją. John Callahan we własnej osobie stał w drzwiach gabinetu, trzymając w objęciach Bobo.

- Cześć! - Dinah przełknęła ślinę. - Nie... nie wiedziałam, że tu jesteś. Nie słyszałeś, kiedy wołałam? Boże, ale mnie przestraszyłeś... - Jej głos zamarł na widok jego twarzy. Szczęki miał zwarte w zimnej furii, niebieskie oczy stały wąskie, wściekłe promienie. Bobo zamiauczał, zapiszczał i wyrwał się z jego ramion.

Dinah patrzyła na ucieczkę kociaka, potem zwróciła przerażony wzrok na Johna.

- Co się stało? O co chodzi?

- Wynoś się z mojego domu.

Słowa były spokojne, a każda sylaba jak uderzenie młotem. Dinah cofnęła się, oczy miała okrągłe ze zdziwienia.

- Co? - zapytała oszołomiona.

- Nie pamiętasz swojego telefonu?

Wolno pokręciła głową, zaczęło ją ogarniać złe przeczucie.

- Cóż, nie dziwię się. Nie zamierzam nawet pytać jak, dlaczego i kto. Po prostu wynoś się do diabła z mojego życia. Nie jestem już dłużej twoim stróżem.

Mogła jedynie tam stać, potrząsając głową. Wszystko jakby się zatrzymało.

Domyśliła się, że zadzwoniła Denise. Nie, nie, nie!

- Nie chcę cię więcej widzieć - wymawiał słowa powoli, jakby zakładał, że Dinah może mieć kłopoty ze słuchem. I rzeczywiście miała

kłopoty. Światła tańczyły w jej głowie. Tyle rzeczy można było mu powiedzieć. Tyle strasznych rzeczy.

To nie twój problem. To nie ty! Ale ja go kocham!

Poczucie winy uciskało jej żołądek, paliło policzki. Upokorzona, odwróciła wzrok. Musisz powiedzieć mu prawdę.

- Jesteś najslabszą, najbardziej pożałowania godną istotą ludzką, jaką kiedykolwiek spotkałem. - Gniew dźwięczał w jego głosie, ale było w nim jeszcze coś innego. Żal. Może zranienie. W głowie Dinah pulsowało. Cierpiała - cierpiała z tak ogromnego bólu, że chciała umrzeć.

- Zabieraj swój pieprzony tyłek z mojego domu i z mojego życia.

Uchwyciła niewyraźny zapach whisky. Pił. Dinah wiedziała, że nie było sensu z nim dyskutować. Zresztą co, na Boga, miałyby do powiedzenia? Nie mogła się jednak powstrzymać, żeby nie spróbować.

- Nie jest tak, jak myślisz. Jakże patetycznie.

Oczywiście się roześmiał i bolesny śmiech odbił się echem w pokoju.

- Muszę z tobą porozmawiać... kiedy będziesz trzeźwy.

- Dla ciebie już nigdy nie będę trzeźwy - odpowiedział, kręcąc głową.

- Posłuchaj, John. Staralam się panować nad swoim życiem, nawet jeśli wydawało się wymykać spod kontroli. Nie rozumiesz. Nie możesz rozumieć. - Słowa toczyły się, szybciej i szybciej. - Pracowałam. Nie byłam z nikim. Ja...

Następny wybuch śmiechu. Zaczął ją popychać w kierunku drzwi wejściowych. Niewiele mogła zrobić, żeby go powstrzymać, próbowała jednak każdego sposobu. W przewężeniu przedpokoju wbiła palce w listwy i zaparła się całym ciałem.

John nieubłaganie pchał dalej. W odpowiedzi złość zawrzała w Dinah.

- Nie próbuj mnie wyrzucić!

- Sama zobaczysz.

- Dałam ci się wyrzucić na plażę. Teraz już ci na to nie pozwolę!

- Nie pozwolisz? - Złapał jej rękę, ściskając palce. Dinah walczyła jak szalona. John podniósł jedno ramię i przesunął je za jej plecy. Owinęła nogę wokół jego kolana i mocno szarpnęła. Zachwiał się, ale nie przewrócił, tylko znów złapał ją za rękę i wykręcił. Dinah stęknęła z bólu.

- Ty skurwysynu! - krzyknęła.

- A oto i nasza Denise, którą wszyscy znamy i kochamy. Pragnęła bić, kopać i drapać. Zdumiona własną pasją

Dinah ograniczyła się do lodowatego spojrzenia, które jednak nie wywarło najmniejszego wrażenia na Jego Wysokości Johnie Callahanie. - Jesteś jak cała reszta - rzuciła gorzkie oskarżenie.

Obdarzył ją pełnym niesmaku spojrzeniem niebieskich oczu. Niesmak. To było to. Właśnie to uczucie. Gniewne słowa zaczęły wypełniać jej głowę.

Ty głupia, zarozumiała suko. Wydaje ci się, że twoje gówno nie śmierdzi? No chodź, chodź...

Została tam, gdzie stała, balansując na nogach jak bokser. Jeśli Thomas Daniels zrobi najmniejszy ruch w jej stronę, od razu zaatakuje jego jaja. Jedno szybkie kopnięcie.

Uśmiechał się szyderczo: górujący, okrutny, z grymasem niesmaku na wargach. Niesmaku, że ona jest kobietą i dlatego jest słaba. Słaba fizycznie, słaba duchowo. Jakby on był wzorem przyzwoitości i siły moralnej.

Nigdy jej nie dotknął. Nigdy nie skrzywdził. Ale nie dlatego, że nie próbował. O nie. Nie dlatego, że nie próbował.

- Nie możesz mnie zmusić do zrobienia czegoś, na co nie mam ochoty  
- ostrzegła Johna Callahana.

W odpowiedzi chwycił jej rękę i przerzucił ją sobie przez ramię, jak strażak. To był jego ulubiony sposób przenoszenia. Tym razem nie wierzgała i nie bębniła pięściami. Czekwała, licząc kroki, dopóki nie usłyszała, że otwiera drzwi wejściowe. Jednym sprawnym ruchem postawił ją na nogach.

Ona zaś odchyliła się do tyłu i uderzyła go na odlew w tę arogancką, zadowoloną z siebie, nadmiernie przystojną twarz.

- Jeśli wrócisz, wezwę policję - warknął, a ślad na twarzy zmienił barwę z białej na żywą czerwień.

- Uczynię piekło z twojego życia!

- Już to zrobiłaś. Mam nadzieję, że drań był tego wart.

- Nic o mnie nie wiesz!

- Jesteś kłamliwym, zdradzieckim, nędznym ścierwem.

Dinah zatkało. Była tak wściekła, że aż dygotała. Wargi jej zadrżały, w kącikach oczu pojawiły się łzy. Podniósł rękę.

- Och, nie. Już to przerabialiśmy. Jeśli chcesz się pieprzyć, znajdź sobie kogoś innego. Wiem, jak lubisz. Mocno, szybko, nieprzyjemnie. Całkowita dominacja. A oto najświeższa wiadomość. Niedobrze mi od tego.

Odebrało jej mowę. Był tysiąc razy gorszy niż opowiadała Denise. Milion!

- Nie wiem, jak to się w ogóle mogło stać - dodał bezbarwnym głosem.

- Mam dosyć ciebie i twoich problemów.

- Doprawdy? - Wreszcie Dinah odzyskała głos. - Sam też nie jesteś wzorem moralności!

- Byłem za porządnym. I teraz zamierzam naprawić ten błąd.

Zniknął w głębi domu. Dinah pomaszzerowała za nim, rwąc się do walki. Chwycił wiszącą na oparciu kuchennego krzeselka cienką wiatrówkę i skierował się do garażu.

- Gdzie się wybierasz? - zapytała.

- Jadę się pieprzyć - oświadczył uroczyście, naciskając guzik otwierający drzwi do garażu i zataczając się przeszedł przez puste pomieszczenie i przez podwórko do jeepa.

- Złapią cię za jazdę po pijanemu - krzyknęła, idąc za nim.

- Diabła tam!

- Zawiadomię policję. Podam im numer twojego prawa jazdy. Zrobię wszystko, żeby cię na pewno złapali!

- Czego chcesz, do diabła? - ryknął, ze złości upuszczając klucze. Upadły na betonowy podjazd i odbiły się, wpadając w trawę.

Stała z zaciśniętymi pięściami i przyglądała mu się. Odwzajemnił jej spojrzenie, a wyglądał przy tym tak niezwykle atrakcyjnie, że coś obudziło się w Dinah. Coś głębokiego, niebezpiecznego i zupełnie nieokiełznanego. Jej uczucia musiały się odbić na twarzy, zauważył je bowiem. Przymrużył oczy, ale potrząsnął głową. Klnąc pod nosem, schylił się po klucze.

Kiedy się z powrotem wyprostował, jego spojrzenie było gorące i elektryzujące.

- Odejdź, Denise. Po prostu... odejdź.

Zachwiał się. Instynktownie ruszyła do przodu. Zahaczył wzrokiem o jej kołyszące się biodra i jęknął jak potępieniec.

- Chyba cię nienawidzę - wycodziła przez zęby. Zamiast odpowiedzi przyciągnął ją bliżej, zmiażdżył ustami jej wargi, przytulając jej ciało do



swoich twardych kształtów, a jego ogniste uczucia pobudziły jej zmysły, aż oplotła go, jak niewolnica miłości.

Potem zaczął błdzić ustami po jej szyi. Wszędzie na jej ciele pełno było jego rąk; jej ręce wędrowały po nim z równym zapałem. Spleceni razem upadli na trawę, wijąc się, dotykając i gwałtownie łapiąc powietrze.

Dinah nie miała kontroli nad istotą, którą w niej obudził, ale nie straciła resztek zdrowego rozsądku. Byli na dworze i każdy, kto by zdecydował się przejechać przez otwartą bramę, zobaczyłby ich splątanych rękami i nogami, namiętnych i nieświadomych niczego wokół!

- O Boże, John! To wariactwo! - Dinah zadygotała, częściowo z zachwytu, częściowo z upokorzenia.

Jego palce wsunęły się pod pasek dżinsowej spódniczki i zsunęły ją z jej szczupłych bioder, ujawniając głęboko wycięte białe majteczki i zgrabne, pięknie opalone uda. Jęknął i wtulił twarz w jej uda ruchem, który wstrząsnął Dinah do szpiku kości.

- Przestań! - krzyknęła, autentycznie przerażona. Z siłą, większą niż mogłaby się o to posądzać, raptownie odepchnęła Johna od siebie, skoczyła na nogi i pobiegła do domu.

Wewnątrz rozejrzała się na wszystkie strony, niepewna i przestraszona. Kiedy zadźwięczał dzwonek wrzasnęła głośno, dopiero po chwili powoli zorientowała się, że to tylko bicie stojącego zegara w salonie.

Co się ze mną dzieje?

Usłyszała za sobą Johna. Wtoczył się do przedpokoju, oparł o ścianę i patrzył na nią, przeczesując ręką włosy.

- Jesteś tak rąbnięta, że to beznadziejne - powiedział

I dodał: - I ja też.

- A teraz wynoś się - polecił, kontynuując swój marsz do kuchni, skąd po chwili dobiegły ją odgłosy nalewania następnego drinka.

- John...

- WYNOŚ SIĘ!

Pobiegła do drzwi, przypomniała sobie o zepsutym fiacie i zawróciła do telefonu w kuchni, żeby wezwać taksówkę. Drań. Dupek. Przeklęty samiec. Chciałaby go naprawdę znienawidzić.

RS

W porównaniu z przepychem innych pomieszczeń wytwórni, biura zajmowane przez dział realizacji Callahana prezentowały się niezwykle skromnie. Dywan seryjnej produkcji, fotele ze sztucznej skóry i chromowanej stali, kilka biurek i lamp koło recepcji. Gdyby Hayley nie znała Hollywood, mogłaby się stropić, ale jedna z niewielu prawd, jakie poznała w ciągu spędzonych tu lat mówiła, że bogate wnętrza niekoniecznie o czymś świadczą.

Recepcjonistka uniosła w górę jedną brew.

- Słucham?

- Jestem przyjaciółką Tonji Terkell - ostrzegła ją Hayley tonem pasującym do tej uniesionej brwi.

Bez dalszych dyskusji recepcjonistka odwróciła się ku migającym lampkom telefonu, nacisnęła guzik i wywołała Tonję przez interkom. Nie otrzymawszy odpowiedzi zaczęła udawać, że Hayley wcale przed nią nie stoi.

Hayley nie usiadła. Była uparta. Bardziej niż większość ludzi. Pragnęła tej roli i była zdecydowana ją zdobyć - a przynajmniej próbować aż do utraty sił.

Co się z nią stało w domu Callahana? Kiedy teraz o tym myślała, nadal ze zdumieniem kręciła głową. Było tak, jakby John Callahan rzucił na nią tajemny urok. Parę słów o Denise, rzut oka w jej własną przeszłość i wizyta Hayley się skończyła. Kropka.

Teraz trudno jej było w to uwierzyć. Przez całe lata z prędkością i zdecydowaniem pociągu towarowego dążyła do jednego celu - do sławy. I

nagle tak łatwo wypadła z torów - w chwili, gdy stacja docelowa widniała już na horyzoncie! Nie pojmowała, jak to się mogło stać. To przypominało koszmar senny, w którym człowiek odkrywa, że nie może zrobić nawet jednego kroku, gdyż stopy ma zanurzone w gęstej i lepkiej, hamującej ruchy substancji.

Dała się Jasonowi wylać z pracy, oszołomiona udała się do domu i wpadła prosto na Connora Jackleya, czyhającego z bezlitosnymi pytaniami, na które nie mogła odpowiedzieć.

Potem, kiedy sobie poszedł, była podniecona i poruszona, a w niespokojnym śnie przewijały się obrazy odrobinę przypominające wydarzenia z jej własnej przeszłości. Niektóre były prawdziwe, inne wyimaginowane, wszystkie paliły żarem, zaczynającym się w jądrze zła gdzieś wewnątrz jej duszy, w miejscu, do którego odwiedzenia zmuszał ją Connor.

No cóż, nie zamierzała tego zrobić i basta. Gdy po tej okropnej nocy obudziła się z bólem głowy i niepokojem w duszy, postanowiła, że nie będzie myślała o Connorze Jackleyu, o swoich siostrach i przeszłości w Wagon Wheel. Zajmie się realizacją własnych ambicji.

I oto była gotowa do działania. Tymczasem przed jej nosem wyrosła barykada obojętności.

- Czy jest Tonja? - zapytała recepcjonistkę.

- Nie odpowiada.

- Czy mogłaby pani spróbować jeszcze raz?

Tym razem obie brwi podjechały w górę i kobieta zaniemówiła. Lodowata. Wielki mróz.

- Zostawiła to u mnie - wyjaśniła Hayley, wyciągając swoją kasetę -  
Dzwoniłam do niej i powiedziałam, że jej podrzucę.

- Proszę to zostawić na biurku. Dopilnuję, żeby...

- Przykro mi, ale muszę oddać osobiście.

Jadowite spojrzenie. Hayley zerknęła w stronę hallu i zaczęła rozważać puszczenie się biegiem. Z pewnością kobieta wezwie ochroniarzy, ale przynajmniej zyska trochę czasu, zanim ją złapią. Wiedziała, że Callahan tu jest; widziała jego jeepa. Gdyby udało jej się do niego dostać, byłaby w domu.

I wtedy pojawiła się szansa: Pan Producent osobiście wyszedł z gabinetu w głębi biura i minął Hayley w odległości niespełna metra. Recepcjonistka wyprostowała się, jakby ktoś wbił jej nóż w plecy, Hayley zaś przyoblekła na twarz swój najmiłszy uśmiech i powiedziała: - Witam znowu.

Spojrzenie, jakim ją obdarzył, niemal spaliło jej skórę. Phi! Facet był wściekły. Na nią? Niemożliwe. Ale natrętne wspomnienie opanowało jej mózg i Hayley odskoczyła do tyłu, przypomniawszy sobie podobny wyraz na twarzy swojego ojczyma.

Przez chwilę myślała, że Callahan przemknie obok bez słowa, jednak zatrzymał się i odwrócił w jej stronę. Miała wrażenie, że z wielkim wysiłkiem tłumi różne złe emocje.

- Chciałaś mnie widzieć? - wyrzucił z siebie.

- No... hm... tak.

- To chodź. Mam pół godziny przed następnym spotkaniem.

Hayley nie trzeba było tego dwa razy powtarzać. Skoczyła do przodu, a recepcjonistka westchnęła znużona i sfrustrowana. Ha! Punkt dla przyzwoitych ludzi! Miała swoją szansę i nie zamierzała znów jej tracić.

W jeepie Callahan polecił: - Wsiadaj, mów szybko i nie kłam. Nie jestem w najlepszym nastroju, masz więc dwadzieścia minut na przekonanie mnie, że twoje podobieństwo do Denise nie jest przypadkowe. - Odwrócił się ku niej, przyszpilając ją spojrzeniem zimnych jak stal, niebieskich oczu. - A dla twojej wiadomości, nie cierpię mojej byłej żony, nie licz więc na żadne względy.

Był to jeden z najtrudniejszych egzaminów w jej życiu. Wiele można było powiedzieć o Hayley, ale z pewnością nie to, że łatwo wyjawiała prawdę. To zaś, jak się okazało, było wszystkim, co interesowało Callahana. Prawda. Bolesna, rozgrzebująca rany prawda.

- Pytałeś o mnie Denise? - zadała pytanie, kiedy ruszyli.

- Nie.

- Dlaczego nie?

- Nie miałem okazji. - Wyrzucał z siebie słowa, jakby miały zły smak. Cokolwiek stało się pomiędzy nim a Denise, bez wątpienia nie chciała nic wiedzieć na ten temat. - No to mów dalej - polecił. - Opowiedz mi wszystko o sobie i swojej siostrze.

Najgorszy z możliwych tematów, ale jedyne, wzbudzający zainteresowanie. Dlaczego nie można mówić o czymś innym?

- Wolałabym posłuchać o *Lady Paradise* - powiedziała, gdy pędzili autostradą.

Spojrzenie spode łba, posłane w jej kierunku, wyraźnie odzwierciedlało jego uczucia w tej materii. Był przekonany, że kłamała. Kłamała, żeby wśliznąć się do jego filmu.

Co u diabła! Chciała dostać rolę. Wiedziała jednak, że jedyną metodą zdobycia jakiegokolwiek roli było wyznanie nagiej prawdy.

Przewyciężyła obawy i rozpoczęła swoją opowieść.

- Denise jest starsza ode mnie o dwa lata. Jako dzieci stale się gdzieś przenosiłyśmy. Nigdy nie znałam mojego ojca, a kiedy miałam mniej więcej jedenaście lat, moja matka ponownie wyszła za mąż.

Nie odezwał się, nie oderwał wzroku od drogi.

Hayley kontynuowała z wahaniem: - Przenieśliśmy się do małego miasteczka w środkowym Oregonie o nazwie Wagon Wheel.

- Ta historia nie pasuje do żadnej z opowieści Denise.

- Cóż, to jest prawda.

- Mów dalej.

Nadszedł czas, żeby wspomnieć o Dinah. Hayley celowo omijała wzmiankę o siostrze - bliźniaczce Denise, bo facet i tak już jej nie wierzył. Ten ostatni wątek, jakby żywcem przeniesiony z jakiejś opery mydlanej, mógł jedynie popsuć całą sprawę. A poza tym, nie miał związku z tematem.

Zdecydowała chwilowo zatrzymać tę informację.

- Mieszkałyśmy razem do śmierci matki, potem próbowaliśmy zostać z ojczymem, ale nie wyszło, więc Denise wyjechała, a ja razem z nią. Przez jakiś czas włóczyłyśmy się po Los Angeles i wreszcie się rozstałyśmy.

Przypominając sobie ten okres, Hayley przełknęła ślinę. Za trudno było zostać razem. Denise zerwała ze swoim chłopakiem i przeżywała naprawdę ciężkie dni. Całymi nocami krzyczała. Koszmary, które napępniały

Hayley śmiertelnym przerażeniem. Dinah też tam była i to ona potrzęsając Denise budziła ją i kazała „brać się w garść”. Obie były zależne od Dinah - dopóki Denise nie znalazła nowego faceta, przystojnego, hollywoodzkiego cwaniaka, który wprowadził ją w pięknie i dobrze wyglądające życie, zdające się spełniać wszelkie jej oczekiwania.

Dinah nie pozwoliła Hayley iść w ślady siostry, ale kiedy Denise wyfrunęła, Dinah spotkała Glena Boswortha. Gdy zamieszkała z Glenem, Hayley się wyniosła. Potem było dużo złych decyzji. Teraz, wiele lat później, Hayley tak długo uczęszczała na kursy aktorskie, aż nauczyła się więcej, niż potrafili wszyscy jej instruktorzy razem wzięci, Denise była - jakby to powiedzieć - rozchwiana jak zawsze, Dinah zaś, porzuciwszy Glena, zaszła się gdzieś na wspaniałym południu.

Hayley w skrócie opowiedziała to wszystko Callahanowi - bez Dinah - i zaczęła się zastanawiać, czy nadszedł właściwy moment, żeby powrócić do *Lady Paradise*.

- Denise nigdy nawet nie dała do zrozumienia, że ma siostrę - zimno stwierdził Callahan.

Najwyraźniej moment nie był jeszcze odpowiedni. Z westchnieniem Hayley zapytała: - Co ci mówiła?

- Mnóstwo rzeczy. Najpierw była opowieść o Indianie. Potem była historia o nieudanej miłości i o dziecku.

Hayley wytrzeszczyła oczy. - Powiedziała ci, że miała dziecko?

- Nie... o ciąży - sam się poprawił. - Gazety wytropiły jakąś pikantną historię o niej i chłopaku, z którym chodziła do szkoły. Facet przyznał, że byli ze sobą blisko i że była w ciąży. Spytałem Denise. Najpierw odparła, że to stek kłamstw, potem jakoś zmiękła i w końcu przyznała, że miała kłopoty



z ciężką. Wreszcie powiedziała, że poroniła. - Zachnął się. - Po pewnym czasie prawda przestała mnie obchodzić.

- Wciągając przez zęby powietrze do płuc, dodał sucho:

- A teraz chcesz, żebym uwierzył, że jesteś jej siostrą.

- Gdybyś ją zapytał, powiedziałyby ci.

- Na pewno? - Ironia pogłębiła zmarszczki wokół jego ust.

Hayley udało się przywołać na twarz słaby uśmiech, odkryła bowiem, że naprawdę nie była tego pewna.

Przyląpała się na porównywaniu Callahana z Connorem. Chociaż nie mniej przystojny, Callahan nie posiadał tego tłącego się uroku, który miał Connor Jackley. Przynajmniej dla niej. Callahan był bezpośredni, twardy i poruszał się z tym powolnym wdziękiem, który przyprawiał kobiety o szaleństwo. Hayley jednak bardziej oczarowały lakoniczne komentarze i spokojna intensywność Connora Jackleya.

Wzdrygnęła się bezwiednie. Przecież nie można wierzyć mężczyznom. Nie wszystkim.

- Może będziesz musiał trochę ją przycisnąć, ale w końcu powie ci prawdę.

- Denise niezbyt dobrze wychodzi mówienie prawdy. - Zacisnął ręce na kierownicy, a mięśnie twarzy wykrzywił grymas. Hayley zauważyła, że w sprawach związanych z Denise był pod wpływem silnych emocji. I cóż w tym nowego?

- Jest tak zwariowana, że nigdy nie będzie prawdomówna - ciągnął dalej, jakby go pytała. - Guzik mnie obchodzi jej dzieciństwo. W dzisiejszych czasach zwalanie wszystkiego na trudne dzieciństwo stało się bardzo modne. Mnóstwo ludzi było kiedyś krzywdzonych.

Jego gruboskórność targnęła jej nerwami jak odgłos skrobania paznokciami po tablicy.

- Nienawidzę myśleć o Thomasie Danielsie - wyznała z napięciem.

Obrzucił ją uważnym spojrzeniem. Ściągnął brwi i już myślała, że spyta o coś jeszcze, jednak rozmyślił się. I wtedy dojechali do celu podróży. Titan Studios!

- Co tutaj robimy? - zapytała, niemal wychodząc ze skóry.

- Mam spotkanie z szefem studia, Rodneyem Walburnem. Jabba? Cała krew odpłynęła Hayley z twarzy. O Boże, nie!

- Mogę ci wezwać taksówkę. To może trochę potrwać - uśmiechnął się do strażnika, machającego do niego zza bramy. - Przepraszam, że ci nie powiedziałem. Naprawdę nie miałem nastroju.

Puls Hayley gwałtownie przyspieszył. Znajdowała się na terenie studia! - Nie, poczekam. - Była bezpieczna, chyba żeby Jabba zdecydował się opuścić swój klimatyzowany świat i odprowadzić Johna do samochodu. A było to raczej nieprawdopodobne...

Pół godziny później otrzymała odpowiedź. Kołyszącym się krokiem Jabba osobiście podszedł z Johnem do jeepa. Zaalarmowana Hayley rozejrzała się w panice dookoła, szukając miejsca, gdzie mogłaby się schować. Gdyby ją sobie przypomniał ze swojego przyjątk...

O cholera!

John przedstawił ich sobie.

- Hayley Scott, Rodney Walburn.

Jabbie udało się nadać wargom kształt uśmiechu. Jego włosy, podobnie jak poprzednio, były starannie wypomadowane. Hayley

wzdrygnęła się w duchu, potrząsając jego dłonią. Jej własna ręka była lodowata.

Przesunął po niej złośliwymi małymi oczkami.

- Kogoś mi przypominasz.

Hayley spojrzała na niego niewinnie. Nadszedł czas zagrania roli godnej nagrody aktorskiej. Serce jej waliło.

- Doprawdy? John zachnął się.

- Wygląda jak Denise - rzucił.

- No tak. - Spojrzał poza nią, na Johna. Serce tłukące się w piersi z wolna się uspokajało. - Cieszę się, że będziemy współpracować, John - powiedział. - Podoba mi się nasza umowa. Pieprzę to, to najlepszy interes w mieście. Ty o tym wiesz, ja też wiem. Jesteś takim skurwysynem, że właściwie wcale na to nie zasługujesz! - roześmiał się z wymuszoną serdecznością. - Daj mi znać, jeśli będziesz miał jeszcze jakieś problemy. Zajmę się nimi za ciebie, rozumiesz. Kogo chcesz obsadzić w głównej roli? Wiesz, kto od razu przychodzi do głowy, prawda?

- Denise? - oświadczył beznamiętnie John.

- Tak, to pieprzona suka, ale przyciąga tłumy. Nie muszę ci mówić.

Hayley zauważyła, że jego język niewiele się poprawił. Nie znosiła wulgarnych mężczyzn. Zdecydowanie ich nienawidziła.

Callahan pożegnał się cierpko i zajął miejsce za kierownicą. Oceniając poprzednio, że ma surowy wygląd, nie wiedziała, co to słowo naprawdę znaczy. Nawet nie zadał sobie trudu, żeby machnąć ręką, kiedy wyjeżdżał z terenów studia.

- Miły facet - stwierdziła.

- Mam, czego chciałem.

- Naprawdę? To jak wyglądasz, kiedy przegrywasz?

- Nie przegrywam - odparł spokojnie. - Nie z Titan Studios.

Z tymi słowami wyjechał z parkingu i ruszył z powrotem w stronę swojego biura. - Czego naprawdę chcesz? - zapytał. Czas skoczyć na głęboką wodę.

- Chcę roli w *Lady Paradise*.

- Ho, ho. - Był zdumiony nie tyle jej prośbą, ile jej szczerością. - A jeśli ci nie dam?

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Opowiadasz mi bajeczkę o tym, że jesteś siostrą Denise, a potem prosisz o rolę. Do którego brukowca najpierw zadzwonisz i co w nim będę mógł przeczytać, jeśli nie potraktuję cię poważnie?

- Sądzisz, że mogę cię szantażować dla roli?

- Uhm.

- Chcę jedynie, żebyś obejrzał tę taśmę. - Czując się jak przekłuty balonik, wyciągnęła z torebki swoją taśmę demonstracyjną.

- Mam dyrektora odpowiedzialnego za obsadę - odpowiedział.

- Daj mu ją więc - powiedziała Hayley z nowym przypływem odwagi.

- Jestem dobra w tym, co robię. Piekielnie dobra. Wszystko, czego chcę, to dostać szansę, bez względu na to, czy wierzysz, że jestem siostrą Denise, czy też nie.

Z piskiem hamulców zatrzymali się przed biurem. John westchnął i rzucił okiem na zdeterminowaną młodą piękność, zajmującą sąsiednie siedzenie. Mogła być siostrą Denise; niewątpliwie wyglądały wystarczająco podobnie, ale, do diabła, przy tych możliwościach chirurgii plastycznej, każdy w Hollywood mógł wyglądać jak sklonowany.

Z pewnym znużeniem wziął taśmę z jej wyciągniętej dłoni. Nigdy nie przestało go dziwić, jak daleko ludzie są w stanie się posunąć. Pewien człowiek skoczył na spadochronie w sam środek przyjęcia wydanego z okazji rozpoczęcia kręcenia *Cosmosu*, ubrany jedynie w krótkie spodenki na szelkach i wojskowe buty, śpiewając WHAT THE WORLD NEEDS NOW IS LOVE. Kiedy ochrona go wyprowadzała, cisnął w stronę Johna taśmę wideo ze swoją ofertą.

Miał jaja, brakowało mu jednak talentu. John spodziewał się czegoś podobnego również teraz.

- Byłoby lepiej dla ciebie, gdybym zachował więcej uczucia dla mojej byłej żony.

- Nie oceniaj mnie przed obejrzeniem kasety - odparła. Machnęła ręką na pożegnanie i wsiadła do zdezelowanego chevroleta, który sapnął i strzelając z rury wydechowej wytoczył się z parkingu.

John obserwował ją ponuro, myśląc już o bardziej bolesnych sprawach. Denise. Siłą wyrzucił ją z domu, ona zaś wyniosła się z wściekłością, która zaróżowiła jej policzki i zamieniła jej błękitne oczy w drogie kamienie, błyszczące tłumioną furją. Potem spił się do nieprzytomności i zapłacił za to następnego dnia mdłościami i trzęsącymi się rękami, wrzeszczał w biurze na pełnych współczucia współpracowników, w końcu zrobił wszystko, żeby zapomnieć.

A jednak wystarczyło jedno spojrzenie na tę Hayley i był przegrany. Błyskawiczna decyzja. Zaprosić ją. Wyciągnąć z niej informacje.

Jakie informacje? Jakie? I tak wiedział już za wiele o Denise, a poza tym nawet przez chwilę nie uwierzył, że ten sobowtór Denise naprawdę jest z nią spokrewniony. Nie. To było chwytnie się brzytwy. Najostrzejszej,

drgającej, nieosiągalnej. Do tego doszedł i to tylko dlatego, że zalała mu za skórę, spowodowała iż uwierzył w jej zmianę, a potem tak szybko i całkowicie powróciła do swych starych zwyczajów, że poczuł, jakby wydłubała z niego wnętrzności i pozostawiła otwartą ranę.

Ach, niech ją piekło pochłonie. I tę Hayley też.

Idąc korytarzem do swojego gabinetu, cisnął kasetę w stronę jednej z asystentek.

- Co to jest? - zapytała.

- Taśma z nagraniem próbnym.

- Co chcesz, żebym z nią zrobiła?

-Przekaż ją do działu obsady.

- Czy to ktoś, kogo polecasz? - krzyknęła za nim, kiedy przekraczał próg gabinetu.

John nie zadał sobie trudu, by odpowiedzieć. Trzasnął drzwiami i opadł na krzesło, klnąc w duchu sam siebie, że okazał się takim zakochanym głupcem, a potem podniósł słuchawkę i wykręcił numer Franka Castello, reżysera *Lady Paradise*.

- Doktor Stone jest chwilowo nieosiągalny. Jeśli poda pani swoje nazwisko i numer telefonu, zadzwoni do pani.

Głos recepcjonistki był znudzony i pozbawiony zainteresowania. Dinah zastanowiła się przez chwilę i postanowiła nie zostawiać żadnych wiadomości. Prościej będzie zobaczyć się osobiście z poczciwym doktorem, może nawet zaskoczyć go. Gdyby tylko zechciał, mógłby zaprowadzić, ją do Denise szybciej niż ktokolwiek inny. Jeśli się nie uda z doktorem, będzie musiała wynająć prywatnego detektywa, ponieważ Ian Wallace z Beverly

Hills był dobrze strzeżonym sekretem, którego Dinah Scott nie była w stanie sama wytropić bez zdradzania swojej tożsamości - a tego zrobić nie chciała.

Znużona, westchnęła. Gdyby tylko Denise zadzwoniła powtórnie, kiedy była jeszcze w domu w Malibu. Mogłaby wtedy sprawdzić numer, spod którego telefonowała. Ale nie, ona - Dinah - została dosłownie wyrzucona za drzwi i teraz mieszkała w tanim hotelu, tylko na to było ją stać, i rozważała, co ma teraz zrobić.

Bobo miauknął i zeskoczył z łóżka, żeby podbiec do niej i otrzeć się głową o jej nogę. Dinah pochyliła się i z roztargnieniem zaczęła go głaskać. Jej jedyne wspomnienie po wspólnym życiu z Jego Wysokością.

I co teraz?

Mając w notesie hotelowym, Dinah zakreślała w kółko nazwisko i adres gabinetu doktora Haydena Stone'a. Było kilku lekarzy noszących nazwisko Stone, w tym trzech psychiatrów. Dinah nie była zupełnie pewna, o którym z nich wspomniała Carolyn Lenton, ale nie zamierzała dzwonić do niej i pytać o to. Carolyn dowiedziałyby się wówczas, że nie jest Denise. Dinah zaś nie miała ochoty narażać Denise na publiczne śledztwo, które rozpętałyby rewelacyjna wiadomość o tajemniczej siostrze bliźniaczej. Pociągnęłyby to zbyt wiele pytań. I zbyt wiele tropów, wiodących w przeszłość.

To wszystko przyjdzie później. Albo, jeszcze lepiej, wcale.

Dinah oderwała wzrok od notesu i popatrzyła na wypożyczony przenośny komputer, skąd srebrnymi falami pobłyskiwał w jej stronę tekst jej najnowszego artykułu „Mit swobody seksualnej”. Jego przesłanie: uważajcie, by wasze uczucia nie zapanowały nad zdrowym rozsądkiem, nie ryzykujcie ciąży i zarażenia się poważną chorobą. Jego podtekst: to się może

przytrafić każdemu, nawet najbardziej wykształconemu człowiekowi, jeśli choćby przez sekundę pozwoli sobie uwierzyć w marzenia.

Własny błąd kamieniem ciążył jej na sercu. Ale idiotycznie, choć z bolesną świadomością, czuła, że jej druga połowa nie przejmuje się. Nie przejmuje! Bo to był John Callahan, a ona go kochała. Najgłupszy z możliwych powodów. Prawdziwie pensjonarski. Prawdziwie fatalistyczny. Współczesna mentalność Romea i Julii, nadmiar uczciwości.

Czego człowiek nie zrobi z miłości, skarciła się, wstrząśnięta i zła na samą siebie. Przecież była sprytna. Opanowana. Kontrolowała siebie!

- O Boże...

Z przerażającą pewnością wiedziała, że przespałaby się z nim znowu. I że nawet gdyby była rozważniejsza, to postawiona przed wyborem ryzyka utraty zdrowia czy też utraty Johna, wybrałaby to pierwsze. Gdyby wiedziała na pewno, że jest zarażony wirusem HIV, nadal pragnęłaby z nim sypiać, miała jednak nadzieję, że wystarczyłoby jej inteligencji, by tego nie robić.

Ale niczego nie była pewna!

Odkrycie swojego opętania miłością pozbawiło ją sił. Jeżeli ona tak się czuła, jaka nadzieja istniała dla milionów romantyczek o rozmarzonym spojrzeniu, które oddawały się swoim kochankom całym ciałem i duszą?

Jaka była odpowiedź na to pytanie?

Nie było odpowiedzi. Nie w przypadku kogoś, kto wił się, cierpiąc z miłości i żądy. Zabezpieczenie. Ostrzeżenia. Porady. I nadzieja, że ludzie zagrożeni ryzykiem posłuchają.

Artykuł w tym tygodniu był mniej frywolny. Zawierał poważne przesłanie. Poznaj siebie. Poznaj swoje słabości.



Cóż, przyjrzała się sobie cholernie uważnie i nie spodobało jej się to, co dostrzegła.

Ale dla niej, Dinah Scott, był to czysto akademicki problem. John pozbył się jej. Poprawka: nie jej, ale Denise. I na tym koniec. Teraz musiała się pozbierać i ustalić, czego chce naprawdę. Niełatwe zadanie.

Do dzieła więc, do doktora Haydena Stone'a i pozostałych psychoanalityków, na poszukiwanie Denise. W rzeczywistości potrzeba zobaczenia siostry tkwiła w niej jak bolesna zadra, irytująca potrzeba, jakiej dotychczas nie odczuwała. Gdy opuściły Wagon Wheel, milcząco zgodziły się, że się rozstaną i każda będzie wiodła niezależne życie. Dinah twardo trzymała się tej zasady, chociaż okazało się, że wczesne wyrzucenie Hayley z gniazda nie było najlepszym pomysłem. Ale Hayley źle znosiła związek Dinah z Glenem (jej młodsza siostra była rozsądniejsza, niż można się było po niej spodziewać) i wyprowadziła się, gdy Dinah z nim zamieszkała.

Teraz przyszedł czas, żeby się spotkać. Przynajmniej dla niej.

Trzeba działać. Jeśli nie uporządkują swoich historii, kto wie, co się może zdarzyć?

Z tą myślą wzięła do ręki spis psychoanalityków o nazwisku Stone z Los Angeles i najbliższych okolic. Zacznie poszukiwania od najbliższego adresu.

Może następny jej artykuł będzie zatytułowany: „Jak zawrzeć znajomość z mężczyzną na stanowisku”.

Albo, jeszcze lepiej, „Jak zdobyć lekarza i jego pieniądze”.

Smutne, że tak wiele czytelniczek czekało na takie rady.

Ale może jest to bezpieczniejsze, niż szukanie prawdziwej miłości.

\*\*\*

- Wyjmij to ciastko z ust i uważaj, Gus - wycedził Connor, słysząc jak na drugim końcu linii szeryf przeżuwa.

- To marchewka. Żona wzięła mnie na dietę.

- Akurat. Raczej ciasto marchewkowe.

- Nie, poważnie. Martwi się, że za ciężko pracuję. Jesteśmy w trakcie tej przekłętej kuracji odchudzającej i ona traktuje to poważnie. Kobiety potrafią być wprost obrzydliwe, kiedy tego chcą.

Gus? Za ciężko pracuje? Connor wyobraził sobie jego małe, przytulne, lekko podupadające miasteczko i natychmiast podjął decyzję, że rzuca Los Angeles i cały ten rwetes i przenosi się z powrotem do Oregonu. Ze swoim stażem pracy w policji w Los Angeles powinien z łatwością znaleźć jakieś zajęcie. A jeśli nawet nie, to co z tego? Wychował się na farmie; może powrócić do tego zajęcia, jeżeli nie uda mu się zatrudnić jako stróż prawa.

- A jak się posuwa dochodzenie w sprawie Danielsa? - zapytał służbowym tonem Connor. Gus głośno przełknął.

- Szczerze?

Connor mruknął potakująco.

- Opowiem ci więc, co się zdarzyło od twojego wyjazdu. Miałem paru chłopaków, którzy bawili się bronią. Jeden przez pomyłkę zastrzelił drugiego. Wszyscy dokoła są wstrząśnięci. Poza tym w zeszłym tygodniu odkryliśmy małe laboratorium chemiczne, w którym kilkoro dzieciaków z porządnych domów produkowało narkotyki. Do tego dochodzą zwykłe sobotnie burdy z udziałem kowbojów, przyjeżdżających na weekendy. Zatrzymałem też dyrektora szkoły, oskarżonego o stosunki homoseksualne.

- Wszyscy więc mają gdzieś sprawę Thomasa Danielsa - wywnioskował Connor.

- Nie za wiele się przejmują - przyznał Gus. - Ale śledztwo nadal się toczy i ja sam chciałbym poznać prawdę, zresztą ty chyba też?

Connor pomyślał o niebieskich oczach Hayley Scott, o pełnej determinacji linii podbródka i wzruszającym wrażeniu potrzeby i oczekiwania, którego nawet nie była świadoma.

- Będę działał.

- Nie ma pośpiechu - powiedział Gus.

Odwieszając słuchawkę Connor skrzywił się. Nie ma pośpiechu? Czemu więc czuł się tak, jakby siedział na bombie zegarowej?

\*\*\*

- Ty naprawdę masz cholerny tupet - parsknął Jason, górujący za ladą baru, jakby był Królem Nowego Świata.

- Potrzebuję pracy. Poprawię się. Obiecuję, że będę punktualnie przychodzić do pracy - powiedziała Hayley.

- Gówno prawda.

- Przysięgam na Boga.

Błagała bez słów. Czemu zniżyła się do tego, by wrócić do Jasona, pozostawało zagadką. Jednak po odwiedzeniu wielu różnych miejsc i napotkaniu pewnego mężczyzny, który - aż trudno w to uwierzyć - zapytał, czy nigdy nie myślała o innym zajęciu, łypiąc przy tym chytrze okiem i gładząc jej ramię, Hayley zaczęła się zastanawiać, czy przypadkiem nie odbija się teraz na niej okres ulicznych doświadczeń. Z całą pewnością facet nie miał na myśli pracy aktorki. A na dodatek wyglądał jakby znajomo.

A więc z powrotem do Jasona. Zawsze lepiej wiedzieć, czego się można spodziewać.

- Zabierz się za jakąś pożyteczną robotę - mruknął szorstko, demonstrując niezwykłą jak na niego litość. Kiedy ją zwalniał był tak wściekły, że mógłby ją zamordować.

Kryjąc uśmiech, przyjęła czarny firmowy fartuszek Stanbury'ego. Ten drań Jason był jednym z nielicznych mężczyzn, którym ufała! Bardzo, bardzo żaloszny stan rzeczy.

W przerwie powędrowała do telefonu stojącego na biurku Jasona i nie pytając o pozwolenie, zadzwoniła. Przyłapał ją, wyrwał słuchawkę z ręki i zwymyślał tak gruntownie, że omal się od razu nie zwolniła.

- Wybacz, że mam swoje życie - odezwała się cierpko.

- Do kogo dzwonisz?

- Nie twój interes.

- Nadał zamierzasz zostać sławną aktorką? - zakpił. Hayley zmrużyła oczy i spojrzała wściekłym wzrokiem.

Nikt nie miał prawa wtykać nosa w jej marzenia. Nikt.

W rzeczywistości dzwoniła do Callahan Productions, gdzie udało jej się złapać Tonję. Jednak dawna koleżanka zaczynała ją irytować, gdyż, poczuwszy się pewnie w nowej pracy, zdecydowanie postanowiła zbyć Hayley.

Ale Hayley jej potrzebowała. - Postawię ci lunch - obiecała Tonji, która próbowała się wykręcić na tysiąc różnych sposobów, zanim w końcu uległa.

Oczywiście, teraz Hayley musiała opuścić bar w trakcie swoich godzin pracy.

Przyciskając palce do miejsca na czole nad lewym okiem, jęknęła:

- Muszę coś zrobić z tymi zatokami, zanim przez nie umrę.

Jason zachnął się.

- Pracowałaś dokładnie cztery godziny. Zdaje mi się, że to twój rekord.

- Nie przesadzaj, Jason.

- Idź sobie i już nie wracaj.

- Zrobię sobie przerwę śniadaniową - zakomunikowała Hayley. -

Wrócę, choćbym miała zemdleć, bo takim już jestem pracownikiem.

Wydał z siebie odgłos czystego niesmaku i odsunął się ciężko.

- Wrócę nawet wówczas, gdy przejedzie mnie ciężarówka - dodała.

Zabawnie było dopiero wtedy, kiedy doprowadziło się drania do granic wytrzymałości.

\*\*\*

Czekająca przed budynkiem Tonja wyglądała na złą. Kiedy wcisnęła się do wypożyczonego gruchota Hayley, kąciki jej ust opadły jeszcze niżej, co było rzeczą prawie niemożliwą, zważywszy jak wysoko miała zadarty nos.

- Doprawdy nie znoszę być poganiana - utyskiwała, kiedy jechały do małej knajpki, znanej z hamburgerów z avocado i różnych kiełków. Prawdziwie kalifornijskie pożywienie, chociaż Hayley, dorastająca w środkowym Oregonie, nadal wierzyła w befsztyki.

Nadeszła godzina szczerości.

- Tonja, kto cię zachęcał, żebyś starała się o pracę w Callahan Productions?

- O co ci chodzi? - Wiła się niespokojnie.

- Powiedziałam ci o Callahanie, o moich planach, o wszystkim. A teraz chcesz mnie wystawić do wiatru.

- Sądzisz, że jestem ci coś winna? - warknęła, przesadnie rozwścieczona. Kiepska z niej aktorka, pomyślała Hayley. Nic dziwnego, że Tonja woląла zająć się realizacją filmów.

- Nie dałaś mu mojej kasy. Sama musiałam to zrobić.

- Ty mu dałaś taśmę? - Oczy Tonji były okrągłe niczym spodki.

- Mhm. Teraz jedyne, co masz do zrobienia, to dopilnować, żeby ją obejrzał. Myślisz, że da się to zrobić?

Łowiąc widelcem na talerzu sałatę Hayley bacznie przyglądała się Tonji. Nie oczekiwała, że będzie miała przyjaciół.

Posiadanie przyjaciół wymagało za wiele uwagi i energii, zresztą i tak w końcu wbijali ci nóż w plecy. Polegać można wyłącznie na sobie. Kropka.

Oczekiwała jednak rewanżu. Hayley żał było Tonji, kiedy ta pechowa autorka scenariuszy próbowała szczęścia jako kelnerka i nie została przyjęta do pracy przez Jasona w barze Stanbury'ego. Wtedy Hayley tak długo prosiła i przymilała się, aż w końcu Jason zatrudnił Tonję, a potem namówił ją na Callahan Productions i Tonja była zachwycona, kiedy dostała tam pracę na najniższym możliwym stanowisku.

Wszystko, co musiała teraz zrobić, to odrobinę pomóc Hayley. Popchnąć troszkę sprawę do przodu. Teraz jednak, jak można się było spodziewać, Tonja nie chciała się narażać.

Ale Tonja nie wiedziała o powiązaniach Hayley z Johnem Callahanem.

- Już dobrze, dobrze - mruknęła Tonja, czując się nieswojo pod twardym spojrzeniem Hayley. - To ja zdobyłam dla ciebie scenariusz,

prawda? Mogę go najwyżej zapytać, czy obejrzał taśmę. Nie mogę go do tego zmusić!

- Ja tylko chcę wiedzieć, na czym stoję, to wszystko. Jeśli nie podoba mu się to, co widział, nie robi ze mną próbnych zdjęć.

- Zobaczę, co mogę zrobić - obiecała Tonja, ulegając żądaniom Hayley. Czasami Hayley Scott naprawdę działała jej na nerwy.

Odwożąc ją, Hayley dawno nie czuła się tak dobrze. Wreszcie wszystko zaczynało się toczyć zgodnie z planem. Wiedziała, że gdy Callahan obejrzy nagranie, zobaczy, że Hayley jest właściwą osobą, by zagrać Toni, zwykłą dziewczynę, która stała się chętną prostytutką.

Po powrocie do baru pracowała jak mrówka dla Jasona, który udawał, że tego nie zauważa. Później, kiedy ruszyła w drogę do mieszkania, pewna, że stać ją przynajmniej na zapłacenie czynszu, była tak zmęczona, że mogła myśleć jedynie o swoim ciekącym prysznicu i o rzuceniu się na kanapę w dużym pokoju.

Otwierając zacinające się drzwi frontowe poczuła nagle, że ktoś ją obserwuje. Z trudem łapiąc oddech rozejrzała się dokoła - w cieniu, w rogu balkonu, dostrzegła jakąś postać i usłyszała zdecydowane kroki.

Z bijącym sercem Hayley przywarła plecami do drzwi. Odgłos kroków odbijał się echem, dudnił w jej czaszce. Targnął nią kłujący strach.

Szedł prosto do niej, wiedziała, że tak robi.

- Hayley? - rzucił Connor Jackley, zatrzymując się gwałtownie.

Nogi jej zmiękły. Sromotnie runęła jak długa. Był przy niej. Ręka na jej ramieniu. Promieniujące od niego ciepło.

- Co się stało? - zapytał jak prawdziwy policjant. Chciało jej się śmiać! To było zabawne!

- Wystraszyłeś mnie śmiertelnie, ty skradający się padalcu! - oskarżyła go ostro, gdy tylko odzyskała głos.

- Czy ktoś cię skrzywdził?

Obudziły się wspomnienia, hamując jej oddech. Inny mężczyzna, ścigający ją, igrający z jej strachem.

- Daj spokój - mruknęła i stając na nogi odmówiła przyjęcia pomocnie wyciągniętej ręki.

Patrzył na nią w gęstniejącym mroku, cień padający na jego twarz przydawał mu jeszcze niezwykłej atrakcyjności. Przesunęła spojrzenie na jego usta i musiała odwrócić wzrok.

- Nie będę z tobą więcej rozmawiać - ostrzegła, kończąc otwierać drzwi.

- Odwiedziłem doktora Haydena Stone'a - rzekł w odpowiedzi. - To ostatni psychiatra Denise. Uważa, że to bardzo dobrze, iż Denise opuściła Iana Wallace'a, gdyż jest to nędzna namiastka istoty ludzkiej.

- Zawsze można polegać na Denise, że dokona właściwego wyboru - zamruczała Hayley.

- Doktor Stone nic nie wiedział ani o tobie, ani o Dinah. Wszedł za nią do środka i od razu wydało się, że wypełnił sobą cały salonik. Świadomość jego bliskości zaniepokoiła ją.

Hayley zasłoniła się rękami, nienawidząc się jednocześnie za tę wrażliwość.

- Denise po prostu nie ma zaufania do swojego lekarza. Nic nadzwyczajnego. Uświadomiłeś go?

- Jesteś pewna, że wróciła do swojego byłego męża? - zapytał, ignorując jej słowa.



- Naprawdę nieźle zbzikowałeś - zarzuciła mu gniewnie.

- Chcesz porozmawiać z Denise? To zrób to. Ja nie muszę tego słuchać.

- Chciałbym o tym porozmawiać z tobą - odparł łagodnie.

- Nie jestem zainteresowana. Idź szukać Denise. Może ci się poszczęści. Słyszałam, że łatwo nią manipulować - rzuciła z goryczą. - I... idź już sobie!

Z rozdrażnieniem i obawą patrzyła jak Connor Jackley, kompletnie ignorując jej żądania, nadal stał wyczekująco na środku jej pokoju.

- Nie zwracaj na mnie uwagi, muszę wziąć aspirynę - prychnęła z sarkazmem i wyszła, zostawiając go samego.

Zanosilo się na długą noc, ale w skrytości ducha była zadowolona, że nie odszedł.

\*\*\*

Światła, niby diamenty, migotały na atramentowej powierzchni wody w basenie. Denise obserwowała je leniwie sącząc dietetyczną colę. Żadnych prochów, nie, dziękuję. Przeżywała teraz okres trzeźwości i wspaniale było móc wszystko czuć, widzieć i rozumieć.

Była spakowana i gotowa do odejścia; nie wiedziała jeszcze, gdzie. Ale ten cykl samozniszczenia musi się skończyć.

Byłbyś ze mnie dumny, Stone! Wzorowa uczennica. Dobrze się nauczyłam, prawda?

Oczywiście najpierw musiała sięgnąć samego dna.

Lina odeszła. Denise mgliście przypominała sobie, jak pokojówka błagała ją, by też się wyniosła. Cienki strumyk krwi sączył się z nosa Liny, usta drżały w męce. Połowa jej słów była po hiszpańsku, ale mimo

narkotycznego zamroczenia Denise pojęła ich sens: - Uciekaj stąd, zanim zabije nas obie! A więc... postanowiła się zastosować do rady Liny. Zwłaszcza że od wyjazdu służącej Ian był w bardzo, bardzo złym humorze. Siniaki Denise były tego dowodem.

Zupełnie nie pojmowała, dlaczego tak dużo czasu zabrało jej wyciągnięcie właściwych wniosków. Dlaczego znosiła te krzywdy i poniżenie? Bo zasłużyłaś na to, ty wariatko.

- Nie, nie zasłużyłam. -

Po południu zadzwoniła do Leo i wreszcie łajdak odebrał jej telefon. Powiedział, że właśnie wrócił z Rzymu. Bardzo mu przykro, że tak długo był nieuchwytny.

- Kompletują obsadę *Lady Paradise* - powiedział jej. - Rozmawiałem z Susan Markson. Masz duże szanse, Denise. Na litość boską, gdzie się podziewałaś przez te wszystkie tygodnie?

- Czy John wie, że jestem brana pod uwagę?

- Jasne, skarbie! Sam powiedział o tobie Susan. Obojętne, jak to zrobiłaś, rób tak dalej. On cię kocha!

Jego słowa napełniły ją goryczą. To była zasługa Dinah. John kochał Dinah, a nie Denise. John i Dinah. John i Dinah.

Zazdrość rozproszyła mgłę, która ją spowijała od tak dawna. Akcja. Tego potrzebowała.

Światła! Kamera! Akcja!

Pieprzyć Iana Wallace'a i jego okrucieństwo. Najwyższy czas odejść.

Pragnęła dostać tę rolę.

Koncentrując się wyłącznie na tej myśli, otrząsnęła się z dotychczasowego letargu i wstała. Powinna spotkać się ze Stone'em. Teraz,

w obecnym stanie ducha. Nie ma potrzeby mówić mu o ostatnich paru tygodniach. Zresztą to był tylko zły sen. Zamieszka w hotelu Beverly Hills i wtedy do niego zadzwoni. Wszystko będzie świetnie.

Z nową energią Denise lekko wspięła się po schodach. Zabierając swoje walizki, rozejrzała się dokoła, drżąc na wspomnienie ciemnych, ponurych chwil, jakie przywoływało to miejsce. W pośpiechu wróciła do przedpokoju. Na początku uwielbiała ten dom, teraz jednak nienawidziła każdej deski, każdego gwoźdźcia, najmniejszego fragmentu stiuków.

Czas wezwać taksówkę. Poleci kierowcy, żeby zawiózł ją do innego hotelu, potem jeszcze parę razy się przesiądzie, zanim dotrze do hotelu Beverly Hills. Dotychczas zawsze uciekała od jednego mężczyzny do innego, ale tym razem po prostu uciekała. Nigdy przedtem nie spotkała kogoś takiego jak Ian Wallace.

Z wyjątkiem drogiego, poczciwego ojczyma.

Denise znów się wzdrygnęła. Nie czas, by teraz o nim myśleć!

Była przy telefonie, kiedy z przylegającego do domu garażu dotarły do niej znajome wibracje silnika samochodowego. Zamarła ze słuchawką w powietrzu.

Wrócił.

Cisnąwszy słuchawkę, rozejrzała się szaleńczo dokoła w poszukiwaniu miejsca na ukrycie walizek. Nie było! Nigdzie! Z okrzykiem prawdziwego przerażenia pobiegła do szafy w przedpokoju i wrzuciła do środka jedną torbę. Walizka zaplątała się w długie płaszcze, zaś Denise, usiłująca wepchnąć do środka drugą torbę i zamknąć drzwi, z trudem powstrzymała się od histerycznego krzyku.

Kroki. Niespieszne. Zmierzające w jej stronę.

Zaciskając zęby, żeby powstrzymać ich dzwonienie, cichutko zamknęła drzwi, krzywiąc się na delikatny szczepek zamka i na palcach przebiegła przez jadalnię do kuchni, byle dalej od zbliżających się kroków Iana.

Siedziała, przy barze, przeglądając kolorowe czasopismo i usiłując powstrzymać drzenie rąk, kiedy pojawił się w drzwiach oddzielających jadalnię i kuchnię. Przez cały czas szedł za nią.

Denise zmobilizowała cały swój ogromny talent aktorski i jedynie rzuciła lekko: - Cześć. - Zresztą co innego można było powiedzieć? Kątem oka spojrzała w jego stronę.

Trzymał jedną z jej walizek.

Drzenie rąk spotęgowało się. Ian powolnym ruchem postawił walizkę na podłodze, otworzył ją i wysypał na stos jej zawartość.

- Chcesz odejść? Idź! - powiedział tym grobowym głosem, którego nauczyła się bać. - Nikt cię tu nie zatrzymuje. Nie musisz się wymykać ukradkiem.

Denise, nadal przeglądając magazyn, myślała gorączkowo. Ogarniała ją panika.

- Słyszałaś, co mówiłem? - Przysunął się bliżej, bezpośrednio za nią. Jedną ręką odgarnął jej włosy z ucha, odsłaniając je. Trzęsła się cała. - Czego się boisz?

- Ciebie - przyznała. Jej ucho było zimne, narażone na atak.

Pochylił się i wepchnął język do jej ucha, zaczął nim wędrować dookoła. Krzywiąc się, Denise starała się nie poruszyć.

- Zupełnie tak jak Lina - wyszeptał, a jego głos odbijał się wielokrotnym echem w jej głowie. - Odchodzisz, zupełnie jak Lina.

Błyskawicznym ruchem chwycił ją za włosy. Denise krzyknęła, szarpiając się, żeby się uwolnić. Uderzył ją i wyciągnął na zewnątrz domu, na brzeg basenu, popchnął na otaczające basen kafelki, zanurzył jej głowę pod wodę i przytrzymał.

Trzy razy i poddała się. Utrata przytomności, wolność przyjęta z otwartymi ramionami. Sięgnęła po nią z radością i miękko ześliznęła się do czekającej na nią wody.

\*\*\*

Całe godziny później. Może minuty. Może wieki. Obudziła się, czując znajomy, brutalny seks. Poczciwy, stary Ian. Pewnie myślał, że umarła i miał ochotę na odrobinę nekrofilii.

Jak przez mgłę dotarło do niej, że znajdują się w jego sypialni. Z zamkniętymi oczami próbowała się wyłączyć, ale po raz pierwszy w życiu nie mogła. Nienawidziła go, jego pochrząkiwania i potu. Była zbyt przytomna, żeby to tolerować. I za bardzo zła. Wspaniale było czuć gniew. Wściekłość przepłynęła przez nią jak życiodajny balsam, płynny ogień, budzący się na podeszwach stóp, rozprzestrzeniający ku górze, ożywiający długo uległe ciało, szalenie piekący.

Jak Rip Van Winkle, spała przez wiele lat i teraz dopiero się budziła.

I nienawidziła. Nienawiścią tak silną, że nigdy nie wydawała jej się możliwa.

Jednak leżała tam, spokojna i pusta, a to zwierzę wyżywało się na niej.

Jedno z jej ramion zwieszało się z łóżka w geście zupełnego oddania. Przy każdym jego pchnięciu czubkami palców muskała bok nocnej szafki. Powoli, bardzo powoli przesuwała rękę ku górze wzdłuż bocznej ścianki z

lakierowanego drewna, zaciskając dłoń w pięść. Jak mocno będzie w stanie go uderzyć? Gdzie? Jak? Żeby przestał na zawsze.

Jej ręka dosięgła blatu szafki i napotkała coś podobnego do skały, twardego, znajomego. Kamienny przycisk Johna. Jej dłoń otoczyła kamień, w opuszkę kciuka wbił się jeden z kryształów.

Z siłą zrodzoną z czystej furii, dziko trzęsącą się ręką uniosła odłamek do góry, po czym najmocniej jak mogła uderzyła w czaszkę Iana Wallace'a.

Runął półprzytomny i Denise uderzyła go powtórnie. I jeszcze raz. I jeszcze. I jeszcze...

Przestała dopiero wtedy, gdy oboje byli zrani jego krwią. Kamień wypadł z jej miękkich teraz palców, ona zaś leżała na plecach, ciężko dysząc i trzęsąc się.

Już po wszystkim, zdążyła jeszcze pomyśleć, zanim zemdlą pod jego ciężarem.

Była już ciemna noc, kiedy Dinah poprosiła taksówkarza, by zatrzymał się przed wejściem do gabinetu doktora Haydena Stone'a. Jej fiat był bezużyteczny - wszystko przez zaawansowany wiek pojazdu i brak zainteresowania Johna Callahana. Biedne autko stało pewnie do tej pory na podjeździe przed domem Jego Wysokości, zimne jak ryba. Ale nie powinna teraz o tym myśleć.

Szczęśliwie poczciwy doktor musiał mieć dziwne godziny pracy, bowiem po wejściu do środka Dinah dostrzegła nadal urzędującą recepcjonistkę. Pomieszczenie było zbyt skromne, nie widać było personelu, nic szczególnego, jednak na Dinah podziałało rozbrajająco. Uśmiechnęła się do ślicznej (ale nie wyniosłej, jak to zwykle) rejestratorki i już otwierała usta, żeby zapytać o doktora Stone'a, kiedy coś w twarzy dziewczyny gwałtownie ją powstrzymało.

Podniecenie. Niedowierzenie. Służalczość.

- Dzień dobry - powitała ją dziewczyna. - Tak się cieszę, że w końcu się pani pojawiła! Od paru tygodni czekał z niepokojem, aby z panią porozmawiać.

Dinah uśmiechnęła się słabo. Odwiedziła już dwóch innych lekarzy i dotychczas nikt nie skojarzył jej z Denise. Inaczej tutaj. Ta recepcjonistka sądziła, że jest sławną siostrą. Stąd wniosek, że to musi być ten właściwy doktor Stone.

- Czy jest u siebie? - zapytała niepewnie Dinah.

- Właśnie kończy. Czy zechciałaby pani poczekać? - Wyglądała na zakłopotaną, że w ogóle pyta.

- Oczywiście. Czy jest tu łazienka, gdzie mogłabym... ?

- Och, prosto, na końcu korytarza. Drugie drzwi po lewej stronie. -  
Wskazała zamknięte drzwi. - Proszę pójść prosto.

Dinah udała się do łazienki. Przeglądając się w lustrze nad umywalką, zbadała swoje odbicie. Tak, była niezwykle podobna do siostry, ale tylko wtedy, gdy szukało się tego podobieństwa. Denise nigdy nie czesała się w koński ogon - jeśli nie była to wymyślna fryzura, ułożona przez jakiegoś słynnego fryzjera - i nigdy, ale to nigdy nie założyłaby wytartych dżinsów.

Nie. Była normalną Dinah Scott. Tylko nie dla lekarza Denise, który spodziewał się ujrzeć swoją sławną klientkę. I nie dla Johna Callahana, który się z nią kochał.

- Psiakrew. - Energicznie wyszorowała ręce. Lady Makbet? - O cholera!

Po powrocie do poczekalni przekartkowała egzemplarz „People”, próbując zignorować ukradkowe spojrzenia pozostającej pod wrażeniem rejestratorki. Albo dziewczyna pracowała tu od niedawna, albo też Denise była jedyną znaną twarzą w praktyce doktora Stone'a.

Pięć minut później niezwykle chuda, bogato ubrana kobieta, której palce zwieszały się pod ciężarem pierścionków, a oplątany wokół szyi gruby naszyjnik z pereł wyglądał jak psia obroża, podeszła do rejestracji.

Recepcjonistka podniosła wzrok, obdarzyła kobietę szerokim uśmiechem, po czym zwróciła się do Dinah.

- Zaraz panią przyjmie.

Kobieta odwróciła się, żeby zmierzyć Dinah wściekłym spojrzeniem.

Dinah zignorowała ją.

- Jego gabinet jest... ?



- Proszę pójść prosto tym korytarzem.

- Dziękuję.

- Mam wyznaczoną wizytę - powiedziała zimno kobieta. Jej spojrzenie nabrało wyrazu dręczącej niepewności. Wyraźnie wydawało jej się, że rozpoznaje Dinah, ale nie była pewna, a w Hollywood zawsze najlepiej było zachować spokój w takich sytuacjach. Tyle, a nawet jeszcze więcej zdążyła się Dinah nauczyć w czasie, gdy tu mieszkała.

- To nie potrwa długo - zapewniała kobietę rejestratorka, podczas gdy Dinah zmierzała do wewnętrznego sanktuarium.

Gabinet doktora Stone'a znajdował się w samym końcu korytarza. Poza małą wizytówką z brązu na drzwiach nie było żadnych ozdób. Wyraźnie doktor nie zamierzał nikomu imponować, co odrobinę zdziwiło Dinah - przecież Denise lubiła ostentacyjność. Jaki rodzaj relacji łączył tych dwoje?

Gdy zajrzała do środka gabinetu, zdziwiła się widokiem samego doktora Stone'a. Był ubrany w niebieską dzinsową koszulę, której rękawy podwinał do łokci, i brązowe luźne płócienne spodnie. Miał jasnobrązowe włosy, ciemne oczy, brązowe, a może orzechowe. Od jego szczupłej sylwetki golfisty promieniował spokój, którego, Dinah była tego pewna, psychiatrzy musieli się uczyć w czasie swoich studiów medycznych.

W niczym jednak nie przypominał gładkiego, wyrachowanego profesjonalisty, jakiego spodziewała się spotkać. Był... jakby to powiedzieć, nęcący.

Na twarzy miał wyraz oczekiwania, niemal gorącego pragnienia, ale gdy tylko ją zobaczył, pojawiło się na niej zaskoczenie.

- Dinah? - zapytał.

Poczuła, jakby ktoś uderzył ją obuchem w głowę! A więc Denise była szczerą z doktorem! Dzięki Bogu, że nie musiała teraz przed nim udawać.

- Siostra bliźniaczka Denise - przyznała, wyciągając rękę nad biurkiem.

Wyglądał, jakby miał kłopoty z nawiązaniem kontaktu. Stał jak przysłowiowy posąg. Doktor Stone zaklęty w kamień. Dinah poczuła perwersyjne ukłucie rozbawienia. Gotowa była się założyć, że nie codziennie udawało się tak całkowicie zaskoczyć doktora Stone'a, jak bez wątplenia był zaskoczony teraz.

- Nigdy o tobie nie wspominała - powiedział.

- Skąd więc wiedziałeś?

- Ktoś inny mi powiedział.

- Kto?

Wpatrywał się w jej twarz tak intensywnie, że poczuła się trochę nieswojo. Przeszła z nogi na nogę.

- Siadaj, proszę - zaproponował.

- Dziękuję. - Przysiadła na brzegu krzeselka. - Kto? - zapytała powtórnie.

- Connor Jackley.

Dinah spojrzała na niego bezradnie.

- Kto? - powtórzyła.

- Connor Jackley. Jest prywatnym detektywem.

Prywatny detektyw... Dinah poczuła nagle lodowaty chłód w sercu. Miała kłopoty z zebraniem myśli.

- Chciał ze mną porozmawiać o Denise - ciągnął doktor Stone - ale nie miałem mu za wiele do powiedzenia. Poinformował mnie o tobie i drugiej siostrze, Hayley. Najwyraźniej jest z nią w kontakcie.

- Co? - słabym głosem spytała Dinah.

- Może chciałabyś się czegoś napić? - zapytał znienacka.

- Wyglądasz tak, jakbyś za chwilę miała zemdleć.

- Hayley powiedziała mu o nas? - powtórzyła.

- Inaczej by tu nie przyszedł. Od jakiegoś czasu próbuję się skontaktować z Denise. Oczywiście, myślałem, że ty to Denise, więc nie dzwoniłem do domu.

- Do domu? - Dinah czuła się jak papuga.

- Do domu w Malibu. Rezydencji Denise i Johna Callahana. Pan Jackley powiedział, że tam przebywa.

- Co? Och nie, nie. To byłem ja. Do niedawna. - W odpowiedzi na jego nierozumiejące spojrzenie, dodała: - Musiałam się wynieść.

- Denise nie jest z panem Callahanem? - Wyglądał na zaniepokojonego.

- Nie. A przynajmniej nie wydaje mi się. - Boże, mam nadzieję, że nie! Ale nie, John był zanadto rozwścieczony i oburzony, by pozwolić Denise - jakiegokolwiek Denise - na ponowne wkroczenie w jego życie. - Rozumiem, skąd temu detektywowi przyszło do głowy, że Denise tam była - rzekła. - Ale to ja tam mieszkałam.

Zmarszczył czoło.

- Nigdy jej tam nie było?

- Nie. - Myśli wirowały w głowie Dinah. Prywatny detektyw! Dobry Boże, o co w tym wszystkim chodziło? - Zostawiła mnie tam w tarapatach,

każąc odgrywać swoją rolę, co szybko okazało się zbyt ryzykowne. Odeszłam więc, ale Denise gdzieś przepadła. - Po chwili, zmartwiona zapytała:

- Jesteś jej lekarzem, czy wiesz, gdzie ona może być?

- Byłem jej lekarzem.

- Byłeś?

- W Houston. Ale nie widziałem jej od czasu, gdy tu wróciłem. Nie skontaktowała się ze mną. - Teraz wyglądał na nie mniej zmartwionego niż Dinah, chociaż z innych powodów. - Byłoby lepiej, gdyby nie kłamała na temat swojej przeszłości.

- Cóż, Denise ma swoje powody - mruknęła Dinah wymijająco.

Doktor Stone był prawdziwym lekarzem.

- A mianowicie?

- Nie przyszedłam tutaj po to, aby donosić na moją siostrę. Szukam jej i myślałam, że mógłbyś pomóc. Ostatnie doniesienia mówiły, że zatrzymała się u przyjaciela w Beverly Hills, ale nie mogę do niego dotrzeć.

- U kogo?

- U Iana Wallace'a z Bev...

- Iana Wallace'a?

- Znasz go? - To był aż nadmiar szczęścia. Poczciwy doktor nie tylko go znał, ale na dodatek zdawał się wstrząśnięty tą wiadomością.

- Słyszałem o nim - przyznał ponuro.

- Przerażasz mnie. O co chodzi z tym Wallace'em?

- Gdzie go spotkała? W Houston? - Zaczął krążyć po pokoju, jedną ręką gwałtownie trąc szczękę.

Dinah czekała w ciszy, wyczuwając niebezpieczeństwo. Doktor Hayden Stone wywarł na niej wrażenie człowieka starannie kryjącego swoje emocje, ale teraz bardzo kiepsko mu to wychodziło.

- Możesz mi zostawić swój numer telefonu i adres? - powiedział niespodziewanie, sięgając po swoją marynarkę.

- Gdzie idziesz? Na litość boską, oszaleję przez ciebie! Jeśli wybierasz się, żeby odnaleźć Denise, idę z tobą! - Skoczyła na równe nogi.

- Panu Jackleyowi wydawało się, że Denise jest w Malibu. Może nie była z Wallace'em. Wspominał, że ją przesłuchiwał.

- Kogo przesłuchiwał?

- Denise - powiedział cierpliwie. - W związku z prowadzonym dochodzeniem, pan Jackley przesłuchiwał Denise.

- Gdzie?

- Nie zapytałem.

- Jakie dochodzenie? - zapytała Dinah, czując że świat wymyka jej się spod kontroli.

- W sprawie zamordowania waszego ojczyma, Thomasa Danielsa.

Nogi odmówiły jej posłuszeństwa. Z powrotem opadła na krzeselko, jakby pociągnięta w dół linami.

- Cofnijmy się, doktorku - powiedziała szorstko. - Potrzebuję troszkę więcej informacji i czasu.

\*\*\*

Pół godziny później Dinah była już wprowadzona w sprawę, zaś co do doktora Stone'a, chociaż jego niepokój o Denise nie zmalął, nie był już tak opętany ideą szukania jej jak dotychczas. Dinah była głęboko poruszona

dochodzeniem w związku ze śmiercią ojczyma i powiedziała o tym doktorowi Stone'owi.

- To nic nie da. Thomas Daniels był sukinsynem, który ranił nas na różne sposoby. Nie żałuję, że nie żyje. Jestem pewna, że Denise i Hayley czują podobnie, jednak rozgrzebywanie tych spraw nie rozwiąże problemów Denise.

- Skąd wiesz? - zapytał z ciekawością.

- Wiem, że problemy Denise zaczęły się od niego. - Widząc jego zdziwione spojrzenie, dodała sucho: - Nie oszukujmy się. Jestem pewna, że mój ojczym ją wykorzystywał. Ale zajęłam się tym - dodała pospiesznie. - Denise cierpi nadal, ale przede wszystkim straciła poczucie równowagi.

- To znaczy?

- Żywi się męskim zainteresowaniem. Taką ma naturę. - Dinah wzruszyła ramionami. - Jak więc mogę znaleźć tego Jackleya?

Doktor Stone pogrzebał w kieszeni i wyciągnął skrawek papieru z zanotowanym numerem telefonu. Uważnie przepisał numer i wręczył kartkę Dinah.

- Chciałbym wierzyć, że Denise nie jest z Ianem Wallace'em - powiedział.

- Jest aż taki okropny?

Usta doktora Stone'a ściągnęły się. Dinah przyszło na myśl, czy przypadkiem także i on nie stracił głowy dla jej siostry.

- Wszystko, co słyszałem, to liczne plotki i aluzje, których nie powinno się powtarzać.

- Daj spokój. Rozmawiamy o mojej siostrze bliźniaczce. Daj mi jego adres.

Pokręcił głową.

- Spróbuję do niej dotrzeć. Jeśli ty pierwsza będziesz z nią rozmawiać, powiedz jej, że chcę się z nią skontaktować.

- A obiecasz, że ty dasz mi znać? - zapytała, uważnie mu się przypatrując.

Ta podejrzliwość wywołała uśmiech na jego twarzy. Dinah dostrzegła, że doktor Hayden Stone jest bardzo atrakcyjnym mężczyzną. Nagle poczuła, że ma chęć go ostrzec, by zachował ostrożność. Polubiła go, a znając Denise wiedziała, że może zostać skrzywdzony.

- Lepiej, gdybym była z tobą, kiedy będziesz rozmawiał z Denise - powiedziała z desperacją Dinah. - Naprawdę.

- Poznałem już wszelkie jej oblicza - zapewnił ją. - Niczym mnie nie zaskoczy, nie zmusi, żebym zaczął o niej gorzej myśleć. Jest moją pacjentką.

Jest kimś o wiele więcej niż tylko pacjentką, doktorku. Wiem o tym, nawet jeśli ty jeszcze sobie z tego nie zdajesz sprawy.

- Zadzwoń do mnie, gdy tylko ją znajdziesz - zażądała Dinah. - Jeśli tego nie zrobisz, jutro rano rozbiję obóz na progu twoich drzwi.

Uśmiechnął się enigmatycznie i ruszył przed nią wzdłuż korytarza, poinformował recepcjonistkę, że wychodzi, wywołując tym gwałtowne narzekanie kobiety w obroży z pereł, po czym wyszedł, nie mówiąc nawet do widzenia. Dinah przez chwilę bawiła się myślą, czy nie ruszyć za nim, jednak zdecydowała, że pozwoli mu działać. Znalazła już przecież drogę do Denise i nie mogła nic zepsuć.

Cierpliwość jest cnotą. Poczekaj więc.

Uważasz, że jesteś taka szlachetna, odezwało się sumienie. Ale nie chcesz spojrzeć jej w oczy, prawda? Ona nie zrozumie tej historii z Johnem. Chciałabyś zachować ten mały sekret, co?

- Drań - mruknęła.

- Proszę? - Rejestratorka wyglądała na zaniepokojoną.

- Myślałam o kimś innym - wyjaśniła Dinah.

- Czy doktor Stone jeszcze wróci? - zapytała władczy tonem kobieta.

- Nie mam za wiele czasu!

- Sądzę, że trzeba będzie przesunąć termin wizyty - odparła zdenerwowana rejestratorka. - Miał pilne spotkanie.

- A ja jestem chińskim cesarzem - oświadczyła gniewnie kobieta. Zwracając się ku Dinah, prawie krzyknęła: - Czy mam udawać, że nie przejmuję się tym, iż wepchnęła się pani przede mną?

Demonstrując większą powściągliwość niż zazwyczaj, Dinah trzymała język na wodzy. Życie niosło za dużo problemów, żeby się zniżyć do poziomu jakiejś egocentrycznej damulki.

- A co ze mną? - wrzasnęła kobieta, gotując się do ostrej walki. - Bardzo chciałabym wiedzieć. Co mam teraz zrobić? - Odwróciła się do Dinah i stanęła przed nią, blokując jej przejście. - Pani weszła zamiast mnie, więc co mam teraz zrobić?

- Daj się wypchać.

\*\*\*

Obecność Connora Jackleya sprawiała, że Hayley zaczynała odczuwać klaustrofobię w swoim mieszkaniu. Powietrze było gęste i nieruchome. Wiedziała, co chciałby usłyszeć. Mogłaby przez cały dzień mówić o



Thomasie Danielsie, gdyby tylko chciała, ale nigdy nie czuła takiej potrzeby. Absolutnie nigdy.

Jego cierpliwość męczyła ją. Sam też nie był zbyt rozmowny, więc każda sylaba, która padała, nabierała dodatkowego znaczenia. Tajemnicą było, jak udawało jej się z nim postępować poprzednio, kiedy spędzali wspólnie czas, skoro teraz za nic w świecie jej to nie wychodziło.

- Doktor Stone nie pomógł mi wiele - podsumował Connor, streściwszy raczej niezbyt owocną rozmowę, jaką przeprowadził z trzymającym język za zębami lekarzem. - Ale był zadowolony, gdy usłyszał, że Denise nie jest już dłużej z Ianem Wallace'em.

- Wallace wygląda na świetnego faceta - powiedziała z przekąsem.

- Nie należę do jego wielbicieli. - Connor był rzeczowy.

- Doktor Stone także nie. - Zmienił temat. - Najwyraźniej Denise była bardzo dyskretna, jeśli chodzi o ciebie i Dinah.

- Denise mu nie powiedziała? - Hayley była zaskoczona.

- Jest jej psychoanalitykiem, a ona mu nie powiedziała?

- Wygląda na to, że nie.

Hayley cieszyła się z całego serca, że nie cierpi z powodu problemów Denise. Jej siostra była pieprzniętą wariatką.

Ale Hayley nie mogła dłużej znieść kolejnego grzebania się w przeszłości.

- Powinieneś chyba już pójść - zasugerowała. - Nie mogę dłużej rozmawiać.

- Nie powiedziałaś nawet dziesięciu słów.

- Nie mam nastroju do pogaduszek, rozumiesz? Jeśli jesteś taki zainteresowany Denise, dlaczego nie pójdziesz jej pomęczyć?

Spojrzał na nią, jakby marzył o poruszeniu innych wątków w tym przesłuchaniu. Jednak Hayley odmawiała współpracy, jeśli więc nie chodziło mu tylko o jej niezbyt błyskotliwe towarzystwo, nie miał powodu, żeby przedłużać wizytę.

Widocznie doszedł do takiego właśnie wniosku, gdyż ociągając się wstał i powiedział: - Sądzisz, że Denise da mi w końcu adres Dinah?

- Zawsze trzeba mieć nadzieję.

Ten sarkazm przywołał na jego wargi przelotny uśmiech. Najwyraźniej facet nie zamierzał się poddać, co jednocześnie przestraszyło i zirytowało Hayley. Miała ważniejsze rzeczy na głowie - jak choćby taśma wideo, którą być może obejrzały już Ważne Osoby.

Na dźwięk telefonu Hayley podskoczyła, jakby ją ktoś dźgnął. Tonja! Porwała słuchawkę i rzuciła: - Słucham?

- Hayley? - załkał głos. Kobięcy głos. Głos Denise. Instynktownie wiedziała, że był to telefon przeznaczony wyłącznie dla jej uszu. A nie Connora Jackleya, chociaż on tak bardzo chciał porozmawiać z jej siostrą. - Tak, tu Hayley - powiedziała bez zastanowienia. Bez słowa pomachała na pożegnanie Connorowi, który sam sobie otworzył drzwi i wyszedł tak wolno, że Hayley ze zgrzytem zacisnęła zęby, żeby stłumić okrzyk zniecierpliwienia.

- Hayley? - głos Denise był wyższy o oktawę.

- Jestem tutaj. Ciii. Uspokój się. Co się dzieje?

- Myślę, że go zabiłam. Nierzeczywisty spokój.

- Kogo? - zapytała, czując, że włosy jeżą jej się na rękach w obawie przed czymś. Deja vu.

- Iana. Iana Wallace'a. Czy możesz... czy możesz mi pomóc?

- Czy jest ktoś z tobą?

- Nie... Jestem sama u Iana - głos był zdławiony.

- Podaj mi adres - rzuciła stanowczo i słuchając przerywanego głosu Denise, nauczyła się go na pamięć.

\*\*\*

Ponad godzinę zabrano Hayley znalezienie domu Iana i kiedy wreszcie tam trafiła, wzięła głęboki oddech, po czym powoli wypuściła powietrze. To była rezydencja. Przeklęty pałac.

Światła były zapalone, kiedy przejeżdżała przez otwartą bramę pod garaż na cztery samochody. Jej stary gruchot jak neonowa reklama, rzucał się w oczy przygodnych gapiów i był łatwy do zapamiętania.

Mogła to sobie wyobrazić. Jakiś nieznośny dzieciak o wybujałej wyobraźni. - Widziałem! Widziałem! Wiem dokładnie, jak wygląda. I był tu tej nocy, kiedy popełniono morderstwo. Zapamiętałem nawet numer rejestracyjny! I widziałem zabójcę! To była kobieta, podjechała tutaj, weszła do domu i naszpikowała go ołowiem.

Albo jakoś inaczej. Denise nie podała szczegółów.

Zadzwoniła do frontowych drzwi, pełna najgorszych obaw.

Nic sobie nie obiecując, sprawdziła drzwi - otworzyły się po naciśnięciu klamki. Szybko wkroczyła do środka i zamknęła je za sobą na zamek. Słyszała głośnie bicie swojego serca.

Z przytomnością umysłu, godną wytrawnego złoczyńcy, udała się prosto do garażu, znalazła przycisk sterujący drzwiami, otworzyła je, po czym spokojnie i sprawnie wprowadziła swój samochód do środka, stawiając na jedynym wolnym miejscu.

Potem wróciła do domu i zaczęła nasłuchiwać odgłosów życia. W domu było cicho jak w grobowcu. Dosłownie. Trzęsąc się, wspięła się po schodach i zaczęła przeszukiwać pokoje, aż dotarła do głównej sypialni w końcu korytarza.

Denise siedziała na podłodze jak katatonik, owinięta kocem, umazana krwią. Na łóżku leżał mężczyzna, twarzą do dołu. Tyle krwi! Kałuże.

Hayley pociemniało w oczach. Oh, Dinah, pomóż!

- Denise - wyszeptała, ale nie doczekała się odpowiedzi siostry.

Aby się zmobilizować, Hayley użyła swego ulubionego sposobu, koncentrując się na wykreowanym w wyobraźni słodkim, sielankowym krajobrazie gdzieś z gór w Oregonie. Potem podeszła do ciała i przyłożyła palce do szyi Iana. Słabiutkie bicie pulsu.

- Żyje - powiedziała z ulgą. - Ledwo. Ale jeszcze nie umarł. - Dostrzegła bryłkę agatu i zaczęła rozważać, czy ją podnieść, czy też lepiej nie.

- To jest zupełnie tak samo, jak było kiedyś - stwierdziła Denise, a jej głos zabrzmiał zdumiewająco wyraźnie w cichym pokoju. - Zabiłam go.

- Nie zabiłaś go.

- Chciałabym, żeby tu była Dinah. Nie wiem, gdzie jest Dinah. - Jęk, prawie krzyk. - Oh nie, wiem. Jest z Johnem!

- Już dobrze, trzeba cię stąd zabrać - powiedziała Hayley, bliska ataku nerwowego. Objęła Denise ramionami i pomogła jej wstać. Przez krótką chwilę zastanawiała się, czy nie wezwać ambulansu, Ian Wallace potrzebował pomocy.

I wtedy dostrzegła siniaki na twarzy i na rękach siostry i przypomniała sobie reakcję Connora Jackleya na dźwięk nazwiska Iana Wallace'a.

- Mam nadzieję, że nie żyje - stwierdziła Denise zimno.

- Zabiorę cię do siebie. - Mówiąc to, Hayley pospiesznie wyprowadziła ją z pokoju, prosto w dające poczucie bezpieczeństwa wnętrze swojego wypożyczonego wraka.

\*\*\*

Czuł się potwornie zirytowany, nie mógł tego pojąć. Hayley to spowodowała, więc widząc pustą lodówkę - wściekły na siebie, że nie było tam nawet jednego przekłętego piwa! - Connor trzasnął drzwiami swojego mieszkania i postanowił pójść za jej radą.

Spotka się z Denise.

Drogę do Malibu pokonał w rekordowym czasie, przez cały czas przeklinając ruch uliczny. Złościła go Hayley Scott. Rozumiał jej desperacką potrzebę zachowania w tajemnicy wydarzeń z przeszłości; jeśli choć połowa z tego, co podejrzewał, była prawdziwa, te trzy dziewczyny miały paskudne życie. Ale czy nie mogła odrobinę ustąpić? Wiedział, że ta obsesyjna pogoń za karierą była jej ucieczką. Nie trzeba być psychologiem na miarę doktora Stone'a, żeby się tego domyślić. Ale czyż on, Connor Jackley, były policjant, był aż tak bardzo groźny, że nie mogła zdradzić nawet odrobiny?

- Niech to piekło pochłonie - mruknął, naciskając guzik dzwonka przy bramie do położonego na plaży domu Callahana. Nie będzie się nią przejmował bardziej niż Denise, czy też zaginioną Dinah.

Żadnej odpowiedzi. Connor niecierpliwie powtórnie przycisnął dzwonek, świadom, że zachowuje się dziwacznie. Co ona mu takiego zrobiła, że tak się czuje?

Zawróciła ci w głowie, ty twardzielu.

- Cholera!

Męski głos zatrzeszczał w interkomie.

- Tak?

- Connor Jackley - odpowiedział krótko, przyjmując, że ma do czynienia z Callahanem. - Chciałbym porozmawiać z Denise Callahan. Jestem prywatnym detektywem.

- Zły adres. Tu jej nie ma. - Odpowiedź była równie zwięzła.

- Czy ona tu mieszka?

- Już nie.

Connor zawahał się, zmieszany.

- Mam informacje o jej rodzinie - kontynuował ostrożnie.

- Czy to historyjka z Indiany, czy może rozmawiał pan z Hayley Scott?

Connor uniósł brwi.

- Rozmawiałem z szeryfem Gusem Dempseyem z Wagon Wheel w Oregonie, gdzie Denise spędziła większość swoich szkolnych lat.

Przerwa. Potem głos zapytał ostrożnie: - O co chodzi?

- Może byłoby lepiej, gdybyśmy porozmawiali bezpośrednio.

Następna przerwa, wreszcie Callahan jakby rozpoznał po głosie Connora wagę sytuacji.

- Psiakrew - wymruczał w odpowiedzi, ale skrzydła bramy zaczęły się uchylać.

\*\*\*

Pisanie, zwykle stanowiące przyjemną ucieczkę od problemów rzeczywistości, nagle zaczęło jej doskwierać, jak bolesny wrzód na tyłku. Rozwścieczona Dinah zaczęła zapisywać stronę po stronie, żeby od razu podrzeć wszystkie kartki na drobne strzępki, jak konfetti.

- Cholera! Psiakrew! Gówno!

Piękne słowa.. Niezbędne w chwilach ogromnego stresu. Potrzebowała Johna.

Sfrustrowana krążyła po pokoju hotelowym, aż poczuła, że dłużej już nie wytrzyma. Oczekiwanie na telefon od psychiatry Denise było chińską torturą i bez względu na to, co obiecywała Flickowi, nie była w stanie zająć się żadną pracą przed skontaktowaniem się z Denise.

Toteż...

Toteż ruszyła do domu w Malibu, mając nadzieję, że może będzie tam John. Oczywiście, mieszkał tam - w pewnym sensie - razem z nią, ale od kiedy ją wyrzucił, jakoś nie mogła sobie wyobrazić, by samotnie plątał się po domu.

Ale nie wiedziała, co innego mogłaby zrobić.

Czterdzieści minut później poleciła taksówkarzowi zatrzymać się przy szeroko otwartej bramie domu. Chwyciwszy torebkę zastanowiła się przez moment, czy nie poprosić kierowcy, żeby poczekał, ale otwarta brama z pewnością świadczyła o tym, że ktoś jest w domu.

- Proszę wjechać - poleciła, a kiedy taksówka zatrzymała się koło nieznanego samochodu, serce Dinah zaczęło walić ze strachu. Czyj to samochód? Innej kobiety?

- Proszę zaczekać - powiedziała, a potem zmusiła swoje nogi, by zaprowadziły ją do frontowych drzwi. Kiedy dzwoniła do drzwi, wymyślała sobie od najgorszych głupców, po czym omal nie uciekła, słysząc odgłos zbliżających się kroków Johna na kamiennej posadzce przedpokoju.

Gwałtownie otworzył drzwi i przez chwilę Dinah stała oślepiąona światłem, bijącym z wnętrza domu.

To był John. Mogła go poznać po sposobie, w jaki się trzymał, jak przechylał głowę, po szczupłej, kowbojskiej sylwetce.

Kocham cię, pomyślała odrobinę desperacko.

- Czyż to nie Dinah? - wycedził tak, że dostała gęsiej skórki. - Dinah Scott. Tajemnicza siostra bliźniaczka mojej żony. Wejź do środka i poznamy się...

RS



To był koszmary wieczór. Właściwie cały tydzień był koszmary. Cóż, czemu na tym poprzestać? Spójrz prawdzie w oczy, Callahan. Całe życie było koszmarnie.

Patrzył na Dinah Scott w błogosławionym odrętwieniu, gotów do zniesienia każdego następnego szoku. Jego pierwszą myślą było: jakaż ona piękna. Drugą: jej oczy kryją więcej tajemnic niż oczy Denise.

Co za wieczór!

Nalewał sobie właśnie drugi kieliszek whisky, zastanawiając się leniwie, czy rusza śladem swojej matki alkoholiczki. Doszedł do wniosku, że ma to gdzieś i wlał w siebie trunek. Kiedy zabręczał dzwonek przy bramie, bez zastanowienia zaprosił do domu prywatnego detektywa Connora Jackleya, żeby porozmawiać o przeszłości swojej byłej żony.

Powinien był odesłać faceta. Kogóż to w gruncie rzeczy obchodziło? Ale skusiły go te uwagi o Wagon Wheel, Oregon-Bohunk, USA, choć nigdy o nich nie słyszał - i, powiedzmy uczciwie, sama wzmianka o Denise wystarczyła, żeby obudzić jego zainteresowanie - i pożądanie - choć ciężko się było do tego przyznać.

Nie spodziewał się jednak takiej historii. O nie. Tego nie oczekiwał!

Morderstwo? Z Denise w samym centrum wydarzeń? Cholera! Powinien spisać przeklętą historię i sprzedać ją za kupę forsy.

Przez chwilę w nią nie uwierzył. Jednak Connor Jackley, były policjant z Los Angeles, nie sprawiał wrażenia człowieka, który mógłby popełniać gigantyczne błędy. A to byłby kolosalny błąd, gdyby cała historia okazała się nieprawdą. Musiał więc przyjąć opowieść Connora jako

prawdziwą. To znaczy jej część, dotyczącą morderstwa. Wplątanie w to Denise? To już inna sprawa.

- Sądzi pan, że Denise zabiła swojego ojczyma, Thomasa Danielsa - podsumował John, kręcąc w rękach staroświecki, pusty już kieliszek.

- Chciałbym jeszcze raz z nią porozmawiać.

- A więc rozmawiał już pan z nią?

- Raz.

- O tym? - John nie chciał być drobiazgowy, ale miał kłopoty, żeby uwierzyć w to wszystko. Ani razu, w żadnej wypracowanej bajeczce, Denise nie wymieniła Oregonu jako miejsca, gdzie mieszkała. Oczywiście, był ten idiota, utrzymujący, że spłodził z nią dziecko, ale brak jakiegokolwiek reakcji ze strony Denise skłonił Johna do uznania, że to jeszcze jeden wariat, szukający swoich pięciu minut rozgłosu.

Jackley skinął głową.

- Rozmawiał pan z nią o jej życiu w Wagon Wheel i morderstwie ojczyma.

- Powiedziałem jej, że Thomas Daniels nie żyje i że prowadzę śledztwo. - zgodził się Jackley.

- I co ona na to?

- Czy ona tu mieszka, czy nie? - odpowiedział pytaniem na pytanie Jackley.

- Podpada raczej pod kategorię „czy nie”. Przeniosła się do hotelu.

- Niedawno?

- Tak.

To skłoniło go do myślenia. Także w głowie Johna kłębiły się najróżniejsze myśli. Chociażby pytanie, czy to ma coś wspólnego z twierdzeniami Hayley Scott, czy też obie historie są zbieżne przypadkiem?

- A więc nie sądzi pan, że to Denise popełniła ten podły czyn? - zapytał John.

- Jak długo tu przebywała, zanim się wyprowadziła?

- Nie wiem doprawdy. Miesiąc, może dwa albo trzy. Będzie pan ją musiał spytać.

- Mieszkała tutaj ponad miesiąc?

- To właśnie mówiłem. Co to ma za znaczenie? Wspominał pan, że facet nie żyje od wielu lat.

Czy naprawdę uważał, że Denise jest zdolna do popełnienia morderstwa? Nie. W żaden sposób. Miała skłonności do samozniszczenia, ale nie była zabójcą.

John w zakłopotaniu nalał sobie następną szklaneczkę whisky. Problem polegał na tym, że pomysł był uzasadniony. Denise, niech będą przeklęte jej cudowne oczy, była zdolna do wszystkiego.

- Podano mi inny adres, pod którym mógłbym ją znaleźć - mruknął Jackley, marszcząc brwi.

- Tak? Kto panu podał?

- Jej siostra.

John uniósł brwi. - Uwierzył pan więc w bajeczkę Hayley Scott?

- Jeśli bajeczka mówi o tym, że chodziły do szkoły w Wagon Wheel aż do śmierci matki, a potem mieszkały ze swoim ojczymem, to wiem, że jest prawdziwa. Ale jest w niej wiele dziur.

- Pan wie, że to prawda. - John trawił tę informację, po czym oświadczył otwarcie: - Denise by nikogo nie zamordowała. - Oczywiście, był na nią wściekły, ale nie, nigdy w to nie uwierzy - nie mógłby uwierzyć.

- Razem ze swoimi siostrami mieszkała z Danielsem aż do czasu, gdy zniknął. Sądzę, że wiedzą, dlaczego zniknął, a może także kto go zamordował.

- Powiedział pan „z siostrami”?

- Z Hayley i Dinah.

John wybuchnął śmiechem. Nie mógł się powstrzymać. - Hayley i Dinah. W porządku, poznałem Hayley. Czy to ona poczęstowała pana tą bezsensowną historyjką?

- Szeryf okręgu Deschutes, Gus Dempsey...

- Tak, tak, tak. - John przerwał mu. - Mówił mi pan już o szeryfie. To on dostarczył panu tych szczegółów?

- Poprosił mnie o zbadanie śmierci Daniela i obaj zdecydowaliśmy, że najlepiej będzie rozpocząć sprawę od jego trzech pasierbic. Jego żona, Nina, matka dziewczynek, zmarła nieco wcześniej w tym samym roku i przez wiele miesięcy, zanim wyjechały, mieszkali razem.

- I co to ma być, do diabła? - zapytał John. - Czy wie pan, ile różnych życiorysów ma Denise? Nie wierzę w ani jedno słowo! Musi pan ją poprosić, żeby powiedziała prawdę, życzę panu powodzenia. Podejrzewam nawet, że sama może już nie wiedzieć, jak wyglądała prawda.

- Jak mogę się z nią skontaktować?

- Zameldowała się w jakimś hotelu. - John wzruszył ramionami, z ukłuciem żalu przypominając sobie ostatnie zjadliwe słowa, jakie między nimi padły. - Przynajmniej powiedziała, że tak robi.

- Nie wspominała Iana Wallace'a?

Zaskoczony John nie odpowiedział od razu.

- Ian Wallace - powtórzył śmiertelnie poważnym głosem. - Co ten łajdak ma z nią wspólnego?

- Zna pan go? - Jackley sprawiał wrażenie zaciekawionego.

- Nasze drogi przecięły się. Przez krótki czas Wallace był związany z moim ojcem.

To było wyjątkowo zwięzłe powiedziane, ale John nie zamierzał się rozwodzić, Ian Wallace, podstępny kundel, umiał posterować Sampsonem tak, że sam zajął miejsce syna, jakiego Sampson zawsze pragnął mieć. Pieniądze i siła stanowiły przynętę i Wallace doprowadził do tego, że Sampson niemal jadł mu z ręki. Och, zamierzali zrobić razem tyle filmów! Z gigantycznym majątkiem osobistym Iana oraz potężną dystrybucją i promocją Titan Studios - nie mogli przegrać.

Sampson zdręczał tym Johna. Zerwał z nim stosunki. John chciałby wierzyć, że to brak zainteresowania z jego strony zmusił w końcu Sampsona do zrozumienia, że przygotowuje Iana Wallace'a do objęcia pozycji, jakiej John nigdy nie pragnął i nigdy by nie przyjął. Ale tak naprawdę, to zaczynające się pojawiać rysy w charakterze Iana i przenikliwość samego Sampsona ocaliły go przed zgubnymi konsekwencjami. Bo na pewno byłyby zgubne, gdyby Ian zdobył dominującą pozycję. Facet był niezwykle bogaty, jednak wokół aż roiło się od plotek. Był wyzuty z wszelkich zasad moralnych i zepsuty. Najwspanialsza uroda, największy powierzchowny urok nie wystarczały, by przysłonić jego zasadniczą pustkę.

Sampson miał szczęście.

- Denise się z nim zadaje? - zapytał John, wyrzucając słowa jak z karabinu.

- Kiedy ją przesłuchiwałem, miałem wrażenie, że z nim mieszka.

- Kiedy pan ją przesłuchiwał?

- Parę tygodni temu.

John zamarł. Parę tygodni temu dzielił łóżko z Denise. Poczłł ciarki na skórze.

Coś kołatało mu się po głowie. Jakiś strzęp informacji, który nie miał sensu. Coś, o co chciał zapytać wcześniej. Usiłował wydobyć to na powierzchnię, ale zanim zdołał, Jackley mu przypomniał, o co chodziło.

- Czy ma pan adres Dinah? Dotychczas nie spotkałem jej jeszcze.

Słowa wyrwały mu się z ust, chociaż wiedział, że zabrzmiały głupio.

- Kto to jest Dinah?

Spojrzenie Jackleya było ostre. Obserwując go, John niemal mógł zobaczyć jakie kalkulacje przeprowadzał w głowie, wiedział, że nie spodoba mu się to, co za chwilę miał usłyszeć.

- Dinah jest siostrą bliźniaczką Denise, identyczną.

Po raz drugi John odrzucił głowę do tyłu i zaśmiał się, w części z czystego rozbawienia, w części zaś była to historyczna reakcja i wtedy dźwięk dzwonka przy drzwiach wypełnił cały dom.

Miał dokładnie pół minuty, żeby przetrwać bombę Connora Jackleya. Pół minuty, żeby złożyć wszystkie informacje do kupy, w boleśnie raniącą całość. Pół minuty, żeby zrozumieć, że Denise, jego śliczna, kłamliwa była żona miała bliźniaczkę, do której nigdy się nie przyznała, nigdy nie zrobiła żadnej aluzji. Pół minuty, zanim gwałtownie otworzył drzwi i stanął z nią twarzą w twarz. Wiedział, że to była Dinah, w jakimś głębokim zakamarku

duszy wiedział od chwili, gdy po raz pierwszy natknął się na nią śpiącą w pokoju gościnnym.

Teraz Dinah rozchyliła usta, zaskoczona jego szyderczą, fałszywie przyjacielską miną. John nagle uwierzył i zrozumiał. To nie była Denise! Spał z obcą osobą, która nigdy nie powiedziała ani słowa prawdy.

Pisanie. Fiat. Brak makijażu. Dziwne humory.

Czuł się tak, jakby otrzymał cios w żołądek. Z ledwością mógł oddychać.

- John... - wyszeptała tęsknie.

Gwałtownie odwrócił się w stronę Connora Jackleya, który stał w głębi i z ponurą miną przyglądał się nagle przygasłej, jasnowłosej kobiecie w drzwiach.

- Dinah? - zapytał, ona zaś spojrzała na niego tępo.

John nie mógł na nią patrzeć. Nie mógł mówić. Podszedł wprost do butelki whisky, nalał sobie niezłą miarę, po czym opadł na krzesło przy kuchennym stole. To było coś więcej niż odrętwienie. Po prostu przestał istnieć. To już nie była rzeczywistość - i powitał to z radością.

Wrócił Jackley, a za nim Dinah.

Po chwili nabrzmiałej ciszy odezwał się Jackley. - Boję się, że Denise nadal musi być z Ianem Wallace'em. Wybieram się tam teraz.

- Jadę z tobą. - Dinah z energią zabrała się do działania. Zadzwoił telefon i cała trójka podskoczyła, jakby przyłapano ich na niecnym uczynku. Odebrał John.

- Halo?

- Cześć, nie można cię złapać w pracy - lekkim tonem odezwała się Susan Markson. - Teraz też sądziłam, że odezwie się automatyczna

sekretarka. Wiesz co? Sprawdziłam tę taśmę, którą przysłałeś. Jest bardzo podobna do Denise, prawda? To dynamit, John. Mówię ci, zgódź się. Znalazłeś swoją Tonię.

- Czy to Denise? - wyszeptała niespokojnie Dinah.

Spojrzał na nią. Nawet w stanie obecnego nieładu - z włosami wymykającymi się z ogonka, z rozszerzonymi strachem oczami, z drżącymi ustami - była jak afrodyzjak, zbyt silny, aby go zignorować. Nienawidził się. Nienawidził jej.

- John? - Susan przerwała ciszę pytaniem. - Czy zadzwoniłam w złym momencie?

- Odeślij kasetę do mojego biura - udało mu się odpowiedzieć.

- Jasne.

- Porozmawiamy jutro.

Chciało mu się śmiać. Jutro. Praca. Kręcenie filmu. Hayley Scott jako Toni, ostatnie odkrycie Johna Callahana.

Connor Jackley i Dinah - piękna, kłamliwa suka - czekali.

- Pojedziemy wszyscy - powiedział John odsuwając szklaneczkę. Zajmie się tym wszystkim później. Przyzwoita, rycerska strona jego natury, lekko tylko przykurzona, nadal uznawała priorytety, Ian Wallace był wyrzutkiem społeczeństwa, a Denise znajdowała się w jego łapach - może chciała tam być, ale jeśli powstała ekipa ratunkowa, miał zamiar zostać jej członkiem.

\*\*\*

Dom Iana Wallace'a był rzęsiście oświetlony, niemal z każdego okna wydostawał się na zewnątrz kwadrat światła, padającego na ziemię. John i



prywatny detektyw, Connor Jackley, energicznie podeszli do drzwi wejściowych, zaś Dinah pozostała z tyłu.

Była jak w transie. Wszystko zdawało się wyraźne i niebezpieczne. W głowie tańczyły jej obrazy z innego okresu, kiedy ocalała swoją siostrę. Tylko że wtedy nikt nie wiedział. Wtedy mogła wszystko ukryć.

- Drzwi są otwarte - powiedział zaskoczony Jackley. Dotychczas bezskutecznie dzwonił do drzwi i walił w nie jak oszalały. Teraz, po niemal niezauważalnym zastanowieniu, wszedł do środka, mając Johna tuż za plecami. Dinah, ze zjeżonymi włosami, podążała w pewnej odległości za nimi.

W domu było pusto i głucho. Jakby nie było w nim życia. Mężczyźni pobieżnie przejrzeni pomieszczenia na parterze, po czym udali się na górę. John ani razu na nią nie spojrzał. Nie mogła go o to winić.

Osiem lat temu też czuła się dziwnie, jak automat. Osiem lat temu zrobiła to, co musiała zrobić. Nigdy się nad tym nie rozwodziła. Była osobą odpowiedzialną za wszystko i zrobiła to, co do niej należało.

W tym momencie usłyszała przytłumione przekleństwo Johna, na pewno jego, bowiem Connor Jackley rzadko reagował na coś mniejszego niż koniec świata. Przyspieszyła kroku.

Na progu głównej sypialni stanęła jak wryta, oddech u wiązł jej w gardle, zaczęła się dusić. Wszędzie krew. Plamy krwi na łóżku i na dywanie. Krew na głowie mężczyzny, leżącego twarzą do dołu na skotłowanej, poplamionej na brunatnoczerwono pościeli.

- On żyje - zwięźle rzucił Jackley, trzymający palce na szyi mężczyzny. Sięgnął po telefon i wykręcił numer pogotowia. Spokojnie

podał adres, rzucając spojrzenia w stronę Dinah. Patrzyła na wszystko bez słowa. Gdzie była Denise?

John ponuro obserwował całą scenę, jakby zbyt wstrząśnięty, żeby się odezwać. Może istotnie był wstrząśnięty.

Wzrok Dinah przykuł znajomy, inkrustowany krwią przedmiot, leżący na podłodze, w fałdach opadającej z łóżka kołdry. Agatowy przycisk, stwierdziła i serce jej zatrzepotało. Kryształ były oblepione ceglastą i brązową mieszaniną lepkiej krwi i włosów.

Drżenie ogarnęło ją całą, od stóp do głów. John spojrzał na nią pustym wzrokiem.

Może gdyby go nie widział. Może gdyby podniosła przycisk i go ukryła. Może jeszcze wtedy ocaliłaby Denise.

Denise była złodziejką.

Ta myśl dostarczyła jej ponurej pociechy. Denise wśliznęła się do domu. Denise wołała szpiegować i kraść niż porozmawiać z siostrą. Denise musiała wiedzieć o niej i o Johnie.

- Gdzie ona jest? - chrapliwie powiedział John. Connor spojrzał na niego, a potem na Dinah, której blada twarz i sine usta zdradzały mękę.

Pomyślał o tajemniczym telefonie do Hayley. Już wiedział.

Przenikliwy, odległy sygnał ambulansu był jedynym dźwiękiem w ciszy, która zapadła, gdy każde z nich pogrążyło się w swoich własnych myślach.

\*\*\*

Prysznic pryskał i pluł, mocząc Hayley tył bluzki, kiedy nachylała się nad siostrą. Tarła zażarcie, mocno i szybko, niemal spazmatycznie. Krew spływała różowymi strużkami z rąk i ciała Denise. Siedziała pod

prysznicem, szcękając zębami, trzęsąc się, niema i wpatrzona w jeden punkt. Prawie jak w letargu.

- Przestań - syknęła jej do ucha Hayley. - Do diabła, Denise. Weź się w garść!

Potrząsnęła nią energicznie.

Hayley podniosła się, obserwując płynącą wodę. Denise nadal miała na sobie ubranie. Brak czasu, żeby ją rozebrać. Brak czasu.

- Zabiłam go - powiedziała drżącym głosem Denise. - Zabiłam go.

Hayley popędziła do sypialni i porwała szaroniebieskie dresy i jakąś bieliznę. Brak czasu. Zupełny brak czasu, bo zaraz przyjdą jej szukać.

- Umyj się - rozkazała Hayley. - Zrób to natychmiast! Przyniosłam ci ubranie.

Pół godziny później Denise opadła miękko na poduszki kanapy Hayley. Siedziała wyprostowana, ale się ześlizgiwała, jakby w środku cała była płynna.

- Potrzebuję Stone'a - jęknęła.

- Kogo? - Hayley przystanęła przed nią.

- Stone'a... doktora Stone'a.

- Na litość boską, Denise!

- Skoro Dinah mi nie pomaga, to on mi pomoże. - Miała głos małej dziewczynki.

- Podyktuj mi numer - zażądała Hayley, sięgając po telefon. Jej własne palce tak się trzęsły, że wydało jej się, że aż grzechoczą.

Nagrana wiadomość. Telefon w pilnych przypadkach. Hayley wybrała ten numer i dowiedziała się, że doktor Stone do niej oddzwoni. Nie

spodziewała się szybkiej odpowiedzi, toteż podskoczyła ze strachu, kiedy telefon zadzwonił prawie natychmiast.

- Zaraz tam będę - stwierdził zdecydowanie, a kiedy się rozłączył, słuchawka wypadła Hayley z dłoni.

Dinah, błagała bez słów. Pomóż nam.

\*\*\*

Policjanci byli dokładni i niezwykle taktowni. Myśleli, że to ona jest Denise, byli zakłopotani, gdy Connor Jackley poinformował ich, że jest jej siostrą bliźniaczką. John stał z boku, wpatrzony w okno, stanowiąc integralną część wydarzeń, jednak daleki jak planety na niebie.

Nie schowała przycisku z agatu. Został zabrany, zamknięty w plastikowej torebce i opisany. Już to słyszała. Dowód A. Los Denise Scott Callahan był przypieczętowany.

Connor Jackley przydryfował ku niej.

- Nie wiemy, co się zdarzyło - przypomniał jej spokojnie. W uśmiechu Dinah nie było radości.

- Wiemy.

Connor konferował z detektywami. Dinah i John zostali zwolnieni, przypomniano im jednak, że będą jeszcze przesłuchiwani. Też niespodzianka.

Connor wysadził ich koło domu w Malibu.

- Muszę wezwać taksówkę - bezbarwnym głosem odezwała się Dinah.

John skinął głową. Weszła za nim do środka, gdzie John usiadł ciężko za stołem kuchennym. Jego szklaneczka z whisky stała dokładnie tam, gdzie ją zostawił, tylko kostki lodu się rozpuściły. Nie sięgnął po nią jednak.

- Dlaczego mi nie powiedziałaś? - zapytał.

Dinah ledwie znalazła siły, żeby odpowiedzieć.

- Chciała tego domu. Chciała ciebie. I chciała, żebym wszystkiego dopilnowała w czasie, kiedy ona będzie korzystała z profesjonalnej pomocy medycznej.

Spojrzenie, które jej rzucił, było szybkie i ostre jak brzytwa. Myślał o tym, jak się kochali. Dinah zaczerwieniła się i z bólem odwróciła wzrok.

- Popsułam wszystko jeszcze bardziej - mruknęła.

Zapadła ciężka cisza, którą przerwał John.

- Jak sądzisz, gdzie ona może być?

Dinah potrząsnęła głową.

Jeszcze jedna śmiertelna chwila ciszy, po czym sięgnął po słuchawkę telefonu i powiedział:

- Wezwę ci taksówkę.

Zatopiona w nieszczęściu Dinah mogła się tylko przypatrywać. Kiedy skończył rozmowę, nie spojrzał na nią. Po niewczasie chwycił za swój kieliszek. W głębokiej ciszy czekali na taksówkę dla Dinah.

\*\*\*

Płynęła... płynęła po morzu wspomnień. Złych wspomnień, broczących krwią. Już kiedyś zabiła. I zabiła znowu. Ten, kto powiedział, że za każdym razem jest łatwiej, miał rację. Tym razem czuła się jak znieczulona, odrętwiała, jej kończyny pogrążone były w dobrze znanym, trochę niemiłym doznaniu, jakby biliony malutkich, cienkich igieł wbijały się pod skórę.

Nie była sama. Jak przez mgłę zauważyła, że jest tu Hayley. I jeszcze ktoś. Ciepłe, męskie ciało tuliło ją.

- Stone - wybełkotała, język miała spuchnięty.

- Jesteś w szoku - jego głos dobiegał do niej jak spod wody. Znów to wrażenie, że pływa. - Czy możesz mi powiedzieć, co się stało?

- Nie teraz. - Wtuliła się w jego ramiona, oddychając głęboko. Pachniał cudownie. Nie tym zapachem szpitala, jakiego na wpół oczekiwała. Pachniał czystością i świeżością, ostro. Nieznana jej męska woda po goleniu.

Wszędzie wokół niej zacierające się głosy. Strzępy rozmowy. -... Wezwać policję... śmierć Wallace'a... sama się zgłosi...

- Nie! - krzyknęła Denise, wynurzając się. - Nie chcę, żeby ktokolwiek wiedział.

- Musisz mi opowiedzieć, co się stało - powiedział łagodnie Stone. Słyszała dźwięki odbijające się w jego klatce piersiowej, kojące dudnienie.

- Zabiłam go.

- Ciągłe to powtarza. - Głos Hayley, znużony i przestraszony.

- Ale żył jeszcze.

- Tak.

- I wezwałeś pogotowie?

Chwila wahania.

- Nie - odparła ponuro Hayley. - Mam nadzieję, że umrze.

- Na miły Bóg!

Gramolenie się do telefonu, a potem rzeczowy głos Stone'a, udzielający wskazówek. Chwilę później.

- Ktoś już wezwał karetkę.

- Kto? - Hayley, teraz naprawdę przerażona.

- Ten, kto znalazł ciało...

Dryfowanie... chwianie się... kołysanie. Denise uniosła jedną powiekę i stwierdziła, że Stone był w drugim końcu pokoju i spoglądał na Hayley surowo, niemal gniewnie, jak to czasami robił. Poczowała nagłą zazdrość. Stone należał do niej i tylko do niej.

- Proszę na nią spojrzeć - spokojnie oznajmiła Hayley.

- Sądzi pan, że kiwnęłabym palcem, żeby mu pomóc? Oboje zwrócili się w jej stronę. Denise poczuła niewyraźnie, jak opuchnięta i niekształtna jest jej twarz, Ian ją uderzył. Mocno. Z jękiem schowała twarz w poduszkę, dotarło do niej, jak okropnie musiała wyglądać. Policzki palił jej dotyk jedwabnej pościeli. Oczy napęłniły się łzami bólu.

Stone znów był przy niej, rękę położył na jej ramieniu.

- Denise?

- Idź sobie.

- Nie możesz się tutaj schować. Hayley powiedziała, że mieszkałaś z Ianem Wallacem. Twoje odciski palców muszą być w całym domu. To tylko kwestia czasu.

- Nie ma czasu - mruknęła Hayley, wciągając powietrze przez zęby.

- Pobił cię. To oczywiste - kontynuował spokojnie Stone.

- Powinnaś powiedzieć policji.

Niezdarnym ruchem Denise sięgnęła po jego rękę, niezdolna do uniesienia twarzy ponad schronienie poduszki. Silna dłoń uścisnęła gorąco jej rękę.

- Przytul mnie - wyszeptała.

Otoczył ją ramionami. Choć raz jego profesjonalizm nie musiał walczyć z potrzebą niesienia ukojenia. Denise załkała. Głośne, wściekłe stukanie.

- O cholera - jęknęła Hayley. Stone rozluźnił swój uścisk.

- Otwórz.

Zimny powiew na jej chłodnym ciele. Denise zatrzęsała się bezwiednie.

- Doktor Stone. - Connor Jackley przywitał się ponurym głosem. - No tak. Miałem nadzieję, że znajdę tu Denise. Policja chce ją przesłuchać w związku z próbą zabójstwa Iana Wallace'a...

\*\*\*

Hayley piła czarną kawę, chociaż była zwolenniczką śmietanki w każdej postaci, prawdziwej śmietanki, mleka, śmietanki w proszku, czegokolwiek. Ale wszędzie kręcili się gliniarze, wszędzie roiło się od nich, było ich pełno, zadawali pytania.

I prasa! Świat był niedyskretny. Na zewnątrz były całe stada reporterów. Jej budynek stał się nagle najbardziej interesującym punktem w Los Angeles. Jutrzejsze gazety będą krzyczały!

Denise Scott aresztowana za usiłowanie zabójstwa. Aktorka rozbija czaszkę byłemu kochankowi.

Wielka gwiazda wybiera rolę morderczyni w prawdziwym życiu.

Doktor Stone do wszystkiego się wtrącał. Obawiał się o zdrowie psychiczne Denise - i miał ku temu powody. A Connor, cóż, jak zwykle był w samym środku wydarzeń.

Przez cały wieczór szukał wzrokiem jej oczu, ale Hayley odwracała spojrzenie. Nie mogła znieść szczegółowych badań. Nie teraz.

Jakby słysząc jej myśli, podszedł do niej. Ubiegła go, zanim się odezwał.

- To wszystko spycha śledztwo w sprawie morderstwa mojego ojczyrna na dalszy plan, prawda?



- Nie znoszę takich sytuacji. Takiej tragedii - powiedział gorzko.

- Drań zasłużył sobie. Connor skinął głową.

Siniaki Denise wyglądały coraz gorzej. Jej twarz przypominała maskę. Na szczęście kolega Connora z policji o imieniu Bennie zrozumiał sytuację i sam zaczął przepędzać fotoreporterów.

- Daniels zasłużył na to - zauważyła Hayley.

- Pewnego dnia może opowiesz mi, co się naprawdę zdarzyło.

- Musiałabym najpierw sama sobie przypomnieć.

Leciutko się uśmiechnął, a jego szare oczy, chociaż zmęczone, pełne były czegoś, czego Hayley nie potrafiła nazwać, czegoś, czemu bała się zaufać.

- Już sobie przypomniałaś - powiedział.

Wrócił do Denise, która przywarła do doktora Haydena Stone'a jak do liny ratunkowej. Spojrzenie Hayley omiotło plecy Connora, jego znajome kształty.

Już pamiętam, pomyślała. Już pamiętam.

Dinah bębniła w klawiaturę swojego przenośnego komputera, dopóki monitor nie zamigotał ostrzegawczo. Czekwała, wstrzymując oddech, oczekując najgorszego. Fiat - niech spoczywa w spokoju - był prawdziwym utrapieniem. Natomiast utrata jedyne go posiadanego edytora tekstów byłaby katastrofą. Mruganie ustało i na ekranie pojawił się pisany przez nią tekst. - ... i co wyznacza prawo do prywatności? Czy prasa ma prawo - albo, jak utrzymują niektórzy, obowiązek - grzebać w życiu sławnych ludzi? Jeśli jakaś historia zostanie uznana za godną wzmianki, czy oznacza to, że nikt nie jest bezpieczny? Jak wyznaczyć granicę? Czy powinna w ogóle istnieć? A jeśli nie, to co z ludźmi, którym analizuje się duszę, sądzi, uznaje za winnych i porzuca jak ścierwa? Co stanie się z Tonyami Harding, Michaelami Jacksonami, Denise Scott Callahanami kiedy my, prasa i publiczność, już z nimi skończymy?...

Redagowanie programów. Jej nowa praca. Przed kamerami lokalnej stacji telewizyjnej, KBLA.

Dziewięć miesięcy po klęsce z Denise i Ianem Wallace'em.

I Johnem Callahanem.

Dziewięć miesięcy po tym, jak Flick odmówił opublikowania jej pełnego gniewnej pasji artykułu o mężczyznach, kontrolujących życie kobiet. Dziewięć miesięcy po tym, jak zakończyła współpracę z „Santa Fe Review” i przyjęła świetnie płatną posadę w jednej z gazet w Los Angeles. Dziewięć miesięcy po tym, jak redaktor naczelny tej gazety przerobił jej artykuł o sprawie Iana Wallace'a, pisane od strony Denise, nadał mu brukowy charakter i podpisał imieniem i nazwiskiem Dinah - nic jej o tym

wszystkim nie mówiąc. Dziewięć miesięcy po tym, jak powiedziała temu obleśnemu zgniłkowi, że ma go gdzieś i rozpoczęła pracę w stacji telewizyjnej.

Boże, jakże nienawidziła Los Angeles!

Ale teraz tu był jej dom. Dwupokojowy apartament w Westwood, wystarczająco modny, aby ją zadowolić, wystarczająco mały, aby przypominać, że nie jest nagle odkrytą znakomitością, za jaką wszyscy chcieli ją uważać.

O tak. Stało się: CHODŹCIE, CHODŹCIE WSZYSCY! ZOBACZCIE SIOSTRĘ BLIŹNIACZKĘ ZWARIOWANEJ ZABÓJCZYM!

- Cholera - mruknęła, wstukując wściekle komendę drukowania. Papier zaczął się wysuwać z malutkiej drukarki, połączonej, jak pepowina, z przenośnym komputerem.

Podeszła do przesuwanych szklanych drzwi balkonowych i zapatrzyła się na spowite mgiełką smogu sąsiednie budynki. Znienacka została osobistością przez duże „O”. Chociaż wcale tego nie zamierzała, wcale nie pragnęła, stała się poszukiwana i sławna jak Denise. A „Current Affair” i „Inside Edition” obiecywały gigantyczne pieniądze za jej kilka minut. - Proszę mówić, o czym tylko pani zechce - zapewniał ją producent.

O tak. Dobrze. Tak to funkcjonowało. Tematem będzie słowo, zaczynające się na literę „D”. Denise, Denise, Denise. I, no tak, Dinah. Bliźniaczka Denise. Ale kto by się naprawdę przejmował tym, co ma do powiedzenia, gdyby nie mówiła akurat o Denise! Denise...

Samolubne rozważania Dinah nagle przerodziły się w analizę jej prawdziwych uczuć. Denise miała kłopoty i, dzięki Bogu, poddała się leczeniu. Doktor Hayden Stone z nieodpowiedzialnego psychoanalityka

przeistoczył się w zaangażowanego i przesadnie troskliwego lekarza. Gdyby nie doktorek Stone, kataklizm wywołany pobytym Iana Wallace' a w szpitalu mógłby na zawsze pogrzebać Denise.

A Ian żył. Żył wystarczająco długo, by nazwać Denise podstępny babskiem, które zamierzał wsadzić do więzienia na resztę jej życia. W tym czasie Dinah uważała, że przed telefonem do Hayley Denise powinna się była upewnić, że Ian nie żyje. Wbijał ostatnie gwoździe do jej trumny, ten podły gad, a wydarzenia nieuchronnie zmierzały w korzystnym dla niego - ofiary - kierunku.

I wtedy, nagle, mnóstwo pozwów wylądowało pod drzwiami Iana. Dawne przyjaciółki, które zostały pobite, zgwałcone i upokorzone, zaczęły brać odwet. Przypadkiem poznane kobiety, które miały nieszczęście znaleźć się same w towarzystwie mężczyzny, kryjącego swoją potworność pod maską dość przyjemnego wyglądu, okularów i pochlebnych żartów. Nieudacznice życiowe, które, przyłgnąwszy dla pieniędzy do człowieka tak marnego, jak Ian, potem cierpiały straszliwie w jego okrutnych rękach. Każdy, kto za bardzo się bał, żeby stanąć na drodze potężnego, bogatego samotnika, Iana Wallace'a. Teraz przyływały fala za falą, bezlitosna armia pokrzywdzonych kobiet, które podjęły batalię w imieniu Denise Scott Callahan.

W ciągu jednej nocy Ian Wallace zmienił się z człowieka sławnego w otoczonego złą sławą, a Denise z nieznówważonej morderczyni stała się bohaterką brukowej prasy. Wspaniała ironia losu, szkoda tylko, że Denise była zbyt rozbita, aby to docenić.

Dinah oskarżała Iana słowami. Pióro było skuteczniejsze od miecza. Pisała artykuł za artykułem o naturze takich wyrzutków jak Ian Wallace.

Tymczasem Iana, powracającego do zdrowia w szpitalu, bombardowali dziennikarze i fotoreporterzy. Ci, którzy go znali, tacy jak Rodney Walburn III, szef Titan Pictures, szybko umyli ręce i odcięli się od związków z potworem.

Wtedy Iana wypuszczono ze szpitala, a prześladowający go dziennikarze zaczęli koczować pod jego drzwiami. Nie było chwili wytchnienia dla niegodziwca.

Dinah nie czuła żalu, kiedy znaleziono jego ciało, dryfujące w basenie. Za dużo wypitego alkoholu - być może topił w nim swoje zmartwienia? Nikt nie opłakiwał jego łabędziego śpiewu. Jednak te wydarzenia skłoniły Dinah do refleksji, stąd ostre słowa pod adresem swoich braci, wiecznych sępów, dziennikarzy.

Ian nie żył, ale żyła Denise, cała i zdrowa, oczyszczona z zarzutu usiłowania zabójstwa, uznano bowiem, że działała w obronie własnej.

Nic nie znaczące zwycięstwo. Poza podnieceniem i szaleństwem, towarzyszącym sprawie Iana, wszystko pozostało dziwnie nie zmienione.

Z wyjątkiem Hayley, która szybko kroczyła drogą sukcesu.

Dinah, zdegustowana, pokręciła nosem. Hayley była najnowszym odkryciem Johna. Rozgłos związany ze sprawą Denise nie dotknął najmłodszej siostry i, chociaż Dinah życzyła Hayley jak najlepiej, jej uczucia wobec Johna były znacznie bardziej ambiwalentne.

A ta ostatnia zmiana! W dwa miesiące po rozpoczęciu zdjęć do *Lady Paradise*, jedna z drugoplanowych ról nagle okazała się do wzięcia. Aktorka, która miała zagrać najbardziej tragiczną w filmie rolę Katri, najbliższej przyjaciółki głównej bohaterki, z dnia na dzień została zwolniona przez Johna. Reżyser filmu, Frank Carello, wpadł w szal i zrezygnował -

wyrzucona aktorka była jego krewniaczką, którą osobiście rekomendował, zapewne wbrew ocenie Johna. Było to w stylu Frankiego i nie uznający kompromisów John osiągnął to, co chciał. Teraz więc John był i producentem, i reżyserem, przejął obowiązki Carella bez mrugnięcia okiem. Więcej spekulacji. Wszyscy byli odprężeni. Wszyscy byli szczęśliwi. Dopóki rola nie została powierzona - TAK, TAK! - macie rację - Denise Scott Callahan, największej atrakcji w tym miesiącu, bez względu na to, jak była zwariowana!

Dwa dni temu Dinah zadzwoniła do Johna i powiedziała mu dokładnie, co sądzi o jego decyzji.

- Robisz to dla reklamy! - piekliła się. - Wszystko byś sprzedał dla pieniędzy.

- Robię to dla Denise - zimno odparował zarzuty.

- Gówno prawda!

- Cholerna prawda!

Oboje cisnęli słuchawki w tej samej chwili. Dinah była nie w sosie, zwłaszcza odkąd Denise dochodziła do siebie w domu w Malibu, a Dinah mogła sobie wyobrazić czułe sceny, rozgrywające się pomiędzy eks-mężem i eks-żoną!

Z cichym jękiem ukryła twarz w dłoniach. Zazdrość. Uczucie naprawdę godne pogardy. Wiedziała, że nie ma racji. John nie kochał Denise. Za dużo się wydarzyło. Za dużo nerwów, nieszczęść i w ogóle wszystkiego. Błogie chwile, jakie ona sama - Dinah - spędziła z Johnem, przydarzyły się tylko dlatego, że Dinah i Denise to były dwie różne osoby. Gdyby naprawdę była Denise, sytuacja z pewnością wymknęłaby się z rąk. Ponieważ jednak była tylko jej zewnętrzną kopią, w środku zaś zupełnie

innym człowiekiem, z wrzącego między nimi uczucia powstało coś wspaniałego, niebezpiecznego, niespodziewanie kuszącego i słodkiego.

Coś, z czego składają się marzenia.

Ale skończyło się. Skończyło, skończyło, skończyło. Pozostała jej tylko świeżo zdobyta - aczkolwiek niechciana - sława i kariera w telewizyjnym serwisie informacyjnym. Trudno to nazwać fusami, chociaż takie miała wrażenie.

Znużona Dinah wyrwała z drukarki ostatnie strony swojego wstępniaka, zirytowana i zaniepokojona faktem, że sukces zawdzięcza raczej uśmiechowi losu, a nie własnemu wysiłkowi i talentowi.

\*\*\*

- Czy kiedykolwiek kochałeś się z pacjentką? - zapytała Denise, siedząc z podwiniętymi nogami na sofie w swoim salonie.

Stone niemal nie zareagował. Tego dnia był roztargniony i ze zmarszczonymi brwiami badał zawartość filiżanki kawy. Skończył pić kawę godzinę temu, nie miała więc pojęcia, co tak fascynującego widział na dnie filiżanki. Podejrzewała, że z jakiegoś powodu jej unika.

Cóż do diabła, z pewnością był to próżny wysiłek. Przychodził tutaj, żeby ją wyleczyć, prawda? Czy nie dlatego mu płaciła?

- Czy dostąpię zaszczytu rozmowy z tobą, czy też zamierzasz zachować dystans? - zapytała z sarkazmem.

- Co cię skłoniło do przyjęcia roli?

- Ach... powinnam była się domyślić. Uważasz, że jestem zbyt chora, żeby zagrać, prawda? Hej, po to jest węglan litu, pamiętasz?

- Węglan litu pomaga, to wszystko.

- Tak, tak, tak. - Denise machnęła ręką ze znudzeniem. Wiedziała wszystko o swojej depresji. Już nawet przestawała w nią wierzyć. Węglan litu - więcej kitu. Teraz miała pracę. Pracę z Johnem, chciała się w niej tarzać. Smakować ją. I nie potrzebowała, żeby zepsuł jej to wszystko jakiś przeklęty malkontent, udający Freuda. - Wiesz, naprawdę mnie denerwujesz.

Spojrzał na nią poważnie i Denise aż do bólu zapragnęła go dotknąć. Te miesiące spokoju, po tym, jak wpakowała się w oko cyklonu i pozwoliła Stone'owi, Connorowi Jackley owi i siostrze walczyć z największą nawałnicą, w niedopuszczalny sposób uświadomiły jej istnienie doktora Haydena Stone'a. Pragnęła go. Nie seksualnie. Chociaż... chociaż przyjemnie było słyszeć między wierszami wibrację silnych emocji. (Nie mogła sobie przypomnieć, kiedy ostatnio w ten sposób pragnęła mężczyzny!) Potrzebowała też jednak czegoś więcej. Czegoś namacalnego, co zupełnie nie miało sensu.

A jeśli on też cię pragnie?

Nie mogła tego znieść. Nie chciała, żeby jej pragnął seksualnie.

Akurat! Jakbyś nie myślała o tym w tej chwili!

Boże, człowiek może od tego oszaleć.

Myśl wydała jej się zabawna i rozjaśniła się w szerokim uśmiechu. Stone nie zareagował, więc Denise poderwała się na nogi, pobiegła bosą po dywanie ku fotelowi z czarnej skóry, na którym siedział.

- Nie cierpię na urojenia. Przez dziewięć miesięcy nie miałam żadnej afery miłosnej, pod żadną postacią. Byłam taka porządna, że sama się sobie dziwię. I jestem szczęśliwa, że John daje mi tę szansę. Cholernie szczęśliwa.

Stone przyjrzał się jej badawczo, oceniając, na ile może być szczery wobec tak nieźrównoważonej wariatki. Denise знаła to spojrzenie.



- Powiedział mi, że twój agent przycisnął go do muru. Dzwonił co godzina od chwili, gdy tamta dziewczyna została zwolniona.

- Wydaje ci się, że John by ustąpił, gdyby uważał, że nie nadaję się do tej roli?

- Myślę, że czuje się za ciebie odpowiedzialny.

- Gównu go obchodzę.

- Dał ci ten dom. Dobrze ci życzy. Po prostu nie wie, jak ma postępować.

Denise nie mogła znieść takiej opinii o swoim oddziaływaniu na Johna. Zwłaszcza z ust Stone'a. Zaciśnęła pięści i przewyciężyła ogarniające ją pragnienie, by przejechać palcami po jego gęstych włosach i przyciągnąć jego usta do swoich.

Pensjonarskie reakcje! Chore? Oczywiście! I głupie, i romantyczne, i tak młodzieńcze, że z trudem to wytrzymywała.

- Czy skończyła się już moja godzina? - spytała, kładąc rękę na biodrze. - Nie chciałabym cię zatrzymywać.

- Kiedy porozmawiasz ze mną o Thomasie Danielsie?

Denise wytrzeszczyła oczy, cała w szoku. Przez tyle miesięcy ani słowa. I nagle znów się pojawiła. Paskudna, bezlitosna przeszłość. Jakże jej nienawidziła!

- Dlaczego?

- Bo jeśli nie zapanujesz nad tym, nie dotkniesz, nie przyjrzysz się, nie zrozumiesz, wpadniesz w swoje stare koleiny. Zaczynam to już dostrzegać - dodał miękko. - Znów wracasz do starych nawyków.

- Do czego mianowicie, doktorku? - Denise miała zaciśnięte usta. Chciała zatkać rękami uszy! Nie, nie, nie!

- Do seksu. Sama wiesz. To twój sposób na zbudowanie muru obronnego, ale taki mur jest dla ciebie pułapką.

- Odpieprz się.

- Albo znajdziesz innego pana Hawaiian Tropics, albo, co gorsza, jakiegoś Iana Wallace'a. Wszystko zacznie się od nowa. Może będzie to ktoś pracujący przy tym filmie.

- Nie rozumiesz! Ten film jest już prawie nakręcony. Będę tam robiła coś marginalnego, ponieważ John wywalił tę pozbawioną talentu sukę, a ja trafiłam na ogromną szansę! Tak jak mówi Leo, jest to dla mnie najlepszy sposób powrotu na ekran. Nie muszę ciągnąć całego filmu. To problem Hayley. - Króciutki ognik zawiści.

- Denise, musisz być ostrożna!

- Dlaczego, doktorku?

- Zrobiłaś pewien postęp, ale to mało. Nie wystarczy, by uchronić cię przed zniszczeniem przez nieczuły, bezlitosny świat. Chcę, żeby ci się powiodło.

Czyżby słyszała w jego głosie ukrytą namiętność? Wyglądał na bardziej wyprowadzonego z równowagi, niż mogłaby się spodziewać. Czyżby udało jej się go poruszyć?

- Nie martw się, będę uważać - zapewniła go. Wiedziała, jak się gra. Jedyną rzecz, jaką naprawdę umiała, to udawanie kogoś innego. - Za bardzo się martwisz. To nawet miłe. Ale cała ta historia z moim ojczymem już się skończyła. Od wielu tygodni nie widziałam Connora.

- Dlatego, że pojechał do Wagon Wheel.

Chłodny podmuch na plecach. Zimny strach. Otrząsnęła się z niego.

- Teraz już nic nie może mnie zranić - oświadczyła. - Przecież przeszłam przez piekło, prawda? A zresztą to wszystko są stare dzieje. Nikogo to nie obchodzi!

- Denise - mruknął cicho, potrząsając głową.

- Co? Co chcesz, żebym zrobiła? - zapytała.

- Spróbuj.

- Nie. - Jej odpowiedź była szybka, zaskakująco gwałtowna.

- To się nie skończy. To się nigdy nie skończy. - Mówił powoli, znacząco.

- Dam sobie radę i tak.

Doktor wstał. Popatrzył na nią z góry, dominując nad nią wzrostem i Denise poruszył wyraz klęski, widoczny na jego twarzy. Dotknęła rękawa jego niebieskiej koszuli. Spojrzał na jej palce. Kierując się impulsem, przyłożyła drugą dłoń do jego szczęki, przejęta czując gorące ciało i początki wieczornego zarostu.

- Czas na mnie - powiedział, wymykając się próbie uścisku.

- Nigdy nie robiłeś tego z pacjentką - odpowiedziała sobie na pytanie. - Za dużo skrupułów.

Prawie się uśmiechnął. Pod powłoką dobrych manier wyczuwała ciepło. Była czuła jak radar na takie sprawy.

- Następnym razem spotkamy się w moim gabinecie - rzucił jej ostrzeżenie.

- Może nie będzie następnego razu - odparła Denise wyzywająco. Jak ci się to podoba, Freudzie?

W odpowiedzi obrzucił ją oficjalnym, zawodowym spojrzeniem. Poczowała gniew pod skórą. Ulegając impulsowi, chwyciła jedną z waz Johna i cisnęła za wychodzącym do przedpokoju Stone'em.

Trach! Waza uderzyła w ścianę, odłamki modrego szkła poleciały we wszystkie strony. Zaskoczona Denise krzyknęła i pobiegła za nim. Ujrawszy, że przyciska rękę do skaleczenia na dłoni - niemal dokładnie tam, gdzie go dotknęła - poczuła wyrzuty sumienia.

- Przepraszam! Tak mi przykro! - wyjąkała.

- W moim gabinecie pomówimy o Thomasie Danielsie, Hayley, Dinah i szkole średniej. - Głos miał zimny jak lód.

- Tylko o tym chcę rozmawiać.

Skinęła głową wiedząc, że nie pora na dyskusję. Wtedy jego wzrok przesunął się na jej usta. Aha! pomyślała. Jednak zauważył! Oczekująco, z nadzieją rozchyliła wargi, on jednak wyszedł bez słowa.

Denise oparła się o ścianę i złapała za piersi, usiłując powstrzymać walenie serca. Przymknęła oczy. Co mogłaby zrobić, żeby zrozumiał, iż naprawdę jej zależy? No co?

Doktor Stone nie był z kamienia. Być może, gdyby naprawdę miała dużo, dużo szczęścia, mógłby się nią zaopiekować. Zaopiekować tak, jak tego potrzebowała i pragnęła. Zaopiekować się nią i tylko nią.

Uczucia płynęły, myśli mąciły się tak, że się przestraszyła.

Zaciśnij pięść. Wyrzuć trucizny...

Tylko że ona chciała nadal to czuć. Chciała doświadczać tych kielkujących uczuć. Miłość? Nie! Kochała Johna.

- Guzik prawda - powiedziała, krzywiąc z ironią usta.

- Kochasz doktora Stone'a.

Pustka. Dwa dni przerwy, w czasie których ekipa powróciła z pleneru zdjęciowego, a zespół produkcyjny dokręcał końcowe sceny w studio. Nieźle się złożyło, bowiem jego nowa gwiazda wyglądała jak wyżęta, jakby każdego dnia trochę się kurczyła.

Kręcąc kierownicą jeepa na skrzyżowaniu, John energicznym ruchem wyłączył odtwarzacz, zupełnie znudzony Kennym G, jednym z jego ulubionych wykonawców.

Czuł się tak, jakby przeszedł przez czyściec i nie został oczyszczony z grzechów.

Niewiarygodne, jak szybko może się zmienić czyjeś życie. W ciągu godziny, sekundy, mrugnięcia okiem.

Ta noc, kiedy dowiedział się o Dinah.

Zacisnął zęby. Nie potrafił o niej myśleć bez uczucia pierwotnego gniewu.

A potem cały ten bałagan z Ianem Wallacem. Pod wieloma względami odczuwał odrazę, ale, śmieszna sprawa, był niemal dumny z Denise! Zamiast się szamotać za zasłoną ostrych słów i wyreżyserowanych scen, po prostu wyzwoliła się i rąbnęła drania. Punkt dla niej! Jeśli ktokolwiek potrzebował wewnętrznego oswobodzenia się, była to Denise, a z pewnością nie miała lepszego celu niż Ian Wallace.

John nie mógł wykrzesać żalu z powodu śmierci tego człowieka. Sam na to zapracował. Zasłużył sobie. Krzywdził ludzi. Manipulował ludźmi, wykorzystywał potrzebujących, a kiedy sytuacja stawała się trudna, uciekał nędznie.

John ponuro zacisnął usta. Niestety, Denise nie wyszła z tego doświadczenia bez uszczerbku na zdrowiu psychicznym. Teraz czuła się już lepiej. Zauważył to, chociaż usiłował spędzać z nią jak najmniej czasu. Musiał przyznać, że jej widok go niepokoił. Niepokoiło go, że była tak podobna do Dinah, a jego uczucia były surowe i nieokrzesane, a przez to nieprzewidywalne.

Jednak zaproponował Denise zajęcie miejsca Melissy Birker w *Lady Paradise*. Ta rola była zupełnie odmienna od wszystkiego, co dotychczas robiła, subtelnie zarysowana i delikatnie napisana. Aktorka powinna poruszać się miękko jak kot, inaczej nic z tego nie wyjdzie. Melissa zaatakowała rolę jak przysłowiowy słoń w składzie porcelany i kiedy zepsuła ostatnią scenę, John, nie bacząc na Frankiego, podszedł do niej i powiedział: Do widzenia. Oczywiście, wściekła się. A Frankie wrzeszczał i gestykulował, urządzając głośną scenę i marnując czas, po czym odszedł.

A więc... więc z powrotem do planowania.

I wtedy pomyślał o Denise. Nie chciał jej mieć w głównej roli. Był tego zdania już wcześniej i żadne naciski ze strony Walburne'a i jej skomlącego agenta nie mogły go zmusić do zmiany decyzji. Ale jako Katie... pomysł wstrząsnął nim. Poczuł ten przepływ prądu, coś w rodzaju szóstego zmysłu, kiedy wiedział, że jest na właściwym tropie.

W stanie niezwykłego podniecenia pojechał prosto do domu w Malibu i przerwał spotkanie Denise z jej psychoanalitykiem.

Przelotnie zastanowił się, czy sypia z doktorem Stone, ale szybko przestał się tym zajmować, gdyż naprawdę nie miało to żadnego znaczenia.

- Chcesz grać w moim filmie? - rzucił. Opuściła go cała zjadliwość, złość i nienawiść, zastąpiona zaskakującym nieco uczuciem spokoju i

akceptacji. W końcu to była Denise. Kobieta, której nienawidził. Ale najwyraźniej to się już skończyło, a ponieważ zawsze świetnie potrafiła go wyczuć, natychmiast to rozpoznała - i też zaakceptowała.

- Mówisz poważnie? - Jej błękitne oczy pochwyciły jego wzrok.

Opowiedział jej o wyrzuceniu Melissy. Kiedy usłyszała tę historię, Denise głośno zachichotała i pomimo zmarszczonych brwi doktora Stone'a, skoczyła na nogi i jak pensjonarka przytuliła Johna.

Nieprawdopodobne. I tak oczekiwane. Nadal jednak nie mógł za długo przebywać w jej towarzystwie, pozostał więc w swoim apartamencie i z czasem doszedł do wniosku, że powinna mieć dom w Malibu. Należał się jej.

Ale co z Dinah?

Z piskiem hamulców zatrzymał się na parkingu przed swoim biurem i rozejrzał w poszukiwaniu nowego range rovera Hayley. Ta kobieta miała dziwny gust. Jak na kogoś tak zdeterminowanego i zdecydowanie dążącego do celu, zachowywała się zagadkowo. Można się było spodziewać, że rzuci się na tę rolę jak tygrys na surowe mięso, tymczasem była ostrożna i roztargniona. Gdyby sam nie widział jej próbnej taśmy, a potem nie poznał osobiście i nie był świadkiem jej agresywności, nie uwierzyłby, że to w ogóle jest możliwe. Coś się stało. Jakieś załamanie.

Cokolwiek by to było, nie była sobą, stąd to spotkanie, przyszedł bowiem już czas, aby wyjaśnić to z nią i zrozumieć, co u diabła stało się złego.

Kiedy wkroczył do biura, pobladła recepcjonistka zerwała się na nogi.

- Przed chwilą przewieziono Rodneya Walburne'a z atakiem serca do szpitala.

John przetrwał tę krótką informację.

- Czy wyjdzie z tego?

Potrząsnęła głową i rozłożyła ręce.

- Ci z Titan Studios chcą z tobą rozmawiać - dodała.

Wiedział, o co chodzi. Dzięki Sampsonowi miał udziały w studiu. Podwładni Rodneya rozpoczęli pewnie walkę o stołek, mając nadzieję zostać następnym szefem studia.

- Hayley Scott czeka w twoim gabinecie - zawołała za nim recepcjonistka, kiedy szedł przez korytarz.

Co mu przypomniało o wszystkich kłopotach z *Lady Paradise*.

\*\*\*

- Wyglądasz jak odświeżony trup - powiedziała do siebie Hayley na głos w pustym pokoju.

Dostrzegła swoje odbicie na chromowanej podstawie lampy, stojącej na półce za biurkiem Callahana. Wystarczyło, by ją zdenerwować. A co gorsza, wyglądała lepiej, niż się czuła.

Przez dziewięć miesięcy wmawiała w siebie, że to z powodu Iana Wallace'a. Boże, to było straszne. Prześladowało ją przez te wszystkie dni oszałamiającego, ciągłego sukcesu. Trwało przywarte do niej jak pijawka w czasie kręcenia scen z młodości Toni w Kolorado i przy filmowaniu późniejszego nieszczęścia Toni na Hollywood Boulevard. Hayley mówiła sobie, że powodem jej rozstroju jest obawa przed spotkaniem z kimś ze starych znajomych, jak choćby z Glorią Carver, ale tak naprawdę wiedziała, że dałaby sobie ze wszystkim radę. Do diabła, w najgorszym wypadku po prostu powie cholerną prawdę! Nie była ulicznicą; tylko „nasiąkała lokalnym kolorytem”.



Po premierze przysporzy filmowi świetnej reklamy.

Ale nie to ją martwiło. I nie wspomnienie przesiąkniętej krwią, nieprzytomnej postaci Iana Wallace'a, czy paralizującego wyznania Denise, że biła go aż do utraty świadomości.

Niepokoili ją prawda. Prawda o przeszłości. I fakt, że Connor Jackley wiedział, iż pamiętała.

Pamiętała krzyk Denise, poplamionej krwią, leżący obok niej odłamek granitu, cały czerwony, oblepiony włosami. Pamiętała też otwarte usta Thomasa Danielsa i jego martwy, pełen niedowierzania wzrok, utkwiony w Denise - wzrok, który, sądząc po tym, co widziała, nie powstrzymał uderzeń.

Pamiętała morderstwo.

Teraz opadła na jeden z pokrytych czarną skórą foteli, otaczających biurko Callahana, i zakryła ręką oczy, usiłując powstrzymać łzy. Była wyprowadzona z równowagi, miała zniszczoną duszę. Nie było powrotu. Nie było sposobu, aby znów skoncentrować się na karierze aktorskiej, która, jak czuła, była najważniejszym - i jedynym - celem w jej życiu.

I Connor...

Był dla niej tym, kim doktor Stone był dla Denise. Zbawcą, powiernikiem, przyjacielem. Tyle że Hayley nie mogła mu nic powiedzieć, żeby nie obciążyć siostry. Ale prawda paliła ją jak kwas, a Connor Jackley obserwował. Obserwował, czekał i udawał, że nie prowadzi nadal śledztwa.

Wspominał o przeniesieniu się do Wagon Wheel. Dorastał w Bend, miał rodzinę w Wagon Wheel. Chciał, żeby tam z nim pojechała. Chciał z nią dzielić swoje plany, dotyczące przyszłości.

Ale to wszystko były kłamstwa. Pułapka. Metoda zwabienia jej, wciągnięcia we własne marzenia. Ani razu nie powiedział, że mu na niej

zależy. Ani razu nie wyznała, że szybko stawał się jej całym życiem. Znikła gdzieś ta spryciara, przyszła wielka gwiazda, umiejąca wykorzystać ludzi do swoich celów. Znikła kelnerka, którą Jason obwołał „najgorszym pracownikiem na Ziemi”.

To wszystko znikło. Zaś na tym miejscu pojawiło się wszystko, czego zawsze pragnęła - szansa wielkiej kariery.

Dlaczego przestało ci na niej zależeć?

Zamieszanie w duszy, jak wir, kręcący się, śmigający, pędzący, bulgoczący, aż myślała, że zemdleje. Wciągając ostrożnie powietrze starała się odzyskać panowanie nad sobą. Film był prawie skończony. Dała sobie nieźle radę, chociaż uzyskanie rezultatów, jakie bez wysiłku powinna była sama osiągnąć, wymagało ze strony Johna Callahana mądrości i cierpliwości.

Teraz zaś musieli powtarzać sceny z Katie, bo Melissa potraktowała rolę, jakby to była karykatura, a nie prawdziwa postać.

I John zatrudnił Denise.

Zamieszanie w duszy. Walka różnych uczuć. Brak poczucia rzeczywistości i skupienia.

Może jestem wariatką, jak Denise. A może jeszcze gorzej.

Dlaczego nie mogła zapomnieć? Thomas Daniels zasłużył na śmierć tak samo jak Ian Wallace. Chodziło jednak o sposób, w jaki zrobiła to Denise. Uderzenie, uderzenie, uderzenie i histeryczny krzyk, płynący w jednej trzeciej ze strachu, w dwóch trzecich z radości.

Drzwi otworzyły się gwałtownie i pojawił się zaganiany Callahan, obrzucając ją od stóp do głów twardym spojrzeniem, które uświadomiło jej jeszcze bardziej jej ściągniętą, pobladłą twarz.

- Chyba schudłaś z pięć kilogramów, chociaż nie powinnaś była stracić nawet paru deko - stwierdził krótko. - Jesteś chora?

- Nie.

- W ciąży?

- Nie. - Niemal się roześmiała.

- Narkotyki?

- Zlituj się.

- Czy ktoś ci dokucza? Ktoś związany z filmem?

- Nie.

- Czy zdarzyła się jakaś tragedia, o której nie wiem? Nic nie wiem?

Coś, co wpędziło cię w depresję?

Zgarbiła się i pokręciła głową.

- Nie mów mi tylko, że to Ian Wallace, bo nie uwierzę.

- Nie. - Hayley czuła krzyk, który uwiązł w górnej części płuc, nie mogła jednak zdobyć się na taki wysiłek. - Nie jesteś zadowolony z mojej gry? Chcesz, żebym coś powtórzyła?

- Chcę, żebyś przytyła. Nie wyglądasz jak ta sama osoba, którą zaangażowałem do roli Toni. Chcę, żebyś jakoś rozwiązała sprawy, które cię dręczą, bo, cholera jasna, Hayley, dużo zależy od *Lady Paradise* i nie chcę, żebyś to spieprzyła!

Brutalne słowa. Wzdrygnęła się, nie mogła jednak go winić. Postawił na nią, a ona go zawiodła w sposób, jakiego żadne z nich się nie spodziewało.

- Zrobimy przerwę - zdecydował nagle. - Tydzień, może dwa. Nakręcimy sceny z Denise, które nie wymagają twojego udziału, ale nie ma

ich za wiele. Potrzebuję cię, Hayley. Takiej jak na początku. Cokolwiek to jest, załatw sprawę i wracaj do filmu z pełnym zaangażowaniem.

Opuściła jego gabinet w oszołomieniu. Jeśli powie o Denise, to będzie i tak koniec filmu, prawda?

Pojechała prosto do mieszkania Connora. Spędziła tu wiele godzin. Był teraz stałym elementem jej życia; pierwszy mężczyzna, który przełamał jej opory i zasłużył sobie na określenie „przyjaciel”. Nie kochanek. Tego by nie zniosła. Zresztą nie okazywał żadnych ciągót w tym kierunku. Była dla niego źródłem, najlepszą drogą do odkrycia prawdy, Dinah bowiem zdawała się jej nie znać, a Denise, cóż, albo zagrzebała ją tak głęboko, że nie mogła pamiętać, albo też jej sumienie - inaczej niż Hayley - pozwalało jej na zachowywanie tajemnicy.

Może dlatego Denise była taka zwariowana.

Kiedy dotarła pod dom, Connora nie było w mieszkaniu. Niejasno przypomniała sobie, że wspominał o kolejnej wycieczce do Oregonu. Czy już wyjechał?

Siedziała jeszcze w swoim samochodzie, zupełnie nie wiedząc, co robić dalej, kiedy czarny sedan Connora wjechał na parking i stanął na sąsiednim miejscu. Uśmiechnął się do niej, a Hayley poczuła, że serce jej pęka.

Opuścił szybę i czekał, aż uczyni to samo. Wymagało to wysiłku. Musiała sięgnąć przez siedzenie i odkręcić szybę.

- Cześć - powiedział miękko, szarymi oczami szukając jej wzroku.
- Bałam się, że już pojechałeś.
- Jadę dziś wieczorem.
- Och.

Rzucił okiem na zegar na desce rozdzielczej. - Chcesz jechać?

- Do Oregonu? Ja... Ja pracuję.

- Rozmawiałem z Callahanem, Hayley. Powiedział, że zmusił cię do zrobienia przerwy.

- Pytałeś o mnie? - zapytała słabym głosem.

- Jedź ze mną - poprosił z większą natarczywością.

- Myślisz, że się załamie, prawda? - powiedziała z przyływem dawnego humoru. - Nie licz na to.

Celowo był szorstki.

- To cię zabija. To już nie zabawa.

- Nic nie wiem.

- Pojedź więc ze mną i przekonajmy się.

Wiedział, że kłamie. Wiedział od zawsze. Hayley czuła się tak, jakby głęboko zanurzyła się w lepkim błocie, które ją wciągało, wciągało, wciągało coraz głębiej. Wkrótce zacznie się dusić. Miał rację. To ją zabijało.

- Dobrze - powiedziała znużona. - Pojadę...

- Zaczynj od początku - powiedział Stone typowym, denerwującym tonem psychoanalityka. Denise spojrzała na niego i usiadła na krześle. Czy celowo miał w gabinecie niewygodne krzesła? Czy oczekiwał, że wyrzuci z siebie wszystkie paskudne grzeszki z przeszłości tylko po to, aby się stąd wyrwać?

- Przeniosłyśmy się do Wagon Wheel, kiedy miałam szesnaście lat - powiedziała śpiewnie. - Nie pamiętam mojego prawdziwego ojca. Opuścił nas, zanim skończyłam sześć lat.

- Gdzie poprzednio mieszkaliście?

- W Portland... Medford... Bend. Często się przeprowadzałyśmy, bo mama stale szukała pracy jako kelnerka i miałyśmy kłopoty z płaceniem rachunków. - Denise popatrzyła na niego. - Często uciekałyśmy przed zapłaceniem czynszu.

- To znaczy, że wasza matka miała problemy, żeby związać koniec z końcem, a potem... ?

- Poznała Drogiego, Poczciwego Ojczyma, Toma, i przeniosłyśmy się z Bend do Wagon Wheel.

- Co o nim myślałaś?

W rzeczywistości Stone nie oparł brody na zwiniętej w pięść dłoni, ale sprawiał wrażenie, jakby właśnie to zrobił. Zmieniła swoją opinię o nim. Nie tylko miał bzika na punkcie seksu, miał go także na punkcie przeszłości.

- Nie jesteś jednym z tych szarlatanów, którzy wierzą w opóźnioną pamięć, prawda? Jeśli teraz zacznę sobie przypominać, że mój ojczym zmuszał mnie do praktyk satanistycznych i byłam świadkiem, jak ze swoimi

kumplami od piwa składał w ofierze miesięczne niemowlę, zrezygnuję z twoich usług jako psychoterapeuty i oskarżę cię o Syndrom Fałszywej Pamięci.

- Nie sądzę, żebyśmy musieli się tym martwić - odparł cierpliwie.

Boże, gdyby już nie była zwariowana, ta jego cierpliwość doprowadziłaby ją do obłędu!

- Ach, tak? - Uniosła brwi z niedowierzaniem.

- Bo próbujesz powstrzymać swoje wspomnienia. Ale masz je tuż obok, w gardle, duszą cię.

Słowa zawisły w powietrzu. Duszą cię. Złowrogi dreszcz strachu przebiegł jej po grzbiecie. Czasami trafiał nieznośnie blisko.

- Powiedz mi - nalegał miękko, obserwując ją.

Denise zacisnęła dłonie na drewnianych poręczach krzesła, ręce miała mokre od potu. Tańczyli, tańczyli w kółko wokół tego tematu. Wszyscy psychoterapeuci, jakich знаła, zawsze ćwiczyli ten taniec.

- Co myślałaś o swoim ojczymie? - ponowił pytanie. Denise zastanowiła się. Poczucie winy tłukło się jej w głowie. Może przyszedł czas na spowiedź.

Przełknęła, zawahała się, w końcu odrzekła: - To ci się nie spodoba.

- Co czułaś wobec niego? - naciskał.

- Pociągał mnie - krzyknęła w odpowiedzi. - Lubiłam go.

Cisza. Nie takiej odpowiedzi oczekiwał? Nie... to ona nie spodziewała się udzielić takiej odpowiedzi. Był obrzydliwy, prymitywny, brudny i nienawidziła go. Nienawidziła z niemal nadludzką mocą.

Stone wpatrywał się w nią, szacując, jak sądziła, szczerść jej słów.

- Lubiłaś go? - powtórzył.

- On był... - Nie potrafiła tego wypowiedzieć. Po prostu nie mogła.

Ale Stone czekał. Jego ciemne oczy dostrzegały wszystko. Przez moment miała wrażenie, że wyszeptał jej myśli. Wyglądało, jakby coś powiedział.

- Pociągający seksualnie - wymruczała i odwróciła głowę. Drżały jej usta.

Proszę. Powiedziała to. Przyznała się do swego wstydu. Tak, flirtowała z nim. Robiła to świadomie. Dopóki nie zareagował, a wtedy było już za późno. O wiele za późno.

- Czy twoja matka miała wcześniej jakichś przyjaciół?

- Masz na myśli kochanków? - Usłyszała warczenie w swoim głosie, ale nie mogła mu zapobiec. - Nikogo ważnego. Thomas Daniels zwał ją z nóg, a ja go pragnęłam.

- Oplotła się rękami. - Na litość Boską, Stone, tu jest lodowato. Czy nie stać cię na lepsze ogrzewanie?

- Tu jest automatyczny wyłącznik. Może znajdę ci jakiś sweter.

- Daj sobie spokój.

Wstała z krzesła i podeszła do okna, gdzie zapatrzyła się na pieniaące się wokół, dobrze utrzymane krzewy ozdobne i sukulenty.

- Uważałaś więc, że był atrakcyjny.

- Na początku - odpowiedziała pośpiesznie. - Tylko na początku. Tak, prowokowałam go, ale później naprawdę nie miałam na nic ochoty, rozumiesz? Ale on tego nie pojął. Zaczął za mną łązić i łąził, łąził, łąził. Dorwałby mnie, gdyby nie obecność Dinah.

- Ona cię uratowała?



- Zawsze nas ratowała. - Denise uśmiechnęła się krzywo. -I ja, i Hayley, zginęłybyśmy bez Dinah. Tłukła go pucharem, zdobytym w zawodach kręglarskich, wysokimi obcasami butów i innymi rzeczami. Raz czy dwa ją uderzył, ale była szybka. Dinah wie, co robić.

- A więc Thomas Daniels nigdy nie zmusił cię do seksu.

- Ja... - Próbowwała coś powiedzieć i potrząsnęła głową. - Nie.

- Ale były sytuacje, kiedy był tego bliski?

Nagle cofnęła się w przeszłość, poczuła zapach piwnicy - zapach wilgoci, brudu, stęchlizny. Był tam dodatkowy pokój, z łóżkiem polowym i Denise kostniała z zimna, trzęsła się, przytulona do betonowej ściany, podczas gdy Thomas odpinał swój pas.

Lubisz to, prawda, ty gorąca panienko?

Patrzyła, jak pasek się rozwija, zdrętwiała, słuchając dudnienia swego serca. Nie, Dinah. Dinah nie było. Nie, mama. Mama spała na łóżku, zbyt zmęczona, żeby pomóc. A Hayley nie mogła wiedzieć. Nie mogła się dowiedzieć, bo była za młoda.

Po pierwszym uderzeniu wstrzymała oddech, potem już nic nie czuła. Po pasie przyszła pora na pięści, grube i czerwone ,pełne siły i nienawiści. Nic nie czuła. Potem się rozebrał, a ona patrzyła w milczeniu, jak się onanizował i wprowadzał ją w to, co wkrótce stało się conocnym rytuałem. Nic nie czuła. Nic, poza uczuciem nieuchronności. Bo zasłużyła na to. Zawsze na to zasługiwała.

- Na co zasługiwałaś? - Stone pochylił się do przodu, usiłując dosłyszeć. Najwyraźniej powiedziała coś na głos.

Denise oblizwała wargi. Opuściła wzrok na swoje trzęsące się ręce.

- Pożądałam go. Pragnęłam. I zasłużyłam na niego. To go powstrzymało na chwilę. Zaskoczony, doktoru? Doszedł do siebie.

- Byłaś dzieckiem, które miało słabość do męża matki. To normalne.

- Och, nie, nie. - Pogroziła mu palcem. - Żaden urojony idol. Pragnęłam go i dostałam. Okrutny bydlak! Marzyłam o nim. O nas. Razem w łóżku. Pragnęłam go. Dawałam mu to do zrozumienia na tysiąc różnych sposobów. Uwodzicielski uśmiech. Wsuniecie ręki w jego dłoń. Cholera, po prostu rozpromieniałam się, kiedy wchodził do pokoju.

- Dopóki?

- Dopóki nie zobaczyłam, jak to rani moją matkę - wykrztusiła Denise.

- Dopóki nie odpowiedział na twoje zaczepki - poprawił ją łagodnie Stone.

- Myślę, że mama wiedziała. - Jej głos był coraz cichszy i cichszy, ledwo słyszalny. Nie mogła słuchać tych słów. Nie mogła ich znieść.

- Czy sypiał z twoimi siostrami?

- NIE! - Krzyk, który wyrwał jej się z krtani, zaskoczył ją. Teraz także wargi jej się trzęsły. Zakryła je jedną rozdygotaną ręką.

- Skąd wiesz?

- Bo go nienawidziły.

- Ale ty też go nienawidziłaś.

- Ja byłam tą, która go pożądała - krzyknęła przez zaciśnięte zęby. - Nie Hayley.

- Dlaczego powiedziałaś Hayley, a nie Dinah? - zapytał po dłuższej chwili.

- Bo nie mógłby dostać Dinah - odpowiedziała szybko.

- Ale mógł dostać Hayley?

- Ona miała czternaście lat!

Krzyk odbił się echem w pokoju. Z ogromnego dystansu Denise przyjrzała się tej scenie z humorem. Osiągnął to. Wyciągnął z niej spowiedź. Z pamięci, którą tak bardzo usiłowała zatrzeć.

- Thomas Daniels zgwałcił Hayley, kiedy miała czternaście lat. - Stone wypowiedział te słowa, widziała jednak, że też niechętnie je mówił.

Przytaknęła nerwowo.

- Działo się to wówczas, gdy w pobliżu nie było Dinah. Był sprytny. Był tak piekielnie sprytny. Ale nie mógł wygrać z Dinah. Zawsze kiedy ją uderzył, oddawała mu. Gdyby wiedziała, co nam zrobił, zabiłaby go.

- Więc ukrywałaś to przed nią.

- Och, tak. Zawsze. I powiedziałam Hayley, że nic się nie stało. „Pamiętaj, Hayley. Nic się nie stało” powiedziałam. A ona mi uwierzyła.

Śluza. Otwierająca się powoli, za nią kłębi się trucizna. Denise wariatka przeistoczyła się teraz w Denise papkę. Bla, bla, bla. Złe słowa. Złe wspomnienia. Złe, złe czasy.

- Czy jestem już wyleczona, doktoru? - zapytała z goryczą. - Teraz, kiedy już wiesz to wszystko, co do tej pory podejrzewałeś. Powinieneś być dumny. Wręcz sobie medal. Zrobiłeś coś, czego nie zrobił dotąd żaden człowiek, a ja czuję się jak nowa. Alleluja!

- Przykro mi, że musiałaś je ochraniać - odpowiedział, a jego głos falował, dobiegał jak z oddali.

- Ochraniać je? Nie robiłam tego, do diabła.

- Koncentrowałaś na sobie jego uwagę. Próbowiałaś ratować Hayley, a także usiłowałaś ratować Dinah.

- Oszalałeś, doktoru. To nie ma żadnego sensu - powiedziała znużona.

Usłyszała, że wyszedł zza swojego biurka. Był tuż za nią. Jego oddech na jej szyi.

- Wiem, co myślałaś. „Jeśli będzie zajęty mną, może zapomni o mojej młodszej siostrze. Muszę być jednak ostrożna, bo jeśli Dinah się dowie, zabije go. Naprawdę to zrobi”.

- Odpieprz się, Stone!

- Sądzisz, że Dinah go zabiła i dlatego dusiłaś to wszystko, niszcząc się przy tym.

- Nie jestem aż tak skomplikowana, psychiatro - wybuchła. Teraz trzęsła się już cała, on zaś, szok nad szokami, położył uspokajająco dłoń na jej ramieniu. Wilgoć w oczach. Łzy. Przekreśliła dłonie i patrzyła, jak gorące łzy kapią na jej skórę.

- Po prostu nie bardzo umiesz ukrywać różne rzeczy - odpowiedział Stone. - Zwłaszcza przed sobą.

Czuła pieczenie skóry pod jego dotykiem. Ogarnęła ją potrzeba, żeby rzucić się w jego objęcia. Walczyła z tym, ale był za bliski, zbyt ważny dla niej. Chwiejąc się, wolno odwróciła się i zarzuciła mu ręce na szyję, w ciszy szukając ukojenia. Na początku się opierał. Pozwolił jej się przytulać, ale nie odpowiadał. Potem jednak jego ręce zaczęły błędzić po jej plecach i oddał uścisk.

- Chciałam, żebyś mnie przytulił - przyznała, przytłumiony głos wydobywał się zza jego ramienia.

Poczuła, że potrząsnął głową.

- Wysyłałaś sygnały seksualne, żeby mnie powstrzymać przed rozszyfrowaniem cię. Nadal to robisz.

- To nie jest seksualne.

- Doprawdy?

Z wahaniem pokręciła głową, odsuwając się od niego, usiłując dowieść swoich słów. Cholerny facet. Miał rację! Już myślała o kochaniu się z nim. Już triumfowała, że pokonała pierwszą linię jego obrony.

Była zaskoczona sama sobą, a jej uczucia musiały się odmalować na twarzy, bowiem Stone uśmiechnął się.

- Hej, Denise, jesteś zbyt atrakcyjna, żeby się do tego uciekać. Daj sobie spokój. Ludzie będą cię nadal lubić, chociaż nie będziesz z nimi sypiać.

- I tak mnie nie lubią - przyznała z bolesną szczerością.

- A właśnie, że lubią - westchnął, a jego oddech poruszył jasne włosy na czubku jej głowy. - Cóż więc mamy zrobić z Dinah?

- Co masz na myśli?

Trzymał ją w wyciągniętych rękach, patrząc na nią oczami, które znały ją aż za dobrze.

- Uważasz, że to ona zabiła Thomasa Danielsa.

- Kto? Co? - Denise roześmiała się.

- Dinah.

Poczuła mróz w żyłach.

- Hola, za szybko wyciągasz wnioski. To nie tak.

- Znowu grasz.

- Och, pewnie. Jakbyś się na tym znał.

- Cała się trzęsiesz ze strachu, Denise. Pytanie brzmi: co ty i ja mamy z tym zrobić?

Przerażona Denise zatrzepotała powiekami. Po raz pierwszy w życiu nie znalazła odpowiedzi.

\*\*\*

Na lotnisku w Portland Connor wynajął spory samochód. Okrążając Mt. Hood, rozpoczęli trzygodzinną podróż w kierunku środkowego Oregonu. Connor zerknął na Hayley, zwinętą na siedzeniu obok niego i zrobił rzecz nie do pomyślenia. Wyciągnął rękę i czułym gestem odgarnął jej włosy z twarzy.

Ku jego zdumieniu, nie zareagowała gwałtownie. Przymknęła tylko oczy i odwróciła się w stronę jego palców.

- Rozmawiałem z Dempseyem i w biurze szeryfa na temat pracy. Zdecydowanie chcę tu wrócić - powiedział.

- Wiem.

- Chcę, żebyś przyjechała tu ze mną.

- No jasne. - Na poły się roześmiała. - W Miasteczku Na Końcu Świata w stanie Oregon jest pod dostatkiem dobrych ról filmowych.

- Mówię poważnie, Hayley.

Wtedy na niego spojrzała. Na jej twarzy pojawiło się zrozumienie. Krótki błysk czystego szczęścia, przysłonięty szybko zasłoną winy i strachu.

- Musisz mi wszystko opowiedzieć - ostrzegł łagodnie. - Dlatego tam jedziemy. Zanim wrócimy, chcę znać całą, nagą prawdę.

Milczała, a Connor skoncentrował się na prowadzeniu samochodu. Zdecydowała, że bez względu na wszystko musi uzyskać odpowiedzi na nurtujące go pytania.

- ... Trzy, dwa, jeden... - Asystent reżysera machnął ręką i dał znak, że jest na wizji.

Dinah patrzyła prosto w oko kamery. Te słowne reportaże okazały się zdumiewająco łatwe i bezosobowe, chociaż oczywiście niektóre tematy czasem wciągały ją emocjonalnie.

Z wyćwiczoną swobodą rozpoczęła swój komentarz na temat dziennikarzy, gotowych zdobyć ciekawe informacje nawet po trupach, stosujących taktykę prasy brukowej. Czysta ironia, sama bowiem była dziennikarzem, teraz jednak najważniejsze było przesłanie jej komentarza.

Półtorej minuty, by powiedzieć wszystko, co miała do przekazania. Więcej czasu nie chcieli jej dać. Mówiła spokojnie, swoim zwyczajem podnosząc głos na końcu.

- ... jaka jest cena sławy? - zakończyła. - I czyje jest to życie?

Asystent reżysera zasygnalizował cięcie. Dinah chwyciła notatki i pospiesznie odeszła od biurka. Depcząc po rozciągniętych kablach zmierzała w stronę podwójnych szarych drzwi w głębi Studia nr 1.

Stał tam John Callahan, z twarzą pozbawioną wyrazu, jak sfinks.

- Co się stało? - spytała z niepokojem Dinah. - Denise?

Coś mignęło w jego oczach.

- Nie, nie Denise.

- Więc co?

- Chcę z tobą porozmawiać.

Błękitne oczy Dinah rozwarły się szeroko. Była dziś wymalowana, ze względu na kamerę, ostatnio też ustąpiła i zrobiła sobie pasemka, także ze względu na telewizję. Nienawidziła tego, ale nie była zupełnie głupia.

Z wyjątkiem spraw, związanych z Callahanem.

- O czym? - spytała, wyprowadzając go ze studia na wyłożony dywanem korytarz.

- O Hayley.

- O Hayley? - powtórzyła Dinah, rzucając mu szybkie spojrzenie.

- Zabiorę cię na kolację - stwierdził w formie zaproszenia - i porozmawiamy.

\*\*\*

Zabrał ją do swojego mieszkania, które było urządzone równie po męsku, jak jego sypialnia w domu w Malibu. Grafiki nieznanych artystów, utrzymane w tonacji szarości, czerni i brzoskwini zdobiły zimny pokój z białym dywanem, rudymi kanapami i stojącymi lampami z kutego żelaza. Nie wyglądało to ani modnie, ani przytulnie, skoro jednak Dinah i tak czuła się tutaj jak irytujący intruz, nie miało to znaczenia.

- I gdzie jest jedzenie? - zapytała.

Otworzył lodówkę, w której ktoś zostawił imponujący zestaw sałatek.

- Poprosiłem moją gospodynię, żeby nam coś przygotowała.

- Wiedziałaś, że się zgodzę, tak?

Postawił na stole kilka salaterek z różnymi sałatkami, a potem spojrzał na nią takim wzrokiem, że musiała opanować chęć nerwowego chichotu.

- Miałem zamiar zrobić wszystko, aby cię przekonać - powiedział, prowadząc ją w stronę czarnych skórzanych stołków barowych.

Jedli w milczeniu, minuty płynęły powoli.

Sączyła czerwone wino i wpatrywała się w punkt na wprost siebie, nienawidząc się za to, że pragnęła, by porwał ją w objęcia i przez całą noc kochał się z nią, gorąco i z pasją.



Szmata, powiedziała do siebie, spięta złością. Jestem szmatą! Szmaty pozwalają mężczyznom się deptać i nadal czekają na więcej.

Tyle tylko że on jej nie chciał, przypomniała sobie cierpko.

- Coś złego dzieje się z Hayley - powiedział, powoli cedząc słowa.

- Złego?

- Zupełnie się zmieniła.

- Czyżbyś tak dobrze ją znał? - zapytała, gardząc swym zazdrosnym, zaczepnym tonem.

- Wiem, że była cudownie skoncentrowana i zdeterminowana, a teraz nic z tego nie zostało.

- Co to znaczy? - Dinah usłyszała go naprawdę dopiero teraz.

John przesunął w zamyśleniu wzrok w dół jej twarzy, na szyję, gdzie można było dostrzec mocne, rytmiczne pulsowanie.

- Coś jej się stało i wydaje mi się, że miało to miejsce w czasie historii z Ianem Wallace'em. Albo samo to wydarzenie, albo coś z nim związanego. Ona po prostu nie może dać sobie z tym rady i ten cholerny film padnie, jeśli Hayley się nie wygrzebie.

Dinah parsknęła w duchu. A więc o to chodziło. Jego cenny film.

- Chcesz, żebym z nią porozmawiała?

Potrząsnął głową.

- Wyjechała do Oregonu. Jackley nadal pracuje nad sprawą...

- Co?

- ... morderstwa twojego ojczyma - dokończył, krzywiąc twarz.

- Czemu Hayley pojechała do Oregonu? - zażądała odpowiedzi Dinah.

- Do Wagon Wheel?

John skinął głową.

- Connor uważa, że ona może pomóc. Kręcimy więc sceny z Denise, które nie...

- Dlaczego ją zabrał? - znów przerwała Dinah. - Dlaczego tylko ją?

- Też mnie to zastanawia - odparł John, przypatrując się jej. Wiedziała, że zachowuje się jak wariatka, ale nic nie mogła na to poradzić. - Cóż, jeśli jej to pomoże, jeszcze większa będzie jego zasługa.

Na twarzy Dinah pojawiły się zmarszczki, świadczące o głębokim namyśle.

- Powinien był porozmawiać ze mną.

- Jackley? - obrzucił ją długim spojrzeniem. - Dlaczego? Czy coś wiesz?

Dinah spojrzała na niego zimno. Nie po to tak długo zachowywała tajemnicę, aby teraz trysnąć nią jak fontanna.

- Kiedy wyjechali?

- Parę dni temu.

- Czuję, że jego mózg zaskakuje, zestawia różne fakty.

- Ja też jadę.

- Ha! - rzucił, chwytając ją, kiedy ześlizgiwała się ze stołka. - Ty znasz prawdę, tak? - powiedział zdumiony. - Ty ją znasz!

- To nie to, co myślisz.

- A skąd wiesz, co ja myślę? - Kiedy nie odpowiedziała od razu, zmrużył oczy i powiedział: - To wszystko ma coś wspólnego z Danielssem, prawda? Dlatego Hayley wygląda jak chodząca śmierć. Ty wiesz, kto go zabił, ona też. - Przerwa.

- Denise - wyszeptał.

- Nie. - Gwałtownie pokręciła głową.

- Tak - odparł.

- Och, John. - Dinah westchnęła i wciągnęła powietrze przez zaciśnięte zęby. To już koniec. Wszystko skończone. I nagle poczuła zadowolenie.

- To ja wepchnęłam jego ciało do przepływu, nie Denise.

RS

W środkowym Oregonie wiosna wyglądała jeszcze jak chłodna zima. Zimne, arktyczne prądy powietrza, nadciągające od strony gór, czasem niosły ze sobą śnieg, czasem zaś przeradzały się w strugi deszczu, tak zimnego, że aż tamującego oddech.

Hayley stała na skraju pola z rękami schowanymi w rękawach granatowej ocieplanej kurtki Connora. To on opatulił ją tą za dużą kurtką i oczy mu rozbłysły, gdy popatrzył na jej drobną, ginącą pod okryciem postać.

Zapragnęła wyciągnąć rękę i pogładzić jego ocienioną zarostem twarz. Nie umiała jednak zmusić się do tego i nastrój chwili minął.

Nagle gwizdzący wiatr powiał jej prosto w uszy, tak zimny, że sprawił jej ból. Patrząc zmrużonymi oczami na mokre źdźbła polnej trawy poczuła się trochę chora.

Rów, gdzie znaleziono ciało Thomasa, znajdował się w odległości około pięćdziesięciu stóp. Pole rozciągało się na tyłach domu, w którym niegdyś mieszkali, ale nikt nigdy nie zajrzał do przepływu. Po zniknięciu Danielaś posiadłość przeszła pod zarząd komisaryczny, a późniejsi właściciele wydzierżawili ją parze emerytów, którzy nigdy nie wyjrżeli poza swoje malutkie, zarośnięte perzem podwórko. Płot, który kiedyś stał na skraju pola, dawno temu popadł w ruinę i dwaj chłopcy, ignorując pozostałe po nim stare zszarzałe, połamane sztachety, wjechali konno i natknęli się na szczątki Danielaś.

Opowiedziała Connorowi fragmenty swojej przeszłości, jak unikała lubieżnego ojczyma, jak skręcała się ze wstydu, gdy w szkole dziewczęta szeptały o jego licznych aferach.

Ale nie powiedziała mu o Denise.

Teraz jednak oskarżający spokój tego miejsca, połączony z gniewnym świstem wiatru, poruszył jej duszę. Miała niewiele siły, by się opierać. Właściwie żadnej.

Zabrał ją na spotkanie z aktorami, występującymi w tej ponurej farsie. Ze swoim siostrzeńcem Mattem i jego przyjacielem Mikeyem. Z jego własną siostrą Mary, która połowę czasu spędzała przyglądając się Hayley ze współczuciem i zrozumieniem, połowę zaś poświęcała na namawianie brata, aby wrócił do pracy w policji. Z lakonicznym szwagrem i z szeryfem Gusem Dempseyem, który wyraźnie sądził, że winna jest Denise i który był gotów zamknąć tę całą cholerną sprawę i zapomnieć o niej.

Byli też poszukiwacze sensacji, ci, którzy przybyli, żeby zobaczyć JA. Eks-koleżanki szkolne, eks-przyjaciele, eks-wszyscy. Hayley Scott, młodszą siostrę Denise, początkującą aktorkę, która - może tak, a może nie - rozbiła łeb podłemu mężowi swojej matki.

I dziw nad dziwy, łysiejący facet po trzydziestce, o pretensjonalnym guście, posiadający więcej pieniędzy niż rozumu, przedstawił się jej jako Jimmy Fargo, dawna miłość Denise. Dowiedziała się, że na prośbę Connora przyjechał z Seattle i jest gotów wziąć udział w śledztwie.

- Tak, była w ciąży - oświadczył im Jimmy, sadowiac się w skrzypiącym fotelu w biurze Dempseya i szykując do długiej opowieści. - Dałem jej pieniądze na aborcję i załatwiła to. Teraz żałuję. Powinniśmy byli mieć to dziecko i zostać rodziną. - Uśmiechnął się w sposób, jak sądził, wyrażający żal, ale był po prostu obleśny. - Teraz dobrze mi się powodzi. Sprzedałem tutaj posiadłość moich rodziców, dostałem za nią niezły grosz, który zainwestowałem w nieruchomości w Seattle. Zbiłem fortunę!

- Dlaczego więc sprzedałeś swoją historyjkę brukowcom? - zapytała Hayley, czując się brudna przez sam fakt przebywania w jego pobliżu.

- Cóż, jasne że bywały też chudsze czasy. A poza tym uważam, że publiczność ma prawo znać prawdę. W końcu ona zarabia teraz mnóstwo pieniędzy i zachowuje się, jakby była bez skazy. Sądziłem, że ludzie powinni wiedzieć, to wszystko.

W trakcie tej wymiany zdań Connor się nie odzywał, ale Hayley wyczuwała fale niesmaku, którymi promieniował. Jimmy Fargo był jak padalec. W szkole średniej był dość sympatyczny, ale wyrósł na potwora wielkiego kalibru.

- Jest pan pewien, że dziecko było pana? - zapytał wreszcie Connor.

Twarz Jimmy'ego powlekła się ciemną, brzydką czerwienią.

- Oczywiście!

- Po prostu zastanawiałem się, czy nie było innego mężczyzny w...

- Ja byłem jej mężczyzną, jasne? Ja. Nikt inny. Zabiła moje dziecko!

Hayley odwróciła się tyłem. Nie mogła na niego patrzeć. Stanowił inny fragment układanki, prowadzącej do zabójstwa i nie mogła znieść jego widoku.

A Jimmy kontynuował opowieść o Denise i o tym, jak to nikt mu nie wierzył, że to Denise Scott, aktorka filmowa. Wyraźnie było widać, że jest przejęty faktem, iż jakaś część jej sławy i popularności nie spłynęła na niego i że zamierza naprawić ten stan rzeczy. Wreszcie Connor wskazał mu drzwi i Jimmy niechętnie się podniósł.

- Pamiętam, że miałś wypadek - dodał, przypomniawszy sobie już w drzwiach, kiwając palcem w stronę Hayley. - Nie mogłaś chodzić do szkoły. Denise powiedziała, że się przewróciłaś, ale pan Saunderson powiadomił

władze szkolne i sprawdzono, czy ci się nic nie stało. Pamiętam, bo było to tuż przed jej wyjazdem. Przed waszym wyjazdem - dodał gorzko.

Zamazany obraz. Hayley niemal wskrzesiła w pamięci to samo wspomnienie, ale jakoś jej umknęło. Bała się go szukać. Bała się, że mogłoby przywołać jeszcze więcej wspomnień, których nie chciała.

Connorowi udało się wypchnąć Jimmy'ego na zewnątrz. Zapłacił mu za stracony czas, mając nadzieję, że Jimmy wyruszy prosto do Seattle, ale ten nie chciał o tym nawet słyszeć. Był zdecydowany pozostać w pobliżu, jak zły zapach i zasmrodzić wszystko.

Hayley zadrżała i mocniej otuliła się kurtką. Znajdowała się teraz na miejscu zbrodni i Connor najwyraźniej czekał na cud.

- Jak się masz? - zapytał, idąc po ściernisku w jej kierunku.

- W porządku.

- Wracajmy do motelu.

Kiwnęła głową. Szli przez pole ramię przy ramieniu. Niezależnie od woli Hayley, jej oczy zerknęły w stronę miejsca - tego miejsca - gdzie to się stało. Doskonale wiedziała, gdzie to się stało.

Od razu poczuła znajome bicie serca, strumień gorąca, a potem jego szybkie ustąpienie, jak cofanie się fali. Atak niepokoju. Nie miewała ich już od lat. Ukryła je pod warstwami narzuconej sobie równowagi. Ona nie była podobna do Denise.

Nagle otoczył jej ramię dłonią w rękawiczce. Ale i tak się potknęła, z przerażeniem wpatrując się w obszar ziemi za domem, zaraz za podwórkiem, pokryty gęstwiną rozrośniętych krzewów jeżyn i kosodrzewiną.

- Co się dzieje? - zapytał Connor gdzieś z oddali.

Krzyk i wrzask kobiecy. Opadające w dół ramię, zadające cios bezwładnemu ciału. Ciału zginającemu się i skręcającemu przy każdym uderzeniu. Krew, krew... tyle krwi. Kiwająca się rytmicznie Denise, z twarzą zasłoniętą rękami, w ubraniu splamionym krwią. Kawałek granitu, oblepiony krwią i włosami.

- Hayley? - zapytał, łapiąc ją za ramiona i potrząsając; jego oddech tworzył białą mgiełkę na tle szarego nieba.

Spojrzała na niego umęczonymi oczami.

- Zasłużył na śmierć.

Connor przyglądał się jej, na równi z nią przeżywając te męczarnie. Jej krucha skorupka roztrzaskała się zupełnie, odsłaniając nieuformowaną kobietę. Wiedział, że będzie się opierała, ale mimo to zareagował zgodnie ze swoimi uczuciami i przyciągnawszy ją blisko do piersi, zaczął kołysać.

Nie oczekiwał niczego więcej. Nie teraz. Nie dziś. To wszystko i tak musi się jakoś rozplatać. W pewnej chwili sama mu powie, bo na nowo rozdrapał tę ranę i teraz wiła się z bólu. Sam siebie za to nienawidził, ale Hayley, podobnie jak Denise, powinna wziąć się za bary z przeszłością, jeśli chciała się kiedykolwiek pozbierać.

Toteż był zdumiony, kiedy znów się odezwała, a jej słowa zmroziły mu krew w żyłach.

- To byłam ja - powiedziała spokojnie. - Bo stale próbował... bo prześladował mnie i Denise, i przychodził do naszych pokoi... i on... i on... - Drżenie targnęło całym jej ciałem. - I dotykał mnie. I skrzywdził mnie. - Poczul, jak przetykała ślinę.

- Ja go zabiłam. Musiałam.



Connor zamknął oczy i oparł policzek na jej włosach, czując zawrót głowy. Daniels zasługiwał na śmierć. Naprawdę. Ze ściśniętym sercem słyszał echo przestrogi swojej siostry. Wsadzisz jedną z tych dziewcząt do więzienia... Zniszczysz jej życie, żeby pomścić Daniela...

Po prostu nie spodziewał się, że to będzie Hayley.

\*\*\*

Było późno. Dużo później. Odwiózł Hayley z powrotem do motelu „Wheel Treat You Right”, który, pomimo swojej idiotycznej nazwy, był jedynym przyzwoitym hotelem w Wagon Wheel, teraz zaś, strapiony, jechał przed siebie fordem swojej siostry. W uczuciach miał mętlik. Był bliski prawdy; mógł ją wyczuć jak ogar. Tyle że to bolało.

Ford podskakiwał w wyżłobionych przez deszcz koleinach, zmierzając w stronę pokrytego szarym gontem domku z przystrzyżonym trawnikiem i garażem, w którym stał stary model plymoutha wyglądający jakby właśnie przed chwilą zatrzymał się z wyczerpania.

Connor wyłączył silnik, wsunął kluczyki do kieszeni i, omijając kałuże błota, ruszył ku drzwiom wejściowym. Niebo było szare, a chmury przesunęły się nisko, kiedy więc drzwi się otworzyły i na zewnątrz wydostał się zapach cynamonu i gałki muszkatołowej, Connor odetchnął głęboko, czując w środku nie kontrolowane narastanie bólu.

- Tak? - zapytała kobieta o mocno skręconych siwych włosach.

- Pani Saunderson? Jestem umówiony z pani mężem.

- Ach, tak... - Przytrzymała drzwi szeroko otwarte, aby Connor mógł wejść do środka.

Saunderson siedział przy kominku w okularach zsuniętych na czubek nosa i rozwiązywał krzyżówkę z gazety. Spojrzał na Connora i zaczął, aż

młodszy mężczyzna usiadł. Potem powiedział prosto: - Nie umiem panu nic dodać do tego, co już przekazałem przez telefon. Uczyłem Hayley Scott historii i od czasu do czasu przychodziła na moje lekcje posiniaczona. Jej siostry zawsze mówiły, że to był wypadek, ale nie wierzyłem w to. Zawiadomiłem władze szkolne, a sam poszedłem do niej do domu. Wtedy ostatni raz widziałem ją pobitą, ale nigdzie nie było Daniela, któremu chciałem zadać parę pytań. Już wtedy zniknął.

Już wtedy nie żył, domyślił się Connor i poczuł ucisk w żołądku.

Saunderson ciężko westchnął. - Zaczęto mówić o wysłaniu Hayley do rodziny zastępczej, gdyż nie miała nikogo bliskiego poza bliźniaczkami, ale nic nie zrobiono, a potem dziewczęta wyjechały.

- Kiedy poszedł pan do ich domu, jakie były pana wrażenia?

Zastanawiając się, zdjął okulary z nosa.

- Że stało się coś strasznego i że wszystkie trzy rozpaczliwie usiłują to ukryć.

\*\*\*

Denise spryskała obficie dekolt i przeguby dłoni Chanel No5, po czym wzięła głęboki oddech. Poczwała zapach tak wyraźnie, że aż się zdumiała. Była przytomna. Koniec z ciągłym lunatykowaniem. Koniec z oszołomieniem, straconymi godzinami i majakami. Była przytomna.

Spowiedź musi być potrzebna dla duszy, pomyślała z krzywym uśmiechem, patrząc na motywy z okolic Santa Fe w swojej sypialni. Dziwne. Czwała się, jakby była w cudzym pokoju. W gruncie rzeczy wszystko sprawiało na niej wrażenie, jakby żyła cudzym życiem. Całkowicie straciła poczucie więzi ze swoim pokojem, z domem, stylem życia, nawet z Johnem...

Niemal co godzina musiała sobie przypominać, że tak, to jest życie Denise Scott Callahan i tak, to ona była Denise Scott Callahan.

Nowe myśli. Dziwne uczucia. Stone ćwir, ćwir, ćwierkał do niej, na co, z niezrozumiałych do końca powodów, wciąż mu pozwalała. Może dlatego, że kontrolowała swój nonsensowny, maniakalno-depresyjny problem. A może dlatego, że właśnie osiągnęła ten wiek, kiedy skrzywdzeni w dzieciństwie ludzie uczą się godzić z tym, co im się przytrafiło w młodości i wydobywać na wierzch głęboko zagrzebane wspomnienia. A może to zasługa samego Stone'a.

Nieważne dlaczego, ważne, że czuła się lepiej. Poczwała to gdzieś w środku. Jakby pękały wielkie kry lodowe i odpływały w dal.

Wyrzucić trucizny... precz, w ogromną pustkę przestrzeni.

Denise zamknęła oczy i wyciągnęła dłoń zaciśniętą w pięść, powoli rozwierała palce, aż rozchyliły się i wyprostowały. W myślach pchała, pchała, pchała - dopóki całe zło nie oderwało się nagle od jej palców i nie odpłynęło daleko.

Otworzywszy jedno oko, spojrzała na swoją napiętą rękę. Śmiech ugrzązł jej w gardle. Ćwiczenie, które ocaliło resztki jej zdrowia psychicznego, przestało już działać. Czuła się lepiej.

Pracowała dzisiaj i ekipa realizatorska była serdeczna, zrelaksowana i tak łatwa w kontaktach, że aż trudno było w to uwierzyć. Oczekiwała, że znając jej przeszłość, będą niechętni, a w najlepszym wypadku nie będą jej ufać. Ale oni wcale nie obchodzili się z nią jak z jajkiem, nie okazywali nadzwyczajnych względów - tego by żądała w czasach, gdy była kapryśną diwą! Nie, zebrali się razem, żeby wykonać pracę i zadanie zostało wykonane niezwykle szybko. Asystent Johna był wspaniałym facetem,

potrafił sprawić, że każdy czuł się swobodnie, jednak wolałaby, żeby John już powrócił ze swojej nagłej wyprawy w nieznane. Nadal najlepiej jej się z nim pracowało.

A teraz czekała na Stone'a. Wybłagała u niego, freudowskiego skapca, wspólną kolację i chociaż się wzbraniał, w końcu dał za wygraną.

Nie zgłosił na policję swojego przekonania, że to Dinah zabiła Thomasa. Chociaż nigdy na ten temat nie rozmawiali, wiedział jednak, że Denise będzie kłamać, oszukiwać i kręcić w obronie swojej siostry bliźniaczki. A jeśli to istotnie Dinah rąbnęła drania w głowę - Denise nadal nie miała jasności co do szczegółów - uczyniła tak w obronie własnej. Bez wątpienia.

Tyle że zaraz pojawiłyby się pytania. Zawsze wiedziała, że będą pytania. Żaden szanujący się prawnik nie powstrzymałby się przed zadawaniem pytań.

I dlatego kontakty Hayley z Connorem Jackleyem stanowiły taki problem. Bez względu na swój zmysłowy urok, słowo GLINA miał wypisane na całym ciele, co było, jakkolwiekby na to patrzeć, złą wiadomością.

Była właśnie w kuchni przygotowując pastę z pesto, podsuszonych na słońcu pomidorów i utartej mozarelli, kiedy ogarnęło ją dziwne uczucie, wywołujące gęsią skórę. Wpatrywała się w swoje ręce, obserwując jeżące się włoski, słysząc w uszach szum.

Dinah.

Przesłanie było wyraźne. Zrozumiała je, gdy szła w stronę szafy po płaszcz. Przesłanie. Nieczęsto je otrzymywała. Zwykle była zbyt

pochłonięta swoimi sprawami, zbyt nieprzytomna, by dostroić się do tej specjalnej linii komunikacyjnej między bliźniaczkami.

Ale ten przekaz był silny, ona zaś była przytomna. Przytomna i czujna.

Dokładnie w chwili, gdy otwierała frontowe drzwi, zadźwięczał dzwonek. Stojący na kamiennych schodach Stone był zaskoczony jej widokiem.

- Cześć. Co za punktualność.

- Czy możesz mnie zawieźć na lotnisko? - zapytała, narzucając na siebie płaszcz.

- Gdzie się wybierasz? - zapytał.

- Do Wagon Wheel. Tam jest Dinah i ma kłopoty.

\*\*\*

Uparł się, żeby jechać, chociaż ona tego nie chciała. Naprawdę nie chciała go tam. I bez tego sytuacja była skomplikowana.

- Wracaj do Los Angeles - chyba setny już raz poleciała Dinah, ale Callahan deptał jej po piętach, kiedy odchodziła od wypożyczonego samochodu ku drzwiom biura szeryfa Deschutes County.

Dinah nie spodziewała się, że jej wtargnięcie do środka wywrze takie wrażenie. Zamarli ze zdumienia, a ktoś wcisnął guzik interkomu i wyjąkał - G-g-gus, chyba powinienes tu p-p-przyjść.

Pojawił się dość pospolicie wyglądający mężczyzna. Gdy tylko rzucił okiem na nią, a potem na Johna, który stał tuż za jej plecami, twarz rozjaśnił mu przyjazny uśmiech.

- Och, dzień dobry - powitał ich, najpierw potrząsając ręką Dinah, a potem Johna. - A więc też przyjechaliście tu razem z Jackleyem?

- Czy rozmawiał pan z moją siostrą? - rzuciła Dinah.

- Rozmawiała z Connorem.

- Naprawdę? - Dinah się nie uśmiechnęła.

- Czy mógłby nam pan pomóc ich znaleźć? - zaproponował John i z opóźnieniem przedstawił siebie i Dinah, co szeryf zbył machnięciem ręki, dopóki nie usłyszał - naprawdę usłyszał - imienia Dinah.

- Przepraszam - oświadczył. - Sądziłem, że musi pani być Denise, gdyż przyjechała tu pani z panem Callahanem. Cóż, Connor prawdopodobnie jest u siostry, Mary. Podam państwu adres.

Zapisał tę informację, cały gotów do pomocy i tak uprzejmy, że Dinah natychmiast przestała mu ufać. Nie lubiła małomiasteczkowych życzliwych. Pamiętała, jak to wyglądało, kiedy trzy biedne dziewczynki mieszkały z Thomasem Danielssem. Spojrzenia. Współczucie. Niezdrowe zainteresowanie.

Nie, zupełnie nie ufała szeryfowi Gusowi Dempseyowi.

- Nie chcę, żebyś szedł ze mną - oświadczyła Dinah, kiedy znaleźli się na zewnątrz i wsiadali do wynajętego samochodu. Jednak John opadł swoim szczupłym ciałem na siedzenie obok kierowcy, zadowolony, że nie musi prowadzić.

To i tak było kłamstwo, pomyślała Dinah, zgrzytając zębami. Chciała go mieć przy sobie. Chociaż cholernie się bała, że dowie się więcej, niż oczekiwał.

Nie mogła na to pozwolić.

\*\*\*

Przemarznięta do kości Hayley siedziała w starym bujanym fotelu w kącie kuchni. Kołysząc się lekko, wyłączyła się z paplaniny przy kolacyjnym stole. Siostra Connora, Mary, była miła, a jej mąż, Kurt, mówił

niewiele, lecz jego milczenie też było towarzyskie. Dzieci mieli wspaniałe, zwłaszcza spodobał jej się Matt, tak bardzo pragnący uczestniczyć w tej żalosalnej aferze. Jego starsza siostra, Heather, tylko się przyglądała i uśmiechała, ponieważ, wreszcie to dotarło do Hayley, siedziała w jednym pokoju z prawdziwą aktorką.

Poczekajmy, aż zobaczy Denise.

To była głupota, w gruncie rzeczy kosmiczny żart, że Hayley, teraz będąc już aktorką, zupełnie się nią nie czuła. Cel, o który walczyła jak buldog, przestał być istotny. Nic nie znaczył. Zresztą i tak skończyła w Wagon Wheel - w miejscu, które byłoby jej koszmarem, gdyby tylko chciała pamiętać.

Podszedł do niej Connor i delikatnie położył dłoń na ramieniu.

- Nic nie zjadłaś.

- Nie jestem głodna.

W odpowiedzi powędrował do kuchni, wziął kilka bułeczek z kolacji, wrócił i podał jej drugą rękę.

Z oporem przyjęła jego dłoń i przeszli na werandę na tyłach wiejskiej chaty. Kurt był budowniczym i tworzył ten dom kawałek po kawałku, weekend za weekendem, dopóki go prawie nie wykończył, cały z drewna. Drewniane podłogi, drewniane sufity, drewniane ściany i drewniane belki. Było prosto i pięknie, nic nie przypominało wytartych dywanów i porysowanego linoleum w domu, który dzieliła z Thomasem Danielsem.

Ale Wagon Wheel pozostało takie samo. Zapomniała już jego zapach, wiejską rozległość, całkowite odcięcie od hałasu, ruchu i rytmu życia w mieście.

Przerażało ją.

Connor oparł się o poręcz werandy, Hayley zaś opadła na zakurzone poduszki skrzypiącej huśtawki. Wiatr był tak zimny, że aż zatykał. Hayley skuliła się.

- Dzwoniłeś do szeryfa? - zapytała ponuro, przekonana, że to uczynił, modląc się, by tak nie było.

- Nie.

- Dlaczego nie?

- Nie mogę tego zrobić, dopóki mnie nie przekonasz, że zabiłaś swojego ojczyma.

- Powiedziałam ci, że to zrobiłam.

Wzruszył ramionami, jakby usiłował zrzucić z siebie to wszystko.

- Muszę mieć coś więcej.

- Więcej niż przyznanie się do winy? - zapytała ze śladem dawnego ognia w głosie.

- Opowiedz mi o nocy, kiedy to się zdarzyło.

- Powiem szeryfowi. Nie chcę przechodzić przez to dwukrotnie.

Rozerwał na pół jedną z bułek i podał jej kawałek.

- Jedz - polecił.

- Co się z tobą dzieje?

Connor patrzył na nią w taki sposób, że czuła jego spojrzenie gdzieś w środku, a żołądek zaczął fikać koziółki.

- Nie mogę zdecydować, czy naprawdę wierzysz, że to ty zabiłaś, czy też osłaniasz którąś z sióstr.

- Nie chronię swoich sióstr.

- Rozmawiałem dzisiaj z twoim nauczycielem historii, panem Saundersonem.



Hayley wzdrygnęła się.

- I?

- Pamiętaj, że byłaś pobita mniej więcej w tym czasie, kiedy zniknął Daniels.

Jej uśmiech pozbawiony był humoru.

- No i masz. Uderzył mnie, a ja go zabiłam.

- Nawet nie pamiętasz, prawda? Coś sobie przypominasz, ale niezbyt dobrze. - Pochylił się ku niej. - Co sobie przypominałaś?

Hayley zawahała się. Chęć powiedzenia mu stawała się coraz silniejsza.

- Connor? - zawołała Mary ze środka domu. Jedną rękę przyciskała do piersi, nerwowo spoglądając za siebie.

- Co? - zapytał dość ostro, niezadowolony, że mu przerwano.

Uniosła dłonie do góry, za nią zaś pojawiła się wysoka, niewiarygodnie gruba kobieta, która, nie czekając na za-powiedzenie, przekroczyła drzwi i dołączyła do obecnych na werandzie. Miała na sobie drelichowy fartuch i parę mokasynów, oddychała ciężko, jakby sam wysiłek nabierania powietrza przekraczał jej możliwości - i pewnie tak było, pomyślała Hayley.

Hayley zerknęła na Connora, który był wyraźnie zaskoczony wizytą. - Witaj, Candy - powiedział - to jest Hayley Scott. Nie jestem pewien, czy się kiedykolwiek spotkałyście.

Candy spojrzała wyczekująco na Hayley. Hayley potrząsnęła głową i Candy powiedziała: - Nie.

- Candy jest córką Thomasa Danielsa. - Wyjaśnienie przeznaczone było dla Hayley, chociaż już wcześniej wspominał o Candy w czasie jednej

z długich rozmów na ten temat. Hayley skinęła głową, czując się niezręcznie.

- Całe miasto mówi o zabójstwie Danielsa - stwierdziła obojętnie Candy. Rozejrzała się dokoła szukając miejsca, gdzie mogłaby usiąść, ale poza poręczą, o którą opierał się Connor, była tam jedynie huśtawka. Hayley poderwała się na nogi, ale Candy machnięciem ręki kazała jej usiąść.

- Doszłam do wniosku, że mam takie samo prawo jak każdy, żeby wiedzieć, co się dzieje. - Zerknęła spod oka na Hayley. - To był łajdak.

- Tak, to prawda - zgodziła się Hayley.

- I cieszę się, że ktoś go zabił.

Hayley uśmiechnęła się, ale gdzieś w środku przejął ją dreszcz, zaczęły jej się trząść usta.

Candy zwróciła błyszczące oczy na Connora. - Powiedz Gusowi, że powinien z tym skończyć. To jest stara sprawa, która nie ma żadnego znaczenia. Szeryf Urganis, poprzednik Gusa - wyjaśniła - grzebał w tej cholernej sprawie i nic nie znalazł. Czy Gus ci o tym nie mówił? - zapytała Connora.

- Urganis nie wiedział, że Daniels został zamordowany - zwrócił uwagę Connor. - Gus musi prowadzić sprawę.

- Och, jasne - mruknęła zdeglustowana.

- Jest coś, o co cię wcześniej nie spytałem - powiedział w zamyśleniu Connor. - Nosisz nazwisko Whorton.

- Ach, byłam kiedyś zameżna. - Jej wargi wygładziły się. - Zdradzał mnie z kelnerką z Redmond. I tak go za bardzo nie lubiłam.

Hayley nie mogła przestać gapić się na Candy. Było w niej coś, co przypominało Daniela. Jasny błękit oczu, a może kształt brody. To było niesamowite.

- Wspominał o tobie parę razy - powiedziała Hayley. - Ale nigdy się nad tym specjalnie nie zastanawiałam.

- Widywałam was wszystkie - wyznała Candy. - Stale. Byłyście takie śliczne, że zastanawiałam się, czemu wasza mama związała się z nim.

- Nie najlepiej potrafiła ocenić ludzki charakter - przyznała Hayley, przypominając sobie brutalny, męski sposób bycia Daniela. Drzenie przeszło w dygotanie.

- Wyszłam za mąż naprawdę młodo - zadumała się Candy.

- Miałam słabość również do Jimmy'ego Fargo, ale on był z Denise.

Hayley uniosła głowę, zdumiona tym, ile Candy wiedziała o jej rodzinie. - Wtedy jeszcze Jimmy Fargo był fajny. Obie roześmiały się cicho.

Connor siedział w półcieniu, spokojnie słuchając. Jego metoda polegała na tym, by wtopić się w otoczenie. Dać mówić klientowi. A Candy i Hayley były związane ze sobą w sposób, jakiego nigdy by nie podejrzewał.

To mu odbierało odwagę.

- Czy on... - Candy zawahała się. - Czy próbował czegoś z tobą?

Jej głos łamał się żałośnie. Connor zamknął oczy; bez cienia wątpliwości wiedział, że Thomas Daniels zgwałcił także swoją biologiczną córkę.

Hayley też to wiedziała. Przełknęła ślinę.

- Nie mogę o tym za dużo myśleć. To... boli. Candy kiwnęła głową.

- Napisz o tym w swoim raporcie, gliniarzu - uśmiechnęła się kpiąco, klepiąc się po swoim ogromnym brzuchu. - Całe to sadło ma swoje

uzasadnienie. Tak mówią różni psychoterapeuci, występujący w programach Oprah czy Sally. Zabezpieczenie. Mój ojciec robił to ze mną, więc po prostu zaczęłam jeść i jeść, żeby stać się jak najbrzydszą i żeby zostawił mnie w spokoju. Wierzysz w to?

Connor nie odpowiedział.

- Myślę, że to prawda. - Odwróciła się do Hayley. - Cieszyłam się, gdy odszedł. Naprawdę się cieszyłam. Ale trochę się martwiłam o was.

Hayley szybko potrząsnęła głową.

- Miałyśmy Dinah. Dinah zajęła się wszystkim. Candy zawahała się.

- Powiedz Denise, że teraz już nic nie ma znaczenia. Nie ma dowodów, więc powinna tylko zachować spokój.

Connor potarł ręką twarz. Candy nadal trzymała się swojej teorii o winie Denise. Tchórzliwa, egoistyczna strona jego natury pragnęła, aby to była prawda.

Hayley uśmiechnęła się słabo. Candy jeszcze raz rozejrzała się w poszukiwaniu krzesła, w końcu zdecydowała, że czas iść.

- Wpadnij do mnie - powiedziała do Hayley, wychodząc. - On ci może pokazać, gdzie mieszkam. - Ruchem głowy wskazała Connora, po czym zniknęła w głębi domu.

Cisza, zakłócona jedynie przez szum drzew poruszanych lodowato zimnym wiatrem, przenikającym ją pomimo grubej kurtki.

Usiadł obok i uniósł jej wiotką dłoń.

- Bezczelna ulicznica, jaką spotkałem na Hollywood Boulevard nie reagowałaby w ten sposób.

- Ona nigdy nie istniała.

- Pozwoliła ci funkcjonować niemal przez dziesięć lat. Jest tutaj. Wezwij ją z powrotem. Potrzebujesz jej.

- Chciałabym po prostu zniknąć z powierzchni Ziemi.

- Boisz się, że znajdę coś na Denise.

Te słowa zapiekły do żywego, zbyt prawdziwe, by można było z nimi dyskutować. Zatkąły ją, bo do tej pory sobie tego nie uświadamiała: osłaniała Denise.

- Rusz się, Hayley - powiedział delikatniej, w głosie brzmiała troska i czy wolno jej w to wierzyć, uczucie? - Walcz.

Z własnej woli jej palce powędrowały ku niemu, dotknęły podbródka, niepewnie i pytająco. Przyciągnął ją bliżej, uspokajająco. Bicie dwóch serc stopiło się.

Szepnęła: - Kiedyś mogłam marzyć o łące porośniętej suchą trawą i borówkami, gdzieś w górach. To trzymało mnie przy zdrowych zmysłach. Teraz wydaje mi się, że to pole znajduje się tam, gdzie... został zabity. Ta myśl opętała mnie, jak złe, okropne wspomnienie. Boże, nie mogę myśleć!

Jego broda spoczęła na jej włosach. Zamknęła oczy i oddała mu się w opiekę. Nigdy nie chciała być blisko mężczyzny, uważając, że to wytrąca ją z równowagi.

- Wiesz, zawsze twierdziłam, że jestem dziewicą - kontynuowała suchymi wargami. - Ale to kłamstwo. Nie wiedziałam tego, ale to było kłamstwo.

- Jesteś sobą. - Jego głos zaburczał w głębi piersi. - Tylko to się liczy.

Trzęsąc się wciągnęła powietrze. - Nie, nie tylko.

Jego wargi błędziły po jej włosach. Teraz już trzęsła się cała. - Powiedz mi - wyszeptał.

Jakieś zamieszanie zapanowało wewnątrz domu. Okrzyki. Connor przekreślił głowę, żeby lepiej słyszeć i zdumiony ujrzał pędzącą co tchu Mary, znów przyciskającą ręce do piersi.

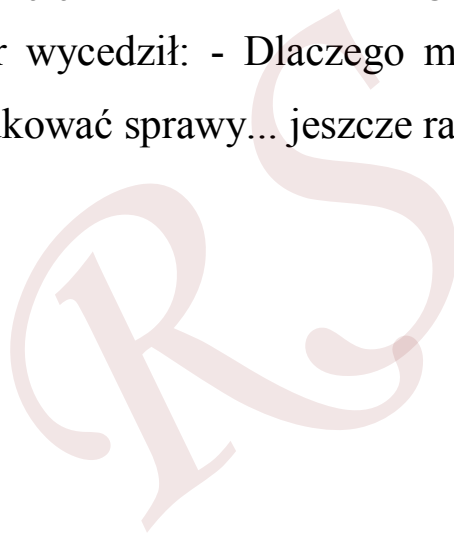
Obok niej kroczyła długonoga kobieta. W przyćmionym świetle poznanie nowo przybyłej zajęło Connorowi dłuższą chwilę.

- Dinah? - powiedział zaskoczony.

- Dinah! - Hayley wróciła do życia.

- Hej, cześć - powitała ich. - Czy to prywatne spotkanie, czy też każdy może wziąć udział w tym sabacie czarownic?

Hayley rzuciła się w jej ramiona w chwili, gdy obok niej pojawił się John Callahan, a Connor wycedził: - Dlaczego mam wrażenie, że Dinah przybyła tu, żeby uporządkować sprawy... jeszcze raz.



Było już późno, zwłaszcza że następnego dnia trzeba było iść do szkoły, ale Matt Logan nie zamierzał się położyć, póki nie skończy opisywania wydarzeń. Żonglując latarką, długopisem i notesem, zupełnie ubrany skulił się na łóżku pod kołdrą. Musiał przygotować porządne notatki dla wujka Jacka. Nieważne, co mówiła mama. W końcu to on znalazł czaszkę, prawda? Denerwowało go, że wszyscy zdawali się o tym nie pamiętać.

Przygryzając dolną wargę napisał sześć dużych znaków zapytania. Widział, że wujek Jack martwi się o swoją przyjaciółkę - aktorkę. Pewnie myślał, że to ona dała po głowie staremu Danielsowi. Jednak Matt w to nie wierzył. Była za ładna i za miła.

Zza zamkniętych drzwi Matt intensywnie przysłuchiwał się ich rozmowie, dopóki mama go nie przepędziła. Znowu Heather naskarżyła. Uśmiechnęła się do niego głupawo, a on miał ochotę ją trzepnąć. Gdyby jednak to zrobił, to jego odesłano by za karę do pokoju, nie Heather. A poza tym umiała drapać tymi swoimi paskudnymi, długimi paznokciami, i to naprawdę boleśnie!

Wypisując na kartce imiona, skrzywił się przy Candy. Tak. Była gruba i wiedźmowata. Gotów był się założyć o pięć dolarów, że to ona zrobiła.

A teraz przyjechała ta druga siostra i Matt bardzo chciał wiedzieć, o czym wszyscy rozmawiali tam na dole.

Może nadeszła pora, żeby się dowiedzieć.

Ostrożnie otworzył potwornie skrzypiące okno. Przestraszony zasłonił rękami uszy, ale nikt go nie usłyszał. Kiedy wyjrzał na zewnątrz, zrozumiał dlaczego. Nikogo nie było. Weranda na tyłach domu była cicha i pusta.

Wiedząc, że prosi się o przyłapanie, wymknął się z pokoju i na palcach zszedł ze schodów. Teraz wszyscy siedzieli przy kominku w dużym pokoju koło kuchni i rozmawiali przyciszonymi, poważnymi głosami. Najwięcej mówiła ta nowo przybyła siostra.

Z ołówkiem w pogotowiu Matt usadowił się na przedostatnim schodku i nadstawił uszu.

\*\*\*

Nie było łatwo zacząć wyznania. Nigdy nie zamierzała tego robić. Przez ponad osiem lat dusiła sekret w sobie, aż stał się bajką, fantazją, czymś nierzeczywistym.

Śmieszne, zawsze wierzyła, że już tak zostanie. A gdyby jakimś dziwnym zrządzeniem losu prawda wyszła na jaw, to Denise by się załamała. Nie Hayley.

Lecz Dinah wystarczyło jedno spojrzenie na ogromne oczy i pobladłe policzki Hayley by stwierdzić, że siostra nie wytrzymuje. Ta wspaniała, twarda jak diament fasada, za którą Hayley schowała się wkrótce po wypadku i którą Dinah powoli zaczęła traktować jak prawdziwą Hayley, legła w gruzach.

Nadszedł więc czas rozrachunku. Czekali. Twarze zwrócone ku niej. Zatraskane. Lękające się prawdy tak samo, jak ona bała się ją opowiedzieć.

- Wróciłam wcześniej ze szkoły - zaczęła Dinah. Hayley patrzyła ze zgrozą, Connor zmarszczył się skoncentrowany, John stał czujny, z wyrazem nieufności i rozczarowania. Coś ją dusiło w gardle, ale



przewyciężyła się wiedząc, że jeśli się teraz zatrzyma, już nigdy nie będzie potrafiła skończyć. - Słuchałam Whitney Houston, jednej z jej pierwszych płyt, zanim stała się bardzo sławna, a głośna muzyka wypływała przez okna na zewnątrz. Hayley zastukała w drzwi i wrzasnęła, żebym zrobiła ciszej, ale nie zwracałam na nią uwagi.

- Mama nie żyła i nie obchodziło mnie, gdzie był Tom. Miałyśmy kota... kota o imieniu Bobo - wyznała, głos jej się załamał, gdy nerwowo zerknęła w stronę Johna. - Tom był w domu i tak mocno kopnął Bobo, że kot uciekł, kulejąc. Nienawidziłam go. Naprawdę go nienawidziłam.

Przerwała na moment, zacisnęła szczęki, ale po chwili otrząsnęła się z tych resztek gniewnych uczuć.

- Denise była z Jimmym Fargo. Tak przynajmniej myślałam. Byli wtedy blisko ze sobą związani, a Jimmy chełpił się, że z nią sypia. Napęniał mnie niesmakiem. Podobnie jak drogi, poczciwy ojczym, ale z nim dawałam sobie radę, chociaż przeszło mi przez myśl, że może pewnego dnia będę musiała go zabić.

- Robiło się coraz później. Sądziłam, że Hayley wyszła. Nie było jej przez długi czas. Kiedy wróciła, zawołała o pomoc i w końcu wyjrzałam, by zobaczyć co się stało.

Hayley mruknęła: - Potknęłam się biegnąc do domu.

Dinah skinęła głową.

- To prawda. Przewróciła się jak długa i najwyraźniej była półprzytomna. I krzyczała o czymś w lesie. Że ktoś kogoś bije, jeszcze i jeszcze. Położyłam ją. Wszystko jej się mieszało - była w szoku, chociaż wówczas nie zdawałam sobie z tego sprawy. Złapałam siekierę stojącą przy drzwiach i wyszłam na zewnątrz.

John poruszył się niespokojnie. Serce Dinah zabiło mocno, była niebezpiecznie bliska poddania się uczuciom. Kochała go i nie mogła znieść, że był świadkiem jej opowieści.

Connor odezwał się.

- Zabrałaś ze sobą siekiere na polanę.

Dinah znów potaknęła.

- Ale jej nie użyłam, jeśli to masz na myśli. Poszłam tam i znalazłam Denise, kiwającą się i płaczącą. Ciało Thomasa też tam było. - Dinah przełknęła ślinę, w ustach czuła suchość.

- Było tak zmasakrowane, że z trudem dało się rozpoznać, kto to jest.

- Denise była cała we krwi - kończyła Dinah, z wysiłkiem wypowiadając słowa. - Zabrałam ją do domu. Hayley leżała na kanapie, drzemała. I Denise zaczęła bełkotać o tym wszystkim, co jej zrobił. - Kilka razy głęboko odetchnęła. - Wsadziłam ją pod prysznic, ale ona dalej mówiła i mówiła. Histerycznie. Płakała i płakała. A potem zaczęła krwawić. Poroniła pod koniec tamtego tygodnia.

Dinah gwałtownie przerwała. Trzaski buzującego ognia jeszcze podkreślały panującą ciszę. Spojrzała na Johna, tęskniąc do jego objęć, ukojenia i pocieszenia.

- Czy przyznała się do zabójstwa? - zapytał miękko Connor.

Dinah powoli pokręciła głową.

- Nie mówiła składnie. Jeśli jednak uwierzyć choćby w połowę tego, co według niej jej zrobił, to zabiła, żeby go powstrzymać. Nie mam żadnych wątpliwości, że przez niego poroniła.

Connor rzucił okiem w stronę Hayley, szukając wsparcia. Cień dawnej, pewnej siebie Hayley uśmiechnął się z przymusem.

- Pamiętam tylko jakieś ramię opadające w dół i jej krzyk. - Przełknęła ślinę. - Ale... ale wydaje mi się, że to była moja ręka...

- Nie oskarżaj się, żeby osłonić kogoś innego - odparł ostro.

- Nie robię tego - powiedziała znużona Hayley.

- Nie rób - ostrzegł Connor, po czym zwrócił się znów ku Dinah. - W jaki sposób ciało znalazło się w rowie?

- Ja je tam umieściłam. Przeciągnęłam trupa przez pole i wcisnęłam do rowu. Cieszyłam się, że nie żyje. I nadal się cieszę.

Connor przyglądał się jej z namysłem. Wywarła na nim silne wrażenie, a jednocześnie czuł lekkie zaniepokojenie śmiałością, wyczernioną z jej stalowego spojrzenia. Musiał przyznać jej rację. Prawdopodobnie była to samoobrona i Daniels zasłużył na śmierć.

- Co zrobiłaś z jego ubraniem?

Dinah popatrzyła na niego, nie rozumiejąc.

- Był nagi, kiedy go znalazłam.

- Sądzisz, że Denise go rozebrała?

- Nigdzie nie widziałam jego ubrania.

Niejasny trop. Coś się nie zgadzało. To go niepokoiło. Ale morderstwom często towarzyszyły niejasności.

- Chciałbym, żebyście obie porozmawiały jutro z Gusem Dempseyem, Denise też powinna wziąć w tym udział.

- Nie! - Dinah i Hayley krzyknęły jednym głosem, zaskakując i Connora, i Johna.

Dinah ciągnęła pospiesznie: - Denise wreszcie staje na nogi. Tamta historia omal jej nie zabiła i od tego czasu sama się zabijała. Proszę, nie psuj tego.

Connor zawahał się. - A gdybym porozmawiał z doktorem Stone?

- W porządku - przystała Dinah, rzucając spojrzenie w stronę Johna. O czym myślał? Co teraz sądził o Denise? O niej?

Stał koło kominka, ponuro zamyślony. Nie śmiała podejść do niego bliżej; jego zachowanie wskazywało wyraźnie, że nie przyjąłby tego miło.

- Dziś wieczorem zadzwonię do Haydena Stone'a - powiedział surowo Connor, zmierzając do telefonu.

- Denise to utrapienie - nie mogła się powstrzymać Dinah - ale jest ofiarą przemocy. Nie chcę, żeby została skrzywdzona jeszcze bardziej.

Connor przystanął. Obejrzał się za siebie i z twarzy trójki swoich gości odczytał bez trudu, że wszyscy byli przekonani, że to Denise zamordowała swojego ojczyma. Nie Hayley. Nie Dinah.

Denise.

Paskudna, egoistyczna strona jego natury miała nadzieję, że to prawda.

\*\*\*

Neon motelu Wheel Treat You Right brzęczał i błyskał zielenią. John Callahan przeszedł pod nim, tak bardzo świadom obecności kroczącej obok niego kobiety, że czuł się z nią związany niewidzialną liną.

- Dinah - szepnął, kiedy stanęła na pierwszym stopniu zewnętrznych schodów, wiodących do ich połączonych pokoi.

Zawahała się i odwróciła. W mdłym świetle jej twarz wyglądała poważnie i blado. Patrzyli na siebie, tyle mając do powiedzenia i nie umiając tego wypowiedzieć.

Jego usta wykrzywił gorzki uśmiech.

- Nie obchodzi mnie nic poza tym, że nie potrafiłaś powiedzieć mi prawdy.

- Musiałam bronić Denise - rzuciła w odpowiedzi. Chciał powiedzieć, że ją kocha. Do diabła z tym wszystkim.

Czemu to było takie skomplikowane?

Dinah przymknęła oczy. Widział dreszcz, który nią targnął. Mimowolnie zachwiała się w jego kierunku, on zaś porwał ją w ramiona i zaczął całować twarz, szyję, włosy. Opadła na niego, więc częściowo wprowadził, częściowo wniósł ją do swojego pokoju.

- Nie chcę, żeby mi na tobie zależało - wyszeptała.

- Ale ci zależy. - Prawie się uśmiechnął.

- Jesteś aroganckim, egoistycznym szowinistą, który kiedyś poślubił moją siostrę.

Delikatnie opierając ją na swoim ramieniu John przekręcił klucz i pchnięciem otworzył drzwi do pokoju - nieatrakcyjnej nory, w której ciepło buchało nieustannie z zawieszonych na ścianie grzejników. Trudno sobie wyobrazić gorszą scenerię dla romantycznego pojednania.

- Jesteś wszystkim, czym chciałem, żeby była Denise - przyznał. - Ona po prostu nie mogła być taka. To niczyja wina.

Czuł na szyi jej ciepły oddech. Zawahała się, wreszcie odsunęła się na długość wyciągniętej ręki, aby dojrzeć wyraz jego twarzy.

- Sama nie wiem, czy mam to traktować jak obrazę czy komplement.

Uniósł brew. - Przywiozłem parę prezerwatyw smakowych.

- Ach!

- Cytrynowo- wiśniowych.

- Po wiśniach zawsze chce mi się rzygać. - Uśmiechnęła się. Pierwszy szczery uśmiech, odkąd dowiedział się, kim była. Zaraz jednak jej gładkie

czoło zmarszczyło się. - To wszystko jest takie przerażające. Nie mogę... - Spojrzała w stronę łóżka. - Rozumiesz? - spytała bezbarwnym głosem.

- Odmawiasz mi.

- Jest sporo rzeczy, które muszę przemyśleć.

- Kiedy to się skończy... kiedy wrócimy do Los Angeles...

- Pozostawił nieskończone zdanie, ale Dinah zrozumiała jego sens.

Będą ze sobą. Tak musi być. Chciał, żeby tak było.

Ona zaś oddałaby życie, żeby tak się stało.

- Kiedy wrócimy do Los Angeles - zgodziła się z lżejszym sercem, a potem zniknęła w drzwiach łączących ich pokoje.

\*\*\*

Z walącym sercem Matt popędził po schodach, na górnym podeście złapał równowagę i przygotował się do ewentualnego odparcia ataków skarżypyty. Powiew chłodnego powietrza wdarł się przez otwarte okno w jego sypialni i otoczył go w korytarzu.

Co by zrobił prawdziwy policjant? Jak zachowałby się wujek Jack, gdyby znowu pracował w policji?

Poszedłby na miejsce zbrodni. Zawsze tak robią. Szukają śladów i dowodów.

Obejrzał się przez ramię w poszukiwaniu źródła lodowatego powietrza i pomyślał, że w nocy na zewnątrz musi być bardzo ciemno i zimno. Krew zastygła mu w żyłach.

Co za problem? Boisz się, idioto?

W nowym przypływie odwagi zacisnął zęby i na palcach zakradł się z powrotem do swojego pokoju po najcieplejsze, najciemniejsze okrycie.

\*\*\*

Connor z ociąganiem odłożył słuchawkę na widełki, myśląc w pośpiechu. Doktora Haydena Stone'a nigdzie nie można było znaleźć, chociaż Connor pozostawił wiadomość zarówno w domu doktora, jak i pod jego numerem do pilnych zgłoszeń.

Było późno; John i Dinah poszli kilka godzin temu. Hayley zasnęła w pokoju gościnnym, on też myślał o rzuceniu się na kanapę na noc.

Skrzypienie żwiru.

Connor wyjrzał na podwórko i dostrzegł przemykającą ciemną postać. Ktoś z mieszkańców domu?

Cicho wspiął się po schodach i zawahał się przed drzwiami Hayley. Jakaś jego część pragnęła wejść do środka i zanurzyć się w ciepłe jej łóżko. Zdążali w tym kierunku. Szybko. Może za szybko. Albo też, z jego punktu widzenia, nie dość szybko.

Gwałtownie otworzył drzwi i zajrzał do środka.

W pokoju było pusto.

\*\*\*

- Cholera - mruknęła Denise przez zęby. Chociaż wypowiedziane po cichu, słowo zdawało się odbijać echem pośród drzew i wplatać w szum wiatru. Jakby w odpowiedzi struga lodowatego deszczu smagneła jej twarz.

Zatrzymała się jak wryta, nagle poczuła się zagubiona. Upłynęło już osiem lat od czasu, gdy biegła tą ścieżką spod domu na porośnięty polnymi kwiatami występ skalny, gdzie spotykała się z Jimmym Fargo, żeby zaspokoić nieustanną żądzę. Nie była specjalną wielbicielek natury, a w dodatku w ciemnościach nie mogła obejrzeć swojego złamanego paznokcia -

efektu szalonych zmagania z pajęczyną i sosną - czuła tylko jego nierówną powierzchnię.

Przełknęła nerwowo i zaczęła liczyć uderzenia serca, świadoma że ta eskapada w środku nocy jest zupełnym szaleństwem. Ale przecież wiele razy spotykała się z Jimmym późną nocą, kiedy udawało jej się uciec od tamtego.

Od Thomasa Danielsa. Potrząsnęła głową. Dlaczego tak wiele czasu potrzebowała, żeby sobie przypomnieć? Pewnie jej mózg posiadał zdumiewające własności, gdyż nic nie pamiętała, a kiedy myślała o Wagon Wheel, doświadczała jedynie ogólnie niemiłych uczuć. Ta depresyjna bzdura? Częściowo. Ale głównie zwyczajne, stare „nie chcę o tym myśleć”. Zostałam skrzywdzona, ale nie będę o tym myśleć, bo w przeciwnym razie umrę. Lepiej udawać, że to się nigdy nie wydarzyło. I nawet jeśli gromady różnych sław występowały z opowiadaniem o swoich prześladowaniach - ha, to dopiero należało do dobrego tonu - ona nadal nie mogła ruszyć tych wspomnień.

Stone ją popchnął. Stone zmusił ją do przywołania w pamięci wszystkich okropności, które ją spotkały z rąk tego zbrojnego Iana Wallace'a i do uświadomienia sobie, że stała się wieczną ofiarą.

Była ofiarą, wiedziała o tym. Jej ojczym zgwałcił ją nieskończoną ilość razy, ona zaś skłamała i powiedziała Jimmy'emu, że był jej pierwszym mężczyzną i że będą mieli dziecko. Rozpaczliwe, rozpaczliwe posunięcie. Nadzieja, że zabierze ją jak najdalej od tego wszystkiego. Odkrycie, że Jimmy - ten przystojniaczek - nigdy nie będzie mężczyzną zdolnym, aby jej pomóc.

A potem ten ostatni wieczór...



Denise nie przestawała iść, torując sobie drogę wśród mokrych zarośli i wystających sosnowych gałęzi, niebezpiecznych dla oczu. Wreszcie, zadyszana, dotarła do występu i tam siadła na wilgotnej ziemi, usianej sosnowymi igłami.

- Jestem w ciąży - powiedziała Jimmy'emu, nieoczekiwanie wybuchając płaczem.

Opowiadał właśnie o swojej półciązarówce - czarny lakier, ogromne koła, wzmocniony dach ze specjalnym bagażnikiem na strzelby. Słowa wypływały z jego ust jak komplementy przeznaczone dla uwielbianej kochanki. Jej oświadczenie zmroziło go, przerwał z otwartymi ustami, komicznie zamrugał oczami.

- W ciąży? - powtórzył tępo. - O Jezus Maria!

- Chcę wiedzieć co... co sądzisz, że powinniśmy zrobić - wydukała. - Zdecyduj coś.

- Do diabła, robiliśmy to tylko dwa razy!

- Co więc myślisz? - zapytała rozpaczliwie.

- Pozbądź się ciąży. Nie zależy mi. Jezu! Mogłaś pomyśleć o jakimś zabezpieczeniu! Nie chcę dziecka.

Zły, zły moment. Uświadomienie sobie, że będzie musiała powiedzieć prawdę Thomasowi.

Jak we śnie przeżyła cały następny dzień w szkole. Jimmy nie odzywał się do niej. Szepty. Pokazywanie palcami. Ona, Dinah i Hayley nie uchodziły za równe dziewczyny. Były ładne i biedne, a na dodatek mieszkały tu zaledwie parę lat. Nikt ich nie znał; nikt nie chciał ich znać. Ale wszyscy znali Thomasa Danielsa...

I wtedy... reszta nadal była zamazana, obrazki zmieniały się jak w szybko przewijanym filmie. Musiała mu powiedzieć. Przypominała sobie okropny wrzask, miała też w pamięci jego obraz w snopie światła słonecznego, kiedy stał na podjeździe

I czekał na nią z twarzą siną z wściekłości.

Wrzasnął i uderzył ją. Nic nowego. Usiłowała krzykiem przywołać Dinah, lecz wokół słycać było muzykę. Kakofonię dźwięków. Piękną i dziwnie przerażającą, nie mogła bowiem usłyszeć odgłosu uderzenia w twarz - nie czuła go także.

Czas płynął. Polana. I wówczas, bardzo wyraźnie, przypomniała sobie woń jego oddechu, smak śliny i szuch-szuch-szuch powietrza, unoszącego jego klatkę piersiową, gdy opadł na nią. Jego wizja, jak mężczyzna powinien uprawiać seks z kobietą. Ze swoją pasierbicą. Z nią.

Rzadko próbowała go powstrzymać. Urwana myśl. Uczucie odpływania. Marzyła o zostaniu aktorką. Kimś innym. Kimkolwiek, różnym od tego żalostnego mięczaka, jakim była. Opowiedziała o swoich marzeniach Hayley, która zmieniła się na twarzy. Też tak czuła.

I wtedy Denise zrozumiała. On prześladował także Hayley.

Hayley. Mała siostrzyczka. Jeszcze niedojrzała i bezbronna. Gdzież, do diabła, była Dinah? Dobra Dinah. Twarda, zdecydowana, sprytna i nieugięta.

- Nie martw się - powiedziała do Hayley. - Dinah go dla nas zabije.

Ale tamtej nocy, gdy Thomas zaspokajał swą żądzę jak nędzna świnia, którą był, Denise myślała o Hayley rozplaszczonej pod ciężarem jego brzucha, o Hayley bitej, o Hayley czującej brutalne wtargnięcie jego wstrętnego członka.

Na chwilę kompletnie straciła rozum i rzuciła się z pazurami do jego oczu.

- Jestem w ciąży! - wykrzyczała prawdę. - Jestem w ciąży! I to twoje dziecko!

A ten bydlak zaczął ją bić po brzuchu, potwornie silnymi ciosami, których usiłowała uniknąć. Wrzasnęła i poczuła pod ręką kamień.

Przypomniała sobie pierwsze uderzenie.

Upłynęło więcej czasu. A potem Dinah, podnosząca ją, kojąca, zapewniająca, że wszystkim się zajmie. Wtedy wylało się z niej. Cała krzywda. Cały ból. Całe poniżenie.

- Nigdy więcej - zapewniała ją Dinah. - Nigdy, nigdy więcej.

I wszędzie krew. Na rękach. Cała pochlapana krwią. Krew płynąca z jego ust. A potem, już później, spływająca w dół między nogami, na dowód że okrutna metoda aborcji Thomasa Danielsa była skuteczna.

Teraz, wspominając, Denise zwinęła się w kłębek, objęła rękoma kolana i kołysała się delikatnie. A więc o to chodziło Stone'owi? Chciał, żeby poczuła cały ten okropny, paraliżujący ból. Cóż, odczuła go naprawdę! I nie była do końca przekonana, że jest jej teraz lepiej niż w ciągu tych lat, kiedy się sama oszukiwała.

Tylko że teraz nie było już życia jak we śnie. Żadnych przerw w świadomości. Oczywiście, jej depresja przejawiała się niespodziewanie w dziwny sposób. Porażające nerwy załamanie i samotne wypadki w góry w środku nocy.

Na poły uśmiechnęła się sama do siebie. Ale to nie był wynik żadnej choroby psychicznej. To była ucieczka.

Poza krawędzią występu panowały ciemności. Denise przypomniała sobie, że w czasie miłosnych zmagania z Jimmym bała się, że ziemia się osunie. Podeszła do samego skraju, wpatrując się w mrok. Polana znajdowała się dokładnie pod występem. Tam właśnie się to wydarzyło. Tam właśnie zabił jej dziecko, a ona zmiażdżyła mu mózg.

Zrobiła to. O tak. Zrobiła to.

- Cieszę się - powiedziała na głos.

Dotyk Sadima. Zawsze go posiadała. Teraz wszystko się skończyło, o wiele za późno.

Zamknęła oczy i poczuła pustkę w otaczającej przestrzeni. Nie powinna była uciekać od Stone'a. Nie powinna była skłamać mówiąc, że poczeka, aby ją zawiózł na lotnisko. Trzeba było mu pozwolić przyjechać razem z nią.

Ale wówczas byłby tutaj, aby cię powstrzymać.

- Kocham cię, Stone - szepnęła do wtóru wiatru.

Naprawdę. Naprawdę go kochała.

Nagle przypomniała się jej muzyka. Whitney Houston. Dzień był pogodny i zimny, poświsujący wiatr porywał głos Whitney. Ale gramofon był włączony na cały regulator i Whitney śpiewała pełną piersią.

I był tam Thomas. Ścigał ją aż na łąkę, rzucił na ziemię.

Ale był tam jeszcze ktoś.

Zaskoczona Denise rozchyliła usta, małe światełka zaczęły migotać w jej mózgu, jasne i nieuchwytnie. Tam był ktoś inny!

Błoto osunęło się pod jej butem. Denise pośliznęła się, zaplątała w dzikie wino, ześliznęła jeszcze trochę. Zamachała rękoma, łapiąc

równowagę. Bezgłośny krzyk uwiązał jej w gardle. Grudy błota spadły ze skały.

Kto? Kto?

I nagle ją ujrzała. Tak wyraźnie, jakby stała przed nią. Zdumiona Denise zamarła, wytrzeszczając oczy. To ty!

Jej noga znów się ześliznęła. Próbowwała wbić stopę w błoto, ale nagle nie poczuła oporu. Poniżej nie było już niczego. Usiłując przytrzymać się powietrza, krzyknęła: - Stone!

Powolnym ruchem przechyliła się za skalną półkę i głową w dół poleciała w mroczną przestrzeń.

Krzyk zjeżył Mattowi włosy na głowie. Gwałtownie odwrócił się i zaczął biec, potknął się o mokrą, porośniętą mchem kłodę, przewrócił się na sosnowe igły i ostrą polną trawę. Ogłuszał go łomot własnego serca. Znajdował się na łące niedaleko domu.

- Cholera! - chciało mu się płakać. Leżał cicho, bojąc się poruszyć.

To wiatr, kretynie! Tchórzliwy głupku! To tylko wiatr.

Podniósł ostrożnie głowę, usta mu drżały. Gardząc swoim tchórzostwem, stanął na nogi. Dźwięk nadleciał z zachodu.

Pochylony do ziemi, poruszający się jak partyzant Matt torował sobie drogę w stronę pełnego błota dołu, bezpośrednio pod wystającą półką skalną. Do diabła, przydałaby mu się broń! Coś do poważnej obrony. Stary Daniels był po brzegi wypełniony szatańskim złem, a i tak ktoś ślicznie roztrzaskał mu łeb.

Matt zatrzymał się jak wryty. Serce mu zatrzepotało.

W błocie leżała kobieta, jedną nogę miała wygiętą za siebie w nienaturalny sposób.

- Jezu Chryste - mruknął z przerażeniem.

Kątem oka dostrzegł poruszenie. Obejrzał się. Ktoś tam był. W krzakach. Ktoś obserwował.

Wtedy wyłoniła się, kaczym chodem. W czarnym mroku jej ogromne cielsko wyglądało groteskowo. Matt mgliście zauważył, że się spieszyła. Spieszyła ku kobiecie w błocie.

Candy-Dandy, tak nazywał ją szeryf, była tutaj, tuż przed nim.

- Ty to zro... zrobiłaś - wyjąkał zdętwiałymi wargami. Spojrzała prosto na niego.

- Musiałam. Zabiłby ją. Zabił jej dziecko.

Jej monotony głos przejął go dreszczem. Zęby mu dzwoniły. Ale to nie był czas, żeby się zachowywać jak dziecko. Wydał swój specjalny indiański okrzyk whoop-whoop-whoop i ruszył do przodu, aby pomóc kobiecie w błocie, zaś Candy -Dandy deptała mu po piętach.

*Teraz...*

Stojąc się przed lustrem Dinah uśmiechnęła się kwaśno na myśl o swoim nowym stosunku do kosmetyków. Do zmiany zmusiło ją stałe przebywanie przed kamerami. Do małej zmiany. A tego wieczoru, tak bardzo specjalnego, zrobiła nawet coś ekstra. Wyciągnęła swoje lokówki i - ach! - podkreśliła włosy!

Oczywiście inni goście obecni na premierze będą odstawieni w stylu Rodeo Drive, ale ona, Dinah Scott, sama ułożyła włosy i kupiła suknię ze srebrzystego jedwabiu w normalnym sklepie.

- Kocham Los Angeles - mruknęła cierpko.

Wzięła butelkę perfum, popatrzyła na markę i zawahała się. Chanel No5. Jej siostry.

W gruncie rzeczy znajdowała się w sypialni swojej siostry w domu w Malibu.

Tylko że teraz to był jej dom.

Bobo przeciągnął się na błękitno-różowej narzucie na łóżku Denise. Wyciągnął pazury, otworzył pyszczek i ziewnął, zwijając język i pokazując ostre ząbki. Nie mogąc się powstrzymać Dinah odstawiła perfumy i mocno przytuliła wspaniałe zwierzę. Bobo mrucał jak motorek, przyzwyczajony do tych nagłych, silnych objęć; Dinah potrzebowała poczucia bezpieczeństwa.

Z powrotem przy toalecie, Dinah znów ujęła flakonik Chanel #5. Drzwi sypialni otworzyły się i do środka zajrzał John, wyglądający bajecznie w czarnym smokingu.

- Kiedy zamierzasz przenieść to wszystko do naszej sypialni? -  
Wskazał na perfumy i różne przybory do makijażu, którymi zastawiona była  
toaletka Denise.

- To nie moje. Obiecuję, że kupię własne - uśmiechnęła się. - Nigdy  
nie sądziłam, że będą mi potrzebne, ale ten wieczór jest BARDZO WAŻNY.  
Skrzywił się.

- Nie znoszę tego gówna.

- Ja też. Ale byłoby jeszcze gorzej, gdybyś objął posadę w Titan  
Studios po Rodneyu Waburnie.

- Nigdy. - Szyderczo wzruszył ramionami.

- Nadal im na tobie zależy - powiedziała, mając na myśli zarząd studia.

- Dlaczego nie możemy uciec do Vegas i tam się pobrać?

- zmienił temat.

Dinah roześmiała się, ale jej rozbawienie osłabło, kiedy skupiła wzrok  
na wąskiej złotej obrączce, którą trzymał w palcach. - Mówisz poważnie?

Zerknął na nią, w kącikach jego ust zagościł uśmiech.

- Zrobiłbym wszystko, żeby nie iść na premierę.

- Ha. - Planowali wesele. Ślub był na pierwszym miejscu w ich  
myślach, ale pozostało jeszcze kilka spraw do uporządkowania. - Musimy  
iść - przypomniała. - Dla Hayley. I dla Denise.

John skinął głową, wracając do rzeczywistości.

- Zbierajmy się więc, kochanie. Im szybciej będziemy to mieli za sobą,  
tym prędzej będziemy mogli się zabrać za nowe sprawy.

- Podejrzane sprawy. - Spryskała się perfumami i chwyciła jedwabny  
szal, na który przerobiła sari.



- Sprawy związane ze ślubem. Ty i ja i jakiś chciwy księżulo w Vegas w Kaplicy Love-And-Roses dla Zmotoryzowanych.

- Jesteś taki romantyczny. - Dinah uśmiechnęła się i otoczyła ramionami jego szczupłą talię.

John powoli ją pocałował.

- Kocham cię - powiedział.

- Kocham cię. Uśmiechnęli się do siebie.

- Dość już tych pogawędek. - Ujął ją pod ramię i poprowadził wzdłuż galeryjki. - Do *Lady Paradise* i tych sępów dziennikarzy.

- Boże, byle tylko nie pytali mnie znowu o upadek Denise.

- Nie powinnaś była wychodzić z motelu i ruszać na jej poszukiwania.

- John nie mógł się powstrzymać, by nie powtórzyć tego po raz setny.

- Miałam przecucie - zareplikowała, jak zawsze, a potem zadrzała, gdy przypomniała sobie dziki krzyk Matta Logana - też jak zawsze.

Była na skraju łąki. Przerazona do głębi duszy, wzięła wynajęty samochód. Jednak John, kiedy odkrył jej zniknięcie, przebiegł trzy mile z motelu i znajdował się tuż za nią. Zgadywał, gdzie mogła się udać i ruszył za nią. Oboje usłyszeli głośny wrzask Matta Logana.

A potem znaleźli Denise, nieprzytomną, z nogą wykręconą w niezwykły sposób. Matt stał obok, z szeroko rozwartymi oczami. Candy też się gapiała.

- Wezwij karetkę. - John warknął do Matta, który pobiegł, jakby miał skrzydła u stóp.

I wtedy pojawiła się Hayley, podeszła do nich jak we śnie.

A potem wszystko naraz. Migające światła i tłum ludzi, i Denise zabierana na noszach. Candy spokojnie przyznała się do winy Connorowi,

lecz był to tak oczywisty przypadek samoobrony, że Dinah nie widziała możliwości jej skazania.

Jednak stale gotowała się w niej złość o te lata męczarni - męczarni, jakich Candy Daniels Whorton mogła była im wszystkim zaoszczędzić. Ale Candy naprawdę zdawała się tego nie pojmować. Jej pogodna bierność była, delikatnie mówiąc, denerwująca. Powtarzała tylko: - Musiał umrzeć - jakby to wszystko tłumaczyło, i może tak było. Jednak w końcu to wcale nie pomogło Denise.

Teraz Dinah mocno wtuliła się w dające poczucie bezpieczeństwa ramiona Johna.

- Kocham cię - powiedział jeszcze raz, tym razem trochę bardziej zdecydowanie.

Dinah przełknęła ślinę i zamknęła oczy, chcąc zatrzymać tę chwilę. Przeszli przez piekło. To już się skończyło.

\*\*\*

Jej suknia miała delikatny odcień brzoskwiniowy, była ozdobiona frędzlami, w stylu szalonych lat dwudziestych. Hayley zaczesła proste włosy, przyjrzała się bacznie swoim brwiom, uznała, że lepiej nie będzie już wyglądać, wkroczyła do dużego pokoju mieszkania Connora i stanęła w efektownej pozie.

- No i jak?

Connor siedział na kanapie, ubrany w białą koszulę i czarne spodnie. Był bez krawata i spoglądał chmurnie. Nigdy nie wyglądał bardziej przystojnie.

- Jeśli będziesz mi robił wyrzuty z powodu wyjścia dziś wieczorem, zmienię twoje życie w piekło.

- Szkoda, że twój kumpel, Jabba, nie może tam być. Z przyjemnością przedstawiłbym go „obserwatorowi”.

- Straszysz. - Hayley uśmiechnęła się, ale zabolęła ją ta uwaga. Nie mieli już przed sobą tajemnic, jednak czasami zastanawiała się, czy naprawdę jej ufał. Nie wybaczył jej, że wymknęła się z motelu tamtej nocy, gdy Denise spadła ze skały.

Ale czas to wyleczy. Tyle już się dowiedziała o zaufaniu. Ufała mu całym sercem i on zbliżał się powoli do tego samego stanu.

Udało im się nawet kilka razy kochać ze sobą - prawdę mówiąc coraz częściej i częściej, w miarę jak kruszył się jej mur obronny. Na początku była taka przerażona. Krzyczała, kiedy tylko przesuwiał palcami po jej ciele.

Teraz jednak... teraz...

Cóż, do diabła, wcześniej tego popołudnia starczyło jej odwagi, aby założyć brunatną zamszową kamizelkę ze skórzanymi rzemykami, czarną plastikową spódnicę i wysokie buty do połowy uda.

- Masz ochotę na wycieczkę dookoła świata? - zaproponowała, a Connor przewrócił ją na łóżko i łaskotał tak długo, aż zabrakło jej tchu i zaczęła prosić o litość.

Potem dotykał ją, pieścił i całował, ona zaś zapadła w gorące morze ekstazy, czując przepelniające ją uczucie pokornej wdzięczności za to, że w ogóle znalazła tego mężczyznę, że w ogóle zasłużyła na takie szczęście.

Connor chciał jednak, żeby przeniosła się z nim do Bend. Oczywiście, mogłaby kontynuować swoją karierę, ale on miał zamiar zostać przedstawicielem prawa na prowincji.

Ha, czemu nie? Dotąd udawała podwójne życie. Może to teraz robić naprawdę. Zrobi to teraz naprawdę, dla Connora.

- Wiesz, często myślałam, by odwiedzić grób Jabby i obejrzeć nagrobek - powiedziała, ciągnąc Connora za rękę i usiłując go zmusić do wstania. - Sądziś, że gdzieś na widocznym miejscu jest tam wyryte to jego ulubione niecenzuralne słowo?

- Dość tych pomysłów. - Connor uśmiechnął się, obejmując ją. - Mam lepsze plany, jak spędzić wieczór - wymruczał w jej włosy.

- Nie! - Szarpnęła go za rękę. - Idziemy natychmiast!

Opierał się, miał nieobecne spojrzenie i wiedziała, że znowu myśli o Candy. Przesłuchiwał ją, przepytывał i spędził dziesiątki godzin próbując wydobyć z Candy coś więcej niż jedynie - Musiał umrzeć. - Chciał odpowiedzi. Czegoś więcej. Czegoś, co nie istniało.

Toteż, kiedy Candy przebywała w domu, wypuszczona za kaucją, czekając na proces, Connor Jackley zamartwiał się jej historią i marzył o jakimś podsumowaniu, którego nie było.

- Cieszę się, że w końcu wyznała prawdę - powiedziała teraz Hayley, której udało się postawić go na nogi. - I Denise potwierdziła, że Candy tam była. Czego możesz chcieć więcej?

- Żal mi Candy, to wszystko.

- Wolałbyś, żeby to był Jimmy Fargo - parsknęła Hayley. - Typowy szowinista. A ja po prostu jestem zadowolona, że to żadna z nas!

- Ja też - Connor zgodził się ochoczo. Potem, z chytrym uśmiechem, który pojawił się na jego twarzy, usiłował zaciągnąć ją do sypialni.

- Później - przyrzekła, sama też się uśmiechając. - Chodź już, bo się spóźnimy.

W swoim nowym domu w Bel Air Denise wciągnęła brzuch i lekko utykając podeszła, by w ogromnym lustrze obejrzeć białą suknię z satyny.

Kamień na palcu lewej ręki był tak ogromny, że wyglądał jak sztuczny. Denise Scott Callahan Stone. Ładne inicjały. Boże. Życie jest piękne.

Owszem, była kuternogą. Lewa noga wyglądała jak pokrecona ruina.

- To koniec z rolami seksownych młodych nimf - mruknęła półgłosem, badając głębokie ślady po operacji, otaczające kolano i biegnące w poprzek łydki.

Miała jednak szczęście, że uszła z życiem, żeby zacytować oklepany zwrot. Dzięki temu wrzeszczącemu dzieciakowi, telepatii Dinah i cudownemu pojawieniu się Stone'a w szpitalu w tej dziurze.

Kiedy się ocknęła, dowiedziała się, że spadła w grubą na trzy stopy warstwę błota, twarzą do dołu. Błoto prawie ją zadusiło, ale też ocaliło jej życie i poza strzaskaną nogą i drobnym skaleczeniem głowy, wyszła niemal bez szwanku.

Prasa jednak była wszędzie! Wagon Wheel w stanie Oregon figurowało na mapach, teraz więc motel Wheel Treat You Right stał się miejscem, które „koniecznie trzeba odwiedzić”.

Posypał się grad opowieści. We wszystkich została nagle tragiczną heroiną z Wagon Wheel, podczas gdy jej przyrodniej siostrze Candy przypisywano rolę bądź to czarnego charakteru, bądź też ofiary. Wspaniała historia. Życie dziwniejsze od fikcji. Jednak najwięcej uwagi poświęcono Denise i tak, mogła się przyznać, korzystała z tego.

W środku tego całego szaleństwa Jimmy'emu Fargo udało się pokonać barykadę pielęgniarek i lekarzy i przynieść jej jedną różę. Szczwany lis. Czy naprawdę spodziewał się, że mu wybaczy i cofną się o osiem lat, do szkolnych czasów?

Nie widziała się z Candy. Biedną dziewczynę wziął w obroty bezlitosny Connor Jackley. Jak wynikało z wielu relacji, powtarzała w kółko wyznanie, jak zacięta płyta. Denise więc pozostało dostarczenie szczegółów, które w najlepszym przypadku mogły być zarysowane z grubsza.

Powiedziała im, że to Candy zatłukła Daniela i że pamięta, jak tego fatalnego dnia Candy poprosiła ją, by razem wracać do domu. Teraz pamiętała też głośne piosenki Whitney Houston i ogarniający ją strach o dziecko.

Reszta była nadal mroczną plamą, ale kto by się tym naprawdę przejmował? Najważniejsze rzeczy przypomniła sobie jeszcze w szpitalu. To wszystko ją przytłaczało. Kiedy myślała o personelu medycznym, o prasie, o wszystkim, co na nią spadło, czuła się naprawdę zbita z tropu.

Miała jednak wybawcę. Błyszczącą tarczę, za którą mogła się schronić. Doktor Hayden Stone zjawił się w Wagon Wheel i ocalił ją przed najgorszym urazem.

Denise uśmiechnęła się. Dzięki Ci, Boże, za Stone'a. Jej męża. Jej kochanka.

Naturalnie, łowcy plotek podniecali się, że psychiatra Denise Scott Callahan został jej mężem, ale ta historia była ślepym zaułkiem, pozostawała w cieniu głównych doniesień: SIOSTRA PRZYRODNIA ZABIJA OJCA, ABY URATOWAĆ DENISE SCOTT CALLAHAN STONE! Wkrótce pewnie zrobią z tego film tygodnia w NBC.

Na szczęście była w stanie dokończyć *Lady Paradise*. Dopasowano nawet scenariusz do jej wypadku, wprowadzając pobicie przez zazdrosnego sutenera. Dzięki temu historia zyskała nowy wymiar, przysparzając filmowi

dotatkowej reklamy. Poświęcono jej jeden z programów Oprah Winfrey; w studio chciano, żeby maszyna reklamy stale była w ruchu.

Kiedy otworzyła drzwi antycznej szafy, powitała ją cała kolekcja lasek. Czy powinna wziąć tę z ręcznie rzeźbioną głową kaczki, dar od uwielbiającego ją fana? A może zachować się wyzywająco i zabrać ze sobą solidną, nabijaną sztucznymi brylantami potworność, jaką zamówili dla niej Dinah i John?

Dinah i John... Denise ze zdumieniem potrząsnęła głową; cóż, różne rzeczy się zdarzają. Dziwne, że tak mało się przejmowała tym, że są ze sobą. Kiedyś była zazdrosna, ale wtedy była chora. To już należało do przeszłości.

Cóż.

Złapała laskę z diamentami i przyjrzała się sobie w lustrze. Włosy miała przemyślnie ułożone przez swoją najnowszą fryzjerkę, Olę. Ola nigdy się nie uśmiechała, burczała pod nosem, ubierała się w więzienne szarości i wyglądała jak Don Rickles, ale nie denerwowała Denise i umiała czesać. Boże, i to jak umiała! Maleńkie brylanciki mrugały pomiędzy warstwami upiętych loków, nadając fryzurze efekt lekkości, którego osiągnięcie zajęło trzy godziny.

- Niezłe opakowanie - powiedziała Denise do swojego odbicia, krzywiąc się z lekka. Nadal nie mogła patrzeć na siebie, nie myśląc o tych bolesnych chwilach, kiedy poddawała się uważnym oględzinom, podczas gdy jej świat kręcił się jak kalejdoskop, sprawiając że czuła się oszołomiona i chora.

Rozległo się pukanie do drzwi; Stone wszedł i zatrzymał na niej wzrok. Uniósł brwi, ale nie skomentował widoku.

- Powiedz swojej ułomnej żonie, że pięknie wygląda - poleciła Denise.

- Wyglądasz pięknie - rzekł posłusznie.

- Mam szczęście, że można było dokończyć film pomimo mojego wypadku. Wiesz, zastanawiałam się nad tym. To mi może pomóc zdobyć Oscara.

- Za bardzo się tym przejmujesz - powiedział, stając za nią po prawej stronie i patrząc w lustro. W zwierciadle widziała, jak przymyka oczy i głęboko wdycha jej zapach. Ten widok przejął ją dreszczem.

- Nie przejmuję się moją nogą.

- Tylko o niej myślisz.

- Nie, nieprawda! Przestań się zachowywać jak psychoanalityk. - Ujrzała cień uśmiechu na jego ustach. - Aha! - triumfowała. - Byłeś przecież psychoanalitykiem.

- Nie mogę zdecydować, czy twoje obrażenia wyszły ci na złe, czy na dobre. Jesteś na nich zanadto skoncentrowana, ale dzięki temu nie rozdrapujesz przeszłości.

- I nie popadam w pogłębiającą się depresję, z okresami maniakalnego zachowania - dokończyła monotonnym głosem.

- Całe te bzdury o niezrównoważonej psychice.

- Idziemy na premierę - powiedział, nie chcąc się z nią kłócić.

Przewiesiła sobie laskę przez rękę, drugą zaś wsunęła mu pod ramię i pozwoliła się wyprowadzić. Szczerze mówiąc, jej okaleczenia nie wymagały już wspierania się na lasce, ale bawił ją efekt, jaki wywoływała. Było to trochę tak, jak z nałogowym palaczem - część przyjemności polegała na bawieniu się fajką lub papierosem.

To było jak tarcza.



- Opowiedz mi jeszcze raz, o czym majaczyłam, leżąc w szpitalu bliska śmierci - powiedziała, kiedy schodzili po schodach do wyłożonego dębowym drewnem przedpokoju, gdzie leżały nieprzyzwoicie puszyste dywany. Szarpiący ból. Przypomniła sobie dywany Carolyn i cały ten paskudny epizod w swoim życiu.

- Błagałaś Candy, żeby cię ratowała. I twoje dziecko.

Hayden Stone przytrzymał drzwi dla żony. To był znajomy refren. Mniej więcej raz w tygodniu musiała to usłyszeć, trzeba jej było przypomnieć, żeby wiedziała, że za nic nie można jej winić.

Stawiali pierwsze kroki w stronę powrotu do zdrowia i, w przeciwieństwie do Connora Jackleya, Hayden Stone całkowicie zaakceptował wyznanie Candy Daniels Whorton. Denise po prostu potrzebowała czasu, żeby uwierzyć naprawdę, że ból się już skończył.

\*\*\*

BŁYSK! Flesz mignął silnym światłem powodując, że w tłumie odwróciły się głowy pozostających w jego zasięgu ludzi.

Przed obiektywem stały trzy uśmiechnięte kobiety. Trzy siostry. Ta w srebrnej sukni przesłoniła oczy i za plecami fotografa szukała wzrokiem swojego towarzysza. Druga, ubrana w brzoskwińską sukienkę z frędzlami, zmieniła pozę i chichocząc poruszyła biodrami, jednak cofnęła się, gdy tłum naparł do przodu. Ta w bieli podniosła do góry błyszczącą, wysadzaną brylantami laskę i przesłała całusa.

Premiera *Lady Paradise* okazała się wielkim sukcesem, a zdjęcie trzech kobiet od razu przeszło do historii.

## *Epilog*

Ciach... ciach... ciach. Zajęcie podobało się Candy. Starannie wycięła zdjęcie z „People” i równie starannie przykleiła obok wycinka z gazety. Tutaj były. Trzy aniołki. Przyglądała się im niebieskimi oczami z mieszaniną wzruszenia i zazdrości. Jak bardzo pragnęła stać się częścią ich pięknego życia!

Kolejny raz przeczytała podpis pod zdjęciem: Denise i Hayley Scott na premierze *Lady Paradise* w towarzystwie siostry (bliźniaczki Denise) Dinah.

Candy westchnęła. Odłożyła nożyczki i odsunęła krzeselko, znacząc tandetne linoleum nowymi rysami, które wkrótce zapełnią się brudem i pogłębią jeszcze ogólne wrażenie zaniedbania. Z wysiłkiem dźwignęła swoje cielsko, zatrzymała się i zapaliła papierosa, mrużąc oczy przed gryzącym dymem.

Jej wzrok spoczął na wycinku z gazety. Poszczególne wyrazy rzucały się w oczy. „... niewątpliwy przebój... Callahan znów odnosi sukces... dwie siostry, podwójna radość... najlepszy film w sezonie świątecznym... ”

Cieszyła się z ich powodzenia. Ale sama też by chciała odnieść jakiś sukces w życiu.

Począpała na tył przyczepy i szarpnęła drzwi prowadzące do jednego z nie używanych pokoików. Drzwi uchyliły się na cal, a potem zaparły. Candy kopnęła w nie, przeklinając, wreszcie wyciągnęła ręce i zaczęła odrzucać z drogi pudła i śmieci.

Otworzyła drzwi wystarczająco szeroko, by przecisnąć swoje cielsko i bez zainteresowania rozejrzała się po pomieszczeniu. Po brzegi wypełnione

było rupieciami. Pudła, śmieci i należąca do jej matki kolekcja tanich lalek, wspomnienia, z którymi Jane Daniels nie potrafiła się rozstać. Po śmierci matki Candy wszystko tutaj wrzuciła.

Lecz znajdowała się tu jedna rzecz, będąca jej własnością.

Depcząc po workach i pudłach, nie patrząc, że tłucze szkło i miażdży plastik, nie przestawała grzebać w rzeczach w kącie, dopóki nie znalazła drewnianej skrzynki, która należała do niej i tylko do niej. Była zamknięta na zamek, ale klucz leżał na pokrytym pajęczynami parapecie okiennym. Rozgniatając pająki odnalazła klucz i przekręciła go w zamku.

Skrzynka otworzyła się ze zgrzytem. Stęchły powiew uderzył w nos Candy. Ostrożnie wyciągnęła koszulę. Zdobily ją ciemnobrązowe, stare plamy krwi. Obracając garderobę w palcach, obejrzała ją ze wszystkich stron, potem to samo zrobiła ze spodniami.

Naprawdę nie wiedziała, czemu go rozebrała, ale zrobiła to. Podczas gdy Denise kołysała się, jęczała i krzyczała, jakby była w transie, Candy spokojnie skończyła tłuc swojego ojca w głowę i ściągnęła z niego całe ubranie.

Boże, jak on na to zasługiwał! Świetnie pamiętała tamten dzień. Było to tuż przed przerwą na Boże Narodzenie. Candy, czternastolatka, zaczynała dopiero szkołę średnią i jak większość dzieciaków w szkole zazdrościła Denise Scott urody i postawy, chociaż w rzeczywistości Denise była tylko biednym białym śmieciem. Jeśli chodzi o Dinah, nikt się nią nie interesował; była zbyt poważna. A Hayley stanowiła jedynie cień siostry.

Jednak chłopakiem Denise był Jimmy Fargo, ten zaś miał wszystko, czego pragnęły dziewczęta ze szkoły w Wagon Wheel - przystojny, bogaty, błyskotliwy i lubiany. Tamtego dnia Candy poskromiła swoje nerwy i

odważyła się zagadnąć Denise, która sprawiała wrażenie niezwykle przyciszonej i roztargnionej. Candy potraktowała milczenie Denise jako wyraz zgody i z dumą towarzyszyła jej w drodze do domu.

Ale Denise zachowywała się jak lunatyk o szklistych oczach, była cicha i nieobecna duchem. Kiedy dotarły do krańca jej posesji, Denise raptownie się zatrzymała, nie chcąc, by Candy dalej ją odprowadzała. Lecz Candy była ciekawa nowej rodziny drogiego ojczulka, toteż zwlekała z odejściem nawet wówczas, gdy Denise kazała jej się wynosić.

Było późne popołudnie. Z górnych okien rozlegał się głośny, czysty głos Whitney Houston. Ignorując Denise Candy weszła prosto do domu i on tam był. Ten gnój. Czekał przy kuchennym stole, z tym swoim cwany uśmiechem, jak pajak w sieci czekał na Denise.

Och, wiedziała to dobrze. Sama była kiedyś jego ofiarą. Wiedziała. I kiedy ją zobaczył, spurpurowiał na twarzy i uderzył ją otwartą dłonią. Zawsze umiał bić.

Potem odepchnął Candy na bok i skierował się ku Denise, stojącej w drzwiach i sprawiającej wrażenie zdezorientowanej. Z cichym okrzykiem cofnęła się do tyłu, ale ruszył za nią, wykrzykując obelgi, nazywając ją dziwką.

Whitney stale śpiewała, a Candy, potykając się, wypadła za nimi na dwór. Gniew płonął w jej sercu. Kiedy wreszcie dogoniła ich na łące, Denise miała spódnicę zarzuconą na głowę, szarpała się i biła rękami.

A potem krzyknęła.

- Przestań! Przestań! Jestem w ciąży! I to twoje dziecko!

Serce Candy zamarło. Ten paskudny, śmierdzący bydlak! I wtedy popełnił fatalny błąd: pięściami zaczął okładać Denise, mocno, prosto w

brzuch, bez końca, a dziewczyna jęczała i na próżno zasłaniała się, usiłując uratować swoje dziecko.

Musiał umrzeć.

Spokojnie podniosła duży kamień - raczej mały głaz - i tak długo tłukła go po głowie i twarzy, aż wyczerpana upadła.

Czas płynął. Denise leżała bez ruchu. Kiedy Candy ocknęła się z otepienia, księżyc był już wysoko na niebie. Oświetlił zmarzniętą ziemię upiorną poświatą, dzięki której cienie wydawały się jeszcze dłuższe. W rękach trzymała jego ubranie, on zaś leżał jak wyrzucony na brzeg morza wieloryb w białym, bezlitosnym świetle, pokryty ciemnymi smugami krwi.

Dotknęła Denise. Była lodowata jak śmierć.

I wtedy Denise zaczęła naprawdę krzyczeć. Przerażliwe wycie, tak przejmujące, że Candy pospiesznie uciekła do odległej o pięć mil przyczepy, wślizgnęła się do środka, umyła i zamknęła ubranie ojca w kufrze.

Znalazła się jednak w kłopotcie. Nie myślała wówczas za wiele o ukryciu zbrodni; na to przyszedł czas później. Lecz prześladował ją pech. Szeryf Urganis, który wtedy zadawał się z jej mamą, widział jak Candy zakradała się do domu, a potem szorowała się za wszystkie czasy. Mówiąc precyzyjnie, lubieżny drań stał pod drzwiami łazienki, kiedy się myła. Wiedział.

A potem trzy aniołki opuściły miasto, lecz czy szeryf Urganis zrezygnował, albo zrzucił na nie odpowiedzialność za zniknięcie drogiego, pocziwego ojczulka? Och, nie. Zaczął obserwować Candy.

Co wieczór zatrzymywał się koło przyczepy; mówił, że czeka na powrót mamy do domu. Ho, ho. Czekał, żeby ją przyłapać.

Uczyliła więc to, co musiała. Wysłała anonimowy list do zadzierającej nosa żony szeryfa, opisując jego drobne skoki w bok i pruderyjna dama kopniakami w tyłek wykurzyła go spod przyczepy. Plotki rozniosły się z szybkością ognia. Koniec z reelekcją. O nie.

Jeszcze jeden podły, zboczony łajdak został unieszkodliwiony.

Candy sapnęła z satysfakcją, po czym znów zasiadła w kuchni, paląc następnego papierosa i przez brudne okno obserwując blade, zimowy zachód słońca.

Wydawało jej się, że mogłaby opowiedzieć to wszystko Connorowi Jackley'owi. Niewątpliwie pragnął tego. Ale chciał poznać prawdę tylko po to, żeby upewnić się, że wszystkie aniołki są rzeczywiście niewinne. Candy go nie obchodziła.

Niech więc wątpliwości pozostaną. Zresztą i tak nie miało to najmniejszego znaczenia. Trzy aniołki były bezpieczne, a ona nadal na wolności.

Candy wydłubała tytoń z zębów i oddała się marzeniom.